

GABRIELA  
JATKOWSKA

# Przerwane igrzyska



NIEZWYKLI SPORTOWCY  
II RZECZYPOSPOLITEJ

 PWN

GABRIELA JATKOWSKA

Przerwane  
igrzyska

NIEZWYKLI SPORTOWCY  
II RZECZYPOSPOLITEJ



**Copyright © by Wydawnictwo Naukowe PWN, 2017**

Wydawnictwo Naukowe PWN

ul. Gottlieba Daimlera 2

02-460 Warszawa

tel. 22 695 45 55

[www.pwn.pl](http://www.pwn.pl)

**Wydawca:** Joanna Adamczyk

**Współpraca redakcyjna:** Jolanta Kowalczyk

**Redakcja:** Mikołaj Tajchman

**Korekta i indeks:** Ingeborga Jaworska-Róg

**Projekt okładki:** Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ  
ART.DESIGN

**Zdjęcie na okładce:** Międzynarodowe lekkoatletyczne mistrzostwa Warszawy na Stadionie Wojska Polskiego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie, bieg na 5000 metrów mężczyzn, prowadzi Janusz Kusociński, czerwiec 1934 roku, fot. NAC

**Fotoedycja:** Barbara Chmielarska-Łoś

**Redakcja techniczna:** Maria Czekał

**Produkcja:** Mariola Iwona Keppel

**Skład wersji elektronicznej na zlecenie Wydawnictwa  
Naukowego PWN:** Michał Nakoneczny / hachi.media

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo

Więcej na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

*Polska Izba Książki*

Copyright © by Wydawnictwo Naukowe PWN SA

Warszawa 2017

Copyright © for the text by Gabriela Jatkowska, 2017

eBook został przygotowany na podstawie wydania  
papierowego z 2017 r., (wyd. I)

Warszawa 2017

ISBN 978-83-01-19661-5

Wydawnictwo Naukowe PWN SA

02-460 Warszawa, ul. Gottlieba Daimlera 2

tel. 22 69 54 321; faks 22 69 54 228

infolinia 801 33 33 88

e-mail: [pwn@pwn.com.pl](mailto:pwn@pwn.com.pl); [reklama@pwn.pl](mailto:reklama@pwn.pl), [www.pwn.pl](http://www.pwn.pl)

# SPIS TREŚCI

WSTĘP

Rozdział I. OJCIEC SPORTU – Wacław Kuchar

Rozdział II. DAMA ZE ZŁOTA – Halina Konopacka

Rozdział III. Z KRWIĄ W BUTACH – Janusz Kusociński

Rozdział IV. PODWÓJNA STASIA – Stanisława Walasiewiczówna

Rozdział V. WYSKAKAŁ SOBIE ŻYCIE – Stanisław Maruszak

Rozdział VI. „DŹADŹA” NA KORCIE ŻYCIA – Jadwiga Jędrzejowska

Rozdział VII. OSTATNIE SŁOWO AGENTA – Jerzy Iwanow-Szajnowicz

Rozdział VIII. WYMAZANY Z PAMIĘCI – Ernest Wilimowski

Rozdział IX. RZUT OD SERCA – Maria  
Kwaśniewska

BIBLIOGRAFIA

SPIS ILUSTRACJI

PRZYPISY



# WSTĘP

Czym byłaby książka, gdyby nie jej bohaterowie? Pisząc *Przerwane igrzyska*, poznałam niezwykle intrygujące historie wspaniałych ludzi, a w miarę zgłębiania kolei ich losów coraz bardziej im kibicowałam. Nie ukrywam, że jednych polubiłam bardziej od drugich (choć których najbardziej – tego ujawniać nie będę), niemniej życie każdego z nich unaocznilo mi, jak ważne są wartości, których dziś próżno szukać w życiu publicznym. Żałuję, że tak rzadko wspomina się dziś te osoby, tak mało podkreśla się ich zasługi dla polskiego sportu. A finalny wniosek jest zawsze ten sam – gdyby nie wojna...

Autor może jedynie zebrać i opisać losy poszczególnych postaci. Te często mówią same za siebie – za pośrednictwem wspomnień, publikowanych na przestrzeni lat pamiętników czy archiwalnych wypowiedzi prasowych. Są

także ludzie, którzy jeszcze dziś mogą dorzucić cegiełkę, niekiedy cegieł kilka do odtworzenia tych niezwykłych biografii. W tym miejscu chciałabym podziękować wielu osobom, które poznałam w trakcie pisania tej książki i które swą pracą bądź bezinteresowną pomocą dostarczyły mi wielu ciekawych informacji. Szczególne podziękowania należą się Muzeum Sportu i Turystyki (oddział warszawski) oraz pracownikom tamtejszej czytelnicy, którzy z iście anielską cierpliwością dostarczali mi archiwalne numery sportowych gazet i służyli wsparciem. Wielkie dzięki także dla bezimiennych pracowników archiwów Komendy Stołecznej Policji oraz obu śródmiejskich prokuratur w Warszawie – niestety nie udało się ustalić, co stało się ze złotym medalem olimpijskim zdobytym przez Janusza Kusocińskiego w Los Angeles w 1932 roku, ale przynajmniej próbowaliśmy.

Słowa podziękowania należą się również pani Elżbiecie Maleszewskiej, która wspierała mnie radą, a jej pamiątki po matce – Marii Kwaśniewskiej – są bezcenne (dostępne w MSiT). Serdecznie podziękowania kieruję też w stronę dr. Roberta Gawkowskiego, który o polskim sporcie                      okresie                      dwudziestolecia

międzywojennego wie zdaje się wszystko! Dziękuję także Robowi Lucasowi, który podzielił się ze mną informacjami na temat Stelli Walsh (Stasi Walasiewiczówny) i którego film o niej był cennym uzupełnieniem zebranych źródeł. Ponadto dziękuję panu prokuratorowi Maciejowi Rabiedze z Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie, pani Krystynie Marciniak z Łodzi, panu Andrzejowi Pepłońskiemu, panu Zbigniewowi Kulikowi z Muzeum w Karpaczu, pani Aleksandrze Wojdzie z muzeum DULAG 121 w Pruszkowie i wielu rozmówcom, których spotkałam w trakcie zbierania materiałów do tej książki.

Mam nadzieję, że losy bohaterów *Przerwanych igrzysk* zainteresują nie tylko amatorów sportu, lecz także tych, którym nieobca jest historia II Rzeczypospolitej w ogóle; że rzucą szerszy kontekst na motywy różnorodnych wyborów podejmowanych w obliczu wojny, dostarczą dreszczyku emocji, a cytowane archiwalia prasowe wywołają uśmiechy (te relacje!) i różnorodne refleksje.

W tym miejscu pragnę zwrócić uwagę czytelnika na to, że we wszystkich szeroko cytowanych fragmentach zachowałam pisownię

oryginalną. Która – co oczywiste – momentami może razić szczególnie.

# Rozdział I

## OJCIEC SPORTU

### Wacław Kuchar

Wyobraźmy sobie lekkoatletę, dajmy na to sprintera. Który nie dość, że odnosi sukcesy na bieżni, to z powodzeniem gra w piłkę nożną (zostając królem strzelców), jest najszybszym łyżwiarzem w Polsce, świetnie radzi sobie w hokeja, relaksuje się na strzelnicy i od czasu do czasu gra w tenisa. Właśnie takim zawodnikiem był Wacław Kuchar. Dyrygent i ojciec polskiego sportu. Jeden z najpopularniejszych i najlepszych piłkarzy, znakomity lekkoatleta, panczenista.

Sport był jeszcze ową „jednością wielości”, jeszcze nieliczni ograniczali się tylko do jednej dyscypliny. Kto grał w piłkę, ten i uprawiał lekkoatletykę, pływał, grał w tenisa, jeździł na rowerze[1].

Tak też to wyglądało w rodzinie Kucharów – pływano, biegano, grano w piłkę nożną. Wszyscy bracia Wacława od dziecka byli ściśle związani ze sportem, a lekkoatletyka była dla nich tak naturalna, jak codzienne rodzinne obiady. Moglibyśmy powiedzieć, że sport nie był wtedy na tym poziomie, co dziś, rekordy łatwo było ustanawiać, zwłaszcza jeśli nie było z kim konkurować, nie było takiej profesjonalizacji poszczególnych dyscyplin – to wszystko fakty. Nie umniejsza to w żaden sposób ówczesnego ducha sportowego, nieskażonego chęcią zysku, gdy jedynym celem była bezwarunkowa chęć doskonalenia formy i charakteru. Uprawianiu sportu przypisywano cudowne wręcz właściwości zdrowotne i sukcesy w życiu codziennym.

Lekkoatletyką warto się zająć każdemu, niezależnie od tego, czy ma warunki po temu, by stać się „gwiazdą”, czy też nie. Jeśli bowiem będzie odpowiednio uprawiał ten piękny dział sportu – wygra zawsze; jeśli nie stanie się renomowanym mistrzem – stanie się z całą pewnością dobrze rozwiniętym, zdrowym i czerstwym, pełnym radosnej energii człowiekiem, o silnych i giętkich mięśniach, pojemnych płucach, dobrze funkcjonującym sercu oraz silnej woli i wyrobionym charakterze. A człowiek taki da sobie w życiu radę na każdym stanowisku, gdyż na każdym polu pracy, w każdej sferze działalności przedstawiać będzie jednostkę dodatnią i wartościową[2].

Te słowa, spisane w 1932 roku, są kwintesencją idei sportowej w rodzinie Kucharów, którą najpełniej rozwijał i realizował w kolejnych dziedzinach sportu Waław Kuchar.

Na czele rodziny stał Ludwik Kuchar[3]. Pierworodny syn dostał na imię Tadeusz, po nim na świecie pojawili się: Karol, Władysław i – 16 września[4] 1897 roku – Waław. Później szeregi tej sportowej rodziny zasilili jeszcze Mieczysław i Zbigniew.

## KOLEBKA SPORTU

W 1904 roku w Paryżu powstaje Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej. Dochodzi do pierwszego międzypaństwowego meczu między Belgią a Francją, zakończony remisem 3:3. „Piłka nożna rozpoczęła marsz do korony popularności wszystkich sportów. Gdy zaczęła się obracać – nie było już na nią rady”[5].

Polska z pewnym opóźnieniem rozpoczęła formowanie drużyn piłkarskich. Najpłodniejszą pod tym względem ziemią okazała się Galicja, zwłaszcza we Lwowie i Krakowie należy poszukiwać początków polskiej piłki nożnej. Za pionierów sportu w ogóle, w szczególności zaś ukochanego przez wszystkich Polaków futbolu, uchodzą dr Eugeniusz Piasecki[6] i dr Henryk Jordan[7]. Sponsorem Lwowskiego Klubu Sportowego Pogoń (najbardziej rozbudowanymi sekcjami były lekkoatletyka i piłka nożna) zostaje Ludwik Kuchar, ojciec Waława. Z kolei w 1919 roku powstaje Polski Związek Lekkiej Atletyki, na czele którego staje... brat Waława, Tadeusz.

11 października 1919 roku w Krakowie zawiązuje się, obejmujący całą Polskę, Polski Związek Lekkoatletyczny. Prezesem zostaje inż. Tadeusz Kuchar.

Siedzibą Związku zostaje Lwów, posiadający najliczniejsze kadry lekkoatletów oraz świetne tradycje[8].

W 1904 roku Waław podejmuje naukę w szkole. Dużo trenuje, biega, ćwiczy – lekkoatletyka jest przecież w tym domu czymś zupełnie naturalnym – na przekór panującej powszechnie opinii, że ćwiczenia mogą być tylko dodatkiem do życia, nie zaś sposobem na nie. Jeszcze w 1922 roku, kiedy talent Waława w pełni się rozwinął, gazeta „Sport” we wstępniaku autorstwa Adama Nechaya[9] alarmowała:

Dawne uprzedzenia z okpiwanego okresu, gdy ślizgawka ucznia była czynem nieobyčajnym, przecież tkwią jeszcze tu i ówdzie bardzo głęboko. Może się takich rzeczy i nie mówi głośno, ale lekceważenie i wzdrganie dla „karygodnego marnotrawienia czasu”, przesady o niebezpieczeństwach, grożących jakoby na każdym kroku sportowcowi [...] wszystko to wywołuje atmosferę obawy i rezerwy, nie sprzyjającej rozwojowi sportu ludowego[10].

Lwów był kolebką polskiego sportu, a młodzież gimnazjalna i akademicka gromadziła się tam wokół „Sokoła”. Towarzystwo Gimnastyczne założone 150 lat temu (w 1867 roku) było kolebką polskiego sportu, ale też – albo przede wszystkim – katalizatorem wartości patriotycznych. Chodziło głównie o edukację młodych Polaków i kształtowanie w nich postaw patriotycznych. Polski sport narodził się właśnie tu. Później, dzięki doświadczeniom galicyjskim, tworzono już w wolnej Polsce sportowe struktury.

W Galicji na początku wieku zawiązano kilkanaście klubów sportowych skupionych na piłce nożnej. Pierwsze kluby lwowskie powstają w takiej oto kolejności: Sława – 1903 rok (późniejsi Czarni), KGS – 1904 rok, następnie Lechia i Pogoń – kolejno w 1905 i 1907[11]. Dwie ostatnie drużyny odegrają rolę najważniejszą, a mecze pomiędzy Czarnymi i Pogonią emocjonować będą lwowską publiczność.

Waław tymczasem po raz pierwszy zakłada łyżwy na nogi. Lwowska Sława[12] (pierwszy polski klub sportowy) rozgrywa mecze hokejowe za pomocą jeszcze nie krążka, a piłki wielkości tenisowej. Młody Kuchar zaczyna od kręcenia kółek na lodzie, szybko jednak zmienia upodobania i przestawia się na hokej. W 1908 roku jego myśli koncentrują się wokół piłki nożnej. Nie ma jeszcze mowy o profesjonalnej futbolówce, więc kopie się wszystko – piłka często jest

szmaciana, zszyta z cholew starych butów wypchanych na przykład słomą. Korzysta się też z rybich czy świńskich pęcherzy. W końcu Waclaw, zwany przez wszystkich „Wackiem”, dostaje od ojca prawdziwą piłkę. Futbol stanie się dla niego absolutną pasją i całym życiem. Oczywiście nie porzuca łyżew, przywdziewa kolejne – tym razem panczeny. Pociąga go szybkość, jaką na tego rodzaju łyżwach można uzyskać.

Skąd Wacek umiał tak wiele? Zwinny, gibki, lubuje się w efektywnych zwodach, szybkich przebojowych rajdach i zaskakujących, celnych strzałach. Mimo że nie był dzieckiem fizycznie rozwiniętym ponad miarę wieku, nie bał się grać zdecydowanie, żywiołowo. Nikt nie miał do niego o to pretensji, bo nigdy nie faulował, co zostało mu jako zasada na zawsze... Właśnie: dżentelmeństwo oraz ambicja objawiająca się jako ofiarność...[13]

Waclaw zaczyna zbierać wokół siebie grupę chłopaków. Nadają sobie nazwę „Olimpia”, zmieniają ją później na „Glorię”. Zapisuje się także do Sparty. Piłkę nożną w Galicji bliżej do węgierskiego stylu gry – żywiołowego, szybkiego – aniżeli do statecznej, technicznej, wyważonej gry Austriaków. Waclaw tę prędkość i żywiołowość ma we krwi – jego ojciec jest z pochodzenia Węgrem, ale zawsze czuł się Polakiem. Do tego stopnia, że kiedy dwudziestoletni wówczas syn Tadeusz, jeden z najlepszych lekkoatletów austro-węgierskiego państwa, miał szansę wystąpić na olimpiadzie, ojciec Ludwik odwołał się do jego sumienia. Uważał, że nie godzi się Polakowi startować z niepolskim godłem na piersiach. Startować w walce, której symbolami są pokój, wolność i radość ducha[14].

Tadeusz na igrzyskach olimpijskich w 1912 roku nie wystąpił, mimo ogromnych szans na sukces. Z polskich zawodników, którzy z konieczności występowali w barwach państw zaborczych, odnotujmy występ lekkoatlety Pogoni Waclawa Ponurskiego, reprezentującego Austrię, oraz Karola Rómmela[15], który startował w jeździectwie (skokach przez przeszkody) w barwach Rosji i zajął miejsce dziewiąte. Rómmel na olimpiadzie w Amsterdamie (1928) już w barwach Polski wywalczył brązowy medal w drużynie.

Wybuch I wojny światowej rzuca Kucharów na różne jej fronty – Tadeusz walczy na Wschodzie, Władysław we Włoszech. Karol, z powodu złamania nogi, nie zostaje zmobilizowany. Waclaw kończy swą edukację tzw. wojenną maturą. Trafia do szkoły podoficerskiej



w węgierskim Natszelon, następnie zostaje wysłany na front rosyjski pod Brzeżany. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej oraz w obronie Lwowa jest odznaczony Krzyżem Walecznych, Orderem Odrodzenia Kraju, Krzyżem Obrony Lwowa i Medalem Orłąt.

Po rozpadnięciu się armii austriackiej na Ukrainie przedziera się przez Stryj, Sokolniki, Kulparków, przez pierścień ukraińców, zdążając na 8 listopada do Lwowa. Formuje sobie natychmiast oddział partyzancki, a wypadki jego na Sokolniki, na Kulparków, przynoszą w udziale formującej się baterii haubic jako zdobycz jego – 12 karabinów i jedną furę matyryału wojennego. Przy samej baterii z braku ludzi pełni służbę celowniczego i instruktora oddziału piechotnego, którego był dowódcą. Z magazynu wojskowego w browarze Grunda wydzierają z rąk ukraińców około stu garniturów ubrań żołnierskich. Wypadem swoim na Rzęsnę ruską przeprowadzonym brawurowo w siedmiu ludzi [...] wypiera z niej ukraińców, przywożąc jako zdobycz dwie fure siana i żywność dla ludzi. [...] obejmuje samorzutnie dowództwo nad piechotą, broni Zboisk nieustępując ani na krok, aż do chwili przybycia posiłków, dla których przygotował kontratak. (Pochwała w rozkazie dowództwa artylerii). W krytycznych warunkach pod Prusami obejmuje dowództwo [...] odzyskuje utracone działa i prowadzi baterię zwycięsko we wszystkich naszych akcjach, pod Przemyślanami ranny na punkcie obserwacyjnym, pozostaje mimo to przy baterii[16].

Do Wojska Polskiego wstąpił w 1918 roku jako ochotnik. Jego macierzystą jednostką staje się 5 Pułk Piechoty Artylerii Lekkiej we Lwowie. Szybko go doceniono, dowództwo na przestrzeni lat wystawiało mu zawsze entuzjastyczne oceny.

Pierwszorzędny oficer instrukcyjny, umiejący dzięki swej energii, pomysłowości i oddaniu się pracy zainteresować i zachęcić swych podkomendnych tak, że jego pluton ćwiczebny był wzorem dla innych, a dzięki kompletnemu oddaniu [...] nie zaszedł ani jeden przypadek dezercji w tych czasach. Muszę z naciskiem podkreślić[17].

W latach 1921–1929, w wystawianych corocznie opiniach dowództwa, Kuchar zbiera praktycznie same pochwały – oceny b. dobre („pełen inicjatyw organizator”), wzorowe („jako wychowawca żołnierza – wzorowy, umie żołnierza porwać za sobą”), doświadczony

fachowiec, ambitny, obowiązkowy, niezwykle lubiany przez podwładnych. W ocenie ogólnej odnotowano: „wybitny oficer rezerwy”[18].

Tymczasem Kucharów dotyka rodzinna tragedia – 17 czerwca 1917 roku umiera Ludwik Kuchar, na skutek poparzeń doznanych w pożarze w swoim laboratorium chemicznym, pozostawiając pogrążoną w żałobie wdowę. To jednocześnie cios dla świata lwowskiego sportu – Ludwik był w końcu założycielem Pogoni. Pośmiertnie przyznano mu tytuł honorowego członka klubu.

Sport w ogóle miał niemałe znaczenie dla scalania narodu polskiego i w pierwszych latach niepodległości organizacje sportowe były kolebką idei odrodzenia narodowego. Tuż przed II powstaniem śląskim zawodnicy lwowskiej Pogoni (z Wacławem Kucharem w swoich szeregach) i Czarnych oraz kilku z warszawskiej Polonii wybrali się na Górny Śląsk, by na spornych terenach rozegrać mecz z Niemcami. Ich zwycięstwo walnie przyczyniło się do agitacji na rzecz polskości Śląska. Do tej manifestacji na stadionach piłkarskich chętnie przyłączali się zawodnicy z różnych regionów i drużyn Polski, często na przykład lwowska Pogoń wzmocniana była najlepszymi piłkarzami z innych klubów po to, aby polski zespół w możliwie najsilniejszym składzie wychodził na spotkanie z drużyną niemiecką. Powołano Górnośląski Związek Piłki Nożnej (jako odpowiedź na działający na tych terenach niemiecki odpowiednik) i gremialnie namawiano Ślązaków grających w innych zespołach do przechodzenia do polskich klubów.

Zresztą także po odzyskaniu niepodległości z różnych stron słyhać było głosy, że siła narodu tkwi w sporcie, a edukacja wychowania fizycznego jest niezwykle ważna – w imię zasady, że sprawny, atletyczny naród to silny naród.

W ostatnich czasach czynniki rządowe ujawniają wiele zainteresowania w wychowaniu fizycznym młodzieży. Objawia się to szczególnie na terenie szkolnym, gdzie rząd stara się specjalnie o wytworzenie atmosfery zdrowia i higieny[19].

W 1922 roku aż 30 procent szkół z terenu byłej Kongresówki nie prowadziło zajęć z zakresu ćwiczeń fizycznych, nie zatrudniało bowiem żadnego nauczyciela WF. Projekt wprowadzenia obowiązku ćwiczeń do szkół postrzegano zatem jako powiew nowoczesności

i obietnicę poprawy kondycji narodu. Zważywszy, że sport aktywnie uprawiany był przez żołnierzy rozproszonych po armiach zaborczych, konsolidujących się następnie się w Wojsko Polskie, istniały już duże tradycje kultury fizycznej.

[...] rząd na kształcenie odpowiednich nauczycieli nie powinien skąpić pieniędzy. Leży to w interesie samego państwa. Im więcej posiadać będzie ono zdrowych obywateli, tym tęższe będzie ono na zewnątrz[20].

## SZKOŁA RYCERSKOŚCI

Wacław umacnia się w szeregach lwowskiej Pogoni, stając się jej podstawowym i najcenniejszym zawodnikiem. Pogoń to klub, który nie kieruje się żadnym kluczem doboru, jak choćby Czarni, gromadzący inteligencję. Nie był to klub robotniczy czy narodowy, Pogoń tworzona była przez różnobarwną zbieraninę.

Październik 1919 roku przyniesie powstanie Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, którego pierwszym prezesem zostaje Tadeusz Kuchar. Pozostanie na tym stanowisku przez kolejne trzy lata, aż do przenosin PZLA do Warszawy. Kolejny punkt na liście to powołanie do życia Polskiego Komitetu Olimpijskiego, którego współtwórcą ponownie jest Tadeusz. Z kolei 20 listopada 1919 roku powstaje Polski Związek Piłki Nożnej[21]. Życie sportowe przybiera na sile – w końcu będzie można przygotowywać się do olimpiady z orzełkiem na piersi!

Wacław jest w wyśmienitej kondycji – jeden z pierwszych meczów Pogoni, przed którym odegrano hymn państwowy[22], kończy z dorobkiem ośmiu goli na swoim koncie!

W dniach 17–18 lipca 1920 roku zorganizowano I Mistrzostwa Polski w Lekkiej Atletyce. Odbyły się one na stadionie Pogoni, który był jedynym tak nowoczesnym stadionem lekkoatletycznym w Polsce. Wacław Kuchar został mistrzem Polski w dwóch konkurencjach: w biegu na 800 metrów oraz w biegu przez płotki na 110 metrów. Wicemistrzostwo wywalczył w skoku w dal, w skoku o tyczce oraz trójskoku!

W Pogoni nadeszły oczekiwane zmiany – 1921 rok miał być czasem nowoczesności, wdrażania nowych metod przygotowawczych w zakresie szkolenia. Zdecydowano się na zatrudnienie trenera z prawdziwego zdarzenia, pierwszego w historii klubu. Został nim

Węgier Bardy, który niestety „wykazał się” daleko idącą niezaradnością. Relacja „Przeglądu Sportowego” nie pozostawia złudzeń co do gry Pogoń:

Pogoń wystąpiła znowu w innym składzie, te zaś bezustanne zmiany nie wychodzą na korzyść. Wprawdzie odniosła ona zwycięstwo, jednak gra nie pokazała żadnej poprawy; obrona bardzo słaba, pomoc stosunkowo najlepsza, atak grał chwilami dobrze, strzelał słabo i niecelnie, a stanowczo mało uważali na „off-side” przez co wiele pozycji zmarnowano[23].

Odnotowano gole Garbienia[24] i Kuchara, który strzelił do bramki dwa razy. Waclaw radzi sobie wyśmienicie, nierzadko zdobywa więcej niż dwie bramki w trakcie jednego meczu. W tym czasie zostaje – jak dziś byśmy powiedzieli – „wypożyczony” do poznańskiej Pogoni; powołany między innymi do prowadzenia zajęć w tworzącej się wówczas w Poznaniu Centralnej Wojskowej Szkole Gimnastyki i Sportu. Szeregi poznańskiej imienniczki zasila, aby nie wypaść z futbolowej formy. Rodzima Pogoń boryka się zaś z problemami – zwalnia trenera Bardyego i całkiem nieprzygotowana melduje się na I Mistrzostwach Polski. Turniej ten rozgrywany był w dniach 21–30 października 1921 roku. Po tytuł sięgnęła wówczas Cracovia, która znakomicie przygotowana wygrała taktyką opracowaną przez Węgra Emericha Pozsonyiego[25], niegdysiejszego reprezentanta tego kraju.

On to był współtwórcą ówczesnej tzw. szkoły krakowskiej. Kładł nacisk na kondycję i taktykę, doskonale znał się na grze preferującej podania krótkie i przyziemne. Kontynuowali więc piłkę austriacką, której nauczył ich wcześniej Czech – František Koželuh[26].

Drużyny lwowskie, w tym właśnie Pogoń, wzorowały się na węgierskim stylu gry, któremu bliżej było do angielskiego, charakteryzującego się szybkim, energicznym atakiem.

Pozsonyi hołdował zasadzie *fair play*, podkreślał wagę dżentelmeństwa w tym sporcie, zaznaczając na każdym kroku, że faule i brutalne zagrania – tak dobrze znane nam dziś z boisk światowych – to najłatwiejsza droga; sztuką jest gra umiejętna, taktyczna i bez niepotrzebnego nokautu.



<b>CRACOVIA</b> <b>Kraków</b>		3:0 2:1	2:2 6:1	2:0 5:2	7:1 4:0	0	31	15
<b>POLONIA</b> <b>Warszawa</b>	0:3 1:2		1:0 2:3	1:0 1:0	1:0 6:1	3	13	10
<b>WARTA</b> <b>Poznań</b>	2:2 1:6	0:1 3:2		3:2 0:7	2:1 3:3	3	14	8
<b>POGOŃ</b> <b>Lwów</b>	0:2 2:5	0:1 0:1	2:3 7:0		2:0 6:1	5	19	6
<b>ŁKS Łódź</b>	1:7 0:4	0:1 1:6	1:2 3:3	0:2 1:6		7	7	1

### Końcowa tabela I Mistrzostw Polski w Piłce Nożnej 1921 roku

Źródło: „Przegląd Sportowy” nr 25, 5 listopada 1921 r.

„W Pogoni bardzo dobrym był Wacek Kuchar, pracował ambitnie Ignarowicz, a Mietek Kuchar w bramce był znakomity”[30] – oddał honor braciom Kucharom Tadeusz Synowiec[31], grający w Cracovii redaktor naczelny właśnie powstałego „Przeglądu Sportowego”.

Pogoń zajęła w tych pierwszych mistrzostwach czwarte miejsce. Weźmie odwet na pozostałych drużynach już w następnym roku. Przez kolejne cztery lata niepodzielnie zajmować będzie podium mistrza Polski, a to głównie za sprawą Wacława Kuchara – króla strzelców w edycji 1922 roku (z 21 golami) oraz w 1926 roku (dzielącego się tym tytułem z przyjacielem z boiska – Józefem Garbieniem).

## KIEROWNIK NAPĘDU

Wacław doskonali swoją formę – jak pamiętamy – nie tylko w piłce nożnej. W trakcie II Mistrzostw Polski w Lekkiej Atletyce (13–5 sierpnia 1921 roku) ponownie sięga po tytuły mistrzowskie – w skoku wzwyż i w biegu na 800 metrów nie miał sobie równych. Do tego dorobku dorzucił jeszcze złoto w trójskoku. Jest już pięciokrotnym mistrzem Polski. W październiku przyjeżdża do Warszawy na międzynarodowe zawody lekkoatletyczne. W skoku wzwyż zajmuje trzecie miejsce, za zawodnikami z innych państw.

Tymczasem PZPN przygotowywał grunt pod mecz polskiej reprezentacji („reprezentatywki”) z mocną drużyną Węgrów. Ci na propozycję polską przystali i wyznaczono termin na 18 grudnia 1921 roku. Koszulkę z orłem na piersi, a więc powołanie do reprezentacji, otrzymał oczywiście Waclaw Kuchar. Z Pogoni do Budapesztu pojechał jeszcze Mieczysław Batsch[32], znakomitą większość stanowili „Cracovianie”. Polska drużyna przegrała na wyjeździe 0:1, co nie było złym wynikiem, jeśli porównamy doświadczenie międzynarodowe obu drużyn. „Przegląd Sportowy” w wydaniu wigilijnym ogłasza „Sukces polskiego sportu piłki nożnej w Budapeszcie”.

W wesołym nastroju przybywaliśmy do Zebrzydowic. [...] Trenera, któremu celnicy czynili wstręty z powodu pełnego kosza żywności, przeznaczonej dla drużyny, wyratowali z opresji gracze, którzy hurmem wpadli do komory celnej gotowi zjeść odrazu wszystkie zapasy, byle tylko nie zostały w rękach sąsiadów. Celnicy zlekli się tej ofensywy i wycofali się z honorem. W poczekalni skracał nudy Wacek, popisując się przed jedną z towarzyszek podróży różnymi sztuczkami [...] [33].

W Żylinie nastąpił czterogodzinny postój, który wykorzystano na posiłek, składający się ze sznycła posmarowanego musztardą, „bałabuchy” i jabłka, które zapito herbatą, piwem i wodą sodową. Wesołość piłkarzy zmącił postój w Trenczynie. Pociąg, który miał zawieźć ich do Budapesztu, odjechał, musieli więc czekać na następny.

Wściekli, śmiertelnie znużeni, po 36-godzinnej podróży, stanęliśmy na miejscu o godzinie 11 [...] w nocy [34].

Zawodnicy byli zmęczeni, odczuwali trudy i znoje podróży (dziś zupełnie nie do pomyślenia!). W szatni, tuż przed wyjściem na boisko, panowały minorowe nastroje.

O godz. 1:45 wyszła na boisko drużyna polska, przywitana burzą oklasków przez publiczność, która w liczbie około 10.000 zapełniała trybuny po obu stronach boiska. [...] Gra rozpoczyna się w szalonym tempie. Węgrzy przechodzą od razu do szeregu ataków. [...] Drużyna polska gra szalenie nerwowo. W 18 min. [...] robi się tłok pod bramką polską, z którego korzysta Szabo, strzelając [...] pierwszą i jedyną bramkę dla Węgrów [35].

Nieco lepiej udaje się zaprezentować Polakom w drugiej połowie, ale nie jest to ich dzień. „Przegląd Sportowy” zauważa gorszą dyspozycję Wacława Kuchara. Wytykane są błędy organizacyjne (powinien być dzień odpoczynku dla piłkarzy po tak męczącej podróży), przegraną składa się na karb stresu nowicjusza. „Każdy gracz odczuwał, że reprezentuje sport polski, a ambicja klubowa jest mniejsza niż narodowa”[36].

Wstydu nie było, a i niemałe pochwały polscy piłkarze zebrali od węgierskich organizatorów, komentatorów i przyjaciół, bo – jak podkreślano, tak samo zresztą przy innych starciach Polaków i Węgrów – było to spotkanie dwóch zaprzyjaźnionych ze sobą państw.

Wacław rozwija swoje zdolności w stopniu na skalę światową raczej niespotykanym. Szlifuje umiejętności i „czasówki” w łyżwiarstwie szybkim – w mistrzostwach okręgowych nikt nie ma z nim szans. Chwilę później także i w pierwszych mistrzostwach Polski zwycięża na trzech dystansach – 500, 1500 i 5000 metrów. Na marginesie trzeba zauważyć brata Władka, który zarezerwował dla siebie łyżwiarstwo figurowe (zwane wówczas jazdą „sztuczną”) i zdobył w tej konkurencji złoto w mistrzostwach Polski. Aby nie być gorszy od brata, Władysław latem upodobał sobie tenis ziemny. Był pierwszym reprezentantem Polski w Pucharze Davisa (w 1925 roku). Jego wyczynom przygląda się młodziutka Jadzia Jędrzejowska, późniejsza finalistka Wimbledonu.

Wróćmy jednak do Pogoni, która właśnie poszukiwała nowego trenera. Wybór padł na Karola Fischera z Austrii, o którym tygodnik „Sport”, powołując się na wiedeński „Sport-Tagblatt”[37], pisał:

Jest to ten Fischer, który wyszedł ze znakomitej szkoły zrzeszenia wiedeńskiej młodzieży, która pod kierunkiem radnego miasta Wawerki wydała ze swego grona cały szereg footballowych gwiazd Wiednia, jak Studnicka, Huber, Taurer, Strümer, Józef Fischer itp. [...] Przez dwa lata zajmował Fischer stanowisko trenera tenisowego w klubie wiedeńskim W.A.C. Na tym stanowisku zyskał sobie ogólne uznanie; w wolnych chwilach grywał w drużynie seniorów W.A.F. Pogoń zyskuje w osobie K. Fischera pierwszorzędną powagę sportową Wiednia[38].

Jest to także były piłkarz, który zakończył futbolową przygodę na pozycji bramkarza. A zatem znowu multisportowiec. Dla polskiej piłki to fantastyczny sprawdzian: oprócz Austriaka drużyny prowadzą inni



zagraniczni trenerzy – Anglik Kimpton (Polonia Warszawa) czy wspomniany już Pozsonyi (Cracovia). Wisła Kraków od 1924 roku ma Węgra Imrego Schlossera[39], a od 1929 roku – niezapomnianego selekcjonera czeskiego Františka Koželuha. Ten zastrzyk tak różnych stylów gry, techniki i myśli trenerskiej ma wzbogacić i usprawnić całą polską piłkę. Fischer od razu przystępuje do realizacji planu naprawczego.

Treningi odbywały się dwa razy w tygodniu, po półtorej, dwie godziny każdy. Zajęcia prowadzono według szczegółowego planu i z dużym udziałem ćwiczeń rozwijających sprawność ogólną, co Wacek oraz jego koledzy celujący w lekkiej atletyce powitali z radością. Nie tylko kopanie, ale także harmonijny rozwój przez inne sporty[40].

Tak przygotowana Pogoń zapuszcza się tym razem do Czechosłowacji i pierwsze spotkanie z drużyną naszych południowych sąsiadów kończy się remisem 3:3 (Wacław strzelił dwa gole). Dnia następnego drużyny grają jeszcze jeden mecz, tym razem jest on zwycięski dla Pogoni (znów Wacław dwukrotnie pokonuje czeskiego bramkarza). Po powrocie do kraju gromią jeszcze aktualnego mistrza Polski – Cracovię – upokarzając ją wynikiem 3:0. Już na marginesie dodajmy, że nie kto inny, jak właśnie Wacław Kuchar, zdobył wszystkie trzy gole.

Pogoń przystąpiła do mistrzostw Polski w 1922 roku z pozycji lidera swojego okręgu. Wysforowała się na to miejsce, nie tracąc punktu i kończąc z dorobkiem 54 goli strzelonych, przy ledwie 4 straconych. Trener Karol Fischer odmienił drużynę, doprowadzając ją do mistrzowskiej formy, przekształcając w maszynę idealną, nie do zatrzymania. W meczu z przemyską Polonią Kuchar strzelił pięć goli, a jego drużyna zwyciężyła aż 9:0. Mistrzostwa rozpoczęte 2 kwietnia 1922 roku miały wyłonić zwycięzcę z siedmiu okręgów – ich przedstawiciele stanąć mają do dalszych rozgrywek. Tu spośród czterech drużyn północnej Polski (Łódź, Warszawa, Poznań i Wilno) i tyłuż z południowej (Lwów, Kraków, Lublin i Górny Śląsk) wyłoniony będzie zwycięzca każdego z regionów, następnie o mistrzostwo walczyć będą właśnie te dwie drużyny.

Trzon Pogoni przez lata tworzyła trójka wybitnych napastników – bramkostrzelny środkowy napastnik Wacek, „tank Pogoni” Garbień (doktor chirurgii) i Batsch. Niemniej istotną rolę odgrywali oddani

i nieodłączni kibice. Mecze były oblegane przez tłumy wiernych Pogoni, a szczególne miejsce zajmowali wśród nich widzowie na drzewach, zwani „zieloną trybuną”. Byli to kibice, którzy nie mając biletu wstępu na stadion, wspinali się na okalające boisko drzewa, by stamtąd obserwować i żywo komentować poczynania zawodników. Pełnili funkcję pierwszych (ówczesznie jeszcze nieznanym) komentatorów radiowych!

System wyłaniania mistrza Polski z okręgów dawał też nieco czasu zawodnikom. I tak na przykład w trakcie mistrzostw Pogoń obchodziła swoje piętnastolecie. Henryk Zbierzchowski uczcił ten fakt okolicznościowym wierszem, zatytułowanym *Marsz Pogoni*, który brzmiał nader uroczyście:

W tempie i muskułów chrzęście  
Tak drużyna nasza gra,  
„Pogoń” ma do Wacków szczęście  
Niech żyją Wacki dwa.  
Komu Kuchar sos zgotuje,  
Ten uczuje w gębie kwas,  
Kogo Garbień wygarbuje,  
Spokój ma na dłuższy czas[41].

„Sport. Tygodnik Ilustrowany” prowadzony przez Rudolfa Wacka[42], przyjaciela Kucharów, uczcił piętnastolecie podobizną ś.p. Ludwika Kuchara, założyciela Pogoni. Na tej samej stronie przypomniano genezę klubu:

Lwowski Klub Sportowy „Pogoń” zostaje założony w roku 1907 na podstawie fuzji Klubu Gimnastyczno-Sportowego IV Gimnazjum (tzw. krótko KGS) i Klubu Sportowego „Lechia”. Grono młodzieńskich entuzjastów rozwiązało swoje dwie organizacje w zamiarze stworzenia w ich miejsce jednej a silnej i tworząc nową przyjęło neutralną nazwę „Pogoń”[43].

Przy czym Lechia odrodziła się na nowo pod tą właśnie nazwą w 1909 roku.

„Pogoń” pierwsza wskazała drogę polskim klubom sportowym po jakiej należy stąpać, aby odpowiedzieć tej nadużywanej nazwie „klub sportowy”, gdy jest się

przeważnie klubem jakiejś jednej jedynej gałęzi, ze szkodą innych, wbrew programowi „sportowy” zawartemu w tytule[44].

Pogoń zrzeszała lekkoatletów, piłkarzy, łyżwiarzy, tenisistów, pływaków, narciarzy. Waław Kuchar reprezentował barwy klubu w piłce – oczywiście, lekkoatletyce, w sportach zimowych. W trakcie obchodów brał udział w biegu „rozstawnym”, czyli sztafetowym (jego sztafeta uzyskała wówczas rekord Polski). W tym samym czasie rozegrał – także na uczczenie rocznicy Pogoni – dwa mecze: z Wisłą (wygrana 5:1) i warszawską Polonią (4:0). Ale od naczelnego „Sportu” dostało mu się po łbie: „Wacek był niedysponowany i zwracam uwagę, iż gracz ten za często gubi piłkę, [...] więcej zimnej krwi zdałoby się przed bramką przeciwnika”[45].

Rudolf Wacek mimo wygranej zruzał swojego pupila, który doprowadza swoją drużynę do mistrzostwa okręgu. Dalsze boje toczyć będzie z górnośląskim Ruchem, Wojskowym Klubem Sportowym „Lublin” i broniącą tytułu Cracovią. Ruchowi zawodnicy Pogoni wygarbowali skórę, ustalając wynik na 12:0, z Cracovią także sukces, choć już mniej spektakularny (3:2), z WSK-em dobili do 4:0. Za chwilę okaże się, że to Pogoń właśnie stanęła na czele tabeli południowej i spotkała się z poznańską Wartą w boju o tytuł mistrza Polski.

W międzyczasie jeszcze wypad do Pragi na lekkoatletyczny Trójmecz Słowiański, z którego nie wypada nie przytoczyć opisu warunków (oburzających ówczesne władze PZLA), jakie zaoferowali uczestnikom Czesi. Wacek oczywiście dostaje powołanie do reprezentacji. Tymczasem „Sport” bez litości rozprawia się z czeską organizacją:

Zaczęło się od przyjazdu! Na dworcu o 7:30 oczekuje nas pracownik polskiej ambasady, z Czechów nikogo nie ma! [...] Szkoła w stanie wakacyjnym, zaśmiecone, cuchnące korytarze, kurzy wszędzie na palec. To jeszcze głupstwo wobec reszty. Pomieszczenie na 25 osób urządzone w jednej jedynej salce o wymiarze 9 na 9 metrów[46].

Na brudnej podłodze zwodnicy ujrzeli 25 dziurawych materaców, z których szły kłęby kurzu, w dodatku bez prześcieradeł i poduszek. „Wobec protestów polskiej organizacji, Czesi przydzielili stosowny

hotel”. To nie koniec pastwienia się, opisano także warunki w podłej stołówce:

Wyszukano jakąś trzeciorzędną jadłodajnię, potężnie brudną, gdzie n.p. widelec i nóż musiałem trzymać przez serwetę, tak zatłuszczone były rękojeści oraz przydzielono jedzenia tyle, co chyba dla kolibrów, nie dorosłych mężczyzn, obdarzonych normalnym apetytem[47].

Na bankiet kończący zawody Polacy – mimo wystosowanego zaproszenia – nie udali się. Tego, jak odnotowano, wymagała „godność narodowa”. To może dziś wywołać śmiech. Ale czy współczesny świat sportowy, organizatorzy, kluby stają na wysokości zadania i zapewniają w pełni godziwe warunki dla sportowców? Przypomina mi się rozmowa z Anitą Włodarczyk, która pokazała światu miejsce swoich przygotowań do olimpijskich zmagania w Rio. Na szczęście warunki te nie odbiły się na jej wynikach – wróciła ze złotym medalem w rzucie młotem i rekordem w kieszeni.

Wacek zajmuje kolejno pierwsze (skok wzwyż), drugie (trójskok) i trzecie miejsce (skok w dal).

15 października 1922 roku Pogoń sięga po tytuł mistrza Polski. Pierwszy z czterech, które nosić będzie jeszcze w latach 1923, 1925 i 1926[48]. Wacław Kuchar w 1922 roku strzelił dla swojego klubu w sumie 86 goli[49].

## CZŁOWIEK ORKIESTRA

Kuchar zbiera następne trofea. Już wiemy, że kolejne lata to tytuły mistrzów Polski w piłce nożnej dla Pogoni. Wacek nie ustaje w poszukiwaniach kolejnych zwycięstw i w listopadzie 1923 roku przystępuje do walki w pierwszych zawodach w dziesięcioboju olimpijskim. Mistrzostwa Polski odbyły się w Warszawie w dniach 10–11 listopada, w piątą rocznicę niepodległości. Kuchar wygrał i tę konkurencję, gromadząc najwięcej punktów. Najlepiej zaprezentował się w biegu na 100 i 400 i 1500 metrów, skoku w dal i skoku wzwyż. W skoku o tyczce był drugi (przeskoczył go Stefan Adamczak[50], ustanawiając rekord Polski na wysokość 3,26 metra).

Skok o tyczce należy do najefekowniejszych ćwiczeń lekko-atletycznych. U nas mało stosowany, zagranicą uprawiany jest na równi z innymi ćwiczeniami lekko-atletycznymi, a wyniki w tym dziale dochodzą do 4,12 mtr.[51]

Faktycznie wynik 3,26 jak na ówczesne realia był niezbyt spektakularny. Rezultat 4,21 metra uzyskał we wrześniu 1922 roku Charles Hoff, najlepszy tyczkarz tamtych lat. Dodajmy, że sam skok wyglądał inaczej niż dziś – zawodnik leciał nad poprzeczką przodem do niej – i posługiwano się innym sprzętem. Pierwsze tyczki wykonane były z takich materiałów, jak cedr, hikor czy jesion. A pierwotne skoki oddawano nie w wzwyż, lecz w dal![52]

[...] ważne znaczenie ma tyczka lekka bambusowa, elastyczna, u góry owinięta lepką izolacją, celem pewniejszego uchwycenia rękami – u dołu zabezpieczona przed pęknięciem 2 lub trzema nawojami lnianego średniej grubości sznurka; okucie powinno być takie, by uniemożliwiało głębokie wbijanie się tyczki przy skoku[53].

Dziś używa się tyczki elastycznej, pozwalającej osiągać nieporównywalnie lepsze wyniki. Najnowszy rekord Polski wynosi 6 metrów i został ustanowiony przez Piotra Lisaka w Poczdamie 4 lutego 2017 roku. To zresztą aktualny halowy mistrz Europy z Belgradu i tegoroczny wicemistrz z Londynu. Ten wynik daleki jest od rekordu Renauda Lavilleniego (6,16 metra, wynik osiągnięty na hali) czy wyniku z otwartego stadionu, gdzie wciąż niepokonanym rekordzistą jest Siergiej Bubka, który skoczył na wysokość 6,14 metra w 1994 roku (!). Tymczasem w latach dwudziestych Polska mocno odstawała od wyników światowych, a i zaczęto przebąkiwać o konieczności skupienia się na jednej dyscyplinie sportu i jej profesjonalizacji, co rzekomo miało przynieść najlepsze wyniki treningowe.

Mistrz Polski w dziesięcioboju, P. Waclaw Kuchar [...] ma wspaniałe warunki, by w polskiej lekkoatletyce zająć pierwszorzędne miejsce. Tymczasem nadzwyczajnego tego sportowca zjada piłka nożna. Do dziesięcioboju w Warszawie stanął bez najmniejszego treningu. Przyczyną słabych wyników W. Kuchara jest [...] brak treningu, brak konsekwencji pracy[54].

Wygrał, ale chciano od niego wciąż więcej, dalej, szybciej. Prof. Rudolf Wacek zarzucał mu, że jego brat Władysław przed wojną osiągał lepsze rezultaty (na przykład na 100 metrów uzyskał 11,2 sekundy, podczas gdy bieg Wacka w tych zawodach to wynik zaledwie 12,2 sekundy – a przecież i tak zwycięski). Dywagował, że może gdyby Wacek większą wagę przyłożył do lekkoatletyki, w której był przecież świetny... No ale Waclawa zajmuje przede wszystkim piłka, miłość największa, jego „kobieta”.

Występ Polaków na olimpiadzie w 1924 roku w Paryżu (pierwsza letnia olimpiada z udziałem Polaków) mocno wszystkich rozczarował. Kuchar nie startował w żadnej konkurencji lekkoatletycznej, gdyż skupiał się tylko i wyłącznie na przygotowaniach do startu w piłce nożnej. Mimo braku sukcesu Polacy zachowali twarz, gdyż z supermocną drużyną Węgier do tamtej pory nie zwyciężyliśmy nigdy. Sztuki tej dokonaliśmy dopiero w przededniu wojny, 27 sierpnia 1939 roku, wygrywając 4:2 na stadionie Legii (mecz z trybun obserwował między innymi Janusz Kusociński, a trzy gole władował do siatki Ernest Wilimowski). Węgrzy, obok Chorwacji, Urugwaju, Szwajcarii i Włoch, należeli do najsilniejszych reprezentacji piłki światowej. Przegraliśmy, ale drużyna została zauważona przez zachodnie media. Francuski „L'Auto”[55] odnotował występ Kuchara:

jest to jedyny gracz w napadzie [...], który ma start do piłki i przebojowość. [...] Polacy grają w miejscu zamiast rwać się wciąż do przodu. Nieraz nawet cofają się z piłką[56].

Ta trafna uwaga często będzie towarzyszyć naszej drużynie narodowej w kolejnych jej występach w latach dużo późniejszych.

Jako że trafiliśmy na Węgrów i przegraliśmy z nimi sromotnie, bo aż 5:0, nie dostaliśmy szansy na dalszą grę. I na tym jednym występie piłkarska reprezentacja Polski zakończyła swój udział.

Zrobiliśmy na tych, co nas widzieli jak najlepsze wrażenie. Drużynie naszej należy się za to pełne uznanie i byłoby najwyższą niesprawiedliwością mieć do niej (jako całość) z powodu klęski jakiegokolwiek pretensje[57].

Do przerwy nikt nie zapowiadał jeszcze takiego lania, zawodnicy natomiast zaczęli wyraźnie słabnąć.

Jeden tylko Kuchar robił wrażenie „niespuchniętego”. Biegał po całym boisku i był jednocześnie całym atakiem, był pomocnikiem i obrońcą. Człowiek ten ma siły niespożyte, niebywałą wytrzymałość i pracowitość, które wielokrotnie wynagradzają mu pewne braki w technice[58].

Zaraz po tym wiekopomnym wydarzeniu Kuchar startuje w lekkoatletycznych mistrzostwach Polski w wieloboju. Znowu zostaje mistrzem, co jednak warszawski „Stadjon” kwituje jako „kompromitację”. Oczywiście nie chodzi tu o postawę i postać samego Kuchara, ale o fakt, że tak mało zawodników stanęło w szranki o koronę mistrza i że mistrzem tym został sportowiec zajmujący się lekkoatletyką z bocznego toru!

Wacek Kuchar jest jedyny w swym rodzaju. Człowiek o nurmijskiej wprost wytrzymałości [chodzi o mistrza olimpijskiego z Paryża, Paavo Nurmię – przyp. aut.], o żelaznej woli zwycięstwa i ambicji, zasłużył na to, by raz jeszcze, wprawdzie dość przypadkowo, zostać mistrzem Rzeczypospolitej [prawdopodobnie chodziło o wycofanie się Antoniego Cejzika[59] – przyp. aut.]. Szkoda, że nie ma na Olimpiadzie wieloboju z lekką atletyką, piłką nożną i łyżwiarstwem[60].

Tym bardziej zaskakujące, że w roku olimpijskim Kuchar nie wziął udziału w drugiej (chronologicznie rozgrywanej jako pierwsza), zimowej olimpiadzie w Chamonix[61]. Zamiast niego wystawiono łyżwiarza Leona Jucewicza[62], ówczesnego wicemistrza w łyżwiarstwie szybkim...

Wystąpił za to w łyżwiarstwie szybkim w mistrzostwach Europy w Sankt Moritz w Szwajcarii (7–8 lutego 1925 roku). W trzech krótszych dystansach dojeżdżał na różnych pozycjach, ukończył mistrzostwa jako siódmy zawodnik Europy[63]. Za chwilę też zadebiutuje w kolejnej dziedzinie sportu (!) – hokeju. Tymczasem w marcu poślubił Irenę Georgeon. Z tego związku urodziła mu się jedyna córka – Maria Elwira (została pilotem sportowym).

W 1926 roku Wacław Kuchar zostaje wybrany najlepszym sportowcem Polski – jest to pierwsza edycja elitarniej i słynnej do dziś nagrody ufundowanej przez redakcję „Przeglądu Sportowego”. Kuchar był jej pierwszym laureatem z wynikiem... 94 procent oddanych głosów. „Urodziłem się w 1897 roku w Łańcucie” – tymi słowami

rozpoczął okolicznościowy wywiad dla redaktora „Przeglądu Sportowego”. To, że go w ogóle udzielił, graniczyło niemal z cudem, bo dla mediów nie wypowiadał się prawie wcale.

Od pierwszej chwili otoczony byłem atmosferą sportową. [...] Pierwszą mą kochanką sportową była piłka nożna, stosunki z nią nawiązałem już w 8-mym roku życia i mimo kuszących propozycji i obiecujących widoków z innych stron, pozostałem jej wierny aż po dzień dzisiejszy. [...] Grając stale w jednym i tym samym klubie, przeżywałem z nim złe i dobre chwile[64].

Do lekkoatletyki stosunek miał zawsze jeden i ten sam. Choć odnosił sukcesy, a niejeden komentator zastanawiał się, czy może nie lepiej by było dla polskiego sportu, aby porzucił piłkę nożną na rzecz lekkoatletyki, Kuchar twierdził:

Lekkoatletykę pielęgnowałem o tyle, o ile potrzebna mi była jako zaprawa do piłki nożnej. [...] Rokowano mi w lekkiej atletyce bardzo dobre nadzieje. Nie chciałem puścić piłki, a pogodzić się te dwie rzeczy nie dały[65].

Śmiało można jednak powiedzieć, że owszem, dały. Do wymienionych sportów letnich (a nie zapominajmy też o panczenach, hokeju i łyżwiarstwie figurowym, w którym był mistrzem w 1922 roku) skromnie dorzucił jeszcze zainteresowanie tenisem („jak odejdę na emeryturę, to zajmę się nim na poważniej”) i pływaniem („pływam wszystkimi stylami nieźle, jednak do zawodów nie staję, gdyż brak mi czasu na racjonalny trening”). Z boksem także „miał przyjemność się zaprzyjaźnić”[66]. Zimą rozgrzewał się przy ping-pongu, uprawiał rekreacyjnie narciarstwo. I jeszcze łucznictwo.

1926 rok to zmierzch pewnej epoki. Przede wszystkim Pogoń Lwów przestaje odnosić tak doniosłe sukcesy, obecni zawodnicy zaczęli się starzeć, młodych brakowało, stawiano na jedną specjalizację i tej się trzymano. W 1927 roku zmieniły się dodatkowo przepisy rozgrywania mistrzostw Polski – wprowadzono rozgrywki ligowe (porzucano okręgi). Utworzono Polską Ligę Piłki Nożnej. Pierwszym mistrzem, według nowo wprowadzonych reguł, została krakowska Wisła.

ZE LWOWA DO WARSZAWY



W nowe czasy wszedł Waław z brązowym medalem Pogoni w mistrzostwach Polski w hokeja (znalazł się w kadrze narodowej), a chwilę później – w 1929 roku – zdobył wicemistrzostwo Europy w Budapeszcie (w reprezentacji kraju znalazł się także inny wybitny hokeista, Lucjan Kulej[67]). Na dwie minuty przed końcem polska reprezentacja wygrywała, co dawało je złoto, ale Czesi doprowadzili do remisu, by ostatecznie wynik przesądzić na własną korzyść.

Od 1929 roku Kuchar stał na czele piłkarskiej Pogoni w zupełnie nowej roli – był trenerem swojej ukochanej drużyny. Miał 32 lata, wciąż nie zamierzał odchodzić na sportową emeryturę, z powodzeniem biegał po boisku, ucząc młodych zawodników dryblowania i sztuczek z piłką. Brał udział w zawodach hokejowych. Jeszcze w 1929 roku dostał powołanie do reprezentacji piłkarskiej, ale już... jako rezerwowi. Czas jego największych osiągnięć jako zawodnika nieubłaganie dobiegał końca. Za chwilę więc zacznie nowy etap – jako wspaiały i niezapomniany trener, zwany „Profesorem”.

Zawsze wierzył w znaki, amulety, bywał przesądny. Po drodze na mecz bywało, że liczył mijanych na ulicy żołnierzy, białe konie, zwracał uwagę na przynoszących szczęście kominiarzy, omijał szerokim łukiem... zakonnice. A przed ważnymi zawodami nigdy się nie golił.

W 1932 roku odbyła się olimpiada zimowa w Lake Placid, niespecjalnie dla Polaków szczęśliwa. Pojechali na nią między innymi Broniek Czech[68] i Stanisław Marusarz oraz nasza ekipa hokejowa, która zajęła czwarte miejsce. Niestety, pośród jedynie czterech drużyn startujących. Waław Kuchar już w roku 1930, kiedy to w Chamoix polscy hokeiści wzięli udział w mistrzostwach Europy, wystąpił zaledwie w roli technicznego kierownika drużyny. Został zgłoszony jako sędzia na olimpiadzie w 1940 roku: „Do turnieju hokejowego w zimowych igrzyskach olimpijskich w St. Moritz w r. 1940 zgłoszony został przez PZHL tylko jeden sędzia – Waław Kuchar ze Lwowa”[69].

Oczywiście igrzyska w 1940 roku nie odbyły się.

1939 rok... Ostatni przedwojenny „Przegląd Sportowy” z sierpnia 1939 roku wciąż nie ochłonął ze zwycięstwa Polski nad Węgrami. Był to, jak się okazało, ostatni mecz tej reprezentacji. Co ciekawe, historia polskiej piłki nożnej zamknęła się w ten sposób pewną klamrą – pierwszy w historii mecz polska reprezentacja piłkarska grała przeciw także z Madziarami. Cieszono się na letnią olimpiadę w Helsinkach w 1940 roku, kiedy to zawodnicy mieli stać się świadkami białych

nocy. Tymczasem o zbliżającej się wojnie świadczyć mogły w sporcie odwołane mecze tenisowe z Irlandią oraz Węgrami.

Wacław Kuchar był porucznikiem rezerwy 5 Pułku Artylerii Lekkiej[70]. W 1939 roku uczestniczył w kampanii wrześniowej. Stał na czele dywizjonu, brał udział w walkach pod Warszawą. 16 września dotarł do Garwolina, skąd po klęsce wrześniowej wrócił do Lwowa. Tam spędził czas wojny, gdzie trenował Dynamo Lwów[71]. Po zajęciu Lwowa przez Niemcy w 1941 roku udało mu się przeżyć, mimo że został przez wroga rozpoznany jako wybitny polski sportowiec.

Po wojnie, jako repatriant, wylądował w Bytomiu. Całą swoją piłkarską miłość przelał na tamtejszy klub (Polonię Bytom), którego był trenerem. Był też selekcjonerem reprezentacji Polski w hokeja. W 1947 roku został zaproszony do odradzającej się i podnoszącej z gruzów stolicy, by poprowadzić – znów jako trener – piłkarską reprezentację Polski. Będzie też pełnił rolę szkoleniowca w obu stołecznych klubach – w Legii (1949–1953) oraz Polonii (1954–1957) – zwalczając animozję między tymi do dziś zantagonizowanymi stołecznymi zespołami. Pogoń Lwów już w pierwszych dniach wojny przestaje istnieć. W 1945 roku wielu jej członków (wraz z samym Wacławem) przeniosło się fizycznie i mentalnie do Polonii Bytom. Pogoń Lwów zaś reaktywowano – przy aktywnym współudziale konsulatu RP – dopiero w 2009 roku.

Wacław Kuchar do końca życia chodził na mecze, szczególnie często widywano go na Łazienkowskiej. Niedaleko stadionu Legii zresztą mieszkał – w bursie, w bardzo skromnym mieszkanku. Pracował przy PZPN jako referent ds. reprezentacji (1949–1951). Brał udział w przygotowywaniu polskiej kadry do startu olimpijskiego w 1952 roku. Doczekał się wnuków: Wacława i Tomasza. Jego cioteczny wnuk (po linii Władysława Kuchara) – Tomasz Kuchar – jest rajdowym mistrzem Polski, kontynuuje sportowe sukcesy swoich znamienitych przodków. Wacław Kuchar zmarł w Warszawie 13 lutego 1981 roku, w wieku 84 lat.

Zawsze wyrażałem przekonanie, że istotą gry w piłkę nożną jest zdobywanie bramek i w tym właśnie się specjalizowałem. Atak na bramkę przeciwnika i strzał odpowiadały mojej psychice – mówił po latach[72].

W swojej karierze rozegrał 1052 mecze, strzelił 1065 bramek[73]. Z Pogonią zdobył cztery mistrzowskie tytuły. Pięciokrotny mistrz

Polski w jeździe szybkiej na łyżwach. Srebrny medalista mistrzostw Europy w hokeju. Nie spotkamy już dziś tak wszechstronnego sportowca, reprezentanta naszego kraju w wielu różnych dziedzinach, medalisty, rekordzisty, trenera, a przede wszystkim – wielkiego miłośnika sportu.



*1. Wacław Kuchar jako piłkarz klubu Pogoń Lwów, lata trzydzieste*  
fot. Cz. Datka/Narodowe Archiwum Cyfrowe



*2. Reprezentacja Polski w piłce nożnej na Letnich Igrzyskach Olimpijskich; stoją od prawej: bramkarz Mieczysław Wiśniewski (Wisła Kraków), Mieczysław Batsch (Pogoń Lwów), Wacław Kuchar (Pogoń Lwów), Leon Sperling (Cracovia), Wawrzyniec Cyl (ŁKS), Józef Kałuża (Cracovia), Henryk Reyman (Wisła Kraków), Stefan Fryc (Cracovia);*

*siedzą od prawej: Stanisław Cikowski (Cracovia), Zdzisław Styczeń (Wisła Kraków), Marian Spoida (Warta Poznań), Paryż, 1924 rok*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*3. Mecz piłki nożnej Polska–Szwecja w Katowicach; kapitanowie drużyn Wacław Kuchar (drugi od lewej) i Thorsten Svensson (drugi od prawej), sędzia główny Peter Bauwens (w środku) i sędziowie liniowi, 1 lipca 1928 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*4. Kuchar (czwarty od prawej) w reprezentacji hokejowej Lwowa w Krakowie, styczeń 1932 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*5. Kuchar jako sędzia w czasie losowania boiska przed meczem piłki nożnej Wisła Kraków–Cracovia, Kraków, 1 maja 1938 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*6. Pożegnanie Kuchara „Profesora” przez seniorów Polonii Warszawa i LKS Pogoń Lwów, lata siedemdziesiąte*  
fot. E. Warmiński/East News

# Rozdział II

## DAMA ZE ZŁOTA

### Halina Konopacka

Na kilka dobrych lat przed Igrzyskami w Amsterdamie (1928 r.), znali ją wszyscy narciarze z całego Podhala. Wysoka, gibka sylwetka zjawiała się tak często w górach, przybrana w czerwony kostium narciarski. „Czerwona kobieta”. Cały warszawski A.Z.S., którego była członkinią, zwał ją dla skrótów „Czerbietą”. Ta „Czerbieta” – to Halina Konopacka, którą „odkryto” właśnie na nartach. Począwszy od 1924 roku, Konopacka zamienia narty na lekką atletykę i osiąga kolejno doskonałe wyniki. Wspaniałe warunki fizyczne pozwalają jej zdobywać szereg tytułów mistrzowskich kraju – zwłaszcza w rzutach. I tu kolejne lata przynoszą rezultaty zdumiewająco szybko idące w górę. Konopacka

zawzięcie trenuje, jest wszechstronna: biega, skacze, a nade wszystko ciągle rzuca – to kulą, to oszczepem, ale najdalej dyskiem. Metrów wciąż przybywa: 28 – 31 – 33 – 37 – 39... wreszcie w 1928 roku przychodzi Olimpiada w Amsterdamie[1].

W 1919 roku dziewiętnastoletnia Konopacka (ur. w 1900 roku) trafiła do AZS Uniwersytetu Warszawskiego i stała się czołową zawodniczką sekcji lekkoatletycznej. Grała w tenisa, piłkę ręczną, świetnie jeździła na nartach, z umiłowaniem uprawiała „automobilizm”. Dwadzieścia sześć razy dzierżyła tytuł mistrzyni Polski w różnych dyscyplinach. Ustanowiła rekordy w skoku w dal i wzwyż, w rzucie oszczepem, pchnięciu kulą i najważniejszy – olimpijski rekord w Amsterdamie w rzucie dyskiem na odległość 39,62 metra. Na starty przywdziewała czerwony beret (znak rozpoznawczy i talizman). Dwukrotnie triumfowała w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” (w 1927 i 1928 roku) oraz była laureatką Państwowej Nagrody Sportowej. Mierzyła ponad metr osiemdziesiąt, miała twarz anioła i łączyła zamiłowanie do sportu z wrażliwością artystyczną. Kim była pierwsza dama polskiego sportu, Halina Konopacka?

## KORONNA DYSCYPLINA

Była zawodniczką wszechstronną, człowiekiem renesansu. Za namową i przy wsparciu redaktora naczelnego „Przeglądu Sportowego” Kazimierza Wierzyńskiego (który zresztą na amsterdamskiej olimpiadzie zdobył złoto w Olimpijskim Konkursie Sztuki i Literatury, jaki wówczas organizowano – za tomik wierszy *Laur Olimpijski*) publikowała wiersze na łamach „Wiadomości Literackich” oraz „Skamandra”. W 1929 roku, już po igrzyskach w Amsterdamie, wydała tomik poetycki *Któregoś dnia*, a jej twórczość nie traktuje – jak wielu mogłoby się spodziewać – o sporcie, ale stanowi liryczną wypowiedź o miłości, radości, wspomnianiu dzieciństwa, o przemijaniu, o życiu i o śmierci. Jednym z przykładów takiej lirycznej zadumy jest wiersz *Mężczyzna*:

Wszystko było daremne. Nic mi nie zostało  
Z tyłu ramion opłotu, ust podanych ustom,  
Nic prócz głodu, co szarpie nasycone ciało,  
Milczenia, co trwa nocą gwiaździstą i pustą[2].



Dzięki opublikowaniu poezji Konopacka pokazała nową twarz, inną stronę swojej natury – wrażliwą, z wyobraźnią, która kreśliła granice (albo poza te granice ją wynosiła). Tak jak jej sukcesy w kole, w którym rzucała dyskiem. Po rekord.

To nie ja kocham zmierzchem, nie ja płaczę rano,  
Ktoś inny goni szczęście i ucieka trosce –  
To nie moje są usta, które całowano,  
I serce w moich piersiach – i ono jest obce![3]

W 1926 roku odnosi swój pierwszy międzynarodowy sukces na tzw. II Igrzyskach Kobięcych w Göteborgu. Zdobywa złoto, rzucając dyskiem najdalej – 37,71 metra. „Stadjon” podkreśla, jak duży jest to triumf Polki, która w kraju, gdzie sport nie stoi jeszcze na wysokim poziomie – a sport kobiecy w ogóle – odnosi tak wspaniałe zwycięstwo[4].

„Czerbieta” – jak relacjonował podpisany nazwiskiem Misiński na łamach „Stadjonu” – przejeżdżając przez centrum Berlina (gdzie ekipa zatrzymała się po drodze do Göteborga), wyskakuje z tramwaju na widok strasznego pożaru w centrum niemieckiej stolicy.

Czerbieta jak bez zmysłów pędzi naprzód – my za nią. – Na nic zdały się nasze wołania wolniej – wolniej. Ostatecznie doganiamy Czerbietę tuż pod płonącą 5-cio piętrową kamienicą, gdzie w gęstym tłumie nie mogła biec dalej[5].

Nie przeszkodziło to Halinie Konopackiej zdobyć pierwszego miejsca w rzucie dyskiem i stać się najjaśniejszą gwiazdą nie tylko polskiej grupy, lecz także kobiecych igrzysk.

Sukces sportu polskiego w Szwecji dzięki Konopackiej był niebywały. Wszystkie gazety [...] uważały ją za największy fenom i faworytkę publiczności. Znaleźli się wielbiciele, którzy przysyłali jej kwiaty na boisko, zaś auto nasze z Konopacką obiegał rozentuzjasmowany tłum wznosząc okrzyki na jej cześć, a nawet przy tej okazji dla Piłsudskiego, „Heja Konopacka... Heja Piłsudski”[6].

A Halina – bohaterka zbiorowej wyobraźni – przywołuje na łamach „Przeglądu Sportowego” swoją historię. Skąd w ogóle sport w jej życiu? Otóż przede wszystkim brat – ten grał w warszawskiej Polonii. Starszemu o dwa lata

Tadkowi podawała piłki, przy nim przyswajała sobie nieznane pojęcia futbolowe.

[...] słowa „back”, „goal”, „match” – robiły na mnie wrażenie czegoś tak poważnego i niedostępnego, jak co najmniej algebra. [...] w głębi duszy twierdziłam [...], że „algebra to nie jest babska rzecz” – więc powoli podobnego szacunku nabrałam do sportu, uprawianego przez ludzi tak poważnych, jak brat i jego koledzy[7].

„Już od najmłodszych lat zdradza zamiłowanie do wszelkiego rodzaju gier i sportów” – przytaczał z kolei tę historię „Kurjer Warszawski”. „Ten wpływ brata i jego umiłowanie sportu pozostawia niezatarte ślady w duszy młodego dziewczęcia”[8].

Początkowo przez brata niedoceniana („nie masz o tem pojęcia”[9] – przekonywał) Konopacka zapisuje się do warszawskiego AZS z zamiarem doskonalenia się w pływaniu. Potem przyjdą narty, aż w końcu odnajdzie swoją koronną dyscyplinę. Tę odkryła przypadkowo w 1924 roku, kiedy namówiona przez trenerów wzięła udział w zawodach rzutu dyskiem.

Dysk waży jeszcze wtenczas 1 1/2 klgr i nowa mistrzyni polska rzuca nim na odległość 23 mtr. 45 cm. W następnym roku przepisy zmniejszyły wagę dysku do 1 klgr., Konopacka rzuca i ustanawia po raz pierwszy rekord światowy – 33 mtr. 40 cm[10].

I tak zaczyna się kariera pierwszej damy polskiego sportu, która nie dość, że zachwyciła wszystkich występem olimpijskim, podczas którego sięgnęła po najwyższy laur, oczarowała także urodą. Postawna, szczupła, zachwycała wdziękiem. W Amsterdamie uzyskała także nieoficjalny tytuł „Miss Olimpiady”.

## AMSTERDAMSKI LAUR

„W Amsterdamie zapanowała czterdziestostopniowa już gorączka”[11] – donosił „Przegląd Sportowy” w 1928 roku. „Olimpiada narzuciła życiu nowe tętno, inną szybkość myśli i odczuwania”[12].

Hotele na trzy tygodnie wyprzedane od piwnic do poddaszy. [...] Ceny bajońskie, zwłaszcza w porównaniu z polskimi. Za noc przespaną

w niewygodnym łóżku możnaby się u nas utrzymać przez cały tydzień[13].

Letnie Igrzyska IX Olimpiady ery nowożytnej w kraju tulipanów w 1928 roku były wyjątkowe już choćby z tego powodu, że po raz pierwszy wzięły w nich udział kobiety, a *spiritus movens* naszej ekipy została Halina Konopacka, będąca oczywiście faworytką w dysku. W swojej karierze pięć razy poprawiała własny rekord świata i zeszła ze sportowej sceny niepokonana.

Zabawne wrażenie robią Belgowie w różnych trykotach i białych spodenkach. Jest ich tylko 10. Grupa bułgarska składa się z 6-ciu rosłych oficerów w mundurach, które przypominają nam Rosjan. [...] Na biało ubrani Chińczycy w miękkich czapeczkach wnoszą pierwsi okrzyk przed trybunami. Widownia nagradza ich niemilknącymi brawami. Niemcy obok Holandii i St. Zjednoczonych tworzą zespół najsilniejszy. Ubrani są w krótkie, kuse, czarne fraczki. Wyglądają pretensjonalnie. [Kto by się dziś zdobył na taką relację! – przyp. aut.] Egipt maszeruje w egzotycznych czerwonych fezach. Grupę Anglii otwiera dwu Szkotów w narodowych sukienkach. [...] Łotwa – to kilka grubasów. Litwinów prowadzi

młodziutka dziewczyna. Krzyczą oni coś bez ładu i składu. [...] Nadchodzi Polska. Wśród nas, siedzących na trybunach – deszcz wzruszenia. [...] czy dreszcz wzruszenia? Sztandar państwowy dzierży Cieniewski z grupy zapaśników. Wygląda świetnie: olbrzym, przystojny, doskonała budowa, krok spokojny i miarowy. Nasi ubrani są w granatowe marynarki, białe spodnie i pantofle, słomkowe windhorsy z czerwonymi wstążkami. Wygląd, postawa doskonała, ogólne wrażenie miłe[14].

W polskiej ekipie panują wspaniałe nastroje. Wszyscy po cichu liczą na złoto Haliny. Ekspedycja nakazuje zakup dużych ilości miodu, który ma pomóc zawodnikom w uzyskaniu wspaniałych wyników.

„Oczko w głowie” ekspedycji, Konopacka, zachowuje się raczej spokojnie. [...] jest znana wszystkim i głośno typowana na pierwsze miejsce. Jej pojawienie się na bieżni wzbudziło pogwar zainteresowania, który zamienił się w gorącą owację po kilku rzutach. Panna Halina miała ponad 40 mtr. Żeby tak było na Olimpiadzie![15]

– z nadzieją odnotowywał „Przegląd Sportowy”. Nie było też tak, że wygrana Konopackiej miała być tylko formalnością. Co prawda dwa lata wcześniej w Szwecji na kobiecej olimpiadzie była ona bezkonkurencyjna, ale teraz... To prawdziwe współzawodnictwo, na najprawdziwszej olimpiadzie! Trochę jednak „dmuchano na zimne”. Na najwyższym stopniu podium widziano bowiem Amerykankę Lillian Copeland[16]. Na łamach „Stadjonu” realnie wazono szanse olimpijskie, o rzucie dyskiem pisano z ostrożnością:

Lekka atletyka odegra na pewno tym razem rolę zaszczytną, przedewszystkiem dzięki zawodom kobiecym. Konopacka pomimo alarmujących wieści o poprawie wyników w dysku zagranicą może utrzymać swój prymat[17].

Konopacka dowiodła swojej supremacji w rzucie dyskiem. Po prostu znokautowała przeciwniczki – rzuciła na odległość 39,62 metra, pozostawiając drugą w tym turnieju dyskobolkę Copeland dwa metry za sobą. To był wynik historyczny i warty odnotowania – pierwsze olimpijskie złoto dla Polski stało się udziałem kobiety. Pięknej lekkoatletki, która ponoć w dniu

startów była tak zdenerwowana, że talerz z jajecznicą rzuciła z nerwów o podłogę. „Stadjon” opisywał podejścia do rzutów – tak „chwiejnej dyscypliny”, jaką jest rzut dyskiem.

Start Panny Haliny był świetny. Pierwszy rzut wykonany trochę nerwowo, lecz niezwykle szybko zapewnił jej zdecydowane powodzenie. Chorągiewka o barwach białej i czerwonej znalazła się blisko 39 mtr. [...] Konopacka prowadzi zdecydowanie jak przystało na rekordzistkę świata. Nie udają jej się dalsze dwa rzuty, ale widać wyraźnie, że żadna z jej konkurentek nie osiągnie jej granicy. [...] W drugim rzucie wiruje nasza mistrzyni naokoło swej osi, wypuszcza dysk całą odśrodkową siłą swego ciała. Nisko, jak zwykle, ale ostro pruje on powietrze i posłuszny wysiłkowi spada tuż około 40-stki. Rekord światowy pobity[18].

A tak zapamiętała swój fenomenalny występ sama Konopacka:

„Mój” dzień zapowiadał się nieszczególnie. Od rana padał deszcz. Oślizgły dysk, miękkie koło, zimno, wiatr, to nie dobre prognozyki. Jedyne moje atuty – to dobre poczucie, gaz i szalona chęć zwycięstwa –



chęć zwycięstwa tak wielka, że prawie pewność. [...] Z szatni przez długi tunel wychodzę na boisko. Dopiero teraz widzę przytłaczającą potęgę stadionu. Wokoło szary mur ludzi [...]. Z trudem odnajduję biało-czerwone chorągiewki na trybunach, wśród rozkołysanego tłumu widzów, wyglądającego jak masa brzęczących natrętnie os [...]. Z trudem tylko słyszę okrzyki Polska!, Halina! i czuję, że ci ludzie proszą i dopominają się o „hymn i sztandar”. [...] Nie wiem, czy która z konkurentek przystępowała do rzutów z tak mocnym pragnieniem zwycięstwa. Wreszcie rzucam[19].

Tym rzutem wywołuje szal na trybunach, radość wprost nie do opisanania. Polska w ogólnym podsumowaniu występu amsterdamskiego zajmuje 12. miejsce na 40 startujących państw. W zagranicznych doniesieniach prasowych dziennikarze innych krajów mają problem z nazwiskiem polskiej olimpijki, którą często podpisują jako „Konopaka”. Owa „Konopaka” wyjeżdża potem na zasłużony odpoczynek do Milanówka, aby wystąpić w turnieju tenisowym.

Debiut lekkoatletek na olimpiadzie w Amsterdamie[20] nie zakończył organizowania tzw. Światowych Igrzysk Kobiet. Może to i dobrze, Konopacka w 1930 roku w Pradze

(gdzie rozegrano III olimpiadę dla pań) znów triumfowała, była to jednak już impreza przede wszystkim innej wielkiej polskiej sportsmenki – Stanisławy Walasiewiczówny, która wygrała we wszystkich rozegranych sprintach (60, 100 i 200 metrów). Tymczasem echa polskiego występu wciąż były obecne w prasie.

## ŚMIETANKA TOWARZYSKA

„Dziś po zwycięstwie olimpijskim imię jej jest na ustach wszystkich, prawdopodobnie tych, którzy ani dotychczas, ani na przyszłość nie będą się interesowali sportem”[21] – celnie zauważał „Kurjer Warszawski”.

Po powrocie do kraju została przyjęta przez Józefa Piłsudskiego w Belwederze. „Ach, to pani gdzieś tam w Amsterdamie zdobyła dla nas złoty medal! To dobrze! To służy Polsce!”[22] – z rozczeniem przywoływała słowa Marszałka sama Konopacka. Złota gratulował jej także prezydent Ignacy Mościcki, a Stanisław Witkiewicz ujął jej podobiznę w ramy portretu.

Wysoka i smukła, o regularnych rysach twarzy i pięknych oczach, mistrzyni dysku jest wdzięcznym

typem kobiety i w niczym nie przypomina tego przesadnego wyobrażenia, jakie zwykle mamy o fenomenach sportowych[23].

Podziw i ulubienie dla lekkoatletki były niebywałe, choć dziś już by nas tak nie dziwiły. Podkreślano jej elegancję, piękno, sposób noszenia się. Była warszawianką z krwi i kości, wychowały ją warszawski stadion i matka Maria. Ojciec Jakub już nie żył, kiedy sięgnęła po najwyższe trofeum. W tym najpiękniejszym roku swojego życia, 1928, u jej boku pojawia się nowy mężczyzna, pułkownik Ignacy Matuszewski. To dla niego wspomniała sportsmenka porzuca karierę sportową na AZS-ie, kojarzonym jednak z endecją i ideologią nacjonalistyczną. Matuszewski jest najbliższym, najbardziej zaufanym człowiekiem Piłsudskiego. Nie wypada. Jeszcze inną hipotezę dorzuca dr Robert Gawkowski – ostatnia kwerenda archiwów Uniwersytetu Warszawskiego nie wykazała obecności Konopackiej na uczelni[24]. Jednym słowem – nigdy nie studiowała. Czy to możliwe? A jednak. Tym samym jej obecność w bądź co bądź uczelnianym studenckim związku sportowym być może nie znajdowała usprawiedliwienia. Z innej jednak strony – mowa

o pierwszej złotej olimpijce! Konopacka – właściwie już Matuszewska – nie porzuca jednak sportu całkowicie. Oddaje się innej pasji, tenisowi, występuje w grze mieszanej z Janem Małcużyńskim i Czesławem Spychałą. Oficjalnie karierę kończy w 1931 roku, tuż po spotkaniu lekkoatletycznym z Włochami. Miała powiedzieć, że „oddaje dysk w dobre ręce”[25] – wskazując tu jednoznacznie na inną wyśmienitą dyskobolkę, Jadwigę Wajsównę[26].

## POZA SPORTEM

W latach trzydziestych, już po zakończeniu czynnej kariery sportowej, została redaktor naczelną czasopisma sportowego „Start” i działała na rzecz sportu kobiecego.

Pragniemy, aby nasze pismo było wskaźnikiem zdrowia i higieny kobiecej, doradcą mody i estetyki, przyjacielem wypełniającym wolne chwile, wreszcie życzliwym pośrednikiem ułatwiającym każdej kobiecie korzystanie ze sportu[27].

Każdy numer otwierały porady dotyczące codziennych dziesięciominutowych ćwiczeń:

Każda „szanująca” się kobieta musi dbać o swój wygląd zewnętrzny. Chcąc zachować młodość, smukłą sylwetkę, estetyczne i żywe ruchy, musi odbyć codziennie swoją „10-ciominutówkę”[28].

Wiele pisano na temat edukacji sportowej i konieczności utrzymywania higieny fizycznej, traktowano o zabawach dla dzieci, a okładkę co numer przyozdabiała ta sama dyskobolka. Jednak dwutygodnik z Konopacką u steru nie utrzymał się na rynku prasowym i w grudniu 1936 roku przestał się ukazywać.

Halina Konopacka znalazła sobie nową pasję, wszak była kobietą bardzo aktywną i niebojącą się żadnych wyzwań, zaczęła zatem działać w Polskim Komitecie Olimpijskim. Wraz ze swoim mężem Ignacym Matuszewskim, członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, reprezentowała dyplomatycznie Polskę na arenie międzynarodowej.

W plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca polskiego dwa razy zdobyła pierwsze miejsce. Była niezwykle popularna, gdy pojawiała się w miejscach publicznych, wzbudzała ogromny entuzjizm i podniecenie. Każdy chciał jej gratulować, wręczano jej kwiaty, ubóstwiano ją. Była – jak

byśmy dziś powiedzieli – celebrytką, czego nie lubiła i źle znosiła tę nadmierną sławę:

nachodzą mnie ludzie nieszczęśliwi, bezrobotni, szukający pracy w różnych urzędach. Domagają się oni ode mnie interwencji, protekcji, w ministerstwach i urzędach, motywując, że ja obecnie mogę wszystko. Na próżno staram się wytłumaczyć, że są w błędzie, opędzić się od nich nie sposób. Innym, choć miłszym nieszczęściem są ciągle owacje. Nie mogę się pokazać na boisku, na korcie, w kawiarni, czy teatrze, aby nie zamęczano mnie gratulacjami, powinszowaniami. Wróciłam do kraju, aby odpocząć po zawodach amsterdamskich. Dlatego wybrałam skromny Milanówek. [...] Pozwólcie mi więc odpocząć. Dajcie mi spokój[29].

Dzięki jej międzynarodowym sukcesom w całej Polsce zaczęły powstawać Kobięce Kluby Sportowe. Narodziło się też wtedy powiedzenie o tym, kto i jak rozsławia dobre imię Polski: „Kiepura pyskiem, a Konopacka dyskiem”.

Tak pięknie żegnali ją dziennikarze na łamach „Sportu Polskiego” w 1937 roku, po raz ostatni porywając czytelników opisem fantastycznego dnia:

Garstka naszych reprezentantów i reprezentantek jedzie. Nie po laury, nie po zwycięstwa, nikt nawet nie śnił o tym, bo przecież sport polski taki był jeszcze młody, ale żeby czegoś się nauczyć, coś zobaczyć. I nagle dysk wypuszczony z pasją z ręki wysokiej, smukłej Polki ląduje w granicach czterdziestki. Chwila napięcia i oczekiwania, chwila strasznie długa, a potem ogłaszają wynik – 39 metrów 62 cm. Mistrzostwo Olimpiady i rekord świata ma Polka – Halina Konopacka! Z mgłą łez na oczach, garstka Polaków, a wraz z nią stutysięczny tłum, słucha stojąc Mazurka Dąbrowskiego. Pierwszy laur olimpijski dla Polski – zdobyła kobieta. Wiwatom nie ma końca. Towarzysze unoszą Konopacką na rękach. Chwila wielka i niezapomniana. A potem powrót do kraju i znowu trening, znowu zawody i praca nad sobą. Zwycięstwo i laur olimpijski nie zmieniły tej prostolinijnej, szczerzej natury. Zawsze pogodna, zawsze wesoła, koleżeńska, lojalna w walce i przystępna, potrafiła w ludziach stykających się z nią wzbudzać wielki dla siebie szacunek, a jednocześnie rozbrajać życzliwością. Zwycięstwo i sukces każdego sportowca – Polaka, był jej tak drogi, że cieszyła się nim na równi ze zwycięzcą, dzięki czemu otoczenie wielbiło ją. Nie można jej

było nawet zazdrościć powodzenia i zaszczytów, gdyż nikt bardziej niż ona godnym ich nie był. Wreszcie po paru latach, powoli zaczęła się wycofywać ze sportu. Raz po raz powtarzano inne nazwisko świetnie zapowiadającej się polskiej dyskobolki. Jeszcze jedno mistrzostwa, jeszcze jedno zwycięstwo o centymetry, wywalczone niebywałą ambicją, a potem, odchodząc od czynnego uprawiania sportu – powiedziała: cieszę się, że mistrzostwo świata w dysku składam w ręce drugiej Polki. I choć jako widz tylko – nie opuszcza żadnej imprezy sportowej, biorąc w niej żywy udział. Halina Konopacka to piękna i szlachetna sylwetka, godnie imię Polski rozsławiająca. Przykład wytrwałej i ambitnej, a zawsze tak cudownie prostolinijnej sportswomenki. Trzeba tu również zaznaczyć, że obok wielkich zasług dokonanych przez propagandę polskości zagranicą, do której niewątpliwie przyczyniły się jej świetne zwycięstwa w sporcie, znacznie już wcześniej, jako młodziutka dziewczyna, pełniła Konopacka czynną służbę dla Polski w szeregach P.O.W. Obecnie zasiada w zarządach kilku organizacji i stowarzyszeń kobiecych, pracując społecznie, zyskując sobie zaufanie, podziw i szacunek. Nie zaniedbuje również utrzymywania własnej kondycji fizycznej – zawsze młoda, zawsze



pełna entuzjazmu dla sportu, uważająca sport za najlepszą szkołę charakteru. I choć dysk zamieniła na raketę – na zawsze pozostanie w pamięci pierwszą Polką, której głowę – przyozdobił laur olimpijski[30].

## POD ZNAKIEM ZŁOTA

W najlepszym dla siebie – jak podkreślała w wielu wywiadach – roku 1928 wyszła za mąż za płk. Ignacego Matuszewskiego, szefa Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego i późniejszego ministra skarbu (w latach 1929–1931), także członka Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Antoni Słonimski dowcipnie spuentował, że był on „mężem silnej ręki”. Na łamach „Stadjonu” Ignacy Matuszewski pisał:

sport jest to dowolny zespół czynności dokonywanych w określonym stanie psychicznym, polegającym na dobrowolnym wyborze przeszkód do przewyciężenia i dobrowolnym wytężeniu wszystkich sił posiadanych dla ich pokonania[31].

Ta idea sportowa w życiu państwa Matuszewskich, wola zwycięstwa, niepoddawania się i przewycięzania największych trudności, zdać miała egzamin podczas wojny. Tak Matuszewski w „Przeglądzie Sportowym” doceniał sport w kształtowaniu się tożsamości narodu:

te skupiska ludzkie, któremi są narody, prowadzą zacieklą walkę o prawo do życia, o prawo do rozwoju. [...] I otóż zmagania sportowe są dziś, jeśli nie u nas jeszcze, to na szerokim świecie – najbardziej dotykającym, najbardziej widocznym, najprościej wymiernym sprawdzianem własnej wartości narodowej[32].

Doceniał ten moment solidarności narodowej, który budzi się w każdym, bez względu na pochodzenie społeczne, pracę zawodową – każdy bowiem zrozumie osiągnięty wynik, policzy metry czy bramki strzelone przez drużynę narodową. Te uczucia narodowe, wyzwalone dzięki sportowym widowiskom, są jakże „cenną wartością państwową” – pisał w tym samym wydaniu.

Ignacy Stanisław Hugo Matuszewski (1891–1946) urodził się w wyjątkowo patriotycznej

i inteligenckiej rodzinie. Ojciec jego, także Ignacy, drugie imię Erazm, był znanym i cenionym krytykiem literackim; stał na czele „Tygodnika Ilustrowanego”, był prezesem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy. Ojcem chrzestnym młodszego Matuszewskiego (męża Konopackiej) był z kolei Bolesław Prus, zaprzyjaźniony z rodziną. Halina weszła więc w bardzo nobiletujące kręgi i wspaniałe tradycje. Mąż jej odebrał staranne wykształcenie. W 1911 roku zdał dwa egzaminy maturalne – eksternistycznie maturę rosyjską (taka tylko dawała w Rosji możliwość dalszego kształcenia się), jak również polską (z wyróżnieniem) w warszawskim gimnazjum im. Ziemi Mazowieckiej o profilu filologicznym. Był wybitnie uzdolniony humanistycznie (stąd wybór takiej szkoły), jak również językowo. Po maturze studiował w kilku ośrodkach akademickich: filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, architekturę w Mediolanie, a także prawo w Dorpacie. Po wybuchu I wojny światowej został powołany do armii rosyjskiej[33], gdzie zaczął szybko awansować. Wkrótce też zaangażował się w tworzenie struktur Wojska Polskiego na terytorium Rosji, a następnie rozpoczął działalność konspiracyjną z ramienia

Polskiej Organizacji Wojskowej. W kwietniu 1918 roku złożył formalną przysięgę w POW. Zdobywał kolejne cenne doświadczenia, militarne i życiowe. Po powrocie do kraju wstąpił do Wojska Polskiego w randze majora. Gdy zdobył stosowne doświadczenie, jego domeną stała się służba w wywiadzie wojskowym. Specjalizował się w działaniach na kierunku wschodnim, a jego wiedza w tym zakresie okazała się niezwykle przydatna podczas wojny polsko-bolszewickiej. Szybko awansował, cieszył się ogromnym zaufaniem samego Józefa Piłsudskiego, który doceniał jego niepospolite zdolności wojskowe oraz ogromny potencjał intelektualny. Naczelnik Państwa, dekorując swojego wiernego żołnierza Orderem Virtuti Militari, wyraził się o nim: „Dzięki Panu po raz pierwszy od 300 lat mieliśmy więcej informacji o nieprzyjacielu, niż nieprzyjaciel miał o nas”[34].

W 1924 roku Matuszewski ukończył Wyższą Szkołę Wojenną, w sierpniu tego roku awansowano go do rangi pułkownika, a od grudnia objął funkcję attaché wojskowego przy Poselstwie Polskim w Rzymie. W 1928 roku przeniesiono go do rezerwy, po czym podjął pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Od

15 kwietnia 1929 roku do 26 maja 1931 roku był ministrem skarbu w kilku kolejnych gabinetach. Po śmierci Marszałka wycofał się z życia zawodowego, przeszedł na emeryturę, ale dalej działał w redakcji „Gazety Polskiej”; należał do najważniejszych publicystów tego dziennika.

W trakcie kampanii wrześniowej pułkownik Matuszewski otrzymał rozkaz wywozu części narodowego złota ze skarbca Banku Polskiego poza granice kraju. 75 ton kruszcu załadowano na 40 autobusów, które następnie dotrzeć miały do Rumunii, skąd pociągiem przewieziono je do Francji. Za kierownicą jednego z tych autobusów – według wielu przekazów – siedzieć miała żona Matuszewskiego, miłośniczka sportów także samochodowych, Halina Konopacka-Matuszewska[35]. W trakcie tej tajnej misji najcenniejszy złoty krążek olimpijski – pierwszy dla Polski – zginął bezpowrotnie.

Akcja ratowania polskiego skarbu narodowego przed zagrabieniem przez Niemców lub Sowieców w tragicznym wrześniu 1939 roku uznana została przez prasę francuską za wielki sukces, polskie środowisko emigracyjne zarzuciło jednak Matuszewskiemu szereg nadużyć w trakcie tej niezwykle trudnej logistycznie, dyplomatycznie i politycznie misji. Zarzuty te,

często wręcz kuriozalne, dotyczyły na przykład zakupu lemoniady dla tragarzy, pracujących przy załadunku skrzyń ze złotem w upale. Tego rodzaju niedorzecznych zastrzeżeń było więcej. A Matuszewski, sam nie posiadając środków na pokrycie kosztów tak długiej wyprawy i nie chcąc płacić złotem Banku Polskiego, pozyskiwał na trasie bogatych przyjaciół, takich jak Archibald Walker, który wyłożył 60 tysięcy funtów tureckich (około 30 tysięcy dolarów amerykańskich) na opłaty za przewóz przez Turcję. Wydaje się też, że stawiane Matuszewskiemu zarzuty miały go zdyskredytować i odsunąć od polityki emigracyjnej we Francji. Została nawet powołana komisja mająca na celu wyjaśnienie tych nieprawidłowości, nie dokończyła jednak zadania w związku z ewakuacją władz polskich do Londynu. Co zaś tyczy się dalszych losów złota polskiego wędrującego po krajach Europy, nie ma ostatecznej, spójnej wiedzy na ten temat; ta historia wymaga naukowego opracowania.

Matuszewscy zamieszkali na stałe w USA. W uzyskaniu wiz pomógł im sam Ignacy Jan Paderewski, wtedy już bardzo sędziwy. Pułkownik zajął się w Stanach działalnością publicystyczną i patriotyczno-polityczną,

współtworzył z Floyarem-Rajchmanem[36] (także zaangażowanym w ratowanie polskiego złota) Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku oraz Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia, który po czasie stał się największą organizacją polonijną w USA. Niestety, zmarł przedwcześnie w 1946 roku na atak serca. Być może przyczyniły się do tego jego aktywność publiczna i krytyka polityki aliantów, zbyt według niego uległej wobec ZSRR, za co przez rząd USA uznawany był nawet za obcego agenta. Pochowano go na cmentarzu w Nowym Jorku. 18 listopada 2016 roku jego szczątki zostały ekshumowane i sprowadzone do Polski. 10 grudnia odbyły się uroczystości pogrzebowe na warszawskich Powązkach Wojskowych.

Los emigranta nie jest usłany różami, oprócz szczytnych i patriotycznych działań pułkownik z żoną musieli zapewnić sobie byt materialny. I tutaj przydały się sportowe pasje i praktyczne umiejętności Haliny – założyła szkołkę narciarską, z której małżonkowie czerpali dochody. W Stanach Konopacka odkryła także nową pasję – malarstwo. Z upodobaniem malowała na płótnie wszelkie kwiaty, podpisując się „Helen George”. Już po śmierci męża założyła salon mody i została projektantką. W czasach

PRL kilkakrotnie odwiedzała kraj, co nie do końca było na rękę władzom, wszak była wdową po znanym piłsudczyku oraz uczestniku wojny z bolszewikami. W Polsce była w latach 1958, 1970 i 1975. Znamiennie brzmią słowa jej poezji, wydanej po raz pierwszy w 1929 roku:

Rozwarły się w mgle lekkiej znajome ulice,  
Czas, jakby się śród murów kochanych zatrzymał,  
Powrotu dobrotliwą, gorzką tajemnicę  
Czytam zwolna łez ciepłych oczyma[37].

Podjeżdżano ją zaś serdecznie w kręgach sportowych: AZS, PKOl. Odwiedzała miejsca, w których kiedyś trenowała: Agrykołę, park Paderewskiego, dzisiaj zwany również Skaryszewskim, gdzie przed wojną był stadion AZS. W sierpniu 1975 roku wygłosiła płomienne przemówienie w Klubie Olimpijczyka, w którym wystąpiła jako legenda polskiego sportu. Wspominała spotkanie z Piłsudskim w Belwederze tuż po powrocie z olimpiady – przywołuje tu jego słynne słowa, którymi ją przywitał („to Pani gdzieś w sporcie zwyciężyła...”), zgrabnie jednak pomijając zakazane w tym czasie nazwisko wielkiego polityka.



Legenda może nie mieć końca, ale musi mieć początek – że to moje zwycięstwo w Amsterdamie było pierwszym w nowoczesnej historii i że było tak przepojone nieskalaną ideją greckich olimpiad – może to stworzyło legendę. Potem już posypały się rekordy aż do dziś gdy z polskimi zawodnikami musi się liczyć cały świat[38]

– przemawiała do zgromadzonych sportowców.

Ponoć brała pod uwagę powrót do kraju na stałe, lecz gdy pewnego razu wezwano do niej karetkę pogotowia ratunkowego – była już w podeszłym wieku, niedomagała na serce – a ta przybyła dopiero po godzinie, doszła do wniosku, że jest przyzwyczajona do innych standardów.

Zmarła w 1989 roku w wieku 88 lat na Florydzie, gdzie przeniosła się po śmierci drugiego męża, tenisisty Jerzego Szczerbińskiego, którego знаła jeszcze z Warszawy. Jej prochy zostały przetransportowane do Polski. Spoczęła na Cmentarzu Bródnowskim w 1990 roku.

Konopacka zrobiła w życiu zawrotną karierę, zarówno w sporcie, jak i w życiu osobistym, na niwie literackiej, towarzyskiej, artystycznej, a jej losem można by obdarzyć kilka życiorysów – był pełen niecodziennych i niezwykłych wydarzeń. W tych wszystkich historiach jest jednak wspólny

mianownik – Halina zawsze była osobą prawą, skromną, koleżeńską, jak zgodnie wspominali jej koledzy z boiska i rywale z zawodów. Ona sama mówiła o sobie, że jedyną jej zasługą było tylko to, że została pierwszą złotą olimpijką, dzięki czemu zachęciła polską młodzież do uprawiania sportu.



*7. Halina Konopacka w swoim mieszkaniu w Warszawie z pucharem za najlepszy wynik sportowy w 1928 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*8. Halina Konopacka, fotografia z 1936 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe







*9, 10, 11, 12. Konopacka w czasie ćwiczeń  
i zawodów w latach 1926–1930*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*13. Konopacka przed mikrofonem Polskiego Radia,  
sierpień 1930 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*14. Sztafeta AZS 4 × 200 metrów, która ustanowiła nowy rekord Polski 1.52.2; Helena Woynarowska, Ludwika Gorloff, Halina Konopacka i Jolanta Manteufflówna (od lewej), lipiec 1931 roku  
fot. L. Jarumski/Narodowe Archiwum Cyfrowe*





*15. Konopacka z mężem Ignacym Matuszewskim,  
ministrem skarbu, Warszawa 16 listopada 1930  
roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*16. Konopacka na okładce magazynu sportowego „Start”*

fot. Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa



*17. Konopacka na bankiecie z markizem Melchiorem de Polignac w czasie obrad Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w Oslo, 1935 rok (fotografia opublikowana w nr 8 czasopisma „Die Dame” z 1935 roku)*  
fot. Ullstein Bild/Getty Images



*18. Konopacka z wizytą w kraju, 1958 rok*  
fot. CAF/PAP

# Rozdział III

## Z KRWIĄ W BUTACH

### Janusz Kusociński

Olimpiada! Magiczne słowo, które co cztery lata wstrząsa jak prądem elektrycznym całą kulę ziemską; nieporównana w pomysłach idea zbratania wszystkich ludów na boisku sportowym; wspaniała demonstracja kultury fizycznej, muzyki, malarstwa i poezji 58-iu narodów świata, zjednoczonych pod pięciokolorowym sztandarem olimpijskim[1]

– emocjonował się „Przeгляд Sportowy” w przeddzień rozpoczęcia zmagani olimpijskich w 1932 roku.

Janusz Kusociński był największym skarbem polskiej drużyny olimpijskiej w Los Angeles. Spełnił pokładane w nim nadzieje, zdobywając

złoty medal olimpijski i stając się tym samym pierwszym Polakiem, któremu przypadł w udziale ten laur[2]. Na sukces przyszło mu pracować ciężko, drakońskimi wręcz treningami, zmagając się też całe życie z kontuzją kolana, a olimpijski bieg ukończył z krwią w butach. Całe życie wypełniał mu sport, fundując mu serie sukcesów, ale i pasmo porażek zdrowotnych – dręczyły go kontuzje, na kilka lat został wyeliminowany z wszelkich rozgrywek. Duch sportowy i miłości do Polski – to były najważniejsze wartości „Kusego”, które zawsze nosił w sercu. Jednak swój najważniejszy egzamin zdał nie na bieżni, ale w walce z niemieckim okupantem.

## ENTUZJAZM, RZETELNOŚĆ, ZAPAŁ

Kusociński od najmłodszych lat pasjonował się sportem i do sportu go wprost ciągnęło. Sam zresztą podkreślał w swoich wspomnieniach – opublikowanych po raz pierwszy w połowie lat trzydziestych na łamach „Nowin Codziennych”, następnie wznowionych i opatrzonych komentarzem Kazimierza Gryżewskiego[3] w 1957 roku[4] – że sportem zaraził go starszy

brat Tadeusz, który był mistrzem w grze palanta. Sport był zawsze u Kusocińskiego na miejscu pierwszym, nim oddychał, był mu potrzebny niczym jedzenie i sen.

Uciekało się z domu na zaimprovizowane boisko, hen za ogrodem, gdzie już na nas czekali inni koledzy i rozpoczynał się mecz, wobec którego zaciętością błedną olimpiady. Co to był za entuzjazm, jaka rzetelność w wymierzaniu kar i nagród, jaki bezinteresowny zapał...[5]

Zapału tego nie dzielali rodzice młodego Janusza, starając się zniechęcać chłopca do sportu. Matka Kusocińskiego, Zofia ze Śmiechowskich, próbowała zaś wyprzedzać fakty – mały Janusz był niesforny, nie był w stanie usiedzieć na miejscu, a ze sportowych przygód podwórkowych wracał obolały, posiniaczony, nierzadko w podartych ubraniach. Matka powtarzała gniewnie, że sport został wymyślony na złość rodzicom. „[...] wysłuchiwałem długich litanii na temat sportowych nałogów, marnowanego czasu i fatalnie zapowiadającej się przyszłości”[6]. Jak to dobrze, że nie zawsze rodzice mają rację i nie każdy się ich słucha!

Nie tylko zresztą brak przychylności rodziców stanąć mógł na przeszkodzie sportowej karierze przyszłego mistrza. Urodzony co prawda w Warszawie (w 1907 roku), kiedy miał półtora roku z rodzicami przeprowadził się do podwarszawskiego Ołtarzewa. Dojeżdżał do szkoły Nawrockiego przy Marszałkowskiej w Warszawie. Podczas pauz uciekał z kolegami do Ogrodu Saskiego, gdzie rozgrywano mecze piłki nożnej. Tam poznał przyszłych piłkarzy Polonii i Warszawianki. Potem doszły treningi, a rano młody Janusz pomagał jeszcze ojcu w gospodarstwie ogrodniczym. Musiał więc rozkładać siły na obowiązki domowe, naukę (ojciec wbijał mu do głowy, że najważniejsze są sukcesy i dobre oceny w szkole, miał nadzieję, że Kusociński-junior zakocha się w książkach). Ale sport był po prostu jak narkotyk: „uczyłem się tylko wtedy, gdym przeczuwał, że będę «wyrwany» przez profesora” – wspominał na kartach pamiętnika. „Każdy człowiek ma swoją gwiazdę – tylko nie zawsze dobrą...”[7].

Nie tracił ani minuty – w pociągu relacji Warszawa–Ołtarzewo, którym wracał po szkole do domu, stał się utrapieniem konduktorów, biegając z wagonu do wagonu. Wiecznie



spóźniony, nie przyznawał się rodzicom, że to przez grę w palanta czy piłkę nożną.

Nigdy też uczucie do kobiety nie przesłoniło mu miłości do sportu. „Podczas pobytu w szkole Nawrockiego przeżyłem pierwsze sercowe dramaty. Byłem jeszcze w porównaniu z kolegami naiwniaczkiem”[8] – podkreśla „Kusy”, dodając, że żadna kobieta nie wywołała tak wielkiej namiętności, jak (wciąż jeszcze) gra w palanta i piłkę nożną. Lekkoatletyka niewiele w tej kwestii zmieniła – piłka pozostała jego największą miłością. Nie dziwi zatem treść jednego z pierwszych miłosnych listów Kusocińskiego, w którym uczucie zrównuje on z miłością do sportu: „napisałem sążnisty list [...], że podbiła me serce, jak piłkę footballową, że chciałbym wprowadzić ją, jak bramkę i galopować z nią konno po kniejach”[9].

Jazda konna była jedną z niekultywowanych namiętności Kusocińskiego; był czas, kiedy powtarzał strapionym rodzicom, że będzie ułanem. Ci dla swojego najmłodszego syna nie planowali wojskowej kariery – ta naznaczona została w rodzinie Kusocińskich tragedią: brat „Kusego” Zygmunt zmarł w szeregach armii francuskiej podczas I wojny światowej, z kolei

Tadeusz – pod Zamościem w walkach 1920 roku...

Porzuciwszy myśl o ułańskiej karierze, z równie ułańską fantazją pielęgnował Kusociński namiętność do tańca. Postawił jednak na oberki i mazury – które, jak sam z czasem dostrzegł, nie były wówczas w modzie.

Kobiety szalały za murzyńskimi wygibasami lekceważąc sobie kujawiaka[10]. [...] Nigdy nie zapomnę pierwszego mazura, jaki odtańczyłem publicznie. Pochwalić się tu muszę, że wszystkie tajniki tego tańca opanowałem doskonale, więc też iskry sypały się spod mych stóp, gdy puściłem się w pląsy[11].

Wprowadziło to obserwujących w zdumienie i niedowierzanie – ten dość skryty młodzieniec przez bitą godzinę dawał upust nowemu zamiłowaniu. Osiągnął towarzyski sukces! „Przede wszystkim zainteresowały się mną mamusie, które bogato dekorowały sobą ściany sali tanecznej”[12] – wspomina „Kusy”.

Nigdy też nie czuł się zbyt pewnie pośród kobiet, z którymi się przyjaźnił. Cenił sobie znajomość ze Stasią Walasiewiczówną czy niezwykle popularną aktorką Zulą

Pogorzelską[13], wielką miłośniczką sportu. Ogromne wrażenie robiła na nim Halina Konopacka. Trzymał się nieco z boku podbojów miłosnych i zwłaszcza w latach szkolnych przyglądał się tylko sukcesom kolegów. Starał się nie zwracać uwagi na swoje niedoskonałości – niski wzrost czy nieco krzywy nos (ten jakoby sam miał sobie wykrzywić w dzieciństwie, wycierając go rękawem prawej ręki, wzorem wiejskich chłopców)[14]. Spotykał się czas jakiś z pewną brunetką (choć wciąż marzył o miłej i wrażliwej blondynce), i aby móc sprostać wymaganiom randkowym, postanowił dorabiać: a to jako ogrodnik (był już wówczas uczniem średniej szkoły ogrodniczej zwanej Pomologiem, która mieściła się przy ulicy Wspólnej w Warszawie), a to jako introligator. Zaczął więc chodzić na wagary. Jak widać, szkoła była zawsze na ostatnim miejscu w kręgu jego zainteresowań, o mały włos nie zostałaby z niej wydalony. Wciąż jednak nie był w stanie wzniecić w sobie wystarczającego zainteresowania nauką – znalazł sposób, by nie uczestniczyć w wyjątkowo nieinteresujących go zajęciach z przezroczami. W sali lekcyjnej gaszono wówczas światło, a Kusociński dawał dyla do przylegającego korytarzyka, w którym ucinał sobie drzemkę.

Większe zainteresowanie płci przeciwnej przyszło wraz z rosnącą popularnością, jak skonstatował:

kobiety są ogromnie wrażliwe na rozgłos i sławę. Ten sam osobnik, na którego dotąd nie raczyły spojrzeć – stanie się ich ulubieńcem, o ile zdobędzie popularność. Jednym słowem – pewien typ leci do świata sławy, niby ćmy. [...] Nieśmiały chłopiec, nie umiejący do trzech zliczyć, zwany przez niewiasty tumanem lub fajtłapą, wyda im się królewiczem z bajki, o ile [...] przybiegnie pierwszy do mety...[15]

W innym fragmencie swoich wspomnień przytacza zabawną historię, już z okresu, kiedy był rozpoznawalnym lekkoatletą.

Otóż jadąc pewnego razu tramwajem zauważyłem, że siedząca naprzeciwko dama, osoba niezmiernie otyła i wymalowana jak lalka – obrzuca mnie namiętными spojrzeniami. W pewnej chwili wyjęła z haftowanej w róże torebki jakąś fotografię i zręcznym ruchem pokazała mi ją [...]. Przez mgnienie oka dostrzegłem własną fizjonomię uwięzioną w czworokąt skórzanej ramki. [...] dama

mrużyła omdlewająco oczy i układając wargi w ciup, zdradzała silne zmieszanie[16].

To w końcu całkiem przyjemny wyraz sympatii, którego jednak Kusociński nie docenił (związał z tramwaju), nawet kiedy owa dama, nazwana przez niego czule „koczkodanem”, przysłała bukiet róż z bilecikiem... zapisanym własną krwią! Cena sukcesu, chciałoby się rzec, tymczasem Kusociński poważnie rozważał... powrót do ogrodnictwa! Tyle napsuła mu krwi dama z tramwaju!

## WIELKI SKOK

Janusz Kusociński swój klubowy debiut piłkarski zalicza w barwach Ożarówianki. Następnie przenosi się do Józefowianki, po czym jako siedemnastolatek wstępuje w szeregi Sarmaty. Podczas jednego ze świąt klubów robotniczych w 1925 roku organizowany jest bieg sztafet. Kusociński pojawia się na nim jako widz i wspiera swój klub. W trakcie przygotowań do kolejnego biegu organizatorzy odkrywają, że brakuje jednego z zawodników. Niewiele myśląc, proszą Kusocińskiego, aby zastąpił nieobecnego

lekkoatletę. „Przyznam szczerze, że mało interesowałem się lekką atletyką”[17] – wyzna później w swych wspomnieniach przyszły mistrz olimpijski. W biegu na 800 metrów odnosi nieoczekiwane – zwłaszcza dla siebie – zwycięstwo. Startuje jeszcze w sztafecie 5 × 1000 metrów i ku uciechu widowni znowu wygrywa! Jeden z piłkarzy Sarmaty w książce poświęconej warszawskiemu futbolowi zapytywał:

Najsłynniejszy piłkarz Sarmaty? Oczywiście sam Janusz Kusociński. Być może nigdy nie odkryty zostałby jego talent, gdyby nie to, że zgodnie z przyjętym wówczas zwyczajem wszystkich zawodników sekcji piłkarskiej zgłaszaliśmy do... biegów narodowych. Tak klub stracił piłkarza, a sport polski zyskał jednak wielkiego mistrza[18].

W tym samym roku bierze jeszcze udział w mistrzostwach Robotniczych Stowarzyszeń Sportowych w Rembertowie w biegu przełajowym na 3500 metrów, także dla niego zwycięskim. „Przez dwa tygodnie nie mogłem wchodzić na schody, tak mnie diabelnie rwały łydki”[19] – wspominał. Brak przygotowania treningowego dał się we znaki. 1927 rok był przełomowy w raczkującej karierze

Kusocińskiego – zaczął na poważnie myśleć o zostaniu lekkoatletą:

zrozumiałem jaką podniętą dla zawodnika jest życzliwy stosunek publiczności. Czyż to nie dziwne – że na stadionie sportowym znikają partyjne swary i osobiste animozje? [...] Osobiści wrogowie stoją ramię przy ramieniu i zapominając o urazach, dzielą się uwagami na temat zawodników i razem składają ręce do oklasków...[20]

Bardzo to aktualne dziś spostrzeżenie!

Umiłowanie do sportu, które zajmowało większą część serca „Kusego”, oraz zdrowa chęć rywalizacji napędzały jego karierę, zmuszając do drakońskich ćwiczeń i stawiania sobie wyzwań – pobijania rekordów rywali. Pierwszy wyjazd zagraniczny Kusocińskiego (II Igrzyska Robotnicze w Pradze) uświadamia mu chęć zwycięstwa i reprezentowania barw polskich. Spotyka wówczas osobę, która będzie miała ogromny wpływ na jego całą karierę sportową – klub Sarmata przydziela Kusemu trenera, Estończyka Aleksandra Klumberga[21]. Ten stosuje trening fiński, oparty na interwałach, przysiadach, wywrotach. „Kusy” nazwie go później treningiem „końskim”. Zostaje z tym

treningiem sam, gdyż Estończyk wyjeżdża z polską reprezentacją na olimpiadę w Amsterdamie, z której to Halina Konopacka powróci z pierwszym w historii złotym medalem olimpijskim. A „Kusy”? Nie uzyskał wymaganego minimum olimpijskiego (na 5000 metrów wynosiło poniżej 16 minut) i do kadry się nie załapał. Zostawia więc go Klumberg ze ściśle określonym planem treningowym, nakazując codzienne ćwiczenia. Sam był ciekaw efektów – miał ponoć po powrocie zwierzyć się, że nie wierzył, iż Kusociński wytrzyma. „Albo będzie wielkim zawodnikiem, albo zerwie się i będzie zerem”[22]. Kusociński codziennie się gimnastykuje, jeździ na rowerku stacjonarnym, by nabrać sił i kondycji, uczestniczy nawet w żniwach. Odbywa treningi na bieżni. Występuje wówczas jako zawodnik Warszawianki (barwy klubowe zmienił w 1928 roku). Zaczyna treningi dwa razy dziennie – chce walczyć o mistrzostwo Polski. W trakcie biegu chowa w rękę mały stoperek, na którym co i rusz sprawdza czas kolejnych okrążeń.

Kiedy dowiedział się o sukcesie Konopackiej na amsterdamskiej olimpiadzie, przyrzekł sobie, że kiedyś jej dorówna. Podkreślał fakt, że to właśnie kobiecie przypadł w udziale pierwszy



w historii laur olimpijski dla Polski. I to laur z najcenniejszego kruszcu.

„Kusego” napędzały ambicja i chęć bycia numerem jeden. O prym w biegach największe boje będzie musiał stoczyć ze Stanisławem Petkiewiczem[23], który pojawia się w kraju jako reemigrant z Łotwy. Czy to sukcesy Petkiewicza, czy może jego atrakcyjny wygląd – smukły, wysoki blondyn o błękitnych oczach – dość, że Petkiewicz irytował „Kusego” w każdym calu. Wielu komentatorów sportowych, przyglądając się wspaniałej karierze Kusocińskiego, tej właśnie rywalizacji przypisuje najwięcej zasług na polu walki o wyniki „Kusego”. Chęć pobicia Petkiewicza nieprawdopodobnie wprost go nakręcała do coraz cięższych treningów i osiągnięcia lepszych rezultatów.

Rok 1928 przyniósł Kusocińskiemu pierwsze poważne zwycięstwo w mistrzostwach Polski. Osiągał już w biegu na 5000 metrów wynik poniżej 16 minut (co nie udało mu się przed Amsterdamem). Trener Klumberg pewny był wiktorii swojego podopiecznego. Mało tego – miał zaatakować rekord Freyera[24], który wnosił 15:54. „Kusy” od początku biegu narzucił iście wariackie tempo, z którego niezadowolony był trener. Nie wierzył, że zawodnik wytrzyma

do ostatnich metrów. Cóż, „Kusy” już wówczas pokazał swój charakter – lubił od początku narzucać ostre tempo tak, by zmordować przeciwnika. Pierwsze wielkie zwycięstwo stało się faktem. Klumberg jednak wpadł w ramiona „Kusego”, żeby mu nawymyślać – zwycięzca zastosował złą taktykę i brak stylu w biegu. Co z tego, kiedy na metę wpadł pierwszy! W dodatku uzyskał czas o 13 sekund lepszy od dotychczasowego rekordu Polski – 15:41. W tym miejscu warto przypomnieć, że w 1939 roku „Kusy” był w szczytowej formie, przygotowywał się do olimpiady w Helsinkach, a jego wynik na tym samym dystansie wyniósł wówczas 14:24! „Przegląd Sportowy” z 8 września 1928 roku relacjonował:

Bieg 5000 m. był najciekawszym i najbardziej udanym punktem dnia. – Walka Kusocińskiego z czasem była bodajże jedyną emocją zawodów. Kusociński ze startu wysuwa się na czoło. Za nim idą do końca krok w krok Sarnacki i Szelestowski. Lider [...] stale odsuwa się od współzawodników. [...] Pobicie przez Kusocińskiego rekordu śp. Freyera i to o całe 10 sek. było dla wszystkich niespodzianką[25].

Ta dość sucha relacja przyćmiona została wciąż żywymi wspomnieniami z niedawno zakończonej olimpiady w Amsterdamie, okrzykniętej sukcesem Polaków. Jak triumfalnie obwieszczono na łamach tego samego numeru „Przeglądu Sportowego”, „Sport polski będzie pamiętał, że właśnie w roku 1928 zdał maturę”[26]. Kusociński największy sportowy sukces miał jeszcze przed sobą. Tymczasem o palmę pierwszeństwa na rodzimym gruncie przyszło mu walczyć ze wspomnianym Stanisławem Petkiewiczem.

W pierwszym starciu obu wielkich zawodników, w biegu na 3000 metrów, doszło do niefortunnego zdarzenia. W trakcie wyścigu, kiedy Kusociński wyraźnie prowadził, Petkiewicz zszedł z bieżni. Co więcej, „Kusy”, mimo rozwścieczenia, że nie mógł dać odporu przeciwnikowi i pokazać, kto tu rządzi, pobiegł na rekord i kolejny raz pobił wynik Freyera (uzyskał czas 8:54:22). Z zapisków Kusocińskiego wynika, że oczekiwał na rywala i wiązał z jego przybyciem nadzieję, że przy tak świetnym zawodniku przyjdzie mu jeszcze szerzej rozwinąć skrzydła, a już to pierwsze spotkanie na bieżni przyniosło rozczarowanie. Z czasem wzajemna niechęć tylko się pogłębiła.

Kolejny rekord Kusocińskiego nie przeszedł bez echa. Janusz udzielił pierwszego wywiadu „Przeglądowi Sportowemu”. Odnosi się w nim do swoich dwóch wyczynów i dodaje, że „to co umiem zawdzięczam całkowicie doskonałemu Klumbergowi. Jak on mnie wziął w obroty – zupełnie inaczej zacząłem chodzić”[27]. W tym samym numerze dodaje, że jeszcze nie wybrał dla siebie koronnego dystansu, ale zaczyna się szkolić w długich biegach i celuje w 10 000 metrów.

Kolejne rekordy to kwestia dosłownie miesięcy. Pierwszy występ zagraniczny (Czechosłowacja) i wynik 15:34 (na 5000 metrów). Chwilę później występ w Wilnie („Wilno posiada jeden z najpiękniej położonych stadionów w Polsce”[28]) i kolejny pobity rekord Polski – 15:17. Takiego wyniku nikt się nie spodziewał. Petkiewicz wciąż czeka na uruchomienie swej mocy – nie mając polskiego obywatelstwa, w zawodach nie uczestniczy. „Teraz już Petkiewicz nie krył się z niechęcią do mnie” – pisał „Kusy”, wspominając zawody wileńskie – „może to nawet nie była zazdrość, ale żal i podrażnienie własnej ambicji sportowej”. Opisuje swoje uczucia niechęci i wściekłości, ale czasem i współczucia dla zawodnika, który

„przecież bez rodziny i najbliższych musiał się czuć tutaj bardzo samotnie”[29].

Uprzedzenie to musiało się pogłębić, kiedy do stolicy przybył „Milczący Fin” – jak o Paavo Nurmi[30] mówili komentatorzy. Nurmi to Bolt tamtych czasów – dziewięciokrotny (!) mistrz olimpijski, w tym sześć razy po najwyższe trofeum sięgał indywidualnie. Prawdziwe bożyszczę tłumów, niedościgniony ideał w biegu. Przybył, by pokazać swoją klasę, styl i szybkość – a przegrał na polskiej bieżni z... Petkiewiczem właśnie. „Kusy” zwłaszcza w 1929 roku ma słabszą kondycję. Pod koniec 1928 roku zgarnia go wojsko i kieruje na służbę do 36 Pułku Piechoty, następnie do szkoły oficerskiej. Rzadsze treningi i codzienne obowiązki wojskowe powodują, że wypada z formy. A Petkiewicz święci triumfy, jego długie umięśnione nogi i wydłużony krok prowadzą go od zwycięstwa do zwycięstwa. Za sprawą wygranej walki z Nurmi – idolem „Kusego” i najznakomitszym zawodnikiem tamtego okresu w Europie – trafia na pierwszą stronę „Przeglądu Sportowego”. Wychwalany jest na wszystkie możliwe sposoby. Bieg na 3000 metrów zwycięża Stanisław Petkiewicz w czasie 8:54.

Wiadomość o Nurmime „zelektryzowała całą Polskę” – jak pisał „Przegląd Sportowy”. Przybyli liczni goście, na czele z ministrem Ignacym Matuszewskim[31], mężem Haliny Konopackiej – małżonkowie uświetnili imprezę, oglądając niezwykle pojedynek polskiego biegacza z najlepszym długodystansowcem świata.

Zwycięstwo Petkiewicza w sobotę i wspaniały czas uzyskany przez niego [...] powiedzą światu, że na bieżniach warszawskich wzrasta talent, który przy dalszym rozwoju może być jednym z pierwszych, a może nawet pierwszym na kuli ziemskiej[32].

Co na to sam „Kusy”? Zawstydzony opuścił widowisko, był to dla niego nie lada policzek. Zwłaszcza że jego pojedynki z Nurmime wyglądały zawsze tak samo. Czy był zatem gorszy od Petkiewicza, którego rekordy zdołał w końcu wymazać z tabel? Ciekawą informację odnotowuje Bogdan Tuszyński[33] w swoim dziele *Ostatnie okrążenie „Kusego”*, gdzie, powołując się między innymi na ustalenia Wojciecha i Edwarda Trojanowskich[34], stwierdza, że bieg był ukartowany, że Petkiewicz miał co prawda przegrać o włos, a Fin biec znacznie wolniej, niż pozwalały mu na to jego

możliwości, w ostatniej jednak chwili Petkiewicz nie wytrzymał i postanowił to opóźnienie przeciwnika wykorzystać, aby z nim wygrać[35]. To był bieg na 3000 metrów, drugiego dnia Fin przystąpił do rewanżu w biegu na 5000 metrów i tu już wątpliwości nie było. Zwyciężył.

Kusociński jest w szoku – czuje się upokorzony i marzy już tylko o spotkaniu z Nurmim i pokonaniu go. Zaczyna serię ciężkich ćwiczeń pod okiem Klumberga. W 1930 roku Petkiewicz na łamach „Stadjonu” (został wówczas stałym dziennikarzem tej gazety) chwali „Kusego”, analizując jego słabszą kondycję pod koniec 1928 roku i w 1929: „zbyt szybko osiągnięte wyniki, zbyt lekko osiągnięta forma nie dają żadnej gwarancji, iż wyniki będą się polepszały”. Powrót do najwyższej formy przypisuje Klumbergowi i niewątpliwemu talentowi „Kusego”:

chora noga była zbawieniem jego [nabawił się kontuzji w biegu przełajowym na 3000 metrów i zajął trzecie miejsce; skręcił nadwyrężoną nogę – przyp. aut.], dzięki czemu musiał on z konieczności cały sezon wypoczywać. [...] Klumberg potrafił ten wypoczynek wykorzystać dla gimnastyki i zrobił dzięki temu z Kusocińskiego wielkiego biegacza.

W tem całkowicie zasługa Klumberga, bo gdyby nie Klumberg, Kusociński sam nie potrafiłby tak wspaniale wykorzystać swego wielkiego talentu. A talent posiada na pewno ogromny. Pod tym względem nie ma on równych sobie. Ani talent Ladoumegue'a ani Nurmiego nie dorównują mu[36].

Ostatnie, prorocze zdanie zaskoczyło zapewne nawet samego „Kusego”. Jednak prawdziwości tych słów dowodzi niesamowity postęp, jakiego dokonał Kusociński w jednym tylko roku 1928 – z czasu 16:40 zdołał dojść do wyniku 15:17 na dystansie 5000 metrów.

## AMERYKAŃSKI SEN

Lata 1929–1930 to dla Kusocińskiego walka z kontuzją, podglądanie rywali (zwłaszcza Petkiewicza, który triumfuje w Biegu Narodowym na Polu Mokotowskim w maju 1929 roku), do tego rodzinna tragedia – w 1929 roku zmarła niespodziewanie jego najmłodsza i najukochańsza siostra, Halina Kusocińska. Wszystko to doprowadziło „Kusego” na skraj załamania psychicznego. Jednak staje na nogi z zamiarem dojścia do mistrzowskiej formy. Musi



pokonać rywala z własnego podwórka oraz pobić jego dotychczasowe rekordy, nie ustaje też w planowaniu starcia z Nurmim. Do wymarzonego spotkania z fińskim konkurentem dochodzi we wrześniu 1930 roku na stadionie Legii.

Sensacyjnie, bo od występu „samego” Nurmiego, rozpoczęte zostały trzydniowe międzynarodowe zawody zorganizowane przez niezmordowanego kierownika sekcji lekkoatletycznej Legii, kpt. Kawalca. [...] Imię Nurmiego zelektryzowało Warszawę, to też 1200 widzów obległo boisko. [...] Spotkanie trzech asów [stratowali zarówno „Kusy”, jak i Petkiewicz – przyp. aut.] na 5 km zorganizowane zostało z wielką pompą. [...] Wreszcie ukazuje się [na] bieżni charakterystyczna sylwetka „Króla bieżni”. Paavo Nurmi sprawia dość sympatyczne wrażenie [przez dziennikarzy czasami uważany był za bufona – przyp. aut.], szkoda tylko, że łysinka jego powiększyła się od zeszłego roku [nie mógł się powstrzymać od drobnej złośliwości Aleksander Szenajch, przyjaciel „Kusego”, piłkarz Polonii i lekkoatleta, współpracujący ze „Stadjonem” i „Tygodnikiem Sportowym”]. Następnie ukazują się nasi muszkietierowie, Petkiewicz i Kusociński[37].

Pierwsze 200 metrów należy do Kusocińskiego, po 600 prowadzi już Fin. Petkiewicz na drugim miejscu słabł, Kusociński depcze Nurmiemu po piętach. Wpada na metę tuż za jego plecami z wynikiem 14:55 (kolejny rekord!). Zwycięzca kończy bieg z wynikiem 14:54. Nurmi pogratulował „Kusemu” wspaniałego biegu, podkreślając, że wcale nie był pewien zwycięstwa. Fin wciąż jednak pozostaje niepokonany. Było to już kolejne spotkanie na bieżni tych zawodników, lecz Kusociński nigdy z nim w bezpośredniej walce nie wygrał. Wówczas na stadionie Legii walczyli jak równy z równym, i tym razem jednak się nie udało.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżała się olimpiada w Los Angeles. Po odzyskaniu formy, wymazaniu wszystkich rekordów Petkiewicza (który notabene zniknął ze środowiska sportowego, został bowiem zdyskwalifikowany za zawodowstwo, miał za swoje starty pobierać niedozwolone wynagrodzenie) problem rywala znika. Przyszły mistrz olimpijski wcale takim rozwiązaniem zachwycony nie był. Stał w obronie niedawnego konkurenta, pisząc, że Polski Związek Lekkiej Atletyki nie zebrał wystarczających dowodów, które miałyby

niezbicie przesądzać o zawodowstwie Petkiewicza.

A zatem igrzyska! Tym razem Janusz Kusociński był zdecydowanym faworytem. Jak tylko przybył na amerykańską ziemię, bardzo solennie i dokładnie odnotował spostrzeżenia tak z podróży, jak i z wioski olimpijskiej.

Na olimpiadę zakwalifikowali się znakomici polscy sportowcy. Oprócz Kusocińskiego byli to: rekordzistka świata w rzucie dyskiem Jadwiga Wajsówna[38], Henryk Budziński, Jan Mikołajczak, Jerzy Braun i Janusz Ślązak (wioślarze)[39], szermierze drużynowi[40], Skolimowski, Kobyliński i Urban (wioślarze), miotacz Heljasz[41] i Felicja Schabińska[42] (bieg przez płotki). W USA do zacnego grona dołączyła znakomita sprinterka, Stanisława Walasiewiczówna. Cała ekspedycja polska wyruszyła 2 lipca 1932 roku na statku „Puławski”. Kusociński dostał fory – jako że (jak sam zapisał) tyle dni nie mógł pozostawać bez treningu (olimpiada rozpoczynała się 30 lipca), wyruszył do Francji (przez Berlin i Paryż do Cherbourg), skąd na statku „Mauretania”, jednym z największych i najbardziej luksusowych statków pasażerskich świata, wypłynął samotnie do USA. Dosłownie kilka

tygodni przed olimpiadą zdołał jeszcze pobić rekord Nurmiego na 4 mile angielskie i poprawić go aż o 13 sekund. Z poznańskiego boiska lekkoatletycznego, na którym odbywały się zawody, Kusocińskiego znoszą na rękach, „sypią się na niego pęki róż”[43]. Jest już niemal pewne, że jego przygotowanie olimpijskie jest optymalne i gotów będzie stanąć w szranki z Nurmim. Z jednym tylko zamiarem – by wygrać.

„Kusy” pakuje się i wyrusza w najważniejszą w jego sportowym życiu podróż. Pociągami do Paryża, gdzie – jak się okazuje – podróżują również jego najwięksi rywale: Finowie z Nurmim na czele. Ku zdziwieniu Polaka Fin z uśmiechem na twarzy i wyraźną życzliwością ściska mu dłoń. „Kusy” przypomina sobie spotkanie sprzed roku, kiedy to „Niemowa” ledwie raczył mu podać opuszki palców. Stamtąd jadą do Cherbourg, gdzie wsiadają na pokład „Mauretanii”. W trakcie pięciodniowej podróży „Kusy” z całą ekipą fińską dość mocno się zżył. Choć porozumiewali się na migi (żaden z nich nie władał angielskim; „Kusy” po tym doświadczeniu deklaruje konieczność nauki języka), grali razem w karty, warcaby. Kusociński z podziwem patrzył, jak z wprawą i bez kompleksów smała cholewki do rozlicznych panien uczestniczących

w dansingach: „tańczyli, że aż «skry leciały»”[44]. Tymczasem „Latający Fin”, czyli największe wyzwanie Kusocińskiego – Nurmi, wprowadził w zadziwienie.

Zmienił się on wprost nie do poznania. Milczący, tajemniczy mnich zamienił się na miłego, wprost gadatliwego dowcipnisią pierwszego do zabawy i wspólnych baraszkowań na pokładzie. Finowie mówią, że na przemianę tę wpłynęło małżeństwo[45].

Podziw w „Kusym” wzbudzał sam statek, pełen przepychu kolos. Jego wnikliwe, iście reporterskie spostrzeżenia (cóż, że Tuszyński stwierdza, iż zostały mocno „podrasowane” piórem Stanisława Brochwicza, późniejszego agenta Abwehry[46]) dotyczą współpasażerów, przybycia do portu, rewizji (celnicy wszystkich pasażerów bez względu na rangę sprawdzali na okoliczność wwożenia „wody ognistej” – pamiętajmy, że były to czasy prohibicji), podróży („Jakiż panuje tu porządek i jak wszystko idzie składnie”[47]) oraz pierwszych kroków na amerykańskiej ziemi. W Nowym Jorku przebywał tylko siedem godzin (zdążył odbyć trening), następnie w Chicago (w pociągu oddaje

się zapamiętała jednej ze swoich największych pasji – brydżowi). W końcu jako pierwszy z ekipy zameldował się w wiosce olimpijskiej.

Wioska przedstawia się imponująco. Położona na falistej przestrzeni obok samego miasta, zajmowała dość znaczny obszar [...]. Pomysłowi i drobiazgowi Amerykanie pomyśleli o wszystkim. Pięćset małych, ale wygodnych domków, rozstawionych wśród powodzi kwietników i pięknych trawników, sprawiało nadzwyczaj miłe wrażenie[48].

Olimpijską wioskę odwiedzały osobistości ówczesnego kina amerykańskiego, „zjawiały się gwiazdy i gwiazdorzy z pobliskiego Hollywoodu”[49], gdyż na jej terenie odbywały się projekcje filmowe, spotkania, wyświetlano zdjęcia z poszczególnych konkurencji. Kusociński na brak dodatkowych, pozasportowych atrakcji nie mógł narzekać. Dostał do dyspozycji samochód, którym robił krótsze i dalsze wycieczki po Los Angeles („ślicznie, wspaniałe ogrody, pałace”), „kontynuując” naukę prowadzenia samochodu, rozpoczętą w Warszawie – swoją nową pasję. Samochodem tym, zresztą z istic ułańską fantazją, o mały włos nie powodując wypadku, przyjeżdża po

pozostałych polskich olimpijczyków. Podróż dała im się we znaki, pierwsze treningi przyniosły wyniki poniżej oczekiwań (szczególnie rzuty Heljasza). „Podróż była dla jednych męką, dla innych cierpieniem, dla trzecich bezczynnością, dla nikogo – odpoczynkiem”[50] – zapisał korespondent „Przeglądu Sportowego” Jan Erdman. Wielu sportowców cierpiało na chorobę morską, to w niej upatrywano słabych wyników polskiej ekipy. Jedyne, co z kolei niepokoiło Kusocińskiego, to fakt, że aż do dnia otwarcia igrzysk nie mógł przetestować bieżni. Miało to mieć opłakane skutki.

## DO BIEGU GOTOWI

Własnymi drogami chodzi tylko Kusociński, który jest w formie wprost znakomitej. Prasa amerykańska nie szczędzi mu swego zainteresowania, napotyka się jednak na grobowe milczenie Polaka, który zdaniem reporterów „milczy i trenuje jak Nurmi”[51].

Zmierzenie się z Finem było głównym – oprócz lauru olimpijskiego – marzeniem naszego mistrza. Jakież było jego rozczarowanie, kiedy

podano do wiadomości, że Nurmi został zdyskwalifikowany! Pewne podejrzenia wypłynęły już wcześniej, ale nikt chyba nie spodziewał się, że do dyskwalifikacji dojdzie na olimpiadzie, na którą przecież przyjechał i to jako obrońca tytułu! Kusociński tak wspomina podanie tych wieści w oficjalnym komunikacie:

Nurmiego zdyskwalifikowano, dowiedziono mu, że rzeczywiście brał wynagrodzenia za swoje starty i Amerykę pozbawiono niezwyklej sensacji, na którą liczyła[52].

Finowie bili wszelkie rekordy, dzierżyli niepodzielnie zwycięstwa. Kusociński zawsze mierzył wysoko, a jego ambicja szła w parze z odwieczną rywalizacją. Jego wielkie marzenie – pokonanie Nurmiego, i to na olimpiadzie – nie ziściło się. Niemniej Finowie wciąż byli groźnymi przeciwnikami, a dyskwalifikacja Paavo Nurmiego wcale nie oznaczała spacerku na 10 000 metrów. „Kusy” miał się kogo bać.

Następcy Nurmiego upatrywano w jego koledze z zespołu, Volmarim Iso-Hollo[53], z którym przyszło się „Kusemu” zmierzyć. Finowie, najwięksi rywale Polaka, czuli podskórnie, że mały wzrostem sportowiec



o ogromnych ambicjach może napędzić im stracha i sprzed nosa zwinąć laur olimpijski. Pytany o swoją taktykę i sposób na Finów „Kusy” odpowiadał ze stoickim spokojem: „Nie ma nikogo na świecie, kto mógłby mnie zmęczyć swem tempem w pierwszej połowie biegu. Niech sobie to moi przeciwnicy wytłumaczą”[54].

30 lipca 1932 roku nastąpiło oficjalne otwarcie X Olimpiady w Los Angeles. „Wspaniałą i malowniczą uroczystość mamy już za sobą” – pisał „Przegląd Sportowy”. „Zrobiła ona wrażenie nad wszelki wyraz imponujące i nazawsze zostanie w pamięci każdego, kto był jej świadkiem”[55]. Chorążym polskiej ekipy był wioślarz Janusz Ślęzak.

Tak swoje wrażenia z tego dnia przywołuje z pamięci Kusociński:

Brak słów na określenie tego, co się tam działo. Olbrzymi przeszło 100-tysięczny stadion wypełniony był do ostatniego miejsca publicznością. Istna wieża Babel. Słowa wypowiedane w różnych językach czyniły gwar i hałas po prostu nie do zniesienia[56].

31 lipca rozgrywano bieg na 10 000 metrów, jako ostatnią konkurencję dnia. Na starcie stanęło 27 zawodników.

Początkowo wszyscy biegną razem w ostrem tempie. Sytuacja zaczyna się krystalizować po 1500 mtr: na czoło wysuwa się grupa Iso Hollo, Kusociński, Virtanen. [...] Na 3000 mtr. Następuje dalsze tasowanie zawodników. Prowadzi tu zdecydowanie Kusy z depczącym mu po piętach Iso Hollo. [...] Na 5000 mtr. Kusociński i Iso Hollo są już o 100 mtr. przed Syringiem i nikt nie ma wątpliwości, że są oni klasą dla siebie. Tempo jednak jest niezwykle ostre, że jego żar wytrzymuje tylko Kusociński. Na 7500 mtr. Polak gubi Iso Hollo o 50 mtr.; Virtanen jest już o 250 mtr. [...] Gdy nadchodzi decydująca rozgrywka – ostatnie okrążenia rzuca na szalę swój nieprawdopodobny finisz i zdumiewającą świeżość; wśród zupełnego milczenia 30 000 widzów zaczyna się walka, w której Iso Hollo oddaje Polakowi centymetr za centymetrem, by wreszcie na taśmie znaleźć się o 8 mtr. z tyłu[57].

Była godzina 17.40.

„Kusociński zadał miażdżącą klęskę hegemonii Finlandii, trwającej na dystansach długich od roku 1912-go”[58] – dodawał po kilku dniach „Przegląd Sportowy”. Była to, jak podkreślano, największa niespodzianka X Olimpiady. Mimo że każdy liczył na złoto

„Kusego”, media zagraniczne ogłosiły wynik ów jako niebywały sukces i zmierzch rządów fińskich. Nikt nie wiedział jeszcze, że w trakcie biegu „Kusy” przeżywa straszną tragedię – jego nogi, a przede wszystkim buty (o krótkich kolcach) nie były przygotowane do twardej bieżni amerykańskiej, tak innej od europejskich. Już od szóstego kilometra „Kusy” walczył z obezwładniającym bólem – obtarł sobie do krwi piętę.

Czuję, [...] że zbliża się jakaś tragedia. Stopy bołą mnie niesłychanie, każde stąpienie odczuwam tak, jakbym biegł gołą stopą po szpilkach. [...] Ból już jest tak wielki, że trudno go znieść. Pantofle, które były dobre na trawie, tutaj na twardej bieżni cisną mnie okropnie. [...] nogi [...] pieką mnie tak, jakbym trzymał je w ogniu[59].

Na ósmym kilometrze obejmuje prowadzenie, nie daje po sobie nic poznać. I kolejny cios – na 600 metrów przed końcem prowadzenie obejmuje Iso-Hollo! „Serca Polaków biją w najwyższym podnieceniu” – oddaje emocje widzów Jan Erdman. „Iso Hollo nie puszcza go: 200 mtr. tej piekielnej walki nie wiadomo kogo męczy bardziej; tych dwu bohaterów, czy 40 000

widzów [w relacji tego samego korespondenta z 20 sierpnia widzów miało już być 50 000 – przyp. aut.]. Aż wreszcie napięta nić, którą jakby biegacze byli związani”[60]. Pierwszy przerywa taśmę „Kusy”. „Przeżywałem cierpienia, których nie da się opisać [...]. Z walki tej wyszedłem zwycięsko, ale zupełnie zobojętniały na wszystko”[61]. Ból przesłonił ogromny sukces i nie pozwolił „Kusemu” w pełni przeżywać radości ze zwycięstwa. Jedynym pragnieniem była chęć zrzucenia uciskających pantofli! Za to publiczność szaleje, daje się porwać wspaniałemu wynikowi Kusocińskiego (rekord olimpijski), zaciętej walce i niezwykłemu finiszowi.

Kusociński przerwał taśmę ustawioną na mecie w czasie 30:11,4 sekundy. Tym samym został pierwszym polskim złotym medalistą olimpijskim w rywalizacji mężczyzn, co skwitował dosadnie: „Cieszyło mnie to tym bardziej, że już obecnie panie nasze nie będą miały powodu do chwalenia się, iż w Polsce tylko kobiety sportsmenki zrównały się z klasą europejską i światową”[62], co było oczywistym nawiązaniem do sukcesów przede wszystkim Haliny Konopackiej, pierwszej zdobywczyni

złotego medalu olimpijskiego cztery lata wcześniej w Amsterdamie.

Było to najważniejsze w jego karierze zwycięstwo. Ten mierzący zaledwie 165 centymetrów zawodnik o wadze 60 kilogramów (po zwycięskim biegu ubyło mu aż 2,5 kilograma) sprawia, że imię Polski jest na ustach całego świata.

Niestety stopy „Kusego” były kompletnie zdarte, pokryte krwawiącymi odciskami. Pojawiły się słowa krytyki, że zawodnik w najważniejszym starcie, jakim dla każdego sportowca jest udział w olimpiadzie, nie powinien był startować w nowych, nieznanym mu butach. Jeszcze z nie do końca opatrzonymi stopami wywołany jest do dekoracji medalowej i odśpiewania „Mazurka Dąbrowskiego”. Hegemonia Finów w biegu na 10 000 metrów została złamana. Niestety dr kapitan Jerzy Bartenbach, lekarz „Kusego” i reszty polskich sportowców, wydał surowy wyrok – mistrz nie pobiegnie na 5000 metrów. „Forma jest, gaz jest, wyniki są, chęć jest – a biegać nie można przez takie głupstwo...”[63].

LATA CHUDE

Jednym z pierwszych, który pospieszył z gratulacjami, był przyjaciel Kusocińskiego, znany warszawski aktor, Adolf Dymśa[64]. Z pozostałych olimpijczyków złoto przypadło w udziale jedynie Stanisławie Walasiewiczównie w biegu na 100 metrów, co publiczność przyjęła huraganowymi oklaskami – wszyscy kibice, oprócz Amerykanów.

Tuż po olimpiadzie kierownictwo polskiej ekspedycji olimpijskiej podjęło decyzję o jeszcze jednym ważnym starciu Polaków – w zawodach w Chicago, organizowanych przez „The Chicago Daily News”[65]. Była to dla niektórych zawodników szansa na rehabilitację. Tak się stało choćby w przypadku Jadwigi Wajsówny. Zajmując trzecie miejsce na olimpiadzie w rzucie dyskiem, nie spełniła oczekiwań i nie pobiła rekordu świata. Udało jej się to w Chicago, gdzie zwyciężyła bezdyskusyjnie, oddając rekordowy rzut na odległość 41,98 metra. Walasiewiczówna powtórzyła wygraną z olimpiady w biegu na 100 metrów, zwyciężyła także na dystansie 200 metrów, a Kusociński potwierdził swoją dominację w długich dystansach, wygrywając w biegu na 5000 metrów (co dodatkowo rozpałiło wyobraźnię – co by było, gdyby i na tym dystansie pobiegł w Los Angeles!).

Czas wrócić do kraju, gdzie zawodnicy zostali entuzjastycznie przywitani. W Warszawie na olimpijczyków czekały takie tłumy, że cudem uniknięto stratowania. To cieszy Kusocińskiego, ale sportowiec marzy już tylko o spokoju i powrocie do treningów.

O tym, że najważniejszy w życiu „Kusego” był sport, niech zaświadczy dykteryjka spisana ręką Edwarda Trojanowskiego:

Często żądał natychmiastowego powrotu po zawodach do kraju. Nawet jeśli miejscowość była bardzo atrakcyjna turystycznie. Już po igrzyskach olimpijskich, podczas wyjazdu do Włoch na międzynarodowy mecz, zdarzyła się taka właśnie okazja do awantury. W planie „Kusego” następnego dnia po zawodach przewidziany był trening w Warszawie. Koledzy jednak zapragnęli zatrzymać się w Wenecji. Kusociński odmówił kategorycznie. A ponieważ nie miał oddzielnego biletu, musiał przychylić się do żądania większości. Demonstrując swoje niezadowolenie cały dzień przesiedział na walizce na dworcu...[66]

Sam Kusociński zresztą tak przywołuje to wspomnienie w swoich pamiętnikach:

Byłem uparty i wiele rzeczy nie pozwoliłem sobie wytłumaczyć, choć czułem, że nie zawsze miałem rację. Tak też było we Florencji. Chciałem wracać do Polski sam, ale na to nie zgodziło się kierownictwo. Obraziłem się jak dzieciak. W Wenecji zatrzymaliśmy się na kilka godzin i wszyscy koledzy wyruszyli na zwiedzanie miasta [...]. Tylko ja obrażony pozostałem na stacji i nudziłem się piekielnie. Sam siebie ukarałem za mój upór[67].

Uparty jak osioł, ale jednak zdystansowany do siebie. Cały Kusociński!

Poolimpijskie zmagania „Kusego” to jednak wciąż walka ze zdrowiem – nabawił się zapalenia kaletki kolanowej. Bardzo mocno przeżywa także śmierć ojca. Mimo to startuje w Turynie we wrześniu 1934 roku i przegrywa tytuł mistrza Europy. Pokonuje dwóch Finów (Salminena[68] i Virtanena), ulega jednak wspaniałej tego dnia formie Francuza Rogera Rocharda[69]. To on sięga po złoto.

Pierwszy raz spotyka się bezpośrednio z ideologią faszyzmu i jej skutkami. Odnotowuje w swoim pamiętniku choćby takie spostrzeżenia: „Faszyzm domagał się od swych zawodników samych sukcesów. Zawodnikom włoskim pod żadnym pozorem nie wolno było przegrać”[70].



27 września 1934 roku na miting w Warszawie przyjeżdża Lauri Lehtinen[71], mistrz olimpijski w biegu na 5000 metrów, by spotkać się z „Kusym”. Nasz czempion wciąż zmaga się z odnawiającą się kontuzją, ale startuje. Nie chce, by ktokolwiek zarzucił mu tchórzostwo. Skutki są wręcz fatalne – bieg kończy kulejąc, wygrywa Lehtinen, a Kusociński musi odstawić sport na tor boczny. Po zejściu do szatni płacze. „Jestem sam” – odnotował po latach wspomnienie tej tragedii – „pokonani muszą znieść gorycz porażki, ale i pustkę samotności. [...] Przychodzi do mnie mój serdeczny przyjaciel kpt. Kaczmarek. Nic nie mówi, milczy, płacze”[72].

Czekają go zmagania medyczne, operacje. Nie marnuje czasu – postanawia zdać maturę, co udaje mu się w 1937 roku. Z domku w Łazienkach, w którym dotąd mieszkał, przenosi się na ulicę Złotą. Zostaje przyjęty do CIWF[73]. Zabiegi, liczne wyjazdy rehabilitacyjne na kolano nie przynoszą spodziewanych efektów. Kusociński przechodzi operację 6 marca 1936 roku – usunięte zostają łąkotka i kaletka maziowa z lewego kolana. Po operacji odwiedzają Janusza wspaniali sportowcy, między innymi Maria Kwaśniewska, pełna humoru

przynosi mu wór ploteczek lekkoatletycznych, czy Gienek Lokajski[74], lekkoatleta w rzucie oszczepem. Nie zapominają o nim dziennikarze Aleksander Szenajch[75] i Kazimierz Gryżewski. Po wyjściu ze szpitala dostaje nowe zadanie – obejmuje sekcję lekkoatletyczną dziewcząt rodzimego klubu Warszawianki.

„W czasie tak długiej nieobecności mistrza olimpijskiego na bieżniach” – pisał nieukrywający swego podziwu dla „Kusego” Mieczysław Szymkowiak – „pojawił się jego następca. Wielkopolanin Józef Noji z Pęckowa”[76]. Pikanterii niezwykle zapowiadającej się walce między nimi dodawał fakt, że Noji[77] prowadzony był przez Stanisława Petkiewicza. Rozwój kariery tego zawodnika następował dość szybko: wygrana Biegu Narodowego w 1934 roku, międzynarodowe mistrzostwo Anglii w biegu na 6 mil. Zawiódł na berlińskiej olimpiadzie, zajmując w biegu na 10 000 metrów odległe, 14. miejsce. Nieco lepiej wypadł w pięciokilometrowym pojedynku – tu uplasował się na piątej pozycji.

Tymczasem rok 1935 jest dla „Kusego” stracony. Załamani są nawet dziennikarze od

czasu do czasu odwiedzający mistrza olimpijskiego w Łazienkach.

W ostatnim tygodniu odwiedziłem Kusocińskiego dwukrotnie. [...] wielka ilość żetonów ułożonych dotychczas w bibliotece powędrowała na bardziej widoczne miejsce, do specjalnie oszklonych gablotek[78].

Specjalny wysłannik wnikliwym okiem dostrzega, że olimpijski medal z Los Angeles „pyszni się” szczególnie w oszklonej gablotce. Czy to metafora upadku „Kusego”, którego dziennikarz – jak odnotowuje ze zgrozą – o godzinie 10.00 rano zastał jeszcze w łóżku, a o tej normalnie porze Kusociński już ćwiczył?

Pamiętam doskonale tryb życia Kusego z okresu poolimpijskiego, a nawet jeszcze z ubiegłego roku. Po godzinie 9-ej był już po rannym treningu naprzelaj, około godziny 9:30 dawał swe nogi pod opiekę masażysty. [...] o godzinie 10-ej Kusociński był już ubrany, „objedzony” i gotów do opuszczenia domu[79].

Tym razem beztrąsko zalega w łóżku, widać zmęczony trudami dnia poprzedniego. „Kusy bowiem czuje dziwną słabość do gwiazd” – notuje dalej niezmordowany wysłannik. „Pokaźnych rozmiarów album leżący na stole nie może pomieścić wszystkich dedykowanych”. O sporcie rozmawiać nie chce, odbiera telefony niemające nic wspólnego z karierą zawodniczą. Wpadł w wir towarzyskich spotkań, formy nie szlifuje, biegać i tak nie może. „Dawniej było w jego oczach i twarzy coś stalowego, jakieś połączenie uporu z heroizmem”[80] – nostalgicznie rozpacza wspomnienia o wielkim „Kusym” dziennikarz „Przeglądu Sportowego” Józef Irza. Ta autentyczna obawa przed upadkiem wielkiego mistrza będzie się przewijać w relacjach sportowych, Kusociński wszystkich jednak zaskoczy powrotem do świetności.

„Kusy” oddaje się nowej pasji – zbieraniu autografów i zdjęć znanych aktorów, których osobiście poznaje i z nimi się bawi. Poznaje znakomite tancerki Lodę Halamę, Tolę Mankiewiczównę i Marię Malicką. Zadzierzgnął przyjaźń z Eugeniuszem Bodo i Stefanem Hnydzińskim[81].

## IGRZYSKA POD ZNAKIEM SWASTYKI

W 1936 roku ma się odbyć olimpiada w Berlinie. W związku ze wzrostem nastrojów nacjonalistycznych, rozprzestrzenianiem się haseł nazistowskich oraz planami wykluczenia z udziału sportowców żydowskich, przetoczyła się publiczna debata o zasadności organizowania igrzysk w nazistowskich Niemczech. Jeremiah Mahoney z amerykańskiego Związku Lekkoatletycznego interweniował u samego przewodniczącego MKOl Lewalda[82].

Uważam, że uczestnictwo w igrzyskach pod znakiem swastyki zakłada milczącą aprobatę dla wszystkiego, co ona symbolizuje. [...] Uważam, że udział Stanów Zjednoczonych w olimpiadzie w Niemczech oznacza udzielenie przez nie moralnego i finansowego wsparcia nazistowskiemu reżimowi[83].

Polski rząd nie bojkotował poparcia dla igrzysk nawet wówczas, gdy wprowadzono w III Rzeszy „ustawy rasowe” ani gdy wojska niemieckie zajęły Nadrenię. Zacieśniano polsko-niemiecką współpracę olimpijską, zatrudniano niemieckich trenerów (jak choćby w piłce

nożnej). Podczas głosowania w 1931 roku Ignacy Matuszewski[84] był za przyznaniem igrzysk właśnie Berlinowi, nie zaś Barcelonie, forsowanej przez Wielką Brytanię, i po dojściu Hitlera do władzy zdania nie zmienił. Być może była to linia polityki zagranicznej, mająca znormalizować stosunki polsko-niemieckie. W każdym razie polskiego sprzeciwu na arenie międzynarodowej słychać nie było, a polska ekspedycja była tym razem najliczniejsza, w porównaniu do poprzednich igrzysk[85].

Kusociński jedzie na berlińską olimpiadę pełen obaw o wyniki polskich sportowców. Sam jest obserwatorem i doradcą technicznym lekkoatletów. Urazy kolana są wciąż zbyt poważne, by mógł startować. Liczono na dobry występ lekkoatlety Józefa Nojego, nadal prowadzonego przez Petkiewicza, Marii Kwaśniewskiej, Jadwigi Wajsówny czy Zygmunta Heljasza (ten ostatni został ostatecznie skreślony z lity uczestników za zatarg z władzami PZLA). Tytułu mistrzyni bronić miała Stasia Walasiewiczówna.

Kusociński zachwyca się czarnoskórymi lekkoatletami, którzy w Berlinie będą triumfować. Szczególnie zaprzyjaźnia się ze zwycięzcą skoku w dal i biegu na 100 metrów,

Jesse'm Owensem[86], który swoimi wynikami i przewagą nad faworytem niemieckim załazł za skórę samemu Hitlerowi.

Obserwuje berlińskie starty. Noji zawodzi, co „Kusy” przypisuje złemu treningowi rozpisanemu przez Petkiewicza. Żałuje, że sam nie może brać udziału w zawodach. Spotyka się ze swoim największym konkurentem, teraz już w atmosferze wzajemnej sympatii i szacunku. Nurmi pozostawia mu na pamiątkę swój autograf, co nie zdarza się często.

Kusociński nie wie jeszcze, że to tylko wstęp do tragicznego finału, do niemieckiej okupacji, aż w końcu do tragicznej śmierci... Na kartach wspomnień znajdujemy znaczące słowa, które brzmią jak wyrocznia: „Olimpiada została zakończona. [...] Nie mogłem pozbyć się upartej myśli, która świdrowała mój mózg: czy kiedykolwiek jeszcze w życiu zobaczysz igrzyska olimpijskie?”[87].

„Kusy” w latach 1938–1939 był biegaczem najwyższej światowej klasy. Wypracował sobie piękny styl, co zdumiewało znawców. Jego krok był imponujący, mimo że biegacz nie posiadał takich atutów jak wzrost, długość nóg. Stał się znakomitym taktykiem, o wiele lepszym niż w okresie przed operacją. [...]

w roku 1939, myślał coraz poważniej o olimpiadzie w Helsinkach, która miała się odbyć w 1940 roku[88].

Myślał też poważnie o maratonie... Niestety, nie dane mu było udowodnić, że wrócił do najwyższej formy.

Po tych niezbyt udanych dla niego czasach – rekonwalescencji operowanej łękotki – wraca na areny po kilku latach „karceru”. Poprawia rekordy Polski: 5000 metrów przelatuje w 14 minut i 24,2 sekundy, co jest wynikiem gorszym od rekordu świata ledwie o 15 sekund. Dzieje się to latem 1939 roku. Z kolei u jego boku coraz częściej widywana jest polska tenisistka Jadwiga Jędrzejowska...

Wybuch wojna, więc Kusociński swoje kroki kieruje do rezerwy Wojska Polskiego. 6 września włącza się w obronę Warszawy jako ochotnik. Przydzielono go do odcinka Fortu Czerniakowskiego, następnie przejął dowództwo plutonu. Jest dwukrotnie ranny, w końcu podkomendni zanoszą go do szpitala przy Powsińskiej. Zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych.

W pierwszych miesiącach okupacji sportowcy spotykają się w gospodzie „Pod Kogutem”, gdzie



Kusociński podjął pracę jako kelner (wśród zatrudnionych znaleźli się także między innymi Jadwiga Jędrzejowska, Maria Kwaśniewska i Ignacy Tłoczyński[89]). Właścicielem tej nocnej spelunki – jak określa ją Bogdan Tuszyński – był Antoni Szajnowicz, wujek przyszłego „Agenta nr 1” w Grecji, Jerzego Iwanowa-Szajnowicza. Jak widać, w osobie Kusocińskiego łączyły się – choćby chwilowo i incydentalnie – losy pozostałych wielkich sportowców. Między 18 a 25 grudnia 1939 roku Janusz Kusociński zaprzysiężony został jako żołnierz polskiego podziemia[90]. Fakt ten potwierdza oświadczenie Józefa Rylskiego[91]:

Ja niżej podpisany Józef Stanisław Rylski, pseudonim okupacyjny „Wilk” (Biernacki) [...], stwierdzam, co następuje. W grudniu 1939 r. po przybyciu moim do Warszawy, w związku ze zlikwidowaniem oddziału partyzanckiego „Wilki” i powołaniem przeze mnie konspiracyjnej Organizacji Wojskowej „Wilki” [...] zaprzysiężłem znanego mi sprzed wojny Ob. ppor. rez. Janusza Kusocińskiego na członka w.w. organizacji. Przysięgę odebrałem osobiście w drugiej połowie grudnia w obecności Ob. ppor. pil. Witolda Romanowskiego pseudonim „Witek”, który

wprowadzał Ob. J. Kusocińskiego do szeregów naszej organizacji[92].

Zaprzysiężenie odbyło się w lokalu kontaktowym przy ulicy Chmielnej 12 w Warszawie. Kusociński przyjął pseudonim konspiracyjny „Prawdzcic”. Został kierownikiem komórki wywiadu przy Komendzie Okręgu Organizacji Wojskowej „Wilki”, której dowódcą był ppłk Zygmunt Piwnicki, pseudonim „Żuk”. OW „Wilki” powstała z grupy partyzanckiej około 10 września 1939 roku. W jej skład wchodziło mniej więcej 500 umundurowanych żołnierzy. Działali jako dywersja na tyłach wojsk niemieckich w rejonie Warszawy[93]. W początkowej, partyzanckiej formie „Wilki” łączyły zarówno byłych żołnierzy Wojska Polskiego, jak i harcerzy, robotników, członków PPS i Związku Młodych Pionierów – a więc środowisko dość różnorodne.

Po zaprzysiężeniu w OW „Wilki” Kusociński mianowany został podporucznikiem. Jednym z jego zadań było nawiązanie zażyłych stosunków z gestapowcami – chodziło o kontakty handlowe, ułatwiające uzyskiwanie potrzebnych informacji. Udało mu się dostarczyć między innymi imienną listę osób ze świata sportu,

kultury i polityki – ludzi, którzy mogli przewodzić narodowi polskiemu i na niego wpływać, a więc przez Niemców wyznaczeni byli do eksterminacji.

Likwidację polskiego „elementu przywódczego”, a w dalszej kolejności inteligencji, władze III Rzeszy zaplanowały jeszcze przed wybuchem wojny. Sporządzono listy proskrypcyjne obejmujące ponad 60 tysięcy skazanych na eliminację Polaków. [...] Grupę tę zamierzano zlikwidować w ramach „operacji Tannenberg” rozpoczętej wraz z podjęciem działań wojennych[94].

Plan ten dotyczył ziem wcielonych do III Rzeszy (Wielkopolska), został on następnie rozbudowany w ramach „Akcji AB” o kolejne ziemie i nazwiska osób, które miały być wyeliminowane z życia społecznego, tak by „[...] zapobiec temu, aby polska inteligencja stała się warstwą kierowniczą. W kraju tym ma być utrzymana niska stopa życiowa, chcemy stamtąd czerpać tylko siłę roboczą”[95] – mówił Hitler w październiku 1939 roku.

Kiedy Janusz Kusociński trafił na tę listę?

Rozwoził ulotki (jakimś cudem jego samochód nie został zarekwirowany przez Niemców),

rozszerzał sieć kontaktów, przewoził amunicję i urządzenia stacji nadawczej. Co ciekawe, niedługo przed śmiercią odwiedził go Stanisław Petkiewicz – mówił, że wyjeżdża do Włoch. Dawne animozje odeszły w niebyt. Czy proponował swojemu niedawnemu konkurentowi szybką ewakuację poza granice ojczyzny?

28 marca 1940 roku Kusociński zostaje aresztowany[96]. Do zatrzymania dochodzi w bramie jego domu, przy ulicy Noakowskiego 16, gdzie przeniósł się wraz z matką i siostrą Marią Gościcką. Zdrajcą i agentem w komórce OW „Wilki” okazał się niejaki Szymon Wiktorowicz, pseudonim „Szymon”[97]. Jego szefem był... Janusz Kusociński. Wyrokiem sądu organizacyjnego Armii Krajowej bojówka AK zastrzeliła „Szymona” w maju 1943 roku. Niemcy natychmiast też dokonują przeszukania mieszkania „Kusego” – niczego nie znajdują. Na pytanie matki: „Co macie zamiar uczynić z moim synem?” pada odpowiedź, że mają zamiar skrócić go o głowę. Tuszyński, powołując się na relację siostry „Kusego”, podaje, że Niemcy byli bardziej zaciekawieni zgromadzonymi przez mistrza olimpijskiego pamiątkami, niż faktycznym przetrząsaniem jego rzeczy

osobistych w poszukiwaniu informacji konspiracyjnych[98].

Kusociński trafił do więzienia mokotowskiego, następnie na Pawiak. Miał być specjalnym więźniem, z kajdanami na rękach, był pilnie przez gestapowców strzeżony. Trzymano go w pojedynczych celach (także na tzw. Serbii – kobiecym oddziale Pawiaka). Jedyne informacje mogły przeciekać do rodziny za pośrednictwem niemieckiego sportowca, niejakiego Hermana, z którym „Kusy” poznał się w okresie swych największych sukcesów sportowych. Odbywał on służbę w Warszawie. Rodzina dowiedziała się, że niewiele można zrobić, gdyż Janusz siedzi za konspirację. Jedyne gryps, jaki zachował się z materiałów śledztwa w sprawie zabójstwa w Palmirach, którego jedną z ofiar był mistrz olimpijski, brzmiał: „Jestem zdrów, bądźcie o mnie spokojni, przyślijcie mi grzebień i wypłaćcie strażnikowi 20 zł”[99]. Cała ekipa z „Pod Kogutem” (knajpa zaraz też została zamknięta) została zatrzymana i przesłuchana. Wszystkich jednak wypuszczono. Kusociński nie wskazał nikogo, nie zdradził współpracowników.

Antoni Szajnowicz, właściciel lokalu, podczas swego aresztu był świadkiem torturowania Kusocińskiego. Wspominał po latach, że słyszał

jak Niemcy tłumaczyli olimpijczykowi, że mają wobec niego, wielkiego sportowca, wiele sympatii i uznania, ale że musi powiedzieć wszystko, co wie na temat działalności konspiracyjnej. Ich wiedza miała pochodzić od jakiegoś Polaka. „Kusy” stwierdził, że nie zna wymienionego nazwiska. Uderzono go i oświadczono, że popełnia błąd, zdając się na milczenie. Kiedy wychodził z katowni, miał mrugnąć porozumiewawczo do Szajnowicza[100].

Mieczysław Szymkowiak przywołuje wspomnienie pewnego więźnia Pawiaka, z którym siedział. Ów więzień zwierzył mu się, że był świadkiem przetrzymywania mistrza olimpijskiego w mordowni, na alei Szucha. Przebieg tej rozmowy utrwalił się dramatycznym obrazem w głowie chłopaka:

Pamiętam go jak dziś [...]. Porozbijany, zmasakrowany, zmalretowany, znieważany... A jednocześnie swoją postawą budził wprost podziw, zdumienie. Nawet te zwierzęta w mundurach SS były zdetonowane, zaskoczone. Cóż za charakter, siła woli, żelazna wytrwałość, duma, odwaga. [...] Pozostał niezwyciężony do końca[101].

Z innych wspomnień na uwagę zasługuje relacja Mariana Żółkowskiego, którego Niemcy zatrudnili przy sprzątanii na Szucha:

Przypominam sobie, iż widziałem [...] jak gestapowcy prowadzili na badanie Kusocińskiego (którego poznałem jako mistrza w biegu przed wojną), który miał ręce obwiązane łańcuchem. Co się z nim stało, nie wiem. W czasie, gdy sprzątałem lokal nazajutrz po badaniach [...] meble tego lokalu były zdemolowane. [...] widziałem krzesła bez nóg, laskę połamaną. Z tego wnoszę, iż w czasie badania Niemcy mogli używać nogi od krzesła czy laski do bicia[102].

Aresztowany w styczniu 1940 roku Bohdan Chomentowski, którego bito i zastraszano podczas przesłuchania na Szucha, wspomina, że widział tam Janusza Kusocińskiego. Zbiegło się to w czasie z wizytą Himmlera w gmachu na Szucha (był tam 30 kwietnia 1940 roku), po której wzmożono terror wobec więźniów. Aresztowana w czerwcu 1940 roku siostrzenica „Kusego” Hanna Gościcka-Rathe widziała wujka przez wizjer celi. „Widziałam przed sobą starca, pochylonego jakby zupełnie zubożonego na wszystko. Było to na krótko przed jego tragiczną

śmiercią, w czerwcu 1940 roku. Miał wówczas 33 lata”[103].

Janusz Kusociński został wysłany jednym z transportów śmierci do Palmir w dniach 20–21 czerwca 1940 roku. Transport składał się z trzech części, w sumie było to 358 osób. Wśród nich oprócz mistrza olimpijskiego znaleźli się marszałek sejmu Maciej Rataj, Feliks Żuber (przyjaciel „Kusego”, olimpijczyk z Amsterdamu), medalista z Paryża Tomasz Stankiewicz i wielu innych. Kusociński, nieludzko wykończony, miał przed załadunkiem wykrzyknąć jeszcze: „Niech żyje Polska!”[104].

Na Szucha, na ścianie katowni Gestapo, widnieją na ścianie znamienne słowa, wyryte przez jednego z torturowanych tam więźniów. Brzmiały one: „Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, jeszcze trudniej zginąć, a najtrudniej cierpieć”. Słowa te następnie jako symbol męki narodu polskiego wyryto w kamieniu leżącym przy wejściu na cmentarz w Palmirach.

Według opinii Mikołaja Zagalskiego, który znał dobrze Janusza Kusocińskiego – pisze o tym w liście do producentów filmu o „Kusym” pod tytułem *Ostatnie okrążenie* – słowa te są autorstwa Janusza. Z listem tym zapoznać się



można w czytelni Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie.

Zawsze kiedy rozstawaliśmy się z Januszem w Warszawie, On mówił: „tak, tak, łatwo jest mówić o Polsce, a jak trudno dla niej pracować; innym razem dobrze pamiętam [...] powiedział [...]: „Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla Niej pracować, a trzeba chyba dla Niej umierać”. Na tej podstawie zawsze mówiłem, że to Janusz paznokciem na białej ścianie napisał na ul. obecnie Armii W.P., gdzie jest Ministerstwo Oświaty, to co jest wyryte gotyckimi literami na cokole przy wejściu na Cmentarz w Palmirach. [...] Słowa te na pewno napisał Janusz Kusociński [podkreślenie w oryginale – przyp. aut.], nasz ukochany Rodak, po agonii, kiedy przechodził tortury w więzieniu gestapowskim w miejscu w.w. Ja jeszcze raz powtarzam, że to są słowa Janusza[105].

Janusz Kusociński został rozstrzelany w Palmirach (tak nazywa się wieś niedaleko polany, na której Niemcy dokonywali eksterminacji Polaków). Egzekucje wykonywano bronią maszynową; kto przeżył, dobijano go pojedynczymi strzałami z pistoletu. W 24 odkrytych mogiłach odnaleziono między innymi

szczątki Janusza Kusocińskiego. W protokole sporządzonym przez Polski Czerwony Krzyż (nr 213/0 z kwietnia 1946 roku) zapisano:

Ciemne, dość długie włosy. W obu szczękach trzecie trzonowe plombowane, zęby białe równe. Garnitur w prążki, kalesony płócienne, czarne półbuciki zelowane, duża stopa. W kieszeni pudełko z tytoniem. [...] Kawalek garnituru, kartki, lusterko, grzebień, św. Antoni[106].

22 listopada 1945 roku rodzina Janusza Kusocińskiego wniosła do Sądu Okręgowego w Warszawie o uznanie go za zmarłego i „zamordowanego przez zbirów niemieckich w bestialski sposób”[107]. Jako dzień zgonu podane są dwie daty: 20 lub 21 czerwca 1940 roku. Do dziś nie ma pewności, w który z wymienionych dni kula morderców dosięgła polskiego mistrza olimpijskiego.

Śledztwo w sprawie konkretnych osób i ustalenia nazwisk niemieckich oprawców, którzy odpowiadali za te zbiorowe mordy, nie zostało rozstrzygnięte. Prowadził je szczeciński IPN, a konkretnie Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, pod sygnaturą S63.2009.Zn. Obejmowało ono kilka

tysięcy ofiar. Umorzone zostało postanowieniem z grudnia 2016 roku. Ten niezwykle ciekawy dokument z dochodzenia uzupełnia ogólnie dostępną wiedzę na temat funkcjonowania „warszawskiego pierścienia śmierci”, ponieważ zawiera wiele nazwisk funkcjonariuszy, którzy nadzorowali masowy wywóz polskiej inteligencji na pola w okolicach Palmir, pracowali w katowniach Gestapo na terenie Warszawy i są odpowiedzialni za eksterminację polskiego narodu. Dużą wartość mają bezpośrednie zeznania świadków tych transportów: Leona Wanata, pracownika kancelarii więziennej, czy Janiny Gruszki, potajemnie wynoszącej listy transportowe z więzienia, oraz innych zmuszanych do pracy na terenie Pawiaka polskich urzędników.

Las w Palmirach, na skraju Puszczy Kampinoskiej, wybrano na miejsce egzekucji dla obszaru Warszawy. Okolice te były już od zimy 1939 roku miejscem straceń. Konsekwentnie też zwiększano liczbę rozstrzeliwanych.

Niemcy likwidowali najbardziej świadomą część narodu polskiego, „jądro polskości”, jak to sami określali. Polacy pozbawieni „warstwy przywódczej”, mieli stać się amorficzną masą

sprowadzoną do poziomu społeczeństwa bezkulturowego, przeznaczonego do pracy pod niemieckim kierownictwem[108].

Eksterminacja warstwy inteligenckiej w żadnym innym kraju nie przyjęła tak ogromnych rozmiarów i nie przyniosła tak dotkliwych strat osobowych jak w Polsce. Nigdzie indziej nie była przez Niemców tak dokładnie przemyślana i zaplanowana. W samych Palmirach stracono 1793 osób. Nie ustalono bezpośrednio odpowiedzialnych za mordy na osobach przewiezionych do Palmir 20 i 21 czerwca. Znane są natomiast podstawowe dane funkcjonariuszy niemieckich z różnych formacji, którzy byli odpowiedzialni za zbrodnie na Polakach podczas II wojny światowej. Lista ta liczy kilkaset nazwisk. Jest uderzające, jak wielu spośród zbrodniarzy nie zostało skazanych lub otrzymało niewspółmiernie niską karę za swoje czyny i dożyło spokojnej starości. Zatrważająca większość nigdy nie stanęła przed żadnym sądem.

Niemiecka prokuratura w Hamburgu odmawiała współpracy, niechętnie osądzała swoich obywateli, przyjmowała ponadto taką

kwalfikację prawną czynu, która pozwalała na przedawnienie masowych zabójstw[109].

Niemieckie prokuratury nie były zainteresowane wyjaśnianiem zbrodni dokonanej w Palmirach, Pawiaku i innych miejscach. Prokuratura w Hamburgu w latach 70-tych i 80-tych umorzyła śledztwa w tych sprawach, nie tylko nie pociągając nikogo do odpowiedzialności, ale ponadto nie dokonując żadnych istotnych i wartościowych ustaleń stanu faktycznego[110].

Wciąż brak informacji na ten temat. Być może właściwe zbadanie sprawy jest zadaniem dla przyszłych pokoleń. Część materiałów znajduje się w (niedostępnych) archiwach rosyjskich. Niemożność zapoznania się z nimi oraz brak chęci współpracy strony niemieckiej były głównymi z powodów, dla których szczeciński IPN zmuszony był umorzyć śledztwo.

Życie Janusza Kusocińskiego znalazło swój tragiczny finał w Palmirach. Jego największy rywal, Fin Paavo Nurmi, został uhonorowany za życia – w czasie Igrzysk Olimpijskich w Helsinkach w 1952 roku zapalał znicz olimpijski. Ostatnią olimpiadą Kusocińskiego

była ta berlińska – choć nie startował na niej, a był zaproszony jako gość honorowy.

Do dziś w Polsce organizowany jest Memoriał Janusza Kusocińskiego. W 1975 roku redakcja „Przeglądu Sportowego” ustanowiła nagrodę im. Janusza Kusocińskiego, której pierwszym laureatem został wybitny narciarz, Stanisław Marusarz. Przyznawana jest tym sportowcom, którzy wyróżnili się osiągnięciami w swojej dyscyplinie i w życiu zawodowym oraz dla których równie ważne są zasady moralne, jakimi kierują się w życiu.

Jeszcze jedna zagadka związana z tą niezwykłą postacią polskiego sportu wymaga wyjaśnienia. Otóż rodzina Kusocińskiego w latach siedemdziesiątych przekazała złoty medal olimpijski zdobyty w Los Angeles w 1932 roku warszawskiej bazylice archikatedralnej. Został on skradziony w nocy z 16 na 17 września 1981 roku.

Złodziej dostał się do wnętrza świątyni przez okienko pod dachem; spuścił się na linie długości około 8 metrów, skradł wota (w tym między innymi medal Kusocińskiego). W podobny sposób wydostał się. Śledztwo w tej sprawie prowadzi Komenda Stołeczna MO[111].

W dokumentacji przechowywanej w archiwum Komendy Stołecznej Policji (podobnie jak w archiwum Komendy Głównej Policji) odnaleziono zapis, że 17 września 1981 roku o godzinie 6.00 proboszcz Bazyliki pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela w Warszawie przy ulicy Świętojańskiej 8 złożył zawiadomienie, że poprzedniej nocy dokonano włamania i skradziono wota o wartości około 100 000 złotych. Czynności w tej sprawie prowadziła Komenda Dzielnicowa Milicji Obywatelskiej Warszawa-Śródmieście. Według zapisu w dzienniku korespondencyjnym Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KDMO Warszawa-Śródmieście 21 grudnia 1981 roku akta sprawy przesłano do Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście.

Co ciekawe, w rejestrach śledztw i dochodzeń z lat 1981–1982 prowadzonych w KDMO Warszawa-Śródmieście sprawa ta nie została zarejestrowana[112]. W aktach prokuratur śródmiejskich (dziś ze względu na właściwość terenową są dwie – przy ulicach Kruczej i Wiślickiej) nie odnaleziono archiwalnych akt śledztwa w tej sprawie.

Zagadka zaginionego medalu olimpijskiego, który jest częścią polskiego dziedzictwa

narodowego, powinna kiedyś zostać rozwikłana.

\* \* \*

Jak potoczyły się losy największego konkurenta Janusza Kusocińskiego? Po tym, jak Stanisław Petkiewicz został zdyskwalifikowany, co – jak ocenia Lesław Bartelski[113] – było czarną godziną polskiego sportu, publikował w różnych sportowych pismach fachowe artykuły na temat zaprawy lekkoatletycznej, wydawał także książki na ten temat; w końcu wyjechał do Argentyny.

Był wysoki i szczupły, miał chłopcęcą twarz i oczy wiecznie uśmiechnięte. Styl jego biegu żywo przypominał najlepsze fińskie wzory. Biegał długim, spokojnym krokiem, świetnie pracował rękami, wydawało się, że płynął po bieżni[114].

Jedyna olimpiada, w której wziął udział, to amsterdamska w 1928 roku. Startował jeszcze w barwach Łotwy, w zawodach na 5000 metrów zajął siódme miejsce. Jego bieg, w którym rywalizował z Nurmim – największym długodystansowcem tamtych czasów – okrył się



legendą. Fińskiego biegacza pokonał w Warszawie w biegu na 3000 metrów, co okrzyknięto sensacją. Stał się bohaterem i największą nadzieją polskiej lekkoatletyki – Kusociński leczył wówczas kontuzję. Kiedy Petkiewicz wraca do gry, przerzuca się na dystanse średnie. I wtedy, w 1930 roku, wybucha bomba – zarzuca się mu, że za swoje starty w USA pobierał wynagrodzenie, a w sklepie sportowym, który prowadzi, wykorzystuje swoje nazwisko w celach reklamowych. W 1932 roku opuszcza kraj, udaje się do Ameryki Południowej. Tam z żoną występuje jako... tancerz! Po raczej nieudanych wояżach wraca do kraju, zajmuje się trenowaniem zawodników – między innymi Józefa Nojego.

W 1946 roku objął stanowisko trenera w jednym z klubów w Buenos Aires. 10 lat później stanął na czele ośrodka sportowego. Mimo iż uniknął wojennych tortur, jego życie także skończyło się tragicznie. Na chwilę przed śmiercią zwolnił z pracy jednego z pracowników tego ośrodka. To z jego rąk w ostatnich dniach grudnia 1960 roku został zastrzelony. Zabójca po dokonaniu aktu zemsty popełnił samobójstwo. W plebiscycie gazety „Sportowiec” na sportowca

wszechczasów Petkiewicz zajął 17. miejsce, Kusociński zaś pierwsze[115].

„Życie ludzkie im bogatsze i barwniejsze, im zasobniejsze w klęski i zawody, tym bardziej staje się pełnowartościowsze”[116]. Słowa te, zawarte w rękopisie „Od palanta do olimpiady”, stały się niejako proroctwem oraz pięknym podsumowaniem życia i śmierci niezwykłych sportowców tych wyjątkowych czasów młodej polskiej niepodległości, szybko utraconej przez okrucieństwa wojny.

<b>WAŻNE LATA W ŻYCIU JANUSZA KUSOCIŃSKIEGO</b>	
1928 (Amsterdam)	brak kwalifikacji olimpijskiej
1932 (Los Angeles)	złoty medal w biegu na 10 000 metrów z czasem 30:11,4; nie przystąpił do biegu na 5000 metrów (w którym był faworytem) ze względu na bardzo zły stan stóp po pierwszym występie
1936 (Berlin)	znowu nie startuje w związku z problemami ze zdrowiem i kilkuletnią rekonwalescencją; ze łzami w oczach obserwuje zmagania olimpijskie jako korespondent
1939	szukuje się do wielkiego powrotu na olimpiadę w Helsinkach, która miała odbyć

się w 1940 roku; jest w najwyższej życiowej formie...



*19. Janusz Kusociński z nagrodą główną 10. biegu okrężnego o puchar „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” w Krakowie, maj 1931 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*20. Kusociński na Międzynarodowych Zawodach  
Lekkoatletycznych w Antwerpii, 1931 rok*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*21. Letnie Igrzyska Olimpijskie w Los Angeles, bieg na 10 000 metrów (Kusociński pierwszy z prawej), 1932 rok*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*22. Kusociński i Fin Volmari Iso-Hollo w biegu na 2 mile angielskie, zawody lekkoatletyczne zorganizowane przez klub Warszawianka na stadionie Legii, 15 października 1932 roku  
fot. J. Binek/Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*23. Kusociński i Volmari Iso-Hollo w Warszawie,  
15 października 1932 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*24. Kusociński i Jadwiga Wajsówna w czasie  
Letnich Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles, 1932  
rok*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe





*25. Lekkoatleci Zygmunt Heljasz i Janusz  
Kusociński w Londynie, 1934 rok*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*26. Kusociński w czasie biegu sztafetowego, 1937 rok*

fot. L. Jarumski/Narodowe Archiwum Cyfrowe



*27. Kusociński ze swoim psem, luty 1938 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

# Rozdział IV

## PODWÓJNA STASIA

### Stanisława Walasiewiczówna

W przededniu olimpiady w Los Angeles w 1932 roku Stasia ma na swoim koncie 14 amerykańskich rekordów, a na chwilę przed olimpijskim biegiem uzyskuje czas 11,7 sekundy na 100 metrów[1]. Uwielbiana w Polsce, walcząca z niechęcią Amerykanów (którzy nigdy nie wybaczyli jej decyzji, aby startować w barwach biało-czerwonych), najlepsza sprinterka świata i Polski, czterokrotna laureatka w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” na sportowca roku (za każdym razem zajmowała miejsce trzecie). Królowa bieżni, królowa sportu. Nie miała łatwego życia.

Kiedy w 1980 roku zginie od kuli złodzieja, sekret jej interseksualności wyjdzie na jaw i raz na zawsze ukierunkuje ocenę osiągnięć wybitnej sportsmenki, której życie to z jednej strony pasmo sukcesów, z drugiej – ciągła walka.

## WSZYSCY JESTEŚMY OLIMPIJCZYKAMI

Już są tu chyba wszyscy, około 1500 zawodników reprezentujących najwyższą klasę światową. [...] Rozdano już koło 40 złotych kluczy w Los Angeles. Tyle reprezentacyj przyciągnęło przez Pershing Square i zaludniło już wioskę olimpijską. [...] Stanowczo lepiej powodzi się panom, niż paniom. Mieszkają oni w pobliżu znakomitych terenów do treningu, gdzie każdy niemal może pracować w zupełnym odosobnieniu. Skwapliwie z tego prawa korzystają Japończycy i Finnowie, zwłaszcza pływacy japońscy w żaden sposób nie chcą zdradzić tajemnicy, jak ludzie tak mali i szczupli mogą z taką łatwością pruć fale. [...] Obóz męski w tzw. Olympic Village jest zupełnie odseparowany od wszelkich wpływów kobiecych. O tem, żeby zamieszkała tam jakaś zawodniczka, mowy być nie może[2].

W podsumowaniu olimpijskim gazeta „Start” oceniła X Olimpiadę jako najlepiej zorganizowaną w historii. Wzorową pod każdym względem.

Organizacja igrzysk olimpijskich przeszła wszelkie oczekiwania i ustanowiła rekord sprawności i doskonałości tak wyśrubowany, że zapewne przez wiele lat nie będzie on do pobicia. Poczyniono tyle ułatwień, udogodnień i tak wielkie ustępstwa natury finansowej, że chyba nikt inny – poza Ameryką – nie mógłby sobie na nie pozwolić. Wprawdzie – gdyby tych ułatwień i udogodnień nie było zapewne olimpijczycy europejscy nie przybyliby wcale lub w minimalnej liczbie[3].

Doniosłą rolę odgrywał megafon, zachęcający do oklasków, nawołujący do ciszy, w przerwach między startami rzucający dowcipami, a nade wszystko instruujący amerykańską publikę, jak się odpowiednio zachować (puczano na przykład, że podczas grania hymnów państwowych należy zdjąć nakrycie z głowy, czego, jak wnikliwie spostrzegła redaktor naczelna „Startu” Kazimiera Muszałówna[4], „w żadnym kraju europejskim nie trzeba by czynić”[5]).

„Nikt się nie pcha, nie przepycha, nie zabija złem okiem[6]” – zachwyca się Muszałówna niemalże wojskowym drygiem Amerykanów. Stwierdza, że to amerykańska „szkoła sportu”, która ukształtowała taki stosunek człowieka do człowieka. Nie wszystko jednak złoto, co się złotem jawi – na niwie zachwyty pojawiały się także obawy przed szowinizmem. Amerykanie podkreślali na każdym kroku wyższość swojego sportu i własnych zawodników, co przejawiało się najgorętszym oklaskiwaniem ich wyników, nawet przy takich zawodnikach z Europy, którzy zdobywali złote medale. Kolejna olimpiada, w Berlinie, skłoniła do zweryfikowania tej surowej oceny owego „szowinizmu”. Na koniec szczypta zazdrości polskiej dziennikarki, która w swoim subiektywnym wywodzie dostrzega, że wszyscy mieszkańcy Los Angeles są pięknie opaleni, „świetnie wymyć”, sprawni, a „przede wszystkim – młodzi. Nikt nie chce być starym w Ameryce...”[7].

Stanisława Walasiewiczówna po przybyciu do Los Angeles (ominięły ją znoje długiej zamorskiej podróży; przybyła ze swojego Cleveland koleją, dzięki czemu zachowała znakomitą formę) zamieszkuje w odległym od wioski olimpijskiej hotelu „Chapman”. Jest – obok Janusza

Kusocińskiego – największą nadzieją na złoty medal w sprincie.

Hotel „Chapman” sprawiał wrażenie zdecydowanie gorsze od wioski olimpijskiej, wciąż jednak imponujące.

Siedziba ogromnie komfortowa z wszelkimi ułatwieniami, jakie tylko można sobie pomyśleć. Dyżury lekarskie bezpłatne – w dzień i w nocy, poczta i telegraf na miejscu, własny ogród, naturalnie – łazienka i telefon przy każdym pokoju[8].

Wieczorową porą organizowano liczne *garden party*, w których udział brały hollywoodzkie gwiazdy; przygrywał zawsze jakiś *jazz band* (Walasiewiczówna była wielką fanką jazzu). Swoją obecnością zaszczycała zawodników Mary Pickford[9] („malutka sztuczna blondynka”) z mężem, Harrym Lloydem[10] („niski pan o licznych zmarszczkach”), Tom Mix[11] („wyglądający jak kowboj”), John Weismuller[12] („prawie dziecienna twarz, prawie reklamowe zęby”, „malutka główka na pysznym torsie greckiego atlety”[13]). Aktorzy dziś nieco zapomniani, ówczesne gwiazdy znane z takich produkcji, jak



*Mała księżniczka i Kokietka* (Pickford), *Jeszcze wyżej* (w filmie to właśnie Lloyd zwisa z wysokiego budynku, trzymając się wskazówek ogromnego zegara), Tom Mix – gwiazda westernów, Weismuller – odtwórca roli Tarzana, wybitny pływak. Poza emocjami sportowymi nasze gwiazdy miały zapewnione mnóstwo atrakcji!

## AMERYKA KONTRA STASIA

„Szczupła, wysoka, o chłopięcej figurze, ciemnowłosa dziewczyna” – tak wspominała swoją drużynową koleżankę Jadwiga Wajs[14]. „Wspaniale biegająca, bezapelacyjnie wygrywająca swoje konkurencje. Zazdrościłam jej wspaniałych wyników, potem oklasków i popularności” – pisała w szczerym wyznaniu. „Byłam zaskoczona jej dobrą polszczyzną. Wypytywałam, jak do tego doszło, że po 17 latach pobytu na kontynencie Ameryki [wyjechała z Brodzicy na Pomorzu jako trzymiesięczna dziewczynka – przyp. aut.] zupełnie dobrze mówi po polsku”. „Jestem Polką, wychowałam się w polskim domu”[15] – odpowiedzieć miała Stasia.

Stanisława Walasiewicz (podpisywała się zawsze, używając formy Walasiewiczówna) urodziła się 3 kwietnia 1911 roku w Wierzchowni (dzisiejsze woj. kujawsko-pomorskie). Rodzice, Julian i Weronika, postanawiają wyjechać za wielką wodę z kilkumiesięczną Stasią. Jest 1912 rok. W Stanach przyjmuje imię i nazwisko Stella Walsh – Stanisława Walasiewicz dla Amerykanów jest niewymawialne. Od najmłodszych lat pasjonuje się sportem – koszykówką, bejsbolem. Nauczyciele szybko odkrywają w młodej, ambitnej zawodniczce potencjał sprinterski.

Ćwiczyła samotnie według swojego „rozkładu jazdy” jak się wyrażała. Stasia zawsze opanowana, nawet nad wiek poważna i świadoma celu, we wszystkim co robiła[16].

Gazeta „Start”, przypominając sylwetkę najszybszej kobiety świata – jak ją wówczas tytułowano – podaje, że Stasia jest bezgranicznie ofiarna i walczy o zwycięstwo nie tylko dla siebie, ale dla całej drużyny. Żyje jak mniszka, nie chodzi na zabawy (jak jej koleżanki), jest bardzo ambitna i zdyscyplinowana. Ubolewa, że

koleżanki nie zawsze cel, jakim jest osiągnięcie najlepszych wyników sportowych, mają tak jasno sprecyzowany, jak ona. Leży jej bowiem na sercu przyszłość lekkiej atletyki w Polsce, pragnie jej ciągłego rozwoju[17].

Po przyjeździe na olimpiadę zostaje napiętnowana przez amerykańskich dziennikarzy. Jako mieszkanka Stanów Zjednoczonych (jeszcze nie obywatelka) zdecydowała się reprezentować Polskę. Problemy Walasiewiczówny w Los Angeles polegały głównie na odpieraniu ataków i nieprzychylności widzów.

Sprawa Walasiewiczówny nie schodzi ze szpalt prasy amerykańskiej i wywołuje tu taki sam mniej więcej rozgłos, jak sprawa Nurmi. Pewien subtelny odcień polega na tym, że Nurmi jest broniony przez opinię amerykańską, a Walsh – atakowana[18].

Tak donosił „Przegląd Sportowy” przed startem naszej sprinterki. Nurmi – fiński lekkoatleta, król bieżni – został zdyskwalifikowany za zawodowstwo; Walasiewiczównę media amerykańskie kęsały, bo wybrała start w reprezentacji Polski. Jej

ówczesna forma nie pozostawiała wątpliwości – była najszybszą kobietą świata na dystansie 100 metrów (biegu na 200 metrów wówczas nie rozgrywano). Ameryka nie mogła wybaczyć jej tej decyzji. Walasiewiczówna zarzuca złośliwość nawet swojemu pracodawcy, New York Central Railway, wymówiono jej bowiem posadę. Stasia nie chciała przyjąć obywatelstwa amerykańskiego, choć wychowywała się w USA, kończyła tu szkoły, ale w domu wciąż posługiwała się językiem polskim.

W swoim biegu olimpijskim nie tylko sięgnęła po najwyższy laur, przypieczętowała go także rekordem, który na 100 metrów wyniósł 11,9 sekundy. Jak odnotował korespondent „Przeglądu Sportowego”, z trybun zapełnionych głównie przez Amerykanów, mimo tak porywającego półfinałowego biegu i doskonałego wyniku, nie rozległy się żadne oklaski... W tyle, trzy metry za sobą, pozostawiła Kanadyjkę Mary Frizell[19], a także trzecią w tym biegu – Japonkę Sumiko Watanabę[20].

Kolejnego dnia Walasiewiczówna podrywa się do biegu finałowego i znów osiąga wynik 11,9. Powtarza ustanowiony przez siebie rekord świata w biegu kobiecym na tym dystansie.

Pada strzał. Walasiewiczówna i Dollinger zostają w dołkach [dawne określenie bloków startowych – przyp. aut.], Strike wybiega trochę za wcześnie. Kiedy Polka i Niemka ruszyły z dołków – Strike już prowadziła bieg z trzema metrami awansu[21].

Walasiewicz do połowy toru biegnie na przedostatnim miejscu, ale szybko dogania Hildę Strike[22]. Najwięcej problemów nastręczyła jej Amerykanka, Wilhelmina van Bremen[23]. Stasia wpada na metę pół metra przed Strike, zdobywając drugi na tej olimpiadzie złoty medal dla Polski. Miała także szansę na wysoką lokatę w rzucie dyskiem, występowała obok Jadwigi Wajs. Ostatecznie zajęła miejsce szóste. Tak to widziała niezastąpiona redaktor Muszałówna:

Polki walczyły z przeszkodami nie do pokonania. Najpierw – w konkursie olimpijskim używany był wyłącznie dysk fiński, którym Polki nigdy dotąd nie rzucały. Dysk fiński, grubszy i mniejszy od naszego, niebardzo układał im się w ręce. W wyniku – przegraliśmy murowane szanse w konkurencji, która wydawała się bezapelacyjnie nasza.

Walasiewiczówna ma w dysku najtrudniejsze zadanie. Dysk rozpoczyna się o godz. 14:30, finał

setki – o godz. 16-ej. Walasiewicz oszczędza się na finał i w eliminacyjnych rzutach daje z siebie tylko tyle, aby sklasyfikować się w finale[24].

Po krótkim odpoczynku rozgrywa swój zwycięski sprint. Tymczasem trwa walka w dyscyplinie rzutu dyskiem, w której nasza kolejna nadzieja – Wajsówna – lokuje się dopiero na miejscu trzecim. Przed nią dwie Amerykanki rzucają na odległość ponad 40 metrów. Jadwidze Wajs nie udaje się uzyskać tego wyniku w zawodach olimpijskich, ale pobije rekord już wkrótce, na konkursie w Chicago. Sprawa Walasiewiczówny czeka na rozwiązanie – tuż po odegraniu hymnu polskiego za zwycięstwo w biegach, biegnie... tym razem oddać trzy finałowe rzuty dyskiem!

Nastrój jest nerwowy, mało sprzyjający zawodnicze. Ona sama – zmęczona ogromnie. Wiemy, że w tych warunkach liczyć na nią nie można[25].

Faktycznie, zmęczenie robi swoje; oddaje rzuty poniżej 33 metrów. Zajmuje szóste miejsce. Dodajmy, że Schabińska[26], trzecia z pań kadry olimpijskiej w biegu przez płotki (na 80 metrów),

zajęła czwarte miejsce, ustanawiając rekord Polski.

Radość z wyników była ogromna, choć liczone na więcej. Za najważniejsze osiągnięcia uznano wygraną Kusocińskiego i oczywiście Walasiewiczówny. W kobiecych występach doceniano nie tylko wyniki, lecz także wygląd i ogólne wrażenie, które żywo interesowały prasę całego świata.

„Los Angeles Evening Herald” w krótkim podsumowaniu kobiecych drużyn zanotował, że na przykład Kanadyjki są bardzo urodziwe, wysokie, szczupłe, z dużym temperamentem, Japonki – najmłodsze, Holenderki to w większości mocne, wysokie blondynki, Niemki – ciężkie, duże i silne, a Polki – dumne, ożywione duchem narodowym i przyjacielskie[27]. Przepiękny przegląd reprezentacji kobiecych z szesnastu krajów przestawił „Start”. Jak podkreślała Kazimiera Muszałówna, zawodniczki (w liczbie około 150) stanowiły wdzięczne pole do obserwacji. Japonki w oczach dziennikarki były grupą najmiłą i najbardziej przyjacielską:

Zawsze jednakowo ubrane – przychodziły często do stołu w swych jednakowych strojach japońskich. Nosiły stale wachlarze i papierowe od słońca

parasolki. Demonstrowały różne zabawki, chusteczki it.p. „made in Japan”. Śpiewały swoje dziwne i smutne melodie. Bardzo malutkie i młodziutkie, uśmiechnięte zawsze, cichutkie, wdzięczne, gotowe do wszelkich usług i pomocy. [...] Proste, naturalne, bez pretensji[28].

Kanadyjki zachwyciły Muszałównę, górowały nad innymi zawodniczkami urodą („twarze urodzonych gwiazd filmowych”), kobiecością i postawą. Grupą najbardziej krzykliwą, radosną, pewną siebie i najliczniejszą były Amerykanki. Oryginalnie ubrane, zawsze wesołe, gadatliwe, koleżeńskie. Podobnie jak Niemki, które trzymały sztamę z zawodniczkami polskimi, z tym że nieco im się dostało za wygląd.

Niemki – w liczbie siedmiu zawodniczek [...] prezentowały się jedna w drugą, jak prawdziwe Brunhildy. Duże, tęgie, ciężkie, jasnowłose i raczej nieładne, ale mocne i wybitnie koleżeńskie. Ich kierowniczką była wspaniała florecistka, Helena Mayer[29], wykształcona, inteligentna, bardzo wyrobiona towarzysko [...] wspominała nazwisko Konopackiej [ta nie startowała w olimpiadzie



amerykańskiej – przyp. aut.], zachwycając się jej urodą i pięknem zacięciem sportowem[30].

Kto dziś tak dosadnie (i bezczelnie?) kwitowałby wygląd sportowców? Dostało się także Angielkom – Muszałówna opisuje je jako „najzwyklejsze panienki, spokojne, ciche”, „ani urody, ani budowy sportowej”, „grupa szara bez wyraźniejszych cech”. Z kolei Dunki były jednymi z najstarszych wśród wszystkich reprezentacji, „duże i aż za ciężkie”[31] (!).

Co zatem napisała o Polkach?

Trzy Polki[32] – były na ogół bardzo lubiane. [...] Na czoło wysuwała się naturalnie Walasiewiczówna, główna atrakcja olimpijskiego hotelu pań. Nie przypuszczałam, aby popularność Walasiewiczówny w Ameryce była aż tak ogromna. Na długo przed zawodami ona jedna spośród wszystkich olimpijek uważana była za murowaną faworytkę do setki. Odnoszono się do niej z ogromnym szacunkiem i wyraźną obawą. [...] Wajsówna jednała sobie sympatię swym dziecięcym humorem i prostotą obejścia. Schabińska, pełna taktu i wrodzonego dowcipu, była ulubienicą każdego środowiska, w którym się znalazła[33].

O wyglądzie naszych pań – ani słowa. Szkoda, bo akurat Wajsówna była faktycznie jedną z bardziej urokliwych zawodniczek (choć, jak podawano, „nie ułomek”). O raczej męskiej urodzie Walasiewiczówny redaktor Muszałowna nie wspomniała słowem, ale może właśnie w kontekście pojawiających się wątpliwości co do płci polskiej zawodniczki pozwoliła sobie na tak odważne i kategoryczne oceny sportsmenek z innych państw. W swym podsumowaniu rzuca cień podejrzeń choćby w kierunku zawodniczek amerykańskich. I tak płotkarka i oszczepniczka Babe Didrikson[34] wypadła w oczach redaktor Muszałowny jak chłopak: „z wiecznie zachrypniętym głosem, króciutko ostrzyżona, nieładna lecz miła, prezentowała niewiele cech kobiecych. Klęła jak zawodowy tramp, nie żałując sobie nawet na boisku”. Z kolei dyskobolka Ruth Osburn[35] była „wysoce atletyczna”, „nazywana zgodnie przez wszystkie zawodniczki «chłopem», trzymała ręce w kieszeniach i ruszała się w sposób niezwykle męski”[36]. Dorzucę tu jeszcze obserwację Janusza Kusocińskiego, przyjaciela Walasiewiczówny, który przy okazji przedolimpijskich zawodów w Czechosłowacji opisywał rywalkę Stasi – niejaką Zdeňkę

Koubkvą[37]. Ta według „Kusego” miała „zupełnie męską budowę, a nogi zgrabnego chłopaka”[38]. Sensacją pachniały doniesienia o zmianie płci czeskiej zawodniczki, która faktycznie w 1936 roku pojawiła się już jako Zděnek Koubek. Po II wojnie światowej uprawiał on w rodzimym mieście rugby. Polska w tym czasie także doczekała się swojej Koubkovej – co, podkreślmy, wywoływało wówczas niezdrowe podniecenie, choć nie było wcale tak rzadkie. Oszczepniczka Zofia Smętkówna, zawodniczka Warszawianki, przeszła operację zmiany płci i stała się Witoldem Stanisławem Smętkiem. Dziennikarze nie omieszkali odwiedzić jej tuż po operacji, w jej własnym domu. Jak podawała wtedy prasa, przypadki takie były całkiem częste, choć wciąż szokujące, spotykane głównie właśnie w świecie sportu, zwłaszcza wśród kobiet-zawodniczek. Wypowiedzi ówczesnych lekarzy dziś gorszą i wprowadzają w osłupienie. W prasie można znaleźć bowiem takie farmazony, że do 21. roku życia „płeć może nie być jeszcze skryształizowana”[39].

Niezależnie od pojawiających się tu i ówdzie podejrzeń, Walasiewiczówna wyszła z olimpiady zwycięsko. Można się tylko domyślać, że życie w takiej atmosferze odcisnęło na niej swoje

piętno. Jeśli dziś mamy problem z rozmawianiem na temat interseksualności, jeśli nie akceptujemy wyborów takich osób, a zmiana płci wciąż wywołuje niezdrowe emocje, możemy sobie tylko wyobrazić, jak reakcje na tak wrażliwą i niezbadaną kwestię wyglądały w latach trzydziestych.

Jadwiga Wajsówna, przywołując obrazki z amerykańskiej wyprawy życia (która, notabene, nie była dla niej udana – mimo szumnych zapowiedzi i „pompowania balonika” przez polskie media zajęła dopiero trzecie miejsce i wróciła do kraju z brązowym medalem), wspominała Stanisławę jako niezwykle koleżeńską, zawsze opanowaną, zdyscyplinowaną i świetną sportsmenkę.

Rozumiałyśmy się, pomimo że wychowywałyśmy się w tak różnych warunkach i obyczajach. [...] Spotkania, wspólne zakwaterowanie, treningi w Los Angeles, zbliżyło nas jeszcze więcej. [...] Treningi na szkolnym boisku w towarzystwie Catora [haitański skoczek w dal – przyp. aut.] zwiedzanie miasta Aniołów, wycieczki w góry [...] sama olimpiada zafascynowała nas. [...] Złote medale Stasi i „Kusego” były wspaniałą propagandą Polski w dalekiej Kalifornii[40].

Z rozbawieniem przypominała sobie wspólne z nią wypadki w miasto, gdzie otaczał je szpaler dziennikarzy, żywo zainteresowanych przede wszystkim najszybszą kobietą świata.

Badano bez pardonu nasze mięśnie – wykrzykując „Okej, O yes!”[41]

## BERLIŃSKIE ZAWODY

Każdy przyjazd Stasi do Polski był szeroko komentowany, w tonie nader serdecznym. Uwielbiała ją prasa, uwielbiali kibice, była chętnie widywana na salonach. Jednak Stasia była z krwi i kości sportowcem; jej kolejne zawody międzynarodowe (nie mówiąc już o polskich) to pasmo sukcesów, choć to starty olimpijskie zapisały się w jej karierze jako najważniejsze.

Na igrzyska w Berlinie w 1936 roku przyjechało 776 sportowców z 43 państw świata. Mimo początkowych protestów zaakceptowano faszystowskie Niemcy jako gospodarza.

O olimpijskie laury w cieniu nazistowskiej polityki konkurowano w dniach 1–6 sierpnia. Olimpiada miała być przede wszystkim

osobistym sukcesem Adolfa Hitlera, czystą propagandą nazizmu, wszystko musiało być doskonale. Jednak już dzień otwarcia nie spełnił oczekiwań organizatorów – i zapewne samego Führera. 1 sierpnia przywitał wszystkich mżawką, co skutecznie popsuło humory hitlerowskim notablom. Nad olimpijskim stadionem porządku strzegł sterowiec „Hindenburg”, upstrzony swastykami krążył, rozsiewając atmosferę zagrożenia, powszechnej mobilizacji, niemającej nic wspólnego ze świętem sportowym. Tłumy wiwatowały na cześć Hitlera, który po godzinie 15.00 udał się czarnym mercedesem w kierunku stadionu. Pochlebców pozdrawiał z otwartego samochodu. Tak to zapamiętał dziennikarz brytyjski George Price[42]:

Gęste tłumy nieprzerwanie ryczące „Heil! Heil! Heil!”. [...] Hitler przez cały czas stał, unosił ramię w salucie i uśmiechał się na prawo i lewo. [...] Wszyscy, bez względu na wiek i pozycję, mieli na twarzach ten sam wyraz ekstatycznej radości[43].

Stadion ogarnęła masowa histeria. Violet Webb[44] wspominała, że „gdy wszedł na stadion, można było sądzić, że Bóg zstąpił

z nieba”[45]. Niefortunny gest, którym pozdrawiano Hitlera – wyciągnięta, wyprostowana ręka – był antycznym salutem olimpijskim, przejętym przez nazistów. Zatem zawodnicy państw (na przykład Francji), którzy zdecydowali się unieść ręce w tradycyjnym geście, owacyjnie byli witani przez publiczność odczytującą ten akt jako pozdrowienie nazistowskie. Polska ekspedycja prezentowała się dumnie.

Z daleka rysuje się wysoka sylwetka Walasiewiczówny. [...] Projektodawca naszych kostjumów nie wziął pod uwagę ceglastego koloru bieżni, z którą czerwone kurtki zawodników gryzły się bardzo wyraźnie. Natomiast na tle jasnej murawy boiska zespół polski wyglądał doskonale. Drużyna posiadała postawę raczej dobrą, wygląd poprawny. [...] Przed lożą kanclerza Hitlera, Polacy zdejmując czapki, trzymając je w wyprostowanej ręce na wysokości bioder. Ten sposób salutowania wywołał mniejszy entuzjazm wśród publiczności niemieckiej, niż powitanie Austriaków i Francuzów, którzy wzorem starożytnych Olimpiad pozdrowili kanclerza wyciągnięciem prawej ręki. A to mało się różni od pozdrowienia hitlerowskiego...[46]

Z ust Hitlera pada słynne „Ogłaszam otwarcie igrzysk XI Olimpiady!”. Wypuszczono 30 tysięcy gołębi, które wzbiły się w niebo na znak pokoju. Zapalono znicz olimpijski. Magazyn „Światowid” w swojej relacji podawał, że „otwarcie Igrzysk było wspaniałe”, na końcu wyrażając nadzieję na pomyślność polskich sportowców podczas planowanej olimpiady tokijskiej:

Za cztery lata – narody spotkają się w Tokio, jeśli będzie „ładna pogoda”, jeśli nie będzie burzy nad światem... Do Tokio mamy ładny kawałek drogi. Ale i tam nie damy się...[47]

Stasia Walasiewiczówna tuż przed swoim biegiem nabawiła się kontuzji nogi, o czym masowo informowano, obawiając się o wynik najlepszej sprinterki świata. Oczywiście była faworytką „setki”, broniła tytułu, ale niepewność przebijała z relacji przed jej biegiem:

Walasiewiczówna, fenomenalna biegaczka, dotychczas bezkonkurencyjna. Jej talent i kolosalna rutyna powinny i w tym roku zapewnić jej pierwsze miejsce. Ale – dojrzał inny wielki talent, miss Stephens[48], Amerykanka o wzroście ponad 180 cm, która osiąga czasy równie wspaniałe, jak Stella...



Walka będzie zacięta, ale Walasiewiczówna twierdzi, że nie da sobie wydrzeć zwycięstwa[49].

Przedbiegi w stumetrówce kobiet nie wypadły imponująco – oprócz Walasiewiczówny i Stephens na wyróżnienie zasługiwały tylko dwie Niemki: Dollinger[50] i Krauss[51]. Rzeczywiście, Stephens była zbudowana nader okazale. Górowała nad konkurentkami wzrostem, potężną sylwetką. Charakteryzowała się dość słabym startem, już jednak po paru metrach wysuwała się wielkimi susami na prowadzenie. I znów nie sposób pominąć kwestii, na której temat gazety (zwłaszcza polskie) milczeć nie chciały. „Przegląd Sportowy” spekulował:

Gwiazda USA [chodzi o Stephens – przyp. aut.] niczem nie przypomina jednak kobiety. Wzrostu ma około 180 cm., nogi – co najmniej 43 numer, stąpa niezdarnie, kiwając się na boki, a białej koszulki z ukośnym trójkolorowym pasem nie wypełniają najlżejsze choćby zarysy kobiecych piersi. Jej fizjonomia jest również mało powabna. Stephens chodzi zawsze poważna, a nawet ponura. Nie śmieje się nigdy[52].

Pomijając kolejne obraźliwe rozważania i komentarze, nie dało się nie zauważyć jej imponującego czasu w półfinale – 11,5 sekundy na 100 metrów. Wcześniej w przedbiegu ustanowiła rekord na tym dystansie (11,4)[53]. Musiało to wzbudzać słuszny niepokój wśród fanów Stelli, jak również u samej Walasiewicz. Z pewnością zastanawiające były wyniki Walasiewiczówny już w biegu półfinałowym, w którym przysłała do mety równo z Niemką Dollinger – czas mało imponujący, ledwie 12,0 sekund.

Już po kilkunastu metrach Stephens wychodzi na prowadzenie, podczas gdy Stella zalicza jedno z wolniejszych wyjść z bloków startowych. Znana z szybkiej reakcji startowej, tym razem zdecydowanie ją zawala, przez co nie może dogonić przeciwniczki. Dobia do mety z czasem 11,7, jeszcze na 30. metrze biegła jako czwarta. Stephens przerywa wstęgę i zwycięża z czasem 11,5 sekundy. Helen Stephens wygrywa z Walasiewiczówną na jej koronnym dystansie. Stasia nie kryje rozczarowania. Jest 4 sierpnia 1936 roku.

Guy Walters w swoim dziele *Igrzyska w Berlinie* dowodzi, że męskość Stephens nie wynikała bynajmniej z faktu, że faktycznie

mężczyzną była. Stephens, zwana „Fulton Flash”, miała za sobą trudne dzieciństwo. Zgwałcona w wieku lat dziewięciu przez swojego nastoletniego kuzyna przejawiała dużą niechęć wobec całej męskiej populacji. Jej męski głos przypisywano zaś nieszczęśliwemu wypadkowi, któremu uległa także w dzieciństwie – wbiła sobie kawałek drewnianka w krtań[54].

Co ciekawe, po wygranym biegu została zaproszona do łoża honorowej Hitlera, w której zwykł on gratulować zwycięzcom. Stephens zaserwowała mu mocny uścisk dłoni, który to mikry Hitler miał mylnie odczytać i ją przytulać dużo większą sportsmenkę. Ze względu na jej aryjskie cechy (Stephens miała jasne włosy i niebieskie oczy) zaproponował jej występy w barwach Niemiec; Amerykanka podziękowała za tę „łaskawą” ofertę. Hitler rzekomo posunął się jeszcze dalej, proponując jej wspólny weekend w jego willi w Berchtesgaden[55]! Wymówiła się startem w sztafecie 4 × 100 metrów[56].

Dodać wypada w tym miejscu, że Stasia wniosła o oficjalne potwierdzenie kobiecości Stephens, mając wobec niej podejrzenia, iż... jest mężczyzną. Zresztą nie była to sytuacja odosobniona. Jak się wkrótce okazało,

lekkoatletka niemiecka (skok wzwyż) Dora Rejten[57] miała być hermafrodytą i – jak przekonuje Walters – „w znacznie większym stopniu mężczyzną niż kobietą”[58]. W tym miejscu zderzę tę historię z opisaną przez Waltersa sytuacją (prawdziwą?). Przytacza on opowieść koleżanki Walasiewiczówny z 1975 roku. Ta (nazwiska Walters nie podał) jakoby miała kiedyś widzieć Stasię... uprawiającą seks z kobietą. Koleżanka oświadczyć miała, że „pójdzie z tym na policję, na co Walsh uderzyła ją pięścią i «uprzedziła», że jeśli to zrobi, Stella «dopadnie ją», kiedy wrócą do Cleveland”[59]. Relacja ta wydaje się wątpliwa[60].

Udało się więc wywalczyć srebro. Jak mantrę wciąż powtarzano doniesienia o bólu, z jakim musiała biec polska zawodniczka. Sama jednak przyznała, że wynik Stephens, nawet przy normalnej dyspozycji, byłby nie do pokonania.

Podobna sytuacja wydarzyła się tuż po olimpiadzie, na zawodach w Wuppertal. Znowu na setkę Stephens przybiegła przed Stanisławą, tym razem jednak z gorszym czasem – 11,6 (Walasiewicz miała 11,8). Na dystansie 200 metrów (dystans nieolimpijski) Stephens przybiegła o pół metra przed Polką. Na pocieszenie dodajmy, że w skoku w dal

Walasiewiczówna była na tych zawodach bezkonkurencyjna.

## DZIEWCZYNA Z SĄSIEDZTWA

W 1936 roku gazety podały, że Walasiewiczówna o mały włos nie stała się ofiarą napadu złodziejskiego, lecz jej refleks, siła i spryt pozwoliły uniknąć przykrej konfrontacji z warszawskim doliniarzem, niejakim Chaimem Miodownikiem, dwudziestodwulatkiem zamieszkałym przy ulicy Miłej 22, który był znany stołecznej policji i nie tylko (karany także w Wiedniu). Myśląc, że Stasia to jakaś bogata cudzoziemka, czynił zakusy na jej portmonetkę najpierw w tramwaju, następnie tuż przy wejściu do redakcji „Przeglądu Sportowego” przy Marszałkowskiej 3/5/7[61].

W poniedziałek spotkała Stanisławę Walasiewiczównę niezwykła przygoda. Oto przyuważył ją sobie jakiś złodziej. Dwukrotne zamiary na portmonetkę naszej mistrzyni nie udały się i dzięki „sprintowi” Walasiewiczówny złodziej został ujęty. W parę chwil potem odwiedza nas Walasiewiczówna i opowiada wrażenia. – Strasznie

podnieciła mnie ta przygoda. Nawet w Berlinie, gdy szłam na start finału setki, na pojedynek ze Stephens, nie byłam tak zdenerwowana[62].

Tuż przed zawodami lwowskimi (które bezapelacyjnie wygrała w barwach Warszawianki), będąc w szczytowej formie, uzyskała wynik znacznie lepszy od rezultatu berlińskiego. „Wyrównany rekord świata na 60 m. i narodziny nowego rekordu świata na 80 m. są zasługą jej znakomitego stanu fizycznego i bieżni lwowskiej” – radośnie konstatowano. „Jest w obecnym stanie niezrównana i najszybsza w Polsce”[63]. Objeżdżała wówczas cały kraj, uświetniając swoją obecnością wszystkie zawody, na które była zapraszana. W Polsce niezwykle popularna, wręcz wielbiona, bywalczyni salonów, przyjaźniła się z największymi gwiazdami. W 1932 i 1933 roku była laureatką Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej, ufundowanej przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego. Aż czterokrotnie triumfowała w plebiscycie „Przeglądu Sportowego” (w latach 1930 i 1932–1934). W roku 1961 gazeta „Sportowiec” urządziła plebiscyt na najlepszego sportowca wszechczasów. Walasiewiczówna zajęła w nim drugie miejsce,

za Januszem Kusocińskim. Uwielbienie dla najszybszej kobiety świata sięgało aż Dalekiego Wschodu – prezes Japońskiej Federacji Kobiecej rokrocznie posyłał jej pantofle do biegania. Wszystko to było elementem przygotowań do olimpiady zaplanowanej na rok 1940 w Tokio...

W 1937 roku Walasiewiczówna śrubuje swoje wyniki na „setkę”, doskonali się także w skoku w dal.

Wojnę przeżyła w Stanach Zjednoczonych. Startowała w zawodach amerykańskich, odnosiła sukcesy, stała się najważniejszą mieszkanką Cleveland.

Tragiczne lata wojny, okupacji ominęły ją. Szczęściara z niej – ale i ona miała bardzo przykre momenty w swoim życiu. Opowiadała, jak na mistrzostwach Ameryki jakiś widz przebiegł przez boisko i padł ugodzony dyskiem przez słynną już biegaczkę. Stasię aresztowano i zastosowano areszt bezwzględny – do wyjaśnienia sprawy.

Choć była bez winy, strasznie to przeżywała i przez długie lata pozostawało niesamowite uczucie – „życie ludzkie to nie zabawa” – mówiła jak zwykle bez podnoszenia głosu, naturalnie i spokojnie[64].

Tragiczną śmierć Stasi odczułam bardzo, tak skończyć pracowite życie! Nigdy w mej pamięci nie zaginie jako wspaniały sportowiec, koleżanka i człowiek. [...] Jak trudno jest wynarodowić Polaka na obczyźnie – Polaka kochającego swój stary kraj. I ona taka była[65].

Przyjechała do Polski w 1946 roku, gdzie postanowiła wystartować w mistrzostwach kraju. Zdobyła aż siedem złotych medali, po czym udała się na ostatni występ w barwach biało-czerwonych – były to mistrzostwa Europy w Oslo. Wróciła do Stanów, zajęła się karierą trenerską, wciąż jednak pozostając w kontakcie z ojczyzną.

Uchwałą Krajowej Rady Narodowej w 1946 roku przyznano Stanisławie Walasiewiczównie Złoty Krzyż Zasługi za krzewienie idei wychowania fizycznego i sportu w Polsce oraz rozsławianie imienia Polski na bieżniach i stadionach świata. To już drugi Złoty Krzyż w jej dorobku – pierwszy otrzymała w latach trzydziestych.

Stanisława Walasiewiczówna była zawodniczką polonijnego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W Polsce trenowała najpierw w klubie Sokół-Grażyna, następnie przeniosła się do popularnej Warszawianki. Po



wojnie startowała w barwach warszawskiej Legii.

Jej główne sukcesy, poza olimpijskimi medalami, to dwa złota w mistrzostwach Europy w 1938 roku w dystansach na 100 i 200 metrów oraz dwa srebra wywalczone w sztafecie 4 × 100 metrów i skoku w dal (który z powodzeniem uprawiała od 1937 roku). Była posiadaczką siedmiu medali zdobytych na Światowych Igrzyskach Kobietych w 1930 i 1934 roku.

W 1956 roku w wieku 45 lat wychodzi za mąż za amerykańskiego boksera Harry'ego Neila Olsona, młodszego od niej o 12 lat[66]. Zarówno dla niego, jak i Stelli, jest to pierwsze małżeństwo w życiu. Ceremonia odbywa się w Los Angeles. Para poznała się sześć lat wcześniej w Cleveland i – według słów Walasiewiczówny na łamach amerykańskiej prasy – spotykali się od półtora roku, planowali ślub. Stella chciała w ten sposób, mimo obywatelstwa amerykańskiego otrzymanego w 1947 roku (rok ten często jest błędnie podawany jako data jej ślubu), zapewnić sobie możliwość wzięcia udziału w przedbiegach i kwalifikacjach olimpijskich. Ten wyczyn jej się nie udał.

Ich małżeństwo przetrwało jednak tylko dwa miesiące. Po latach, pytany o ich wspólne pożycie

Olson mówił, że obowiązki małżeńskie wypełniali tylko przy całkowitym zaciemnieniu pokoju i zaledwie kilka razy. Nie dostrzegł nic nadzwyczajnego w budowie anatomicznej żony.

4 grudnia 1980 roku Stanisława Walasiewicz wybrała się do sklepu „Uncle Bill” przy 6801 Broadway w Cleveland. Chwilę później znalazł ją przypadkowy przechodzień; leżała w kałuży krwi, z przestrzeloną klatką piersiową.

Została przewieziona do szpitala św. Aleksego. Mimo natychmiastowej operacji zmarła tuż po godzinie 23.00. Miała 69 lat. Pochowano ją na cmentarzu Calvary w Cleveland. W ceremonii pogrzebowej, która odbyła się 9 grudnia 1980 roku, udział wzięli sportowcy z Chicago, Detroit, Nowego Jorku oraz polonijna społeczność Cleveland.

Jej śmierć zbiegła się w czasie z innym głośnym na cały świat zabójstwem – ukochanego piosenkarza, członka najpopularniejszego wówczas zespołu „The Beatles”, Johna Lennona. Ta okoliczność nieco osłabiła medialny szum wokół tragedii polskiej sportswomenki.

Walasiewiczówna 4 grudnia wieczorem udała się do sklepu w celu zakupu biało-czerwonych wstążek dla szkolnej drużyny dziewczęcej, którą trenowała. Chciała w ten sposób uświetnić

przyjazd polskiej drużyny koszykówki. Była nader aktywna, nie myślała o emeryturze, wyglądała na dwadzieścia lat mniej, w dobrej formie i wyśmienitej kondycji.

Kiedy wracała z zakupami i chciała wsiąść do swojego samochodu, podbiegło do niej dwóch mężczyzn, by ukraść portmonetkę. Jak zwykle waleczna i tym razem nie miała zamiaru się poddać – podobnie zachowała się przecież w 1936 roku, kiedy warszawski doliniarz sięgał do jej torebki. Młodszy z napastników, dwudziestojednoletni Donald Cassidy, wycelował broń. Stella, niewiele myśląc, złapała za lufę, pistolet wypalił i kula utkwiała w jej piersi. Opadała na chodnik przed swoim samochodem, tracąc przytomność. Wezwano karetkę, ta jednak nie przyjechała na czas. Czy właśnie to opóźnienie kosztowało polską olimpijkę życie?

W przypadkach nagłej śmierci na skutek zabójstwa amerykańskie prawo nakazuje przeprowadzenie sekcji zwłok. Nie inaczej było i tym razem. Wyniki sekcji przyniosły rewelacje na miarę prawdziwego skandalu. Koroner po wnikliwych badaniach wydał opinię, że Stella Walsh posiadała zarówno męskie, jak i żeńskie organy płciowe (zapisano, że miała dziwnie wykształconą cewkę moczową i bardzo słabo

rozwinętego penisa). Ani jedno, ani drugie nie były w pełni wykształcone. Doszukanano się u niej także chromosomu Y (w niektórych komórkach miała chromosomy z końcówką XY, w innych – XX[67]). Była zatem hermafrodytą – zarówno kobietą, jak i mężczyzną. Albo może ani kobietą, ani mężczyzną. Rozpętała się burza. Nagłówki amerykańskich gazet donosiły, że Stella była mężczyzną! – „Stella was a fellow!”.

Rewelacje nakręcały rewelacje, przepytowano znajomych, byłego męża, wszystkich, którzy mogli dostarczyć pikantnych szczegółów na temat Stelli. Ustalono, że w szkole średniej była jednym z lepszych zawodników w bejsbola – tak, zawodników, grała bowiem w drużynie chłopięcej. Koledzy z drużyny nazywali ją „Bull Montana” na cześć amerykańskiego zapaśnika Lewisa Montagny[68] o tej samej ksywce. Nie było to dla niej miłe, zresztą, jak informował jej bliski przyjaciel Casimir Bielen[69], w dzieciństwie dzieci często obrzucały ją gorszymi inwektywami, naśmiewając się z jej muskulatury i chłopięcej urody. To właśnie jego odwiedziła na chwilę przed śmiercią. „Chicago Tribune”, cytując Bielena, napisała: „Zapamiętamy ją nie tylko jako osobę rozmówianą w lekkiej atletyce, ale również

mocno kochającą Polskę”[70]. Dziennikarze Kanału 3 dotarli do przyjaciółki Stelli z młodości, niejkiej Beverly Perret Conyers, którą wstrząsnęła informacja o śmierci koleżanki. Stwierdziła, że ta sytuacja z podejrzeniami o męskość przysparzała Steli ciągłej udręki. Conyers miała bowiem znać sekret anatomii Walasiewicz – jako mała dziewczynka widziała ją pod prysznicem. Stasia miała jej wówczas pytać: „Czy to Bóg mi to zrobił?”.

Szukające wiadomości na temat interseksualności Walasiewiczówny, które rzekomo wyciekły z biura koronera dr. Samuela Gerbera[71], zostały przekazane do dwóch telewizji – Kanałów 3 i 5. Doktor Gerber nie zaspokoił ciekawości dziennikarzy i złożył jedynie suche oświadczenie, że Stella Walsh urodziła się jako kobieta, żyła jak kobieta i zmarła jako kobieta[72]. Bielen próbował wymóc na obu stacjach oficjalne przeprosiny, ale udało mu się to tylko w przypadku Kanału 5. Rodzina chciała pozwać „Trójkę” za szarganie dobrego imienia Walasiewiczówny. Odnaleziono też srebrną medalistkę z Los Angeles, Hildę Strike, i zapytaną ją, czy uważa, że złoto z olimpiady w Los Angeles powinno przypaść jej w udziale. Strike nie pozostawiła wątpliwości, że

tak. Pojawiły się pytania, czy zdobyte przez Walasiewiczównę medale, w tym te najważniejsze – z obu olimpiad – nadal powinny figurować na jej koncie.

Na mszę w intencji Walasiewiczówny przybyła liczna reprezentacja dziennikarzy, uzbrojona w kamery. Bielen, jako trybun i obrońca Stelli pośmiertnie odartej z godności, począł wykrzykiwać do reporterów, aby się wynosili. Wtórował mu wściekły tłum zebranych przyjaciół i społeczności polonijnej. Ksiądz Barnikowski wygłosił znamienne słowa: „Wszyscy jesteśmy powołani do tego życia, by w końcu dostąpić zbawienia. Nikt nie odmierza nam czasu, który spędzamy na ziemi, a osądza nas tylko jeden sędzia”. Następnego dnia odbył się uroczysty pogrzeb dwukrotnej medalistki olimpijskiej[73].

Dopiero w maju 1983 roku morderców Stanisławy Walasiewiczówny postawiono w stan oskarżenia. Do ujęcia sprawców, którzy na miejscu zdarzenia nie pozostawili żadnych śladów daktyloskopijnych, przyczynili się detektywi David Hicks i Josh McKibben. Przez cały czas poszukiwań wyznaczona była nagroda za wszelką pomoc przy ujęciu morderców – pięć tysięcy dolarów. Donald Cassidy i Ricky Clark (jak

się okazało – szwagrowie) zostali skazani w listopadzie 1983 roku, przy czym ustalono, że to Cassidy strzelał. Został skazany na 15 lat więzienia, Clark – na lat 17 (doliczono mu karę za ucieczkę z więzienia). Wyrok ogłosił sędzia Harry A. Hanna. W chwili napadu na Walasiewicz przestępcy nie wiedzieli, że mają do czynienia z mistrzynią olimpijską. Stella była więc przypadkową ofiarą! Pierwszy trop policja podchwyciła w momencie otrzymania informacji od aresztowanego fałszerza, ten zapamiętał jedynie imiona mężczyzn – Donald i Rick – którzy mieli się chwalić zabójstwem Stelli Walsh. Następny trop przyszedł ze strony innego aresztowanego – ten pamiętał również nazwiska morderców[74].

Ciekawą garść wspomnień dorzucił dziennikarz Dan Coughlin[75], wysłany przez swoją redakcję do przeprowadzenia wywiadu ze Stellą Walsh. Spotkał się z nią w Sunrise Cafe, gdzie pracowała jako barmanka. Zaprzyjaźnili się, Coughlin miał być jej ulubionym dziennikarzem, którego mimo sporej różnicy wieku (była 27 lat starsza) uwielbiała przytulać, całować i wyzywać na pojedynki. Na jeden się zgodził i wystartował, mierząc się z olimpijką w jej koronnym dystansie. Miała wtedy 56 lat,

dała mu fory na starcie, ale z dwudziestosześcioletkiem i tak zwyciężyła z czasem... 11,8 sekundy! „Lubiłem ją, choć była trudna w obejściu”[76] – wspominał Coughlin. Mimo swoich lat wciąż świetnie wyglądała, była szczupła, umięśniona, niezwykle silna – zwyciężała w siłowaniu się na rękę z mężczyznami.

W swojej karierze zdobyła 24 tytuły mistrzyni Polski, a w latach 1930–1950 – 50 tytułów mistrzyni USA. Była pięćdziesięciokrotną rekordzistką Polski, ośmiokrotną – Europy, 18 razy ustanawiała rekordy światowe. Jej rekord Polski z 1937 roku w biegu na 100 metrów (11,6 sekundy) nie został pobity aż do 1960 roku. Pamięć o niej przetrwała, lecz nie dzięki ustanowionym rekordom, ale głównie w związku z ujawnioną pośmiertnie tajemnicą jej dwupłciowości.

Stała się patronką ruchu LGBT. W 2016 roku film dokumentalny *Stella* w reżyserii Roba Lucasa został pokazany na Festiwalu Filmowym ruchu LGBT w Atlancie. Kończy go wypowiedź Stelli, która słabą polszczyzną wspomina złoto olimpijskie z 1932 roku, najcenniejszy laur, jaki przypadł jej w udziale:



Nalozyli mi na glowe laur olimpijski i wręczono mnie ten zloty medal. Uczucie bylo takie, ze trudno sie wypowiedziec. Bylo to takie uczucie, jak jeszcze nigdy nie przezyłam. A gdy zagrali [...] Dąbrowskiego [...] bylam jak nieprzytomna i rozplakalam sie[77].

Nie odebrano jej medali olimpijskich, oficjalnie uznano, ze skoro zyła jako kobieta, tak sie czula i zachowywala, medale, ktore wywalczyła jako lekkoatletka, powinny zostac z nią[78]. Na jej plycie nagrobnej zapisano skromnie: „Stella Walsh, Walasiewiczówna, 1911–1980”. Dołączono pięć olimpijskich kól[79].



*28. Stanisława Walasiewiczówna,*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*29. Walasiewiczówna w trakcie przygotowań do  
Letnich Igrzysk Olimpijskich w Berlinie, lipiec  
1936 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

*fotografia z 1933 roku*







*30, 31, 32, 33. Walasiewiczówna w czasie ćwiczeń i zawodów w latach 1930–1936*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*34. Walasiewiczówna z nagrodami, które zdobyła podczas pobytu w USA, fotografia z 1933 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*35. Walasiewiczówna z Wielką Honorową  
Nagrodą Sportową w Państwowym Urzędzie  
Wychowania Fizycznego w Warszawie, 17 marca  
1933 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*36. Walasiewiczówna w czasie wręczenia Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej w Warszawie, 21 czerwca 1934 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe





*37. Walasiewiczówna jako zawodniczka Legii  
w czasie II Mistrzostw Polski w Lekkoatletyce  
w Krakowie, wrzesień 1946 roku  
fot. Jerzy Baranowski/PAP*



*38. Irena Szewińska, Stanisława  
Walasiewiczówna i Maria Kwaśniewska (od  
lewej), Spała, 1977 rok*  
fot. J. Szewiński/Reporter/East News

# Rozdział V

## WYSKAKAŁ SOBIE ŻYCIE

### Stanisław Marusarz

„Narciarstwo jest sportem elity – sportem uduchowionym”[1] – pisał dziennikarz „Sportu Zimowego” w 1932 roku. Myli się ten, kto myśli, że skoki stały się atrakcją dla publiczności dopiero wraz z sukcesami Adama Małysza. W międzywojniu pod skoczniami narciarskimi gromadziło się równie wielu kibiców.

Na niwie ogromnej popularności skoków narciarskich w przedwojennej Polsce wyrósł jeden z najwybitniejszych skoczków i pionierów tego sportu w naszym kraju – Stanisław Marusarz (ur. w 1913 roku). Uczestnik czterech olimpiad zimowych w latach 1932–1936, 1948 i 1952, zapewne brałby też udział w nierozegranych z powodu wojny dwóch

olimpiadach, które odbyć się miały w 1940 i 1944 roku. Wicemistrz świata z Lahti z 1938 roku. Dziś skocznia w Zakopanem nosi dumnie jego imię, a polscy skoczkowie plasują się w elicie świata, odnosząc kolejne wielkie sukcesy.

„Dziadek”, jak go później nazywano, zakończył swoją bogatą karierę w 1957 roku. Miał 68 lat, kiedy oddał swój ostatni skok w życiu – na potrzeby produkcji reżysera Janusza Zielonackiego, który kręcił o nim film. Ostatni publiczny występ, otwierający Turniej Czterech Skoczni, miał w 1966 roku, w wieku 53 lat. Kochał skoki.

[...] skoki są dyscypliną ze wspaniałych najwspanialszą. Dla tych, co stają na rozbiegu, i dla tych, co wokół wybiegu, na zboczu, na trybunach czekają na lot. [...] im więcej ludzi, tym głębiej przeżywasz lot, tym większa twoja radość...[2]

Od dzieciństwa pociągał go sport, grywał w piłkę nożną, jeździł – co dla zakopiańczyka naturalne – na nartach. Uwielbiał polowania, w późniejszym czasie wielką miłością darzył sporty motorowe, samochody. Jednak najbardziej pociągały go skoki. „Czułem w sobie jakąś podświadomą pasję do skoków”[3] – pisał

w swoich wspomnieniach. Jego rodzice byli tej pasji zdecydowanie przeciwni, jak w owym czasie wielu opiekunów naszych sportowców, postrzegali oni bowiem sport jako młodzieńczy wybryk swoich pociech. Rodzice Marusarza widzieli w skokach wręcz zagrożenie dla życia syna. Pierwsze wyniki mistrza nie były powalające – osiągał odległości około 10 metrów. Miał wówczas dziewięć lat. Jak wspominał, młodzi adepci tego sportu swoje pierwsze rekordy znaczyli gałązkami, a pierwsze skoki oddawali na skoczniach usypanych przez siebie z kawałków drewna.

O konkursach, w których brali udział prawdziwi skoczkowie dowiedziałem się, gdy miałem lat dziesięć. Było to w epoce skoczni na Jaworzynce [pierwszej skoczni zawodniczej w Zakopanem – przyp. aut.][4].

Pierwsze zawody międzynarodowe obejrzałem w wieku lat 12. Wiedział, że w przyszłości sam usiądzie u góry, na belce startowej.

Po raz pierwszy oglądałem skoki z udziałem prawdziwych zawodników mając lat 12. Wybrałem się wtedy na Jaworzynkę z całą paczką kolegów. [...]

zawodnicy biorący udział w konkursie skoków na Jaworzynce ubrani byli przeważnie w swetry lub niewygodne bluzy bryczesy sznurowane pod kolana. Przy butach u kostek zwisały tzw. keksy – kolorowe pomponiki uwiązane dla ozdoby[5].

Niewiarygodne, prawda? Sam Marusarz w pierwszych poważnych zawodach w swojej karierze skakał w stroju góralskim! Bronek Czech[6] z kolei, znany z elegancji i pedantyzmu w doborze ubioru, prezentował się w odprasowanych spodniach i granatowym sweterku, z wyłożonym na nim białym kołnierzykiem koszuli. Do tego białe rękawiczki i białe wypustki skarpet, wystające z butów[7].

A gdzie kaski, odpowiednia (bądź nieodpowiednia) szerokość i długość kombinezonów, można spytać? Skoki narciarskie, jak każda dyscyplina, przeszły znaczną ewolucję, począwszy od ubioru, poprzez styl skakania i lądowania, na sylwetce w locie i sposobie punktacji skończywszy.

Styl skoków, jaki prezentowali pionierzy tego sporu, był zdecydowanie różny od dzisiejszego – zawodnicy mieli szeroko rozłożone ręce, proste, w locie machali nimi niczym ptaki. Najnowszy trend, zastosowany przez Norwega Thamsa

w 1925 roku, polegał na ugięciu bioder i wychyleniu do przodu całego ciała wraz z wysuniętymi rękoma.

Tak styl jednego z lepszych skoczków świata tamtego okresu, Birgera Ruuda[8], zapamiętała Kazimiera Muszałówna, redaktor kobiecego pisma sportowego „Start”:

Szybki przerzut ciała do przodu. Pięknie wyłożona na ścianie powietrza, lekkim łukiem nad nartami, postać skoczka wypłynęła wysoko ponad głowami widzów. Narty szły powietrzem równo, wąskim śladem. Rozpostarte ramiona chwyciły powietrze raz i drugi, głęboko, spokojnie, ruchem płynnym i zagarniającym. I nagle – rozpostarte ramiona stanęły w powietrzu nieruchomo. Napięta postać leżała na powietrzu tak spokojnie i tak pewnie, jakby znalazła w niem nikomu nieznanne punkty podporu. Nieruchomo i majestatycznie szybował Ruud, jak orzeł rzeczywisty, uskrzydłony. Zagarnął lotem 75 m przestrzeni i spikował do lądowania. Krótkie, suche „klap”. Narty zetknęły się z ziemią, jakby na ziemi przestała obowiązywać siła tarcia, jakby tor ziemi był tylko przedłużeniem toru powietrza. Bez wahnięcia, bez zamącania równowagi skoczek śmignął w dół po śniegu opętanym szusem, prościutko stojąc na deskach, z rękami

przylepionemi do ciała. W pełnym szusie zatoczył pół chrystianii w lewo – zmniejszył pęd. Zahamował jeszcze raz w prawo i wreszcie pełną chrystianią zatrzymał się na płaskim terenie stadionu. Runęły grzmoty oklasków[9].

Birgerowi bacznie przyglądał się Stanisław Marusarz, niejednokrotnie czerpiąc z niego inspirację i starając się naśladować odbicie, spokojny lot i lądowanie Norwega.

Trzeba ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Takie było moje postanowienie. Chciałem zacząć od dzisiaj. Od zaraz[10].

Dodajmy, że ówczesne skoki może nie imponują dziś odległością, ale wynikało to przede wszystkim z konstrukcji skoczni.

Dziś jeszcze skoki 60–70 m są skokami rekordowymi. Niebawem na nowych olbrzymich skoczniach „mamucich” będziemy skakali ponad 100 metrów. Na skoczniach „supermamucich” można osiągać nawet 150 do 200 m[11].



Dzisiaj rekord skoczni na „mamucie” należy do Stefana Krafta i wynosi 253,5 metra; został oddany w Vikersund 18 marca 2017 roku. Dodajmy w tym miejscu, że rekordowy skok na Velikance (w Planicy) oddał Maruserz, osiągając 97 metrów. Na teźże Velikance (zmodernizowanej, rzecz jasna) Kamil Stoch w 2017 roku ustanowił rekord Polski (ocierając się o rekord świata) na odległość 251,5 metra!

## W PASZCZĘ NIEDŹWIEDZIA

Moje postanowienie dojrzało. [...] bez namysłu ruszyłem w nieznaną przepaść. [...] narty rozjeżdżały się na boki, gdyż rowki były krzywo żłobione. Skulony więcej ze strachu niż z potrzeby „stylu”, zbliżałem się nieuchronnie do progu. Rany Boskie! Próg!!! Wyprężyłem instynktownie ciało i rzuciłem się do przodu niczym w paszczę niedźwiedzia. [...] Zachłysnąłem się silnym pędem powietrza, zimnego powietrza. Zdawało mi się, że zleciałem z turni wprost do... stawu z lodowatą wodą. Przede mną rozwarła się przepaść stokroć większa, niż mogłem przypuszczać. [...] Efekt był taki, że wylądowałem na głowę[12].

Tak Marusarz wspomina swój pierwszy skok, a skocznia, na którą niepilnowany wdrapał się, nazywała się Jaworzynka. Miał wówczas 12 lat, a Jaworzynka, położona w sąsiedztwie Kuźnic (dzielnicy Zakopanego), była pierwszą polską skocznią narciarską. Przepięknie położona, w cudnej scenerii, otoczona malowniczymi górami, była skocznią z prawdziwego zdarzenia, na której oddawano pierwsze zawodnicze skoki. Otwarto ją 8 marca 1921 roku (Wielka Krokiew powstała w 1926 roku).

W 1921 roku na Jaworzynce rozegrano mistrzostwa Polski. To była skocznia starego typu, tzw. powietrzna – skoczek po odbiciu szybował wysoko, by za chwilę opaść prawie pionowo na zeskok. Wydaje się, że ówczesne skoki były jednak trudniejsze – dziś skoczkowie lecą wzdłuż skoczni, nie wybijając się tak mocno w górę i nie spadając z tak dużej wysokości. Skocznię modyfikowano, rozbudowywano, ale czasy jej świetności zaczęły mijać wraz ze wzrostem znaczenia Wielkiej Krokwi, której plany budowy powzięto w 1922 roku. Rozegrano tu wiele konkursów, Jaworzynka stanowiła dla Krokwi pewne zaplecze awaryjne, ze względu na lepsze warunki śnieżne.

Skocznia w Dolinie Jaworzynki, na której odbywał się konkurs, „przypomniała” się w ten sposób szerszemu ogółowi. Nie może ona oczywiście iść w porównanie z wielką skocznią na Krokwi, nie mniej jednak jest ona dobrem urządzeniem. Przeszto na niej skakać wtedy, gdy zdawało się, że 30 metrów będzie maximum tego, czego po tej skoczni pod względem długości skoków, można się spodziewać. Tym czasem dzięki istotnemu postępowi naszych skoczków granica ta została poważnie przekroczone. Skocznia w Jaworzynce, acz z bardzo znacznymi trudnościami, mogłaby być jeszcze nieco powiększoną i istniałaby jako większa skocznia rezerwowa, mogąca nieraz wybawić z kłopotu organizatorów. Warunki śnieżne bowiem są na niej znacznie równiejsze i pewniejsze niż na skoczni na Krokwi[13].

Ostatecznie Jaworzynkę rozebrano około 1930 roku. Wciąż jednak Zakopane było i jest zimową stolicą Polski i centrum narciarskiego świata.

Zakopane, ożywione w porze zimowej, a to tak przez ruch turystyczno-narciarski, jak też i przez zawody sportowe, zbierające nieraz po kilkadziesiąt tysięcy widzów, u stóp jednej z największych skoczn

w Europie. [...] Zakopane jest centralną stacją sportów zimowych w Polsce. Podhale i Tatry to bardzo rozległy i nadzwyczaj różnorodny teren dla narciarstwa. Tam zima trwa najdłużej, przynajmniej 7 miesięcy, więc istnieją naturalne warunki dla rozwoju tego sportu. [...] Stali mieszkańcy Zakopanego i okolic okazali się znakomitym materiałem sportowym. Uzdolnienie techniczne i fizyczne narciarzy zakopiańskich jest oczywiste, jakoby wrodzone[14].

Zatem urodzony w Zakopanem Stanisław Marusarz nie miał innego wyjścia, tylko zostać zawodowym narciarzem. W 1926 roku bez większych problemów wygrywa konkurs juniorów (organizowany jeszcze na Jaworzynce). Skacze w owym góralskim stroju, po lądowaniu trąc kożuchem o podłoże. To był pierwszy prawdziwy konkurs skoków, w którym brał udział. W nagrodę otrzymuje piękne narty z rzemiennymi wiązaniem. Pierwszy raz czyta w gazecie swoje nazwisko. Coś też wreszcie zmienia się w podejściu do tego sportu rodziców Marusarza[15]. Po tym konkursie zostaje on członkiem Sekcji Narciarskiej Polskiego Towarzystwa Narciarskiego.

Do pierwszego konkursu na Wielkiej Krokwi podchodzi Marusarz w wieku 14 lat, choć początkowo organizatorzy nie chcieli go dopuścić. Startował na nartach swojego starszego brata Jana, z którym wówczas rywalizował. Swoje przeżycia z tego konkursu opisał następująco:

Przedemną oddali skoki znakomici zawodnicy ze Stanisławem Sieczką i Bronisławem Czechem na czele, osiągając odległości w granicach czterdziestu kilku metrów. Na sygnał ruszyłem w dół rozbiegu. Mocne wybicie, długi pewny lot. [...] Wylądowałem na 44 metrze, bijąc rekord życiowy i zajmując trzecie miejsce przed wieloma wytrawnymi skoczkami. [...] zwyciężył Bronek Czech wynikiem 48 m. [...] Dostałem piękne skokowe narty [które przetrwały do 1945 roku – przyp. aut.]. Radość moja była wielka[16].

1929 rok jest dla Marusarza przełomowy. Wygrywa swoje konkurencje (skoki, biegi płaskie) w zawodach juniorskich i pierwszy raz wyjeżdża za granicę, do sąsiedniej Czechosłowacji. Odnosi też pierwszy sukces międzynarodowy, wygrywając zarówno w skokach (bije rekord skoczni w Starym

Smokowcu – 28 metrów), jak i w biegu płaskim oraz biegu zjazdowym. W nagrodę szesnastoletniemu sportowcowi wręczono karafkę z sześcioma kieliszkami do wódki! „Jak na nieletniego sportowca, upominek niezbyt szczęśliwy”[17] – trafnie komentował w swoich wspomnieniach. W zawodach seniorskich triumfował wciąż niezastąpiony Bronisław Czech – zwycięzca skoków oraz biegu na 18 kilometrów (osiągnął miejsce pierwsze na 52 startujących).

Przełomowym momentem polskiego narciarstwa stały się mistrzostwa Europy w 1929 roku zorganizowane w Zakopanem właśnie.

Mamy już za sobą największą imprezę sportową, jaką zorganizowała dotychczas Polska i jednocześnie największą imprezę narciarską świata. Zawody o mistrzostwo Europy w Zakopanem prześcignęły swym ogromem nawet Olimpiadę w St. Moritz i pokazały światu, że Polska potrafi się zdobyć na wzorową w całym tego słowa znaczeniu imprezę[18].

W konkursie skoków wzięło udział 49 skoczków, zakwalifikowało się 41. Myli się ten, kto myśli, że dopiero ostatnie dziesięciolecie gromadziły pod Wielką Krokwią tłumy – w 1929

roku pojawiło się nie mniej widowni, kolorowej, gotowej znieść nawet dwudziestopięciostopniowy mróz! Nazwiska zawodników wyczytywane były przez megafon, publiczność witała ich radośnie. Zawody zdominowali Norwegowie, wygrał zaś Zygmunt Ruud[19], którym zachwyca się młodziutki Marusarz. Marzy, by kiedyś skakać jak on.

Ogromnie przypadł mi do gustu styl Ruuda: znaczne wychylenie do przodu, prowadzenie nart polegające na znacznym falowaniu desek, co wydłużało skok, pełne ruchy rąk. Styl Zygmunta Ruuda stosowałem do 1935 roku, lecz później musiałem go zaniechać ze względu na nowe przepisy, które za niespokojny lot przewidywały niską punktację[20].

Tak się kształci przyszły mistrz Polski, który po swój tytuł po raz pierwszy sięga w 1931 roku w biegu zjazdowym. W skokach narciarskich na razie jest wicemistrzem, ale począwszy od 1932 roku zdobędzie w tej dyscyplinie... 12 tytułów mistrza Polski![21] Rok 1931 był rokiem przedolimpijskim, Marusarz po raz pierwszy w życiu miał wystąpić na Olimpiadzie Zimowej w Lake Placid. Poza nim do polskiej reprezentacji zostali wyznaczeni czterej zawodnicy: Bronek

Czech, Stanisław Skupień, Zdzisław Motyka i kuzyn Stanisława – Andrzej Marusarz[22]. Oprócz narciarzy do Lake Placid wyruszyli także hokeiści. Korespondent „Sportu Zimowego” relacjonował:

Na długo w pamięci sportowców zapiszą się Igrzyska zimowej olimpiady w Lake Placid. Zapiszą się przez swoje nieoczekiwane, a krańcowe kontrasty przebłyśki świetności obok nędzy, triumfy obok klęski. [...] Żadne zawody nie wywołały jeszcze takiego niezadowolenia, urazy i poczucia krzywdy wśród uczestników, żadne nie były terenem tyłu sporów, kłótni i protestów, żadne nie odbywały się wśród takiego bałaganu i chaosu[23].

Skąd tak nieprzychylna opinia? Nie dość, że zła pogoda, tragiczne wydarzenia na torze saneczkowym[24], niesportowe zachowania podczas wyścigów łyżwiarskich, to jeszcze o najwyższe laury w hokeju walczyły zaledwie cztery drużyny zamiast zgłaszanych kilkunastu! Podczas otwarcia „było pustawo” – jak odnotował „Przegląd Sportowy”[25] – a przemówienie otwierające igrzyska wygłosił gubernator stanu Nowy Jork Franklin Delano Roosevelt, późniejszy prezydent USA.



W zawodach uczestniczyło tylko 17 państw, nie grano hymnów państwowych, co wpłynęło na spadek nastrojów i pogorszenie atmosfery, doskwierał brak dopingu ze strony publiczności, która marnie dopisała. Niestety – nasza drużyna nie spisała się najlepiej. Dodajmy, że Polaków, których zakwaterowano w urokliwych farmerskich domkach z dala od centrum, odwiedziła wówczas Stanisława Walasiewiczówna, mieszkająca na stałe w USA. Miała zwierzyć się ze swoich planów, że w przyszłości ma zamiar osiedlić się w Zakopanem.

Co do wyników – sam Marusarz we wspomnieniach odnosi się do nich co najmniej krytycznie. W biegu na 18 kilometrów zajął zaledwie 27., w skokach – 17. miejsce. Jednym słowem – debiut olimpijski Marusarza nie wypadł najlepiej, największego pecha miał jednak w najważniejszej dla siebie konkurencji, w skokach.

Na mokrym śniegu narty bardzo słabo niosły. Chcąc osiągnąć jak największą szybkość, przysiadłem możliwie najniżej. Jakies 8–10 m przed progiem poczułem, że deski gwałtownie przenoszą mnie do przodu. Na skutek ciągłego usuwania z rozbiegu

rozmokłego śniegu, pokazał się lód, który raptownie zwiększał prędkość. W takim wypadku ciężar ciała winien być przeniesiony bardziej do przodu. Tymczasem zjeżdżając skulony obciążałem tyły nart. Najwyższym wysiłkiem mięśni starałem się przyjąć prawidłową pozycję. Za późno. Oto już próg! Nawet nie zdołałem podnieść się do wybitki, skutkiem czego zostałem wyrzucony jak z katapulty w powietrze w pozycji kucznej, przy czym „leżałem” na plecach, prowadząc deski prostopadle do zeskoku. W tym momencie widziałem tylko niebo. [...] Po chwili [...] poczułem mocne uderzenie pleców o grunt. [...] Mój debiut olimpijski nie mógł wypaść gorzej[26].

Szczerze, w krytycznym tonie ocenił Marusarz swój występ w Lake Placid. Skoki na 53 i 55 metrów[27] przyniosły mu odległe miejsce, co na jego ówczesną formę było wynikiem poniżej oczekiwań. Skocznia była obliczona na skoki na 70 metrów, chociaż tylko jeden zawodnik przekroczył tę magiczną granicę i oddał skok na odległość 71,5 metrów. Wygrał Birger Ruud – brat podziwianego przez Marusarza Zygmunta. Podkreślano jednak, że konkurs odbywał się w warunkach skandalicznych, a na zeskoku tworzyły się jeziora z topniejącego śniegu. Jedyne słowa

uznania skierowano do Bronka Czecha, który w kombinacji norweskiej zajął siódme miejsce, podczas gdy Marusarzowie, „przewyższający nawet może Czecha w domu spisali się znacznie słabiej, co jest zrozumiałe ze względu na ich młody wiek i słabą odporność psychiczną”[28] – jak tłumaczono.

Sam Marusarz, odpytywany na potrzeby poolimpijskiej relacji, nie miał najlepszych odczuć co do swojego występu:

Na 18 km miałem z Polaków drugi czas (27-y na 44-ch). Nasmarowałem nieco za ślisko, więc lepszego czasu nie mogłem osiągnąć. [...] podczas treningów skakałem dalej od Bronka [Czecha – przy. aut.], lecz wtedy sam próg skoczni posiadał lekki looping, który przed konkursem przez Norwegów został zdarty. Wobec tego podczas konkursu odbijałem się za wcześnie. [...] W konkursie skoków byłem siedemnasty (55 m. i 53). Niestety drugi skok był za krótki, gdyż znowu odbicie było za wczesne. Na ogół byłem nieco speszony nienormalnymi warunkami[29].

Polska ekspedycja narzekała zarówno na atmosferę panującą na olimpiadzie, jak i samą organizację:

Ameryka tak hojnie szafująca obietnicami, tak wspaniale horyzonty roztaczająca przed światem, okazała się lojalną tylko do chwili, kiedy ostatni statek olimpijski zawinął do portu nowojorskiego. W ciągu nocy przemieniła się ona z serdecznego gospodarza, w bezwzględnego businessmana, dbającego tylko o własny interes. Ameryka pokazała przez dziesięć dni zęby lisa[30].

„Przegląd Sportowy” donosi, że przywilejami i specjalnym traktowaniem cieszyli się tylko sportowcy amerykańscy, podczas gdy goście z Europy czuli się jak „wśród wrogów”.

Atmosfera Lake Placid była wogóle wybitnie niesportowa i nierycerska. Widzowie żądali silnych emocyj, wypadków, krwi[31].

„Chleba i igrzysk!” – za słynną maksymą najwyraźniej domagał się lud amerykański.

## LOT PO MISTRZOSTWO

W roku 1933 Stanisław stosuje systematyczny trening – urozmaica go i uprawia zamiennie

lekkoatletykę (gimnastyka, pchnięcie kulą, rzut dyskiem czy oszczepem i oczywiście biegi), piłkę nożną, siatkową, do tego dorzuca nawet... jazdę konną. Trzeba przyznać, że model ten daleki jest on od treningów skoczków współczesnych. Do tego racjonalne odżywianie (pamiętajmy, że wszyscy ówcześni sportowcy w nadmiarze posilali się... cukrem – według złotej zasady „cukier krzepi”!). Dorzućmy do tego optymalny sen (dziesięcio-, nawet dwunastogodzinny) – i mamy receptę na przyszłego mistrza. W 1935 roku w Planicy na skoczni mamuciej Marusarz ustanowił rekordy skoczni z wynikami 95 i 97 metrów.

Niestety, prześladował go pech. A to na zawodach w Niemczech w Garmisch-Partenkirchen zajął w skokach czwarte miejsce, gdyż po lądowaniu złamał nartę. A to w 1936 roku w tejże miejscowości, w czasie swoich drugich igrzysk olimpijskich, potwornie się rozchorował i skakał z gorączką. Wkrótce potem w innych zawodach startował, widząc tylko na jedno oko! Warto w tym miejscu odnotować, że mimo niedyspozycji podczas zimowej olimpiady w Niemczech Marusarz odniósł niemały sukces – był piąty.

Olimpiada w Garmisch-Partenkirchen była preludium do berlińskiej olimpiady letniej w tym samym roku. Obie otwierał Adolf Hitler. Podobnie jak w przypadku berlińskiej, również i tu sport został zdominowany przez politykę. Marusarz na kartach pamiętnika wspomina, że na ulicach „widziało się dużo wojska”, „żołnierzy w mundurach z trupa czaszką”, „na każdym kroku słyszeć sakramentalne – *Heil Hitler*”, „młodzież w szeregach Hitlerjugend śpiewała faszystowskie pieśni”[32]. Nasz mistrz zmagając się z gorączką i osłabieniem, ale – co ciekawe – zaprezentował się najlepiej w naszej ekipie. W skokach zaliczanych do kombinacji norweskiej zajął miejsce trzecie i ostatecznie ukończył kombinację na siódmej lokacie. Z kolei w konkursie skoków udało mu się wyskakać miejsce piąte.

Lot jak w bajce. W górze – gwiazdne niebo – pod mną jasna przepaść. W świetle reflektorów kryształki śniegu jaśniały mocnym blaskiem. Lecąc w górze odnosiłem wrażenie, jakby wybieg opalizował milionem brylantów. To był najpiękniejszy śnieg, jaki kiedykolwiek widziałem. Wylądowałem gładko na rzeźnię oświetlonym zeskoku[33].

Tak przypominał sobie Marusarz swój treningowy skok, w dzień poprzedzający zawody. W konkursie udało mu się oddać skoki na odległość 73 i 75,5 metra, co było drugą odległością dnia. Wygrał znajomy Marusarza, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń – Birger Ruud. Okrzyknięto sukces polskiego zawodnika, który nawiązał równą walkę z niepokonanymi Norwegami, wówczas dominującymi w narciarstwie klasycznym. Doceniono jego brawurę, odwagę. Marusarz nigdy nie bał się żadnej skoczni i był w stanie skakać w każdych warunkach – co potwierdza się zwłaszcza w sytuacjach, kiedy startował z gorączką, złamaną ręką czy uszkodzonym barkiem.

W zeszłym roku Stanisław Marusarz miał wiele błędów stylowych, w ogóle za bardzo szarżował, ale... był zawsze na mistrzostwach Niemiec i na zawodach FIS skoczkiem, który miał największe długości. W tym roku [...] bije go długością Valonen[34]

– narzekał „Przegląd Sportowy” tuż przed konkursem skoków, a po występach w kombinacji. W numerze z 17 lutego nagłówek „Przeglądu Sportowego” entuzjastycznie donosił:

Nareszcie sukces Polaka! Widownia olimpijska podziwia skoki St. Marusarza.

Piękny to był finał igrzysk, najpiękniejszy konkurs skoków w historii sportu i największy triumf sportu polskiego w Igrzyskach zimowych[35].

Oddawano mu hołd. Zdawano sobie sprawę, że mimo historycznego wyniku (miejsce piąte było wówczas najwyższym osiągnięciem olimpijskim w polskim narciarstwie klasycznym), istniały jednak przecież szanse na medal.

W chwili gdy wszyscy już zwątpiliśmy w Stanisława Marusarza pokazał on nagle pazur lwa i wywalczył piąte miejsce, zdobywając dwa punkty olimpijskie. Piąte miejsce w tej konkurencji, gdzie spośród 45 skoczków przynajmniej 15 należało do ekstra klasy, a drugich 15 byłoby ozdobą każdego konkursu – to bardzo wiele! Piąte miejsce, przy gremium sędziów wybitnie stronniczo nastawionem, faworyzującym swoich [...] to jeszcze więcej! Piąte miejsce zawodnika, który miał wyjątkowo burzliwą zimę, przeszedł dwie grypy i nie miał treningu – to doprawdy więcej[36].



Mówiono o tym, że niepowodzenie w kombinacji tylko wyostrzyło mu ambicję i zdwoiło siły.

Wypada w tym miejscu żałować, że dopiero od 1964 roku w zawodach wprowadzono dwa skoki (na skoczni średniej i dużej), co zwiększyło szanse medalowe zawodników. Nie wspominając o konkurencji drużynowej, która także dawałaby nadzieje na zwycięstwo – już nawet w Lake Placid ze wspaniałym Bronkiem Czechem w zespole. Ale te zmiany nastąpiły dopiero w roku 1988 na igrzyskach w Calgary.

Znowu więc pech! Skakać z 39-stopniową gorączką, bez optymalnej formy, a jednak zająć piąte miejsce! Były na pewno szanse na medal, tymczasem w kieszeniach polskiej drużyny zostały dwa punkciki olimpijskie... Tuż po olimpiadzie miał miejsce ten nieszczęsny skok o jednym oku – Marusarz startował z czarną opaską na oku i zajął czwarte miejsce. Innym razem, już po wojnie, złamał nogę tuż po skoku w trakcie zawodów w Chamonix, kiedy musiał przytwierdzać podeszwę buta przypadkowo znalezionymi gwoźdźmi. Zresztą w tym samym Chamonix, tuż przed olimpiadą, Marusarz miał jeszcze inny wypadek – w trakcie zjazdu wyrzuciło go na przeciwległy odcinek,

w konsekwencji skręcił prawy bark. Na 18 kilometrów biegł więc... o jednym kijku. Na tym nie poprzestał, stanął także do konkursu skoków z jedną ręką przytwierdzoną do tułowia. Pamiętajmy, że skakano wówczas z rozcapierzonymi rękoma. Musiał wyglądać w powietrzu jak ptak z przetrąconym skrzydłem. „Gdy zawodnik staje na rozbiegu zapomina o wszystkim, nawet o bólu”[37] – komentował swoją decyzję.

Kazimiera Muszałówna[38] doceniała odwagę Marusarza, opisując jego skok w Garmisch-Partenkirchen jako „diabelski szus w locie”:

Marusarz bierze rozbieg, jakby wszystko stawiał na jedną kartę. Pędzi z szybkością, która rozcina powietrze z gwizdem, która zostawia za nim wichurę i z ubitego śniegu podnosi kurz. Podleciał do progu i brawurowym skokiem, pełnym fantazji zrywem skoczył w powietrze. Narty wjechały wąsko i równo w lotny tor. Postać od stóp załamała się nisko nad deskami. Skoczek ukośnie leżał wysoko nad ziemią i niósł się powietrzem wśród świstu wiatru i łopotania ubrań. Ramiona spokojnie żeglowały w powietrzu, jak u ptaka na długim przelocie. Zbliżyła się ziemia. Klapnęły deski. Zgięte kolana amortyzują wstrząśnienie. Już uzgodnił się rysunek

ciała z nowym tempem szybkości. Prosty, z rękami nieruchomo przyłożonemi do boków ciała, śmignął skoczek w swoim diabelskim szusie w dół. Rzutem ciała i skrętem nart zmiążdżył śnieg, unieruchamiając pęd chrystianią. Był to drugi pod względem długości skok w konkursie olimpijskim[39].

W 1938 roku Stanisław Marusarz osiągnął swój największy sukces. Zdobył w Lahti wicemistrzostwo, ale tak naprawdę był moralnym zwycięzcą tego konkursu. Oddał skoki najdłuższe i tylko głosami sędziów, co – jak podkreślano – było wynikiem spisku i jawnego windowania wyniku przeciwnika, zepchnięto go na drugi stopień podium.

Gdy przyszła moja kolej, ruszyłem z impetem w dół zeskoku. Od razu pierwszym skokiem 66 m pobiłem rekord skoczni [Ruud skoczył 63,5 metrów – przyp. aut.]. Trybuny szalały. Z radości rzucano w górę kapelusze. Rozentuzjasmowani widzowie wynieśli mnie na rękach z wybiegu, podrzucając i oddając sobie z rąk do rąk. Doprawdy nie podejrzewałem Finów o taki temperament. Potem musiałem rozdać

kilka autografów i pozować do zdjęć. Nigdy przedtem nie widziałem tylu fotoreporterów[40].

Rekord na tej skoczni (z punktem K wynoszącym 58 metrów) wynosił 63 metry. Marusarz w pierwszym skoku pobił go o trzy metry. Do drugiego skoku fotoreporterzy zajęli dość oryginalne miejsce – tuż pod progiem! Marusarz poprosił o przeniesienie się ciekawskich dziennikarzy, obawiał się, że mogą go swoją obecnością rozproszyć. Lądował już niemal na płaskim zeskoku na 67. metrze. Nowy rekord!

Udało mi się pewnie wylądować, niemniej impet uderzenia okazał się tak wielki (wszak przy tych odległościach na tego typu skoczni napór na nogi jest tak ogromny, jakby skoczek dźwigał na plecach stukilogramowy ciężar), że na skutek ogromnego napięcia mięśni poczułem w nogach coś w rodzaju dreszczy i przejmującego klucia, ot jak gdyby mnie ktoś od stóp do bioder chłostał drucianą szczotką[41].

Taka długość skoku dawała Marusarzowi zwycięstwo. Sędziowie długo debatowali nad

punktacją, publiczność w napięciu oczekiwała wyników, wszyscy pewni byli złota.

Na wybieg sfrunęły kapelusze. Podbiegli do mnie zawodnicy niemieccy i schwyciwszy na ramiona, zaczęli podrzucać w górę. – Sieger! Du bist Sieger! – pokrzykiwali[42].

Co zatem się stało, że Marusarz nie został *Sieger*? Sędziowie nie mogli dojść do porozumienia, jaki w końcu uzyskał dystans – 67,5 czy 67.

[...] w komisji sędziowskiej na dobre rozgorzał spór. Już o tym wiedziano na sali. Okrzyki zniecierpliwienia wzmagają się. W pewnej chwili odwołał mnie na bok pewien fiński działacz sportowy [...] i rozkładając szeroko ręce powiedział: – Według mnie wygrałeś konkurs ty! Ale Norwegowie są innego zdania![43]

Ostatecznie ogłoszono zwycięstwo Asbjørna Ruuda[44] o trzy dziesiąte punktu... Dalekie to było od zasad *fair play*, Marusarz bowiem oddał tego dnia dwa najdłuższe skoki. Ruud zwyciężył skokami na odległość 63,5 metra oraz 64 metry,

co przy 66- i 67-metrowych wynikach Marusarza wyglądało dość mizernie. Wygrał na punkty – w łącznej nocie otrzymał 226,4 punktu, Marusarzowi zaś przyznano 226,1. Wywołany do odebrania pierwszej nagrody Norweg był czerwony jak burak, zresztą musiał czuć się wyjątkowo niezręcznie – puchar wręczano przy akompaniamencie gwizdów, co ciekawe – norweskich kibiców i szkoleniowców!

<b>NAZWISKO ZAWODNIKA</b>	<b>ODLEGŁOŚCI</b>		<b>NOTA ŁĄCZNA</b>
Ruud (Nor)	63,5 m	64 m	226,4
Marusarz (Pol)	66 m	67 m	226,1
Myhra (Nor)	66 m	64,5 m	225,0

Źródło: „Przegląd Sportowy” nr 18, 3 marca 1938.

Stanisław Marusarz zdobył się dziś na najwyższy wyczyn. Zdopingowany konkurencją skakał w rekordowym stylu. Pozostawił za sobą wszystkich tych, którzy uważani byli za lepszych od niego. [...] Stanisław Marusarz miał skoki znacznie dłuższe [...]. Przyznano mu jednak miejsce drugie, co krzywdzi nas wyraźnie[45].

Media europejskie okrzyknęły Marusarza moralnym zwycięzcą i najlepszym skoczkiem świata. Opinia była jednomyślna, polski skoczek został skrzywdzony. Mimo wszystko był to wielki sukces.

Niemniej jednak Staszek Marusarz osiągając formalnie wicemistrzostwo – moralnie mistrzostwo świata, stanął u zenitu swojej kariery i wysunął narciarstwo polskie na nieosiągalne dotychczas wyżyny[46].

Jeszcze w Lahti przyznano Polsce organizację mistrzostw świata w roku następnym. Tak też się stało i w 1939 roku w zimowej stolicy Polski, w Zakopanem, spotkali się najlepsi skoczkowie świata. Przy podsumowaniach Lahti i w oczekiwaniu na Zakopane nawoływano do puszczenia w niepamięć tej staszkowej krzywdy:

skończmy już raz z „krzywdą” Staszka Marusarza. Jest to bardzo niesportowe zachowanie. Między doskonałymi skoczkami, Staszek był jednym z najlepszych. Sędziowie wynagradzając Ruuda premiowali skoczków krócej, ale spokojniej skaczących. [...] trzeba przyznać, że Staszek skakał znacznie niespokojniej od Ruuda[47].

Dystans widać zawsze walczył ze stylem, w jakim skok oddano. Spektakularne odległości zapewne lepiej się ogląda, ale nie można zapominać o stylu, który najwyraźniej premiowany był już w latach trzydziestych.

Rok później Marusarz miał szansę wziąć odwet i zdobyć tytuł. W dniach 11–19 lutego 1939 roku Zakopane gościło zawodników alpejskich, kombinacji norweskiej i zjazdów, a w końcu skoczków. Ceremonia otwarcia nie wypadła najlepiej. Odbędzie się w strugach deszczu, co musiało przywoływać niemiłe wspomnienia z Lake Placid, kiedy to konkurs skoków otwartych – jak je wówczas określano – odbywał się w topniejącym śniegu, a zawodnicy kończyli swoje skoki w jeziorze, które powstało na buli.

Dzień rozpoczęcia mistrzostw świata był już bliski. Zakopane przybrało odświętną szatę. Zimowa stolica Polski tonęła w powodzi różnokolorowych flag. Ulicami przelewały się tłumy gości przybyłych ze wszystkich stron kraju. Zjechało wielu cudzoziemców. Najwięcej spotykało się Niemców. Zapewne nie wszyscy oni byli zwykłymi turystami...



Zawody Międzynarodowej Federacji Narciarskiej (FIS) po raz pierwszy rozegrano w 1929 roku, a od 1937 roku mają one status mistrzostw świata. W 1939 roku były to trzecie z kolei zawody tej rangi. Otwierał je sam prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki.

Niestety, Marusarz nie powtórzył sukcesu sprzed roku, nie zrewanżował się Norwegom. Nie udało mu się w biegu na 18 kilometrów (zajął 89. miejsce) – niepowodzeniem obwiniał organizatorów i znów pech – narty dostarczono mu dwie godziny przed startem, brakowało w nich wiązań, a i smarowanie było fatalne, co na trasie kończyło się nieustannym przyklejaniem się śniegu do powierzchni desek. Znacznie lepiej wypadł w kombinacji norweskiej; w skokach był zdecydowanie najlepszy (pierwsze miejsce), co finalnie dało mu siódmą lokatę. Na skoczni bardzo dobrze zaprezentował się też kuzyn Stanisława, Andrzej, zajmując czwartą pozycję.

Świetny występ Marusarza w skokach zaliczanych do kombinacji nastroił wszystkich nader optymistycznie, gdzieś tam uważano, że to przyszły zwycięzca mistrzostw świata. Los chciał inaczej. Ostatniego dnia zawodów warunki

znacznie się pogorszyły – na skoczni zamiast śniegu lśnił lód. Jak na przestrzeni całej jego kariery, pech nie opuszczał Stanisława – kilka tygodni przed rozpoczęciem mistrzostw złamał sobie obojczyk! Pomimo kontuzji wystąpił we wszystkich swoich konkurencjach. Co ciekawe, osobiście brał udział w pracach przygotowujących skocznię do zawodów!

Pierwszy skok zupełnie Marusarzowi nie wyszedł, złe wyjście z progu poskutkowało niedużą odległością. „Rozczarowana publiczność przyjęła skok niezwykle chłodno”[49]. W drugim podejściu Birger Ruud, najgroźniejszy rywal Marusarza, ustanowił nowy rekord skoczni (81,5 metra). Niestety, nasz mistrz wylądował na 74 (pierwszy skok) i 78,5 metra, co w konsekwencji dało mu miejsce piąte. Zwyciężył Jozef Bradl[50] z Austrii, drugi był Ruud.

Kontuzja, nerwy, presja... wszystko to złożyło się na zaledwie piątą lokatę. Jeszcze w marcu polska ekipa wyjechała na zawody do Niemiec na otwarty konkurs skoków o puchar Østgaard[51] (prezydenta FIS) w Feldbergu. Jak zauważył Marusarz, dało się odczuć nastroje antypolskie, a samo przywitanie na dworcu przez niemieckich notabli wypadło niezwykle chłodno. Wszędzie widać było morze swastyk. No i żeby

nie było – Marusarz tym razem skakał z zapaleniem płuc, zajął jednak czwarte miejsce.

Napięta sytuacja polityczna zaciążyła wyraźnie nad zawodami. Pragnęliśmy jak najprędzej wracać do kraju. [...] Tak zakończył się mój sezon zawodniczy w 1939. Nie przypuszczałem wtedy, że w przyszłym sezonie będę się musiał rozstać na długie lata z Krokwią i z Zakopanem[52].

## SKOK PO ŻYCIE

Już od pierwszych dni wojny zaangażował się w działalność konspiracyjną. W schronisku w Pysznej ZWZ-AK utworzyło punkt przerzutowy tatrzańskich kurierów, do którego wstąpił Stanisław. Przerzucali broń, dokumenty, ludzi, materiały wybuchowe i pieniądze na cele konspiracyjne – wszystko z narażeniem życia, ich umiejętności i znajomość topografii gór były jednak nie do przecenienia. Bazy wywiadowczo-przerzutowe powstały wokół trzech ośrodków – ekspozytury „W” (Węgry), bezpośrednio podlegającej Oddziałowi II (wywiadowi), Wojskowej Bazy Wywiadowczo-Łącznikowej o kryptonimie „Romek”[53] (potem „Liszt”

i „Pestka”) i Wywiadowczo-Politycznej Bazy Łącznikowej o kryptonimie „W”. Marusarz, działający na rozkazy AK-ZWZ „Zagroda”, należał do bazy „Romek”. Jej głównym zadaniem było organizowanie i utrzymywanie łączności między okupowanym krajem a władzami emigracyjnymi. Produkowano także fałszywe dokumenty, kenkarty, legitymacje, zaświadczenia.

Nie on jeden ze swej rodziny działał w konspiracji – siostra Helena[54] także była kurierem tatrzańskim, przeprowadzała przez zieloną granicę ludzi, szmuglowała broń i pieniądze. 25 marca 1940 roku została złapana przez słowackich żandarmów i oddana w ręce Gestapo, które biło ją i katowało. Następnie trafiła do więzienia w Preszowie, potem do Muszyna, gdzie poddano ją brutalnemu przesłuchaniu. Helena została rozstrzelana w Pogórskiej Woli 12 września 1941 roku. Miała 23 lata.

Andrzej Marusarz służył w marynarce, początkowo na statku „SS Warszawa” [55] (tym samym, którym Jerzy Iwanow-Szajnowicz przedostał się do Palestyny). Po jego storpedowaniu pływał między innymi w alianckich konwojach. Brat Jan Marusarz

walczył na Zachodzie. Z kolei Bronisław Czech, przyjaciel Stanisława ze skoczni, umarł na serce w obozie w Oświęcimiu. „W czasie wojennych walk ginie ponad 30 narciarzy”[56].

Stanisław aktywnie działał na tatrzańskim szlaku, ale jego twarz jest rozpoznawalna, co wkrótce przysporzy mu kłopotów. Na tych szlakach niejednokrotnie spotyka znajomych, narciarzy – Józefa Krzeptowskiego[57] czy Stanisława Gąsienicę-Byrcyna[58]. Nie wszyscy jednak wybrali konspiracyjną drogę, część poszła na współpracę z okupantem, jak choćby Henryk Szatkowski[59], wiceprezes PZL, kierownik sportowców z Lahti, od którego Marusarz otrzymał nagrodę pieniężną. Zakupił za nią myśliwski sztucer, był bowiem zapalonym miłośnikiem broni i polowania. Posiadanie takiej broni i wiedza o niej były jak wyrok śmierci.

Niemcy, uznając górali za ludność germańską, otworzyli chętnym na współpracę możliwość dołączania do *Goralenvolk*. Szatkowski był jednym z propagatorów idei współpracy z Niemcami, usprawiedliwionej argumentacją, że górale to w gruncie rzeczy Niemcy. Z możliwości takiej współpracy skorzystał na przykład Andrzej Krzeptowski I[60], który uczestniczył w tworzeniu Legionu Góralskiego SS i wydawał

kenkarty. Ryszard Wryk w swojej publikacji[61] stawia tezę, że Krzeptowski pomagał partyzantom, a jego postawa nie jest jednoznaczna. AK miało zamiar go zlikwidować, nie zdążono jednak z tą misją; aresztowany przez NKWD zmarł na skutek zażycia cyjanku.

Tymczasem Marusarz co rusz przeprowadza się na Węgry i Słowację. Podczas jednego z powrotów z Budapesztu (w marcu 1940 roku) został złapany przez słowacki faszystowski patrol „tisowców”[62]. Patrol znalazł przy nim dużą ilość gotówki na cele konspiracyjne. O zatrzymaniu zawiadomiono Gestapo. Marusarz postanowił uciekać. Rzucił się przez okno „na szczupaka”, ratując swoje życie po raz pierwszy. Lekko poharatany (wyskakując, wybił szybę), zdołał ujść pogranicznikom.

Wylądowałem na dziedzińcu, na jakichś deskach – rzuciło mnie pod ścianę. Pobiegłem wzdłuż budynku w stronę bramy. Była zamknięta. Wspiąłem się błyskawicznie na żelazne pręty i znalazłem się poza posesją. Dotąd nie rozległ się ani jeden strzał. Czyżby tisowcy tak pogłupieli?[63]

W Wychodnej schował się u znajomego na kilka dni, po czym wrócił do Zakopanego i złożył

raport z całej akcji. Pod koniec marca wyruszył z żoną Ireną[64] do Budapesztu, gdzie miał pozostać do końca wojny. Granicę młode małżeństwo przekroczyło na nartach.

Władzę ujęło w swoje ręce wszechwładne gestapo. Rozpoczęły się aresztowania. Wielu sportowców powędrowało do obozów koncentracyjnych. Terror stawał się coraz okrutniejszy. W tej sytuacji postanowiłem wraz z żoną Ireną (pobraliśmy się w listopadzie 1939 roku) uciekać na Węgry. Był marzec 1940[65].

Marusarzowie zostają zatrzymani[66] – po raz kolejny – przez Słowaków. Trafiają do Preszowa, następnie Muszyny, gdzie Stanisław ostatni raz w życiu spotkał przetrzymywaną tam także siostrę Helenę. Udało im się porozmawiać przez ścianę celi. Stanisław przy każdej sposobności namawiał ją, by próbowała ucieczki. Niestety, wkrótce wszyscy zostali przewiezieni do Nowego Sącza; tam ich drogi się rozeszły.

W więzieniu nowosądeckim głód dokuczał mi jak nigdy w życiu. Nękały mnie zawroty głowy, mdłości, skurcze żołądka. Podawano nam pomyje koloru

mlecznego nazywane zupą, w których pływało kilka ziarenek pęczaku[67].

Przewieziony ostentacyjnie przez centrum Zakopanego, trafia do osławionej willi „Palace”, siedziby Gestapo, katowni Podhala. Dokonywano tam brutalnych, bezwzględnych przesłuchań.

Uczniowie Himmlera przyjęli mnie w sposób właściwy „kulturtraegerom” czystej rasy. Równocześnie z ordynarnymi wyzwiskami już podczas wysiadania z samochodu rozpoczęło się bicie po twarzy i kopanie, po czym zostałem wrzucony do maleńkiej celi w podziemiach „Palace”[68].

Nie był tam sam. Przejmujący widok przedstawiali inni więźniowie, stłoczeni na maleńkim skrawku celi:

Wstrząsający był widok współwięźniów wracających z przesłuchań, często nocnych. Jedni jeszcze jako tako trzymali się na nogach, innych trzeba było do celi wnosić. Z ust i nosa ciekła krew, oczy poobijane, a cała twarz spuchnięta od zadawanych razów[69].



Tam także przetrzymywana była Helena Marusarzówna. „Nie pisnęła słowa, chociaż złapana została w tym samym czasie, co moi rodzice, a w Muszynie osadzona była w celi razem z moją mamą. Oni, być może dzięki jej milczeniu, przeżyli, jej się nie udało”[70] – mówiła przywoływana przez „Naszą Historię” Magdalena Marusarz-Gądek, córka Ireny i Stanisława Marusarzów.

Z „Palace” Marusarz trafił do krakowskiego więzienia na Montelupich. Tam, przesłuchiwany i maltretowany przez gestapowców, namawiany jest do wstąpienia do *Goralenvolk*. Niemcy składają mu intratną propozycję trenowania niemieckich skoczków. Chcą wiedzieć, do jakiej należy organizacji, kto wchodzi w jej struktury. Pozostaje nieugięty, nie wyjawia informacji dotyczących podziemia i współpracowników, nie zgadza się na współpracę. Skatowany, pobity, trafia do izolatki, gdzie słyszy przerażające jęki współwięźniów. Zapada wyrok – kara śmierci.

Do wielkiej sali spędzili gestapowcy 134 osoby. Między nimi byłem i ja. Za stołem przykrytym hitlerowską flagą, siedziało kilku „sędziów” w galowych mundurach. Ze wszystkich rogów sali, od strony drzwi i okien spoglądały spod głębokich

hełmów pełne nienawiści oczy ponurych żołdaków. [...] Byli tam starcy i dzieci, mężczyźni w sile wieku i kilka kobiet. Szare wynędzniałe twarze, szeroko otwarte oczy – galeria żywych trupów. [...] Tekst wyroku był krótki: – Poniesiecie karę – powtarzał tłumacz – za zbrodnie popełnione przeciwko Niemcom. Będziecie rozstrzelani[71].

Nie zostało zbyt wiele czasu; jeśli uciekać – to natychmiast. Nie wszyscy będą gotowi na podjęcie ostatniej walki o wolność – wśród więźniów część jest zupełnie zrezygnowana, inni jednak są zdesperowani, cechują się wciąż silną wolą przetrwania, chęcią życia. Jest wśród nich wykonawca słynnego skoku po życie – Stanisław Marusarz. Przed ucieczką zdąży jeszcze zobaczyć miejsce swojego niedoszłego spoczynku. Zgłasza się bowiem na ochotnika na wyjazd do Krzesławic pod Krakowem. Tam kopie groby późniejszym pomordowanym, nie wiedząc jeszcze, czy sam nie spocznie w jednym z nich. „Wysoki mur podziurawiony był gęsto od pocisków, obficie obryzgany krwią i odłamkami kości. Była to ściana krwawych łez...[72]”. Zrobiło to na więźniach niesamowite wrażenie – już wiedzieli, że nie ma chwili do stracenia, jeśli chcą żyć.

Marusarz stał się więźniem nie tylko mordowni na Montelupich, lecz także swojej wizji i marzenia o ocaleniu. I tak dokonał czynu wprost niemożliwego – stanął na czele ucieczki: z przepełnionej celi, pilnowanej przez uzbrojonych gestapowców. Myk polegał na metodycznym odginaniu kraty więziennego okna na tyle, by przez pręty mógł się prześliznąć człowiek.

Rzucono się do okna – zaczęło się dramatyczne przepychanie. Tym jeszcze dramatyczniejsze, że bezgłośnie. [...] Chciałem za wszelką cenę dostać się do okna. Czekala mnie za nim wolność lub śmierć. Ale jeżeli śmierć to taka, którą zapłacę za próbę wyzwolenia się ze szwabskich łap. A nie śmierć bezwolna, apatyczna, kładąca kres życiu salwą plutonu egzekucyjnego[73].

W końcu udaje mu się dopchać do okna, oddaje z niego skok, po czym dopada do ogrodzenia z drutów kolczastych. Ucieka, cały pokrwawiony biegnie przez Kraków, dogania Aleksandra Bugajskiego pseudonim „Halny”[74]. Są jedynymi szczęściarzami, którym udało się słynna ucieczka z Montelupich. Jest 2 lipca 1940 roku. Wydarzenie odbija się szerokim echem

w całej okupowanej Polsce. Marusarz musiał natychmiast zorganizować kolejny przerzut, tym razem samego siebie. W Polsce zostać nie mógł. Kierunek – Węgry.

Zahaczył jeszcze o melinę kurierską „Telimena”, skąd pobrał broń. Uciekł wraz z bratem Janem oraz Władysławem Gąsienicą-Rojem, skoczkiem narciarskim. Na Węgrzech ukrywał się do końca wojny, przybrał nazwisko Stanisław Przystalski i pod tym pseudonimem działał.

W tym miejscu odnotować należy, że żona Marusarza, Irena, wydostała się z hitlerowskiego więzienia w Nowym Sączu, udając ciążę (po trzech miesiącach została zwolniona), o czym – jak pisze we wspomnieniowej broszurze – Stanisław wiedział już, siedząc na Montelupich.

Marusarz wykonał jeszcze jedną misję do Polski – dostarczenia zalakowanej paczuski (w najdrobniejszych nawet paczkach i przedmiotach codziennego użytku przesyłano dokumenty i korespondencję). Prawdopodobnie były tam rozkazy polskiego podziemia. Następnie osiadł w Budapeszcie. Tam pracował jako konstruktor skoczni w Koszycach i Borsafüred. Od Węgierskiego Związku Narciarskiego otrzymał propozycję trenowania skoczków

węgierskich. Sam wziął też – w 1944 roku – udział w konkursie skoków w Borsafüred, gdzie spotkał jednego z przedwojennych współzawodników, Niemca Seppa Weilera[75]. Ten nie wydał go w ręce Gestapo.

Po raz trzeci wymknął się śmierci.

Pewnego dnia o świcie, gdy trwała nieprzerwanie mordercza strzelanina, do pomieszczenia na wysokim parterze, w którym przebywałem, wtargnęło trzech żołnierzy w mundurach Wehrmachtu. Spyтали:

– Który z was jest Polakiem?

Wystąpiłem bez ociągania. Kazali mi się ubrać, ponieważ byłem w piżamie.

– Ale szybko! – rozkazali.

Czułem, że idę pod mur. W głowie krzyżowały się błyskawicznie różne myśli. [...] Ubrałem się w strój narciarski, chcąc pozostawić po sobie jakiś ślad, gdyby [...] identyfikowano zwłoki rozstrzelanych cywilów. Wyobraźnia podsuwała najgorsze: widziałem, jak mnie ustawiają pod murem, potem salwa... Przeżywałem straszne chwile. Ginąć właśnie teraz – w ostatnich dniach, a może godzinach [...]. Uświadomienie sobie tego paradoksalnego faktu sprawiło, że oprzytomniałem. Spróbuję uciec! Może

uda mi się wyrwać eskorcie i ukryć gdzieś w ruinach?[76]

– wspominał ten dzień Marusarz. Być może zasób pecha, który wciąż nawiedzał go w sportowej karierze, został wyczerpany właśnie po to, by uratować mu życie – i to po trzykroć!

## ZNOWU W DOMU

Wrócił do Zakopanego w 1945 roku. Prawie natychmiast przeniósł się do Karpacza, gdzie między innymi odbudowywał skocznię Orlinek, na której jeszcze w 2004 roku skakał Kamil Stoch (dziś skocznia jest zamknięta). 1 stycznia 1947 roku oddał tu inauguracyjny skok. W Karpaczu przebywał od kwietnia 1946 do jesieni 1948 roku. Pomagał osobom represjonowanym w... przekraczaniu zielonej granicy.

Za namową Jerzego Ustupskiego, również znanego sportowca i olimpijczyka, pełniącego wówczas funkcję dyrektora Zarządu Państwowego Uzdrowiska Karpacz-Bierutowice, Marusarz postanowił przenieść się do tej pięknej, górskiej miejscowości. Początkowo został zatrudniony przez

Dyrekcję Państwowych Uzdrawisk Dolnośląskich w Stolicach Zdroju [Szczawnie Zdroju – przyp. aut.], a następnie w Zarządzie Państwowego Uzdrawiska Karpacz-Bierutowice[77].

Trzykrotnie zmieniał miejsce zamieszkania, z żoną i miesięcznym Piotrusiem – pierworodnym synem – najpierw przenieśli się z Kamionki do Warszawy na ulicę Tabaki 240, by ostatecznie zająć ponemiecki dom przy dzisiejszej Wiosennej. Mieszkańcy Karpacza do dziś są mu wdzięczni za popularyzowanie narciarstwa w regionie. Skocznia Orlinek, której był konstruktorem, stała się symbolem pobytu Marusarza w tej malowniczej miejscowości[78].

Kontynuował karierę skoczka pomimo traumy wywołanej przez wojnę. Zdobył kolejne tytuły mistrza Polski[79], dwukrotnie startował w igrzyskach olimpijskich (w latach 1948 i w 1952, w 1956 roku zaś – jako przedskoczek), ale już bez większych sukcesów. W 1952 roku obchodził swój jubileusz dwudziestopięciolecia startów narciarskich. Urodziła mu się trójka dzieci – Piotr, Magdalena i Barbara.

W 1993 roku na cmentarzu Na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem w trakcie pogrzebu swojego przyjaciela z konspiracji Jana Wacława

Felczaka[80] wygłaszał ostatnie słowo pożegnania: „Drogi Profesorze, nasz przyjacielu, dzielny dowódco” – przemawiał podkomendny Marusarz – „nieubłagana śmierć wyrwała Cię z naszych szeregów. Tyle razy zaglądałeś jej w oczy na kurierskich szlakach, lecz wracałeś szczęśliwie”[81]. Nie dokończył swojej przemowy. Opadł na świeży grób przyjaciela i zmarł. Godzinna reanimacja nie przywróciła go do życia.

Został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari V klasy, oprócz tego wyróżniony Krzyżem Walecznych, Medalem Zwycięstwa i Wolności, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi. Został pochowany obok tego, nad grobem którego zmarł – Wacława Felczaka – oraz siostry Heleny Marusarz.

Po raz ostatni oddajmy głos „Dziadkowi”, który w 1966 roku, podczas Turnieju Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen, uparł się, i mając pięćdziesiątkę na karku, oddał swój ostatni skok. Publicznie, w obecności wiwatującego tłumu. Na tę niezwykłą okoliczność przywdział odświętny garnitur.



Na trybunie sędziowskiej poruszenie. Medytacje i targi trwały prawie kwadrans. Wreszcie nie tylko zgodzono się na skok, ale organizatorzy podali jeszcze przez megafony esencję mojego życiorysu, poczynając od 1927 roku. Publiczność przyjęła mnie gorąco, a gdy spiker dodał istotny szczegół z mojej metryki, że mam 54 lata, na trybunach wybuchł prawdziwy entuzjazm. [...] Z chwilą przypięcia nart odeszła wielka trema. Doskonale mi się jechało do progu, odbiłem się lekko i trzymając ręce przy tułowiu wylądowałem pewnie i miękko. [...] Widzowie ujrzeli skoczka w wizytowym garniturze, pod krawatem. Ale chyba nie to wywołało ów grzmot braw i donośne – Hurra! Ludzie szaleli[82].

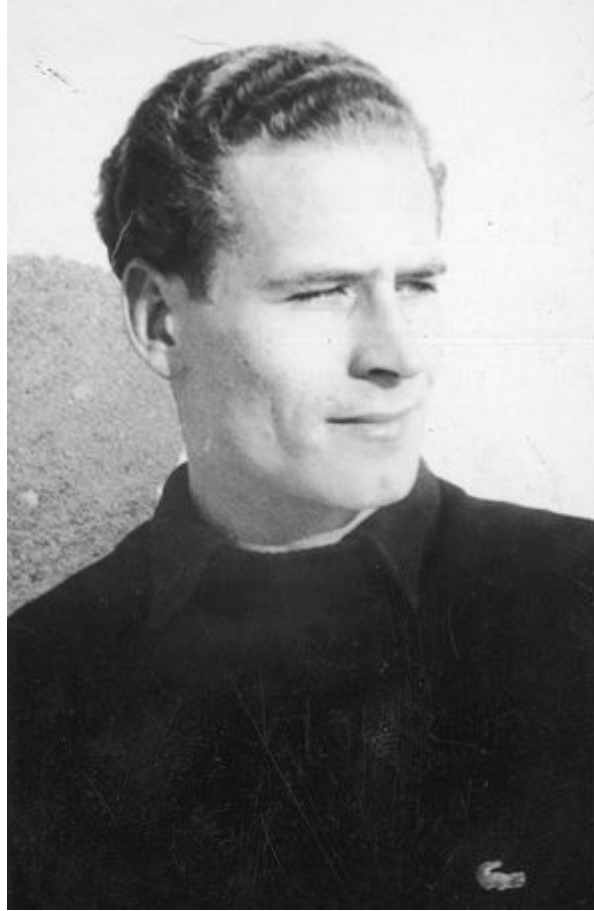
Niemcom, którzy go skazali na karę śmierci, chciał pokazać, że żyje – mówił o sobie w filmie pod tytułem *Dziadek*. I że w dodatku to właśnie u nich, na ich ziemi, tak zwawo podskakuje![83]

Skoki narciarskie są piękną i niezwykle atrakcyjną konkurencją, zasługującą na jak największe umasowienie. [...] trzeba skoki popularyzować wśród młodzieży, trzeba budować skocznie. [...] Talenty są wszędzie, ale trzeba im dać możliwość rozwoju[84].

– pisał na ostatnich kartkach swoich wspomnień.

Hołd po latach oddali mu polscy skoczkowie w Lahti, w 2017 roku zdobywając drużynowy tytuł mistrzów świata, a Piotr Żyła indywidualnie na dużej skoczni – podobnie jak jego wielki poprzednik – mimo najdłuższych skoków w konkursie (131 metrów w drugiej serii) został sklasyfikowany na miejscu trzecim, zdobywając swój pierwszy medal mistrzostw świata.

Stanisław Maruszarz na przestrzeni lat swojej kariery oddał ponad 10 tysięcy skoków narciarskich, w sumie przelatując w powietrzu około 650 kilometrów. 21 razy stał na podium mistrza Polski w różnych narciarskich dyscyplinach – skokach, zjazdach, kombinacji i sztafecie. Dziś byłby bardzo szczęśliwy, oglądając wspaniałych polskich zawodników, także tych pochodzących z jego ukochanego Zakopanego. Byłby szczęśliwy, wiedząc, jak bardzo uwielbiane w kraju są skoki narciarskie. Nie byłoby współczesnych sukcesów Adama Małysza czy Kamila Stocha, gdyby najpierw konkurencji tej nie ukochał i nie uprawiał Stanisław Maruszarz, król polskich nart.



*39. Stanisław Marusarz, fotografia z lat  
trzydziestych*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*40. Stanisław Marusarz, Piotr Kolesar i Izydor Gąsienica-Łuszczek (od lewej) smarują narty przed skokami na Międzynarodowych Narciarskich Mistrzostwach Polski w Zakopanem, 1932 rok*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*41. Marusarz w rekordowym skoku na odległość  
74 m z Wielkiej Skoczni na Krokwi w Zakopanem,  
luty 1934 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*42. Stanisław Marusarz i Bronisław Czech (od lewej) na Międzynarodowych Zawodach Narciarskich w Garmisch-Partenkirchen, 1935 rok  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*43. Przed konkursem w trakcie Międzynarodowych Zawodów Narciarskich o Mistrzostwo Polski na Wielkiej Skoczni, m.in. Marusarz (nr 9) i Franciszek Gut-Szczerba (nr 47), Zakopane, luty 1935 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*44. Marusarz jako zwycięzca XXIII Mistrzostw  
Narciarskich Polski na skoczni Orlinek  
w Karpaczu, 22 lutego 1948 roku  
fot. CAF/PAP*



*45. Stanisław Marusarz i Wojciech Fortuna  
oglądają medal olimpijski zdobyty przez Fortunę  
w konkursie skoków na XI Zimowych Igrzyskach  
Olimpijskich w Sapporo, luty 1972 roku  
fot. Waław Kłag/REPORTER/East News*



# Rozdział VI

## „DŻADŻA” NA KORCIE ŻYCIA

### Jadwiga Jędrzejowska

Tennis należy bezwzględnie do najpiękniejszych sportów i dlatego zyskuje sobie u nas z każdym rokiem coraz większą liczbę zwolenników. Stoimy jednak tak pod względem poziomu gry ogółu jak i liczby grających bardzo daleko poza innymi krajami. To co się na ogół widzi na kortach naszych ma niewiele wspólnego z prawdziwym tenisem. Tyczy się to przede wszystkim strony technicznej t.j. uderzeń. Jedną z głównych przyczyn takiego stanu rzeczy, to brak środków u większości klubów tenisowych na trenerów t.j. nauczycieli gry, którzy by uczyli graczy prawidłowych uderzeń. Skutkiem tego każdy gracz radzi sobie sam jak może kombinując własne uderzenia, lub częściej

naśladować źle podpatrzone, a często również złe uderzenia graczy starszych[1].

Tak w magazynie „Lawn Tennis Polski” w 1930 roku pisali wyborni znawcy tematu. Dowodzili, że nie powinno rozpoczynać się gry w tenisa, nie znając podstawowych zasad tej gry, że umiejętności należy zdobywać tylko wraz z trenerem, bo podpatrywanie techniki innych to nie to samo, co bezpośrednia nauka, w przyszłości zaś może negatywnie odbić się na manierach gracza, gdyż pozostawia trudne do wyplenienia nawyki. Ten elegancki sport „dla snobów” zafascynował małą dziewczynkę mieszkającą zaraz przy krakowskich kortach tenisowych – Jadwigę Jędrzejowską.

„Ludziom niefachowym zdaje się zwykle, że tenis jest sportem niezmiernie łatwym. Bo i cóż może być prostszego nad odbicie przesyłanych piłek z jednej strony siatki na drugą”[2] – pytała na łamach „Startu” Wanda Dubieńska[3], jedna z największych konkurentek Jędrzejowskiej. Być może był to przytyk do młodszej koleżanki, która w przyszłości przyćmi wspaniałą grającą Dubieńską.

Jędrzejowskiej zarzucano bowiem brak stylu w grze, pewnej elegancji i techniki. „O doskonałej

grze tenisowej decydują trzy kardynalne zasady: technika gry, jej styl i taktyka”[4] – twierdziła kategorycznie Dubieńska na łamach tego samego wydania „Startu”. Technika, jak dowodzi konkurentka Jędrzejowskiej, przychodzi wraz z ćwiczeniami z trenerem oraz rozgrywkami z partnerem, taktykę zdobyć można jedynie przez częstą grę. Zatem brak częstych treningów zamyka drzwi przed przyszłym tenisistą. Nic jednak nie mogło stanąć na przeszkodzie młodziutkiej Jędrzejowskiej, która raz „zainfekowana” tenisem nie mogła o nim zapomnieć – spała nawet ze swoją pierwszą rakieta tenisową pod poduszką.

## SPORT ELITARNY

Jadwiga Jędrzejowska urodziła się w 1913 roku w Krakowie i mieszkała na terenie krakowskiego parku, w którym Akademicki Związek Sportowy wydzierżawił korty. Z tych często korzystali ludzie z wyższych sfer, przedstawiciele nauki, studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, eleganccy dżentelmeni, panny z dobrych domów.

Dubieńska w jednym z artykułów podkreślała, że nauka gry w tenisa wśród panien z dobrych domów była tak samo popularna, jak lekcje gry na pianinie; był to po prostu nieodzowny element edukacji[5]. Obowiązywały ściśle określone reguły dotyczące stroju – w początkach tenisa panie grywały w sukniach po kostki, w latach dwudziestych ubiegłego wieku natomiast strój przeszedł konieczną ewolucję:

Niewątpliwie największym przemianom uległ strój tenisowy pań. Jest to w sporcie strój niewątpliwie najbardziej kobiecy, ani trochę dotąd „niezmężczony” i niezwykle przytem wrażliwy na podszepty mody. Oczywiście dawno już minęły czasy, kiedy nieszczęsna tenisistka pociła się w spódnicy do pięt, bluzce bez dekoltu [...] obowiązkowo ściśnięta gwoli „wiotkości” figury w przepisowy gorset, a na głowie prócz gorącego materacu z własnej fryzury nosić musiała jeszcze olbrzymi, twarzowy kapelusz. [...] Dziś – mamy w stroju tenisowym pań rewolucję [...]. Krótka, do kolan sukienka, bez rękawów i z odsłoniętą szyją, jak najłżejsza i jak najbardziej przewiewna [...]. Pończochy – po sportowemu zwinięte poniżej kolan. Na głowie daszek[6].

Wciąż jednak nie był to wymarzony strój tenisistki, panie narzekały przede wszystkim na konieczność zakładania bezużytecznych, ich zdaniem, pończoch.

Dyscyplina ta zaczęła dopiero nabierać rumieńców, i choć po 1924 roku została wycofana z rozgrywek olimpijskich (przywrócona dopiero w 1988 roku), turnieje wielkoszlemowe na czele z Wimbledonem[7] – nieoficjalnymi mistrzostwami świata – zawsze odgrywały ogromną rolę. Do tego dorzucmy Puchar Davisa, czyli nieoficjalne męskie drużynowe mistrzostwa świata[8] – pierwszy występ Polaków w tym prestiżowym turnieju, z Władysławem Kucharem w reprezentacji, odnotowany w 1925 roku, przysporzył tenisowi w Polsce nowych fanów.

Ojciec Jadwigi był pracownikiem miejskich zakładów oczyszczania, zapewne niejednokrotnie pomagał też w AZS[9]. Jadzia zaczyna bywać na kortach, początkowo jako dziewczynka od podawania piłek. W ten sposób zarabia pierwsze pieniądze i pomaga niezamożnej rodzinie. W międzyczasie robi przymiarki do gry. Prawdziwą rakietę otrzymuje jako jedenastolatka.

„Ofiarował mi ją jeden z tenisistów, który często ze mną grywał”[10] – pisała we wspomnieniach. W wieku 13 lat została przyjęta do elitarnego klubu AZS. Wspomnienia Jędrzejowskiej, opublikowane w 1955 roku (kolejne wydanie, poszerzone o 20 stron, pojawiło się w 1971 roku), opracowane przez znanego dziennikarza sportowego Kazimierza Gryżewskiego[11], mają wszakże pewną skazę, o której nie należy zapominać. Naznaczone epoką (wydane przed „odwilżą”) i ideologią nie są zapisem obiektywnym, ale ewidentnie propagandowym. Jędrzejowska (czy raczej jej redaktor) nie ustaje w podkreślaniu walorów pochodzenia robotniczego (jakoś musiała wybrnąć z faktu uprawiania tak „burżuazyjnego sportu”), umniejsza rolę klubu oraz szansę, jaką od władz klubowych otrzymała. Przywołuje to, że w AZS krzywo na nią patrzono, jak na niegodną gry w ten elitarny sport dla „snobów” (słowo „snoby” powtarza z lubością). Ile jest Jędrzejowskiej w Jędrzejowskiej? – trudno jednoznacznie stwierdzić.

Kluby – początkowo AZS, potem Legia – dużo wkładały w jej rozwój i treningi. Była jedną z niewielkiego grona tenisistek szkolonych przez zagranicznych trenerów. Trzeba było jakoś

wyjaśnić ten nieosiągalny już w latach pięćdziesiątych dla Polaków świat wyjazdów na Riwierę, gdzie Jędrzejowska trenowała grę z imperialistycznym – o zgrozo – królem (!) Szwecji Gustawem V[12] (grającym pod pseudonimem „Mister G”), jak też pomoc klubu uniwersyteckiego dla zawodniczki, która przecież studentką nie była. W ten sposób mit o złym kapitalistycznym klubie tenisowym, niedbającym o swoich podopiecznych, a tylko o pieniądze, mógł wybić się na plan pierwszy.

Tenis był niewątpliwie sportem niezwykle ekskluzywnym. Na korty nie dopuszczano młodych, zdrowych i silnych chłopców ze sfer robotniczych [naturalnie, że w sferach robotniczych nie mogło być mowy o cherlawych, chorych i słabowitych – przyp. aut.]. [...] Tenis nie był sportem dla mas i dlatego nie posiadał żadnych rezerw. Grywali w kółko ci sami bogaci ludzie, którzy mieli wiele czasu i pieniędzy[13].

Dalej w tym duchu usprawiedliwia swą obecność w „białym sporcie”. Ponoć wściekła się na Gryżewskiego, kiedy ujrzała pierwsze „poprawki” swojej biografii. Być może w imię kształcenia młodych przez sport – który

w socjalistycznym kraju miał pełnić funkcję szlachetnego edukatora – jednak nie protestuje. Jej wspomnienia idą więc dalej tym torem. Choć nie zapominajmy, że oprócz chęci dyskredytowania sanacyjnych władz przez tekst mimo wszystko przebija się także i kompleks dziewczynki z niższych sfer.

Po raz pierwszy w życiu poczułam się intruzem. Na kortach AZS królowały wówczas dwie czołowe tenisistki – Dubieńska i Boniecka. Damy te zajmowały pierwsze miejsce zarówno w grze, jak i w tak zwanych stosunkach towarzyskich. Często wydawało mi się, że chciałyby mnie utopić w łyżce wody. Kiedy pozwalano mi grać na korcie, czyniły bardzo zgorszone miny[14].

Niechęć do Dubieńskiej jest konsekwencją ich pierwszych spotkań na kortach. W 1927 roku, kiedy Jędrzejewska debiutuje w mistrzostwach Polski – od stóp do głów ubrana na biało za pieniądze swojego klubu („biała bluzeczka, śnieżna spódniczka, białe pończochy, bowiem wyjście na kort bez pończoch uważane było wówczas za wielkie wykroczenie przeciw dobremu obyczajom towarzyskim”[15]) – od razu trafia właśnie na Dubieńską. Co do białego



mundurku przekazanego jej przez klub, to po latach wspominała go (pod dyktando?) w taki sposób:

Byłam wówczas dzieckiem i nie zdawałam sobie sprawy, że sukienka, która wtedy sprawiła mi tyle radości, była tylko darowizną z łaski dla biednej dziewczyny, której start był potrzebny dla zaspokojenia ambicji klubowych kierowników[16].

I znów ten zgrzyt we wspomnieniach naszej tenisistki. Z jednej strony pomocny klub, z drugiej – krwiożercze macki kapitalizmu, które tylko czekają, aby wycisnąć z zawodniczki, ile się da, i tylko dlatego nie żałuje się pieniędzy na... jej strój! W tej sytuacji trudno wytłumaczyć fakt, że Jędrzejowska była przedstawicielką firmy Dunlop (grała rakietami tylko tej firmy; dziś byśmy powiedzieli, że Dunlop był jej sponsorem), potem przejął ją Slazenger.

## PANOWANIE KRÓLOWEJ JADWIGI

Pierwsze mistrzostwa młodej tenisistki, ćwiczącej głównie z chłopakami i charakteryzującej się potężnym forhendem,

zakończyły się jej przegraną i to w pojedynku z nielubianą Dubieńską:

Dowiedziałam się, że już w pierwszej kolejce mam się spotkać z Wandą Dubieńską. Poczułam się jak na okręcie, który natknął się na minę. Wiem, że ta pani mnie nie znosi, że protestowała przeciw przyjęciu mnie do klubu, że nadal traktuje z góry „dziewczynę od podnoszenia piłek”, córkę robotnika[17]

– nie bez żalu przywołuje wspomnienia tego spotkania Jędrzejowska. Dodać w tym miejscu należy, że nie odbywały się wówczas oddzielnie mistrzostwa Polski dla juniorów, a Jadwiga w czasie zawodów miała zaledwie 15 lat. Mimo zaciętej walki i silnych strzałów, z których później słynąć będzie „Ja-Ja”, czyli „Džadża”, jak ją nazywano na międzynarodowych kortach (nazwisko Jędrzejowska było nie do wymówienia dla spikerów), wyszła z tego pojedynku przegrana. Zdobyła natomiast mistrzostwo Polski – pierwsze na swoim koncie – w grze podwójnej ze Stanisławą Groblewską[18], zwyciężając siostry Richterówny, z których jedna, Wiera, była samodzielną mistrzynią Polski, mistrzynią absolutną, tytuł ten bowiem dzierżyła od 1921 do 1927 roku[19]. Tak występ Richterówny

uwiecznił „Przegląd Sportowy” w jednym z pierwszych numerów:

Po raz pierwszy miał Kraków możliwość podziwiania gry kobiecej tak pięknej, jaką Richterówna przed oczami widza roztacza. Odznaczana i aplaudowana już wielokrotnie na turniejach i popisach zagranicą, zjechała [...] do Krakowa, ażeby uzyskać tutaj legitymację Mistrzyni Polski. [...] gra sprawnie i wytrwale, porusza się na boisku nad wyraz zgrabnie, swobodnie i wdzięcznie[20].

Jędrzejowska doskonali swoje umiejętności, zaczytuje się w przewodniku po tenisie autorstwa Lacoste'a[21], a równocześnie uczęszcza do szkoły ekonomiczno-handlowej.

Kolejny pojedynek z Dubieńską stoczyła w mistrzostwach Polski w 1928 roku rozegranych w Katowicach. I tym razem wyszła pokonana, wcześniej jednak zafundowała wszystkim dużą niespodziankę, eliminując z zawodów faworytkę, mistrzynię sprzed roku – Wierę Richterównę.

Jędrzejowska już w roku ubiegłym zwróciła na siebie oczy zwolenników białego sportu. Jej młody wiek, twardość i ambicja w grze, doskonałe warunki fizyczne, duża ruchliwość na korcie – z góry

zapowiadały w Jędrzejowskiej doskonały materiał. Rok bieżący w pełni usprawiedliwił pokładane w niej nadzieje, a zwycięstwo nad Richterówną klasyfikuje ją jako czołową naszą tenisistkę[22].

Dwutygodnik poświęcony sportom kobiecym „Start” zauważył, że poziom mistrzostw 1928 roku był dużo wyższy niż w poprzednich latach:

Obok starych, rutynowanych zawodniczek i wschodzących gwiazdek, mistrzostwa zaprezentowały nam szereg tenisistek młodych, dopiero wybijających się, wiele obiecujących na przyszłość. Tegoroczny turniej tenisowy o mistrzostwo Polski dał doskonały przegląd poziomu, klasy i liczby naszych tenisistek, i dzięki temu pozwolił postawić horoskopy na przyszłość, które zapowiadają się jak najlepiej[23].

Mimo że tytuł mistrzyni otrzymała Dubieńska, zwycięstwo Jędrzejowskiej nad Richterówną zostało docenione, podobnie jak dwa tytuły wywalczone przez nią w grze podwójnej i mieszanej.

W finale Jędrzejowska uległa Wandzie Dubieńskiej, która od szeregu lat nie przestaje należeć do ekstraklasy naszego tenisu kobiecego. Wspaniała rutyna i duże zdolności taktyczne zapewniły Dubieńskiej zwycięstwo nad młodziutką Jędrzejowską w dwóch setach 8:6; 6:4 – po walce nadzwyczaj zaciętej.

W podwójnej grze pań zwycięstwo przypadło w udziale zeszłorocznym mistrzyniom Jędrzejowskiej i Groblewskiej nad Richterówną i Dubieńską, w trzech setach – 2:6; 6:2; 6:3. Jędrzejowska pokazała grę nadzwyczaj ładną i skuteczną. Bez przesady można powiedzieć, że ona to panowała nad kortem i grą.

W grze mieszanej pań i panów tytuł mistrzowskiej pary zdobyli Jędrzejowska–Czertwertyński[24] po zwycięstwie w finale nad M. Scarpową–M. Stolarow[25].

1929 rok to pasmo sukcesów młodziutkiej Jędrzejowskiej. Rozegrano mistrzostwa tenisowe Warszawy bez udziału Richterówny i Dubieńskiej. Ta druga w tym czasie brała udział w szermierczych mistrzostwach Polski, które wygrała.

W tym miejscu warto wspomnieć, że Dubieńska odnosiła sukcesy także w narciarstwie (w 1924 roku była mistrzynią Polski w biegach narciarskich) oraz wystąpiła na olimpiadzie w Paryżu (fiolet). Była żoną Stanisława Wyspiańskiego i Jacka Malczewskiego, którzy sportretowali wszechstronną sportswomenkę. Grała na pianinie z Ignacym Paderewskim. W trakcie wojny pracowała w szpitalu św. Łazarza. Zdecydowała się jednak podpisać volkslistę, za co po wojnie wyrokiem sądu okręgowego została osadzona w obozie pracy. Orzeczonej karze została jej darowana[26].

Również w 1929 roku zorganizowano międzynarodową grę pojedynczą pań, którą wygrała Jędrzejowska:

Jędrzejowska, licząca niespełna 17 lat, jest zdecydowanym talentem tenisowym. Już dziś posiada wyjątkowo mocny serwis i świetne drive'y. Ma znakomicie pewne uderzenie, znakomicie stosowaną taktykę, a jej backhand jest niemal równie mocny i pewny, jak forhand[27].

Choć wszyscy pozostawali pod wrażeniem Jadzi, redakcja „Startu” pozwoliła sobie też na kilka słów krytyki:

Jedynym brakiem Jędrzejowskiej jest niedostatek rutyny, co zresztą aż nadto dobrze tłumaczy się jej młodym wiekiem. Jeżeli rutyny tej nabędzie, a nie wątpimy, że władze tenisowe dostarczą jej w tym kierunku okazji, w krótkim czasie stać się może groźną konkurencją dla pierwszej klasy europejskiej[28].

Chwilę później Jędrzejowska triumfuje, wygrywając swój pierwszy w karierze tytuł mistrzyni Polski, ale nie może wziąć odwetu na Dubieńskiej – ta, złożona chorobą, wycofała się.

W grze pojedynczej pań faworytkami były Jędrzejowska i Dubieńska. Pierwsza w poprzednich walkach bieżącego sezonu była bezkonkurencyjna, stanowiąc w kraju klasę sama dla siebie. Dubieńska, dotychczasowa mistrzyni Polski, sezon cały spędziła zagranicą, odnosząc szereg wartościowych zwycięstw. [...] siedemnastoletnia Jędrzejowska reprezentowała młodość, doskonale warunki biegowe i szybkość, z drugiej – Dubieńska przeciwstawiła jej rutynę i mądrą taktycznie technikę.

Niestety do spotkania nie doszło. W półfinale Dubieńska zachorowała i wycofała się z walk.

Jędrzejowska zdobyła mistrzostwo Polski bez najmniejszego trudu, lekko bijąc w finale Raciborską w dwóch setach: 6:1; 6:2[29].

Rok 1929 to tylko zapowiedź kolejnych sukcesów znakomitej „Dzadzy”. Tytuł mistrzyni Polski dźrzyć będzie niepodzielnie do 1936 roku (w 1937 i 1938 roku nie brała udziału w mistrzostwach Polski), aby następnie odzyskać go po wojnie.

Warszawski „Stadjon” po wygraniu przez Jadwigę drugiego mistrzostwa w 1930 roku, kiedy w końcu pokonała swoją odwieczną rywalkę – Dubieńską, odnotował:

Jędrzejowska w grze pań była znów klasą samą dla siebie, a zwycięstwem nad Dubieńską rozwiała legendę o wyższości tamtej. Dubieńska, mimo zacięcia i zbierania wielkiej ilości piłek Jędrzejowskiej, nie mogła oprzeć się atakom naszej mistrzyni[30].

W dowcipnym tonie pojedynkę Dubieńskiej z Jędrzejowską opisał na łamach „Lawn Tennis Polski” niejaki „Wikus”, celnie oddając charakter wyrównanych spotkań tych dwu niechętnych



sobie zawodniczek. Przedstawia on wyimaginowany mecz powołanych w tym celu do życia niejakich „Jadzieńskiej” i „Wandulskiej”:

Pani Wandulska, speszona prawdopodobnie błędnym orzeczeniem sędziego linjowego (ach! ci sędziowie linjowi!) odbiła serwisową piłkę przeciwniczki i oto ku niesłychanemu zdziwieniu widzów piłka zaczęła wędrować z pola na pole, plasowana niemiłosiernie, ścinana z dzikiem okrucieństwem, broń Boże, jednak nie zabijana; wędrowała niezmordowanie z linji na linję. Przeszła już razy pięćdziesiąt, sto, sto pięćdziesiąt i tak dalej... bez końca... Zapadał zmrok. Widzów ogarnęła niepewność, „a co będzie, jeżeli gra się nie skończy?”.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Gdyby nie blask dwóch tysięcy łysin – gra byłaby niemożliwa.

Słyszał było tylko ciężki oddech grających i poklepywanie szyi sędziego gry, którego popularny nasz masażysta siedząc za nim z tyłu na trybuncie usiłował doprowadzić do stanu umożliwiającego kręcenie głową. Piłka nielitościwie bita raketami trąca się o ołowiane linje, zaczęła się zwolna rozżarzać. Świeciła już tak jasno, że całe boisko było oświetlone prawie jak w dzień. Nagle zaczepiła

o siatkę; chwilę trzepotała się na niej niezdecydowana, a potem zapaliła się jasnym płomieniem i w postaci popiołu opadła na obie strony siatki. Tłum zamarł w oczekiwaniu. Sędzia naczelny, posiadający przecież nie lada dyplomatyczne zdolności wstał i z pewnym wysiłkiem rzekł: „przerywam grę, wynik meczu uważam za nierozstrzygnięty”.

Obie zawodniczki leżały na placu, a sztab lekarzy z trudem doprowadzał je do przytomności. [...]

Tłumy rozchodziły się w posępnym milczeniu, pogotowie odwoziło do szpitali i do domów lżej i ciężiej rannych, bowiem zapomnieliśmy napisać, że w chwili najwyższego napięcia jedna z trybun zlekka ale stanowczo się zawaliła[31].

W 1931 roku Jędrzejowska zdaje egzaminy maturalne, choć – jak wspomina sama tenisistka – jedna z krakowskich gazet komentuje nie bez złośliwości, że maturę tę dostała za wyczyny sportowe[32]. Wyjeżdża w tym czasie do Paryża na turniej Rolanda Garrosa (French Open)[33]. „Przegląd Sportowy” odnotował, że była to jedna z najsłabszych edycji zawodów. Mistrzostwa wypadły po prostu blado.

Ludzie przyzwyczajeni do heroicznych finałów z udziałem Cocheta, Tildena, Lacosta i Borotry, z lekceważeniem patrzyli się na walki, w których jedynymi wytrwanymi aktorami był Borotra i dwu młodych Yankesów [...]. Gra podwójna pań i mieszana były wprost nędzne[34].

Jędrzejowska patrzy jak urzeczona na owych „muszkieterów” – Lacostę, Borotrę i Cocheta[35], podziwia ich grę i czuje się kopciuszkiem pośród takich sław. Zostaje rozstawiona z Amerykanką Elizabeth Ryan[36], którą tak wspomina:

Pamiętam ją dokładnie: była nie pierwszej młodości, potężnie zbudowana. Miała krótko ostrzyżone włosy i może dlatego przypominała mężczyznę[37].

Niezbyt to przychylny opis konkurentki, której Jędrzejowska napsuła nieco krwi. Ostatecznie przegrała 3:6.

Miss Ryan przeszła prawdziwe męki nim pokonała tę małą Polkę, której nazwisko jest tak masywne, jak i jej drajwy. Mamy wrażenie, że Jędrzejowska zostanie pewnego dnia mistrzynią świata[38].

Taką opinię wyraził francuski sprawozdawca „L'Auto”. Mimo przegranej Jędrzejowska zostaje dostrzeżona. Pełna wiary w swoje możliwości i niezaprzeczalny talent staje do pojedynku w Berlinie (przegrywa), następnie po raz pierwszy bierze udział w turnieju wimbledońskim.

MISTRZOSTWA. Pod tym, niewiele mówiącym tytułem rozgrywają się corocznie nieoficjalne mistrzostwa świata na trawie w Wimbledon pod Londynem. W Stade Garros rozgrywają się oficjalnie mistrzostwa Francji, w Forest Hills – Stanów Zjednoczonych, w Hamburgu – Niemiec, ale odkąd Międzynarodowa Federacja zniosła wszelkie mistrzostwa „świata”, Anglicy poprzestają na tym skromnym tytule, chcąc podkreślić, że nie są to bynajmniej mistrzostwa Anglii, lecz coś znacznie więcej, coś, co zastępuje nieistniejące już mistrzostwa świata. I świat sportowy w znacznej mierze ulega tej sugestji, po części usprawiedliwionej, gdyż turniej ten jest od długiego szeregu lat najwspanialszą rewiją międzynarodowych potęg świata białego sportu. Jednym z pierwszych ideałów każdego tenisisty, sięgającego po laury, jest zagrać na centre courcie w Wimbledon, następnym marzeniem jest zdobyć

tam najwyższy, dla niego dostępny tytuł. Ze zwierzeń poufnych takich wielkich mistrzów byłych i obecnych, jak Tilden, Brookes, Wilding, Borotra, Lacoste etc., wiemy, że każdy, a specjalnie pierwszy występ w Wimbledonie wywiera podniosłe wrażenie, że centre court uważają poniekąd jako świątynię tenisa, do której wstępują ze skupieniem i namaszczeniem, że ich tam gra osiąga najwyższe szczyty, że nastrój panujący pobudza ich do maksymalnych wysiłków[39].

Do tej świątyni po raz pierwszy w historii wejść miała Polka. Występ w 1931 roku nie należał jeszcze do zbyt udanych, ale już sam fakt, że Jędrzejowska została zaproszona, oznaczał, iż znalazła się wśród elity tenisowego świata. Po raz pierwszy grała przed kilkunastotysięczną publicznością:

Zabiło mi serce, wiedziałam bowiem, że na ten kort dopuszczani są tylko tenisiści już znani, tacy, których nazwiska przyciągają widzów. Czyżby z mojego powodu wyznaczono mecz na centralnym korcie? Z całą pewnością – nie, a zatem moja przeciwniczka jest widocznie wysoko notowana na giełdzie wimbledońskiej[40].

Kort numer 2 w parku wimbledońskim mieści 3000 widzów, obok kortu głównego i kortu numer 1 jest trzecim największym i najważniejszym kortem trawiastym (Wimbledon jest dziś jedynym turniejem z czterech wielkoszlemowych rozgrywanych na trawie). Przeciwniczką, z którą po raz pierwszy na londyńskim turnieju zmierzyła się Jadzia, była Brytyjka Kathleen McKane Godfree[41].

Umiałam już wtedy walczyć, lecz nie umiałam wygrywać. Schodzę z kortu pokonana. Jestem zła i prawdziwie zmartwiona. A tymczasem ku memu wielkiemu zdziwieniu nieznani ludzie podchodzą do mnie, winszują wielkiego sukcesu[42].

W 1932 roku zalicza fantastyczny występ na turnieju w Berlinie. Wzbudziła zachwyt podczas gry z Helen Jacobs[43]:

Słyszę oklaski. Widzę, jak Jacobs podbiega do mnie, winszuje mi zwycięstwa [...]. Pokonanie Jacobs to przecież sukces o międzynarodowym znaczeniu! Jeszcze nigdy dotychczas nie zwyciężyłam tenisistki tak wysoko kwalifikowanej na liście światowej. Moje zwycięstwo nad Jacobs oceniono jako triumf tenisa

polskiego. Zbiegło się ono z pokonaniem Holandii przez drużynę polską w meczu o Puchar Davisa[44].

„Przegląd Sportowy” okrzyknął to spotkanie najpiękniejszym meczem w życiu Jadzi. Choć nie był to jeszcze jej największy sukces.

Dla pierwszego seta brak superlatywów. Jadzia rozpoczyna w piekielnym tempie forhendami. Goni drajwami, plasowanemi forhendami, czy ściętymi bakhandami Amerykankę po całym placu. Wszystko udaje się, aż oczom nie chce się wierzyć. Co chwila burza oklasków. [...] Polka pięknie prowadziła w pierwszym secie, drugi należy do Jacobs i w trzecim zdawało się, że Polka ulegnie fantastycznej Amerykance. Dobija jednak przeciwniczkę niezwykłym nawałem gradowych piłek „lob za lobem” co kompletnie wytrąca Jacobs z równowagi. Polka wygrywa swój ćwierćfinał[45].

Po meczu z Jacobs „Start” zanotował – powołując się na prasę niemiecką – że był to niezwykle zacięty pojedynek, w którym wyrokowano zwycięstwo Amerykance. Tymczasem „mała Polka” zachwyciła świat.

Jadwiga Jędrzejowska posiada dziś już wszystkie szanse na zdobycie tytułu mistrzyni świata. Gdyby Jędrzejowska, która doskonale dysponowana fizycznie, gra elegancko i brawurowo, nie waha się podchodzić do siatki dla wykończenia piłek, mogła dostać się w dobre, fachowe ręce trenera na przeciąg tylko pół roku, wtedy już w tym sezonie byłaby w stanie bić wszystkie przeciwniczki świata, mając z góry tytuł mistrzowski w kieszeni[46].

Tak rozpieszczała ją prasa niemiecka – „Start” powołuje się na relację „B.Z. am Mittag”[47]. Oczekiwania wobec młodziutkiej jeszcze zawodniczki rosły w miarę kolejnych występów. Jednak na największy sukces w swojej karierze poczekać będzie musiała do 1937 roku, kiedy to dotrze do finału Wimbledonu. Wyczyn ten udało się powtórzyć w biało-czerwonych barwach tylko raz, 7 lipca 2012 roku, po 75 latach od występu Jadwigi Jędrzejowskiej. W finale tym wystąpiła Agnieszka Radwańska, ulegając w końcu Serenie Williams. Tymczasem berliński półfinał wywołał tyle samo emocji:

Podczas tropikalnego upału stanęły w niedzielę na głównym korcie Jędrzejowska i Horn do pierwszego półfinału. Młoda tenisistka z Wiesbadenu gra



niezmiernie pewnie, jest wzorowa defenzywnie, jednocześnie elegancka i piękna optycznie. Horn jest znakomitą hokeistką, dlatego też ma świetny start do piłki. Pełne emocyj i dramatycznego napięcia to spotkanie trwało 7 kwadransów. Jędrzejowska atakuje z miejsca ostro [...]. Po przewie Polka znowu przypuszcza swój morderczy atak, gra jednak bardzo rozważnie i prowadzi 2:0, potem 3:1. Upał dokucza niemiłosiernie, ręce tenisistek mdleją ze zmęczenia[48].

Upały były zmorą Jędrzejowskiej. Zdarzyło jej się zakończyć jeden z turniejów w USA – przy niemalże tropikalnej temperaturze – z udarem słonecznym. Tym razem po raz pierwszy weszła do finału berlińskiego. Turnieju nie wygrała, poległa w starciu z zawodniczką, przez którą przyjdzie jej wielokrotnie przełykać gorycz porażki – niemiecką tenisistką Hilde Krahwinkel[49].

Dalsze sukcesy przepowiadała jej, co ciekawe, głównie prasa – zagraniczna. Przed dwudziestoletnią wówczas Jędrzejowską świat tenisowy stał otworem, a kolejny wielki turniej miał wpisać się w jej życiorys jako najważniejsze wydarzenie sportowe, także dla polskiego tenisa.

Gazety analizowały wspaniały występ w Berlinie, gdzie Polka:

Wzięła udział w turnieju o mistrzostwo stolicy Niemiec. Start w tym turnieju przyniósł Jędrzejowskiej ogromny sukces; pokonała ona szereg świetnych raket i zdobyła tytuł wicemistrzyni Berlina[50].

## DWA GEMY DO MISTRZOSTWA ŚWIATA

Przez wimbledoński turniej szła jak burza i osiągnęła imponujący wynik – w pierwszych pięciu meczach oddała tylko 11 gemów. Kiedy dostała się do finału, wiedziała już, że przyjdzie jej rozegrać najważniejszy mecz życia. Przygniatał ją ciężar odpowiedzialności, w dodatku miała zmierzyć się z Angielką – Miss Dorothy Round[51].

Wołają mnie na kort centralny. Rzucam spojrzenie w kierunku trybun. Ani szpilki wetknąć [kort centralny – na którym odbywają się finały wimbledońskie – może pomieścić 14 tysięcy widzów

– przyp. aut.], wszystkie miejsca zajęte. Serce już nie bije, lecz wali, jak gdyby chciało uciec z piersi. Za mną wchodzi Round, oklaskiwana spontanicznie. [...] Posyłam dwa tak zwane „asy” – to jest piłki nie do odbicia. Siła tych „strzałów” chwilowo załamuje przeciwniczkę[52].

Jędrzejowska prowadziła wówczas 2:1. Niestety, po chwilowym załamaniu Round, Angielka wróciła do gry i wygrała seta 6:2. Następnego wygrała już Jadzia 6:2 „ku wielkiej konsternacji widowni” – jak zapisała po latach. Obie zawodniczki były bardzo wyczerpane, pojedynek – entuzjastyczny. W kolejnym secie Jędrzejowska prowadziła 4:2. Wspomina:

Dwa gemy dzielą mnie teraz od mistrzostwa świata... Myśl o nich nie daje mi spokoju. Jestem bardzo zdenerwowana. Zaczynam grać źle, moje piłki o centymetry mijają się z linią[53].

Zgubiły ją nerwy, jak przyznała w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Sportowemu” tuż po meczu. Zdobyła wicemistrzostwo świata, choć tytuł mistrzyni był w zasięgu jej rakiety. Po meczu podbiegła do przeciwniczki. Uśmiechając

się, podała jej rękę i pogratulowała zwycięstwa. „W decydującym momencie załamalam się. Nie potrafiłam utrzymać ostrego tempa, które sama narzuciłam”[54].

Mimo wszystko zebrała gratulacje od zagranicznych dziennikarzy, którzy zachwyceni byli jej grą. W „Przeglądzie Sportowym” wyznała, że i tak jest przepełniona szczęściem, wciąż jest bowiem młoda, z roku na rok gra lepiej, poprzednie Wimbledon’y kończyła na ćwierć i półfinale. Wspaniałego występu gratulowała jej sama Alice Marble[55], którą Jędrzejowska zwyciężyła w półfinale – ta przegraną Jadzi w finale „przejęła się bardziej niż sama Dżadża” – jak zauważył „Przegląd Sportowy”.

„Dżed” zmarnowała wspaniałą szansę. Mogła wygrać i powinna była wygrać, bo jest najlepszą tenisistką na świecie. Ale... ma fatalne nerwy i kompleks niższości. Gdy prowadziła 4:2 w trzecim secie, po prostu przestraszyła się..., że może wygrać[56].

Finał wimbledoński zbiegł się w czasie z przegranym przez reprezentację meczem z Rumunią (w lipcu 1937 roku polegliśmy wynikiem 4:2), co przyjęto z równie ciężkim

sercem. Pisano o słabej psychice polskich zawodników:

Jak się okazało na przykładzie tych ostatnich imprez naszym zawodnikom brak przede wszystkim otrząśnięcia się z tego rodzaju wielkimi imprezami. Znowu mieliśmy dowody, że nasi zawodnicy w krytycznym momencie nie potrafią wyjść z „impasu”, nie potrafią udowodnić swej faktycznej wyższości jedynie na skutek pewnych niedociągnięć natury psychicznej. [...] Jest to jakby skaza naszego charakteru narodowego, którą można by określić mianem kompleksu niższości. [...] Jeśli Polak czy Polka dochodzą do punktu, w którym ostateczne zwycięstwo okazuje się nie tylko prawdopodobnym, ale niemal w stu procentach pewnym – następuje moment wprost przerażenia. Nasi przedstawiciele zdają się być przerażeni ewentualnością wygrania i zdobycia tytułu najlepszego w świecie. Wytrąca ich to tak dalece z równowagi, że później wypuszczają pewne zwycięstwo z rąk i dają się pokonać faktycznie słabszemu[57].

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że po tylu latach ten problem wciąż dręczy naszych

sportowców, choć coraz lepiej panują oni nad emocjami, nerwami i stresem.

Prasa okrzyknęła finał Jędrzejowska–Round mianem „najpiękniejszego”. Była to najbardziej dramatyczna rozgrywka w 1937 roku w Londynie. Jędrzejowska niewątpliwie odniosła ogromny sukces. Po turnieju na Wimbledonie, 16 lipca 1937 roku Polka ruszyła w tournée po USA, które skończyła grą w US Open[58]. Rozpoczęła od turnieju w Seabright[59], gdzie zajęła drugie miejsce (przegrała w finale z niedawną konkurentką na kortach wimbledońskich – Alice Marble), w East Hampton za to zwyciężyła z trzecią raketą Ameryki – Miss Sarah Palfrey-Fabyan[60], po czym znowu spotkała się z Marble i pobiła ją 7:5, 6:4 (turniej w Lye). Na mistrzostwach US Open pokonała mistrzynię świata z 1936 roku, Jacobs, i do finału weszła jako faworytka, mierząc się z Chilijką Anitą Lizaną[61], zwaną „baletnicą kortów”, której nie podołała. Grze US Open przyglądało się 18 tysięcy widzów. Nazwisko Jadzi – choć niewymawialne dla korespondentów i komentatorów z całego świata – było doskonale znane. Jędrzejowska przyjechała po raz pierwszy na amerykańską ziemię po zwycięstwie, ale też by wdrzeć się na tenisowe listy świata. Jedną z takich była lista

znanego angielskiego dziennikarza sportowego, Wallis-Myersa[62].

Wallis Myers bierze dla swej klasyfikacji pod uwagę turnieje następujące: Wimbledon, Forest Hills, Paryż i Puchar Wightmana [...]. Dla Anglika najbardziej miarodajne są turnieje na trawie[63].

W rozmowie z „Przeglądem Sportowym” Myers twierdził, że w następnym roku (to jest w 1938) Jędrzejowska powinna znaleźć się w ścisłej czołówce jego listy, ponieważ poczyniła największe postępy. W najważniejszym dla niej roku uplasował ją na miejscu piątym – wyżej się nie dało, nie mógł jej bowiem wybaczyć porażki w Wimbledonie! Mówił jednak z zachwytem:

Polka jest może najwszechstronniejszą tenisistką świata. [...] Pewne braki zaobserwowałem w jej grze jak chodzi o taktykę meczową, o rozłożenie sił, ale i to przyjdzie z czasem[64].

W latach 1937–1939 również była klasyfikowana na miejscu piątym.

23 października 1937 roku na pokładzie statku „Piłsudski” polska tenisistka przybyła do

portu w Gdyni, owacyjnie witana przez tłumy wielbicieli i dziennikarzy. Na dokładną relację z powitania „Dzadzy” poświęcił pół strony „Przeglądu Sportowego” z 26 października 1937 roku Kazimierz Gryżewski, współautor jej późniejszych wspomnień. Jędrzejowska opowiada o przyjaźniach zawartych z tenisistkami i hollywoodzkimi aktorami (pознаła między innymi Charliego Chaplina i Clarka Gable’a), sprzedaje ploteczki, tłumaczy, jak skręciła kostkę, wspomina wspaniałe przyjęcie jej w Ameryce... Po czasie do tej beczki miodu doda we wspomnieniach łyżkę dziegciu, przedstawiając Amerykę jako kraj o zabarwieniu rasistowskim i chorem na marnotrawstwo dóbr i znieczulicę moralną.

Gryżewski bardzo zresztą Jędrzejowską lubił. W „Przeglądzie Sportowym” w artykule o znamienym tytule *Ulubienica całej Europy* opisuje, jak Jadzia wspaniale daje sobie radę w trakcie zagranicznych wojaży, z uśmiechem na ustach załatwia najlepszy pokój w hotelu, wystara się o samochód. Jest młoda, szczera, pełna temperamentu, łatwo staje się ulubienicą zwłaszcza... starszych panów. W krótkich szortach kokietowała króla Gustawa, głowę dla niej stracił grecki król Jerzy. Niespecjalnie



natomiast – jak opisywał Gryżewski – przepadają za nią kobiety. Jędrzejowska za nimi zresztą też nie, poszukuje więc zawsze towarzystwa męskiego. „Panna Jadzia lubi się bawić, lubi tańczyć do upadłego”[65] – dodaje w swojej historii Gryżewski.

W latach 1938–1939 dwukrotnie awansowała do ćwierćfinału wimbledońskiego. W 1939 roku wygrała French Open w grze podwójnej, w finale singla przegrała z Francuzką Simone Mathieu[66]. W 1939 roku w Poznaniu (turniej odbywał się w dniach 29 maja–4 czerwca) Jędrzejowska – już w barwach Legii – zdobyła mistrzostwo Polski, pokonując w finale Łuniewską[67]. To były jej ostatnie sukcesy. Wyrwa wojenna zrobiła swoje – Jadzia nigdy już nie osiągnęła mistrzowskiej formy z lat trzydziestych. Była kolejnym polskim sportowcem, którego kariera została brutalnie przerwana przez ten najstraszliwszy z konfliktów zbrojnych świata. Kilka chwil przed jego wybuchem Jędrzejowska wracała przez Niemcy z tytułem mistrzowskim z Zurychu i odnotowała ze zdziwieniem, że wojnę w Niemczech czuć w powietrzu, Polska po powrocie natomiast wydała jej się dziwnie spokojna, jakby nikt tu w to nie wierzył...

## OSTATNIE ZAGRANIE

W pierwszym wydaniu wspomnień *Urodziłam się na korcie* okres okupacyjny został zupełnie pominięty – zaczyna się wojna, po czym Jędrzejowska już na następnej stronie opisuje swój powrót do „wyzwolonej” w 1944 roku stolicy.

Tymczasem Jędrzejowska podczas okupacji pracowała razem z „Kusym”, Marią Kwaśniewską, swoją siostrą Zofią i Ignacym Tłoczyńskim[68] w knajpie „Pod Kogutem” jako kelnerka. Po aresztowaniu Janusza Kusocińskiego (28 marca 1940 roku[69]) cały personel był przesłuchiwany. Kiedy stawiała się w kwaterze Gestapo, przedstawiono jej propozycję nie do odrzucenia – może opuścić okupowaną Warszawę, upomniał się o nią jej dobry znajomy, król Szwecji Gustaw V. Ponoć miała odmówić.

Bogdan Tuszyński, odtwarzając wojenną historię tenisistki, przywołuje po pierwsze odrzuconą przez Jadzię propozycję wyjazdu do Szwecji (odmówiła samemu funkcjonariuszowi Gestapo, co wzbudza pewne wątpliwości). Po zamknięciu „Pod Kogutem” Jędrzejowska trafia do fabryki obuwia „Leo” przy ulicy Rakowieckiej

34 i przeprowadza się na Kielecką. „W dawnym domu przy Przemysłowej gestapo wykryło stację nadawczą i wszyscy mieszkańcy zostali natychmiast rozstrzelani”[70]. Kielecka w trakcie powstania zostaje zajęta przez Niemców, Jędrzejowską natomiast „wyrzucono z mieszkania i zamknięto w małym domku na rogu Madalińskiego i Łowickiej. [...] Miano ich wywieźć do Pruszkowa”[71]. Tenisistka wraz z innymi towarzyszami niedoli ucieka przez ogródki działkowe na Polu Mokotowskim do Szczęśliwic.

Jędrzejowska była korpulentna, niezbyt zgrabna, ale mimo to miała szalony wdzięk. To była prosta, radosna dziewczyna. Była córką kortowego, ale wspięła się dzięki sportowi niezwykle wysoko. W czasie okupacji przyszło do niej [...] gestapo. Usłyszała: – Przed wojną na Riwierze była pani ulubioną tenisową partnerką króla Szwecji Gustawa V. Król zwrócił się do naszego rządu z prośbą, żebyśmy pozwolili pani pojechać do Sztokholmu. Ma pani trzy dni na odpowiedź. Jadzia zbaraniała. Groza wojny, a tu nagle taka propozycja. Jak wrócili, odmówiła[72].

– opowiadał w „Gazecie Wyborczej” Bohdan Tomaszewski[73].

Paliła na potęgę (zmarła zresztą na raka krtani), po wojnie przeniosła się z Warszawy do Katowic, gdzie w „Hucie Baildon” szukała młodych tenisowych talentów, tych jednak na horyzoncie brakowało. Dziś klub już nie istnieje, został zburzony, na jego miejscu stoi nowoczesny budynek.

We wspomnieniach Jędrzejowskiej uderza brak informacji o przyjacielu – Januszu Kusocińskim (pojawiały się głosy, że być może było między nimi coś więcej). Janusz często odwiedzał ją na kortach, grywali razem. Aresztowanie, a potem bestialskie morderstwo dokonane na mistrzu olimpijskim wstrząsnęły przecież całą Warszawą, całym sportowym światem. Nie wspomina Jędrzejowska o jego działalności konspiracyjnej w czasie okupacji, dramatycznym aresztowaniu i tragicznej śmierci w Palmirach. Przywołuje natomiast początki ich znajomości:

Kusociński imponował mi zawsze olbrzymią wytrzymałością, zaciętością i ambicją, z jaką trenował [...]. Nie załamał się nawet wtedy, gdy zachorował (choroba nogi) i zdawało się, że będzie musiał na

zawsze pożegnać się z bieżnią. Dzielnie przetrwał kryzys i ustanowił nowy rekord Polski na dystansie 5000 m[74].

Po wojnie powrót do światowego tenisa nie był możliwy, straciła zbyt wiele lat, podczas których konkurentki szlifowały styl gry, kondycję, wyrosło nowe pokolenie. Międzynarodowe sukcesy były już poza jej zasięgiem.

„Jadwiga Jędrzejowska prosi uczciwego znalazcę o zwrot srebrnego medalu wimbledońskiego, skradzionego czy też zgubionego podczas ewakuacji Warszawy”[75] – obwieszczał „Przegląd Sportowy”, jednocześnie przytaczając wojenną historię Jędrzejowskiej:

Cały sportowy świat spotykał się w gospodzie „Pod Kogutem”, do czasu aresztowania „Kusego”. Gruchnęła jak piorun wieść – „Kusy” aresztowany! Jednego dnia podjechała pod gospodę „buda” i zabrała wszystkich do al. Szucha na przesłuchanie. [...] Od tego czasu dni gospody były policzone. [...] Gospodę trzeba było zamknąć. [...] Jędrzejowska zaczęła wówczas pracować jako urzędniczka w fabryce mechanicznego obuwia[76].

Jadzia Jędrzejowska wraca na kort [entuzjastycznie obwieszczał Gryżewski] i wraz z innymi dzielnie będzie reprezentować tenis Polski. [...] musi wychować nowe pokolenie tenisistek polskich i dać nam godną zastępczynię[77].

Jędrzejowska przenosi się do Bydgoszczy, w 1946 roku jedzie na turniej do ZSRR, Moskwą się zachwyca. Wychodzi za mąż za Alfreda Galerta w 1947 roku, następnie przeprowadza się do Brynowa pod Katowicami, zmienia też barwy klubu. Upolityczniony sport przechwytuje ją do celów propagandowych; stać się ma twarzą nowej władzy. W 1951 roku wygłasza płomienne przemówienie:

My, czołowi tenisiści polscy, zobowiązujemy się swą postawą na korcie, swoją pracą w zawodzie, realizować wszystkie wskazania władzy ludowej. Oddajemy naszą tężyznę fizyczną dla zrealizowania Planu 6-letniego i włączamy się w narodowy front obrońców pokoju i budowy socrealizmu w Polsce Ludowej[78].

Czy to ugięcie się wobec nowej władzy, próba odnalezienia drogi – już przecież nie sportowej –

w rzeczywistości socjalistycznej? Boi się spaść z piedestału królowej polskiego tenisa – zostaje więc mistrzynią w latach 1953, 1958, 1959 i 1962, pokonując dużo młodsze konkurentki. Co prawda nie ma za bardzo z kim wygrywać – wojna zrobiła swoje, brakuje wykwalifikowanych, dobrze grających tenisistek – ale nie przestaje grać aż do 1968 roku (ma wówczas 56 lat!). To musi budzić uzasadniony podziw.

Zdobyła łącznie 65 tytułów mistrzyni Polski w grze singlowej, deblu i mieszanej. Przez lata była jedyną polską tenisistką, która walczyła w finale Wimbledonu. Zdobyła statuetkę „Przeglądu Sportowego” dla najlepszego sportowca już w 1936 roku (doceniona jeszcze przed swoimi największymi osiągnięciami) oraz po Wimbledonie w 1937 roku. W tym samym roku otrzymała także inne wyróżnienie – Wielką Honorową Nagrodę Sportową[79]. Z kolei w 1977 roku została laureatką nagrody im. Janusza Kusocińskiego. Odeszła 28 lutego 1980 roku w Katowicach, została pochowana w Krakowie na Cmentarzu Rakowickim.



*46. Jadwiga Jędrzejowska, fotografia z przełomu  
lat dwudziestych i trzydziestych*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe





*47. Jędrzejowska z pucharem Międzynarodowego  
Turnieju Tenisa Ziemnego na kortach Dulwich  
w Londynie, marzec 1933 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*48. Jędrzejowska w trakcie gry turniejowej  
Wielkiego Szlema na kortach Wimbledonu,  
czerwiec 1932 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*49. Jędrzejowska i król Szwecji Gustav V, 1936 rok*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*50. Jędrzejowska na stacji Waterloo w drodze do  
USA na Międzynarodowy Turniej Tenisa  
Ziemnego, lipiec 1937 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*51. Jędrzejowska w towarzystwie amerykańskich tenisistów Parker (z prawej) i Robertso na pokładzie statku, lipiec 1937 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*52. Amerykańscy aktorzy Fred MacMurray, Jack Denny i Carole Lombard (od lewej) składają*

*autografy na gipsie Jędrzejowskiej, kontuzjowanej podczas turnieju tenisowego, październik 1937 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*53. Jędrzejowska z amerykańskimi tenisistkami Sarah Palfrey Fabyan, Alice Marble i Francuzką Simone Mathieu na Międzynarodowych Mistrzostwach Tenisa w Deblu na kortach Chestnut Hill, 27 sierpnia 1938 roku*

fot. AFP/EAST NEWS



*54. Jędrzejewska w zaciętej grze Wielkiego Szlema na kortach Wimbledonu, czerwiec 1939 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*55. Jędrzejowska na korcie, 1950 rok*  
fot. CAF/PAP



# Rozdział VII

## OSTATNIE SŁOWO AGENTA

### Jerzy Iwanow-Szajnowicz

W sali „Parnassos” w Atenach odbywało się posiedzenie sądu wojennego. Był deszczowy dzień 9 grudnia 1942. Za stołem, za którym zasiadał trybunał, widniały szaro-zielone niemieckie mundury. Ławę oskarżonych, na której zasiadał Jerzy Iwanow-Szajnowicz z towarzyszami, otaczali żołnierze SS, uzbrojeni w ręczne karabiny maszynowe[1].

Kim był Jerzy Iwanow-Szajnowicz sądzony przez Niemców tego grudniowego dnia na ziemi greckiej? Polak w sercu, pół Rosjanin z urodzenia, mieszkaniec Salonik i wychowanek

greckiej kultury, belgijski student. Sportowiec i agent brytyjski, polski żołnierz kontrwywiadu.

W ostatnim słowie Jerzy Iwanow-Szajnowicz miał rzec:

Urodziłem się Polakiem, jestem Polakiem i Polakiem umrę. Jestem dumny, że umieram za moją ojczyznę i za Grecję[2].

Prokurator Stumm, „typowy Niemiec, wysoki, jasnowłosy, pełny przekonania, że należy do narodu wyższego i stworzonego do panowania nad światem”[3], oskarżyciel Iwanowa w tym procesie (który zakończyć się może tylko jednym wyrokiem – karą śmierci), podchodzi do niego i ku zdumieniu wszystkich obecnych na sali sądowej wygłasza słowa: „Iwanow! Powiem panu tylko tyle, że żałuję, iż w walce tej znalazł się pan w obozie przeciwnym”[4].

Przytoczone fragmenty książki Henryka Landowskiego trzeba zestawić z faktami, które udało się ustalić. Dostępność materiałów na temat Iwanowa-Szajnowicza jest dziś wciąż dość ograniczona, a możliwości dotarcia do nowych informacji – skromne. Pamiętać należy bowiem, że pełnił on służbę na polecenie II Oddziału Sztabu Głównego, by następnie zostać

oddelegowanym w szeregi Secret Intelligence Service[5]. Odtajnione dane na temat jego współpracy z wywiadem brytyjskim są znikome. Działalność ekspozytur Oddziału II Sztabu Głównego została opisana między innymi w publikacji Andrzeja Pepłońskiego *Wywiad Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1939–1945*[6].

Zatem data 9 grudnia 1942 roku, sądny dzień Iwanowa, w innych publikacjach podana jest jako 2 grudnia. W książce Przymanowskich oraz publikacji ppor. Mariusza Kosińskiego[7] to nie prokurator, ale przewodniczący składu sędziowskiego miał wyrazić żal, że tak wartościowy człowiek jak Iwanow-Szajnowicz walczy po stronie wrogów, a nie po stronie Niemiec.

Sąd wojskowy rozpoczynając posiedzenie 2 grudnia 1942 o godzinie 14.00 wydał wyrok o północy. Jerzego Iwanowa skazano na śmierć po trzykroć[8].

## KOLEJE LOSU

Włodzimierz Iwanow, carski pułkownik w stanie spoczynku, dyrektor Kolei Nadwiślańskiej, pojął za żonę Leonardę

Szajnowicz, córkę warszawskiego kupca Daniela Szajnowicza, w 1910 roku, w obrządku prawosławnym, podczas ceremonii w warszawskiej cerkwi. Rok później, 14 grudnia 1911 roku, przyszedł na świat jedyny syn Leonardy i Włodzimierza, któremu nadano imię Jerzy. „Modliłam się, by został sławnym człowiekiem”[9] – wyzna po latach Leonarda. Jej słowa były prorocze.

Polsko-rosyjskie małżeństwo po ponad dwóch latach przenosi się do Moskwy. Włodzimierz dostał bowiem wezwanie do wojska i cała rodzina – także siostra Leonardy z mężem – zamieszkała na terenach koszar wojskowych. Mały Jerzy już od pierwszych lat był więc za pan brat z zaprawą, treningiem – chętnie uczestniczył we wszelkiego rodzaju aktywnościach. Z kolei stosunki między małżonkami ochładzały się. Leonarda poznała „wspaniałego organizatora, wesołego kompana i człowieka szlachetnego”[10] – Joannisa Lambrianidesa. Modliła się o odrodzenie niepodległego państwa polskiego. W 1918 roku Leonarda z mężem i synem wyjeżdżają do Tyfilisu (dzisiejsze Tbilisi). Między małżonkami także toczy się wojna, w końcu kobieta odchodzi od męża. Na pomoc przybywa szlachetny Grek i wyznaje jej miłość.

Ta historia, niczym z ckliwego romansu, wydarzyła się naprawdę, a jej świadkiem był mały Jerzy Iwanow, który po latach doda sobie drugi człon nazwiska matki – Szajnowicz. Tak kształtował się jego charakter – pośród wojskowych, w atmosferze wojny, w rodzinie zmieniającej co i rusz miejsca zamieszkania. Kochankowie wyjeżdżają do Batumi, rodzi się im syn – Antoni. Jest już 1920 rok, Lambrianidesowie rozważają powrót do wolnej Polski. W 1921 roku po wielu turbulencjach docierają do Mińska, w którym matka nakazuje Jerzemu powrót do kraju z wujkiem Antonim (bratem Leonardy, który przez cały czas towarzyszył im w tej tułaczce). Leonarda i Joannis składają stosowne papiery na wjazd do Polski.

Rodzina zamieszkała w Warszawie przy ulicy Sosnowej 13. Młody Jerzy trafia do gimnazjum księży Marianów na Bielanach, ale nauka mu nie w głowie. Joannis dostaje zaproszenie od swoich braci i przez nich zachęcony, namawia żonę na wyjazd do Grecji. Leonarda nie chce przerywać edukacji Jerzego, zostawia więc go pod opieką swojej matki, a sama wyjeżdża z mężem i młodszym synem do Salonik. Niedługo potem, w 1925 roku, Jerzy dołącza do rodziny – jest już

harcerzem. Kończy francuskie liceum dla cudzoziemców w Salonikach. Żyją dostatnio, Leonarda rodzi kolejnego syna, któremu daje na imię Aleksander.

Jerzy w tym czasie postanawia odwiedzić ojca, który osiadł w Bułgarii. Przymanowscy przywołują na kartach sagi rodziny listy syna i ojca z okresu, kiedy odnowili stosunki. Zachowały się znamienne słowa Iwanowa seniora: „nie gardź niczym, byś zawsze był gotów do walki i na wezwanie”[11]. Pisze te słowa po polsku, Leonarda dbała o to, by ojciec rozmawiał z synem w języku ojczystym.

Jerzy podchodzi do matury, zdaje ją celująco. Zachwyca wszystkich znajomością szczegółów bitew morskich, bezbłędnie podając liczby jednostek i ich nazwy, detale, które zadziwiły grono profesorskie. Jednak od najmłodszych lat prawdziwą pasją Jerzego jest sport. Jeszcze w Salonikach zdobywa tytuł mistrza w pływaniu. Studia są sprawą przesądzoną – Jerzy udaje się do Belgii na katolicki uniwersytetu w Louvain[12]. Jest tu jednym z lepszych pływaków na krótkich dystansach w stylu dowolnym. Nie ogranicza swojej aktywności sportowej tylko do pływania – zakłada uniwersytecką drużynę koszykówki, gra

w futbol. Z Salonik wynosi ponadto umiejętności sternika, wraz z bratem mają żaglówkę. Zmienia kierunek na agronomię zamorską. Zajmuje go gra w piłkę wodną.

Pod względem szybkości i zrywu Jurek mało miał tu konkurentów. Piłka, dla widzów w sposób niezrozumiały, lepiła mu się do palców i posłusznie mknęła w należnym kierunku. [...] Oddawano Jerzemu albo numer czwarty, albo szósty. [...] trójka napadu w ostatniej chwili podawała Jerzemu piłkę do tytułu, skąd następował rzut w bramkę[13].

W tym czasie nosił już dumnie drugi człon polskiego nazwiska – Szajnowicz – i złożył podanie o obywatelstwo polskie (otrzymuje je 30 listopada 1935 roku)[14]. To istotne posunięcie, w przyszłości będzie mógł reprezentować biało-czerwone barwy w rozgrywkach międzynarodowych. Dotąd posługiwał się obywatelstwem rosyjskim.

Posiadał polską maturę, greckie liceum, belgijskie i francuskie dyplomy inżynierskie, ale może najwięcej wysiłku włożył w walkę z biurokracją, która przez długi czas odmawiała mu jeszcze jednego dyplomu – obywatelstwa polskiego. Bo tak

już bywa, że urzędy nie zagląдают do dusz ludzkich[15]

– z ogromnym ładunkiem emocjonalnym na łamach „Polski Walczącej” pisał Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, nazywając Szajnowicza „najlepszym z Polaków” i „najdzielniejszym mężczyzną najmniej uległego narodu”.

Tymczasem stawał się coraz popularniejszy w środowisku akademickim, nie ze względu jednak na swoje naukowe osiągnięcia, ale sport – zdobywał medale w zawodach pływackich czterech uczelni. W 1937 roku uzyskał swoje pierwsze wyróżnienie na zawodach międzynarodowych. Postanowił, że to dobry moment, aby swoje umiejętności zaprezentować w Warszawie. Nieznany dotąd w stolicy Polski chłopak zrobił furorę i w czerwcu 1937 roku wstąpił w szeregi AZS. Ćwiczy „śruby”, „rewery” do bramki, pływanie w kółko z podawaniem do przodu i do tyłu. Jest w swoim żywiole.

Trenerem warszawskich pływaków zostaje Amerykanin Howard Stepp[16]. „Przegląd Warszawski” na bocznej szpalcie odnotowywał sukcesy Kazimierza Bocheńskiego[17] w mistrzostwach Warszawy. Zawodnik dostał skrzydeł pod opieką i wnikliwym treningiem



Steppa. Bocheński jest ówczesnym rekordzistą kraju, Stepp zapowiada, że da radę coś z niego więcej wykrzesać[18]. Niestety, już w 1938 roku do mistrzostw Polski nie przystąpił. Wypada zauważyć, że w Polsce sporty wodne były wówczas daleko w tyle za resztą Europy. Stąd decyzja o zatrudnieniu w sekcji pływackiej trenera amerykańskiego. Do dyspozycji piłkarzy wodnych oddano też Węgry Lajosa Raykiego. Węgrzy słynęli w tym czasie ze znakomitych wyników w waterpolo, wyspecjalizowali się w szybkich podaniach, wybiciu, unikach. Na zawodach w Aarhus pływak szwedzki Björn Börg[19] ustanowił rekord Europy na 200 metrów w stylu dowolnym wynoszący 2:11,9[20]. Porównajmy go do rekordu Polski (Bocheńskiego): 2:20,5. Było nad czym pracować.

Iwanow-Szajnowicz (podawany w relacjach prasowych jako Iwanow) po dobrych występach i strzelonych bramkach dostał się do reprezentacji Polski w waterpolo[21]. Pierwszym egzaminem miały być mistrzostwa w Londynie. Utyskiwano, że zawodnicy nie mogli się rozwijać, a ich starty ograniczone są do rozgrywek ligowych. Iwanow-Szajnowicz zdawał sobie sprawę z tego, że pływanie, a w szczególności piłka wodna, stały w Polsce na dużo niższym

poziomie niż w Europie, ale mimo propozycji, które nadchodziły do niego z klubów greckich, chciał pozostać w AZS-ie. Warszawski klub zajmował wówczas drugie miejsce w tabeli, za EKS-em[22].

Polo wodne do Polski przynieśli instruktorzy amerykańskiej YMCA. Około 1922 r. roku powstają pierwsze drużyny w Krakowie – są to AZS, Cracovia, Jutrzenka i Makkabi. Rozgrywają one między sobą spotkania towarzyskie, a od 1923 roku, mistrzostwa okręgowe. W 1925 roku polo zdobywa sobie popularność we Lwowie i w Warszawie[23]

– pisano na łamach „Stadjonu”.

Dekalog waterpolisty – jak podawał na łamach „Raz, Dwa, Trzy” trener Lajos Rayki – brzmiał w owym czasie mniej więcej tak:

- 1) Żyj jak sportowiec
- 2) Każde spotkanie traktuj poważnie i z całym sercem
- 3) Podczas gry nie bądź egoistą i myśl o współgraczach[24].

Reszta zasad sprowadzała się do tego, aby nie kłócić się z arbitrem, dawać możliwość strzelania bramek także innym i nie traktować siebie jak najlepszego gracza na świecie. Ogólne te zasady przełożyć można na inne dyscypliny, waterpolo zaś walczyło o popularność z wieloma innymi sportami w Polsce. Istotne w grze ma być dokładne podanie piłki do partnera, tak aby spadła tuż przy jego twarzy. Strzelać należy z pozycji leżącej, a dobry gracz trafia do bramki z odległości co najmniej 20 metrów. Należy stosować „śruby”. Ta istna biblia zawodników była o tyle cenna, że pochodziła wprost z centrum sportu wodnego – Węgier, gdzie podówczas szkolono świetnych graczy waterpolo. Trener prorokuje sukcesy polskim zawodnikom, którzy stanowią jeden z najlepszych materiałów w Europie, i zaleca częste spotkania na gruncie międzynarodowym. Drużyna waterpolistów przygotowuje się w 1938 roku do egzaminu z Finlandią.

Rezultat meczu water polo jest trudny do przewidzenia. Finnowie liczą na zwycięstwo, trenując od 1 lipca na specjalnym obozie w Helsinkach, jednak i nasza drużyna w obliczu mistrzostw Europy zechce zademonstrować swą

klasę i dać z siebie przypuszczamy wszystko, żeby wygrać. Typujemy wynik remisowy[25].

Mecz, jak przewidywano, zakończył się remisem. W relacji „Sportu Wodnego” nie pada nazwisko Iwanowa. Redakcja nie ukrywa zawodu, wydawało się bowiem, że drużyna Finlandii przegra z drużyną polską. Duże to były ambicje, zważywszy że piłkarze wodni nieszczęśliwie często rozgrywali spotkania międzynarodowe. Fakt prowadzenia przez Polskę 2:0 na pewno zaostrzył apetyt, ostateczny rezultat dla „tak ambitnej drużyny” musiał wydać się porażką[26]. Waterpolo znajdowało się na liście sportów olimpijskich, było więc o co się bić!

Polski Związek Pływacki nie ustawał w poszukiwaniu młodych, ambitnych sportowców, mogących zasilić szeregi tego wciąż w Polsce raczkującego sportu. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy – jak podkreślano – był brak wystarczającej liczby basenów krytych. „Z pięciu zimowych pływalni, jedynie w pływalni Akad. WF można trenować piłkę”[27] – podawał „Sport Wodny”, choć w innym miejscu, w publikacji z 1939 roku, czytamy: „na terenie naszego państwa znajduje się według danych PUWF i PW

400 pływalni letnich i 20 zimowych”[28]. Były to jednak pływalnie dla zawodników niedostępne ze względu na wysokie opłaty, czy – jak napisano – „nieprzychylność administracji” danych ośrodków.

Na miejsce starych rzuciła się ławą młodzież, która z potrojoną energią walczy o opróżnione trony mistrzowskie. [...] Nagłe wycofanie się obu mistrzów[29] [...] otworzyło wszystkie drogi, zachęciło długie szeregi młodych pływaków do pracy. [...] Nasza piłka wodna musi stanowczo skorzystać na tym, że szereg wybitnych pływaków przechodzi na emeryturę. Czas nareszcie wytworzyć grupę specjalistów, którzy by mogli poświęcić się wyłącznie piłce wodnej[30].

Co ciekawe, redaktor „Sportu Wodnego” nie dostrzega konieczności wprowadzania młodych zawodników w szeregi piłkarzy wodnych; tam brzusek i nadmiar tłuszczu może się nawet przydać. Zwrócono jednak uwagę na to, że:

Piłka wodna jest grą, w której sukcesy może odnosić drużyna wysoko stojąca technicznie i taktycznie. Szybkie pływanie jest bardzo pożądane, ale nie

konieczne. [...] Panuje u nas przekonanie, jakoby do piłki wodnej powinni się brać pływacy, których karierę w pływaniu należy uważać za skończoną. Tacy ludzie [...] są dużą przeszkodą dla prowadzącego zaprawę graczy. Uważając, że posiadają oni dostateczną szybkość i wytrzymałość ignorują całkowicie pływacką część treningu, ograniczając swój pobyt do bardzo przyjemnego ćwiczenia strzelania do jednej bramki[31].

Co pisano o Szajnowiczu? Trener Rayki docenił młodego zawodnika: „Iwanow, belgijski student, posiada wrodzony «dryg» do waterpolo, jest dużą nadzieją na przyszłość”[32].

Jedną z ostatnich wzmianek na temat Iwanowa-Szajnowicza zawierała informację o zdobyciu przez niego w mistrzostwach Polski w waterpolo wszystkich trzech bramek w meczu przeciw TP Giszowiec[33].

31 lipca Jerzy odebrał dyplom inżyniera agronomii kolonialnej – jak w pełni brzmiał ten tytuł. Wśród pamiątek po nim, na co zwraca uwagę w swojej książce Landowski, znajduje się puchar, który pływak odebrał z rąk greckiego króla za zwycięstwo na dystansie 1500 metrów.

## JAK JAMES BOND

Na wieść o napaści Niemiec na Polskę przebywający w Grecji Jerzy Iwanow-Szajnowicz zaczął składać w polskim konsulacie podania o wcielenie go w szeregi Wojska Polskiego. 14 maja 1940 roku został wezwany do stawienia się w konsulacie w Salonikach w celu uregulowania służby wojskowej. Nie czekał z założonymi rękoma – organizował przerzuty polskim żołnierzom z obozów przejściowych na Węgrzech czy w Rumunii, którzy zamierzali dotrzeć przez Grecję do Francji tudzież na Bliski Wschód, za armią polską.

[...] pan Jerzy Iwanow decyzją Poselstwa Polskiego w Atenach został przydzielony do pracy w konsulacie[34].

Było to w połowie maja 1940 roku. Prawdopodobnie wtedy poznał oficerów brytyjskiego wywiadu.

Sukces w zwerbowaniu Iwanowa-Szajnowicza przypisuje się Tadeuszowi Szeferowi[35], który miał mu wydawać polecenia w ramach Ekspozytury wywiadu „Ateny”[36]. Major Edmund Piechowiak (zastępca szefa Ekspozytury

„T”) informował, że Szajnowicza zwerbowano w 1940 roku. Wykonywał początkowo zadania kontrwywiadowcze[37].

Kiedy Niemcy w kwietniu 1941 roku przypuszczają atak na Grecję, Jerzy wraz z Szeferem opuszcza Saloniki. 17 kwietnia 1941 roku wsiada na pokład statku „SS Warszawa”[38] płynącego do Jerozolimy. Wysiada w Hajfie. Ta podróż możliwa była dzięki ścisłej współpracy Brytyjczyków z Oddziałem II.

Przedsięwzięcia związane z przerzutem „Athosa”, przy użyciu brytyjskiego okrętu podwodnego [...] świadczyły o dużym znaczeniu jego misji. [...] Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Iwanow został dodatkowo zwerbowany przez SIS lub Zarząd Operacji Specjalnych (SOE) i wykonywał głównie zadania wywiadowcze i dywersyjne dla Brytyjczyków[39].

5 lipca 1941 roku baza w Kairze informowała, że Szajnowicz po przybyciu do Palestyny trafił do Ekspozytury „T” i został poddany intensywnemu szkoleniu pod kontrolą majora Piechowiaka, który miał przekazać mu wiedzę z zakresu organizacji armii niemieckiej. Szefer uczył Iwanowa umiejętności z zakresu techniki pracy



wywiadowczej i łączności[40]. Szkolenie prawdopodobnie trwa trzy miesiące i obejmuje zagadnienia z sabotażu, dywersji i umiejętności pozyskiwania informacji operacyjnych.

7 września 1941 roku Iwanow składa przysięgę, że zachowa tajemnicę, dyscyplinę i będzie należycie wykonywać swoje obowiązki. 8 września uczestniczy w odprawie i przyjmuje pseudonim „Athos”. Przekazano mu adres meliny o kryptonimie „Przychylna”, adresy kontaktowe, znaki rozpoznawcze, hasła, szczegóły dotyczące szyfru. Ostatecznie „Athos” otrzymuje numer ewidencyjny 2882. 21 października ląduje w okolicach Salonik. Wszystko w oparciu o ścisłą współpracę z Secret Intelligence Service (SIS). Najprawdopodobniej też w strukturach brytyjskich funkcjonuje jako pełnoprawny i pełnokrwisty agent 033 B.

Wszelka działalność militarna wymaga wsparcia sprawnej akcji wywiadowczej. Przedwojenny wywiad miał rozgałęzioną strukturę. Funkcję polskiego wywiadu wojskowego pełnił Oddział II Sztabu Naczelnego Wodza, któremu operacyjnie podlegał II Oddział Komendy Głównej, organizujący wywiad głównie na terenie Polski. 29 lipca 1940 roku II Oddział (pod komendą ppłk. dypl. Leona Mitkiewicza[41])

nawiązał oficjalną współpracę z SIS, znanym także jako MI6, konkretnie z gen. Beaumont-Nesbitem[42]. Szef wydziału uzyskał zapewnienie o cyklicznym przekazywaniu codziennych raportów i komunikatów przez wywiad brytyjski[43]. W działalności ekspozytur referatu wschodniego Oddziału II szczególne miejsce zajęła ekspozytura o kryptonimie „T” w Jerozolimie, utworzona w połowie 1940 roku. Jednym z jej zadań była operacja przygotowania i przerzutu do Grecji „jednego z wybitniejszych agentów polskiego wywiadu Jerzego Iwanowa-Szajnowicza”[44].

„Wystąpił do walki sam, wysadzony pewnej burzliwej nocy z brytyjskiego okrętu podwodnego na greckie wybrzeże niedaleko Aten”[45] – pisze Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, który jako pierwszy podjął się odtwarzania losów polskiego agenta w służbie brytyjskiej, polsko-greckiego patrioty, żołnierza i wybitnego sportowca.

Jednym z pierwszych komandosów przerzuconych do Grecji był Jerzy Iwanow-Szajnowicz. Miał on wszelkie dane, aby Brytyjczykom wydać się człowiekiem idealnie wyposażonym w cechy niezbędne dla wykonania [...] zadań. Doskonale

mówił po grecku i świetnie znał teren, na którym miał pracować. Poza językiem polskim, znał jeszcze rosyjski, angielski, niemiecki, włoski i francuski[46].

Iwanow powraca do Aten z konkretnymi planami działań. Ląduje u państwa Janatos (Marianny i Dimitrosa), ci oddelegowują go do swojego szwagra, dr. Kostasa Janatosa. Ma za zadanie stworzyć swoją siatkę wywiadowczą, „pragnie umieścić zaufanych ludzi we wszystkich ważniejszych urzędach włosko-niemieckich”[47]. Na pierwszy ogień idzie hotel „Grand Bretagne”, gdzie siedzibę swoją ma sztab Luftwaffe. Człowiekiem, który wśród niemieckich oficerów wdziera się do gmachu hotelu i wynosi tajne informacje, jest Athanasiou Moschonas – członek tajnej ochrony króla greckiego, Jerzego II. Właściciel hotelu, Szwajcar o nazwisku Szmidt, przyjmuje Moschonasa do ochrony jako agenta bezpieczeństwa. Iwanow wchodzi w ten sposób w posiadanie bezcennych informacji – na przykład, jakie towary ładuje się na które statki, w którym kierunku będą płynąć, kiedy, o której godzinie.

Bierze udział w przygotowaniu i organizacji ataku bombowego na gmach NSDAP i urzędu Gestapo w Atenach, który mieścił się przy ulicy

Pattison. Akcja przyniosła śmierć kilkuset osób, straty odnotowano także po stronie Greków. Zamiarem bezpośrednim było wystraszenie wierchuszki hitlerowskich władz, co w konsekwencji spowodowało odwołanie zapowiadanej dużo wcześniej wizyty Heinricha Himmlera. O udanym zamachu było głośno w całej Europie. Kolejnym na liście do odstrzału, tym razem dosłownego, był sam duce Mussolini, który w czasie odwiedzin w Atenach miał nocować w „Grand Bretagne”, gdzie Agent 033 B miał swoich współpracowników. Plan był dopięty na ostatni guzik, dynamit – przygotowany, Mussolini jednak, znany ze swojej podejrzliwości (cecha zresztą charakterystyczna dla wszystkich dyktatorów), w ostatniej chwili zmienił plany.

Iwanow pracuje także przy fortyfikacjach przeciwinwazyjnych w Maratonie. Przekazuje swoim mocodawcom dokładny rozkład umocnień – Royal Air Force dzięki tym informacjom dokonuje nalotu i bombarduje niemieckie pozycje, wznoszone pieczołowicie miesiącami. Następnie Jerzy pracuje przy budowie niemieckich łodzi podwodnych w Salaminie. Wieczorami, wykorzystując swoje niezwykle umiejętności pływackie, dostaje się

pod okręty, do których przyczepia ładunki wybuchowe. Najbardziej spektakularne będzie wysadzenie w powietrze dumy floty greckiej, zagrabionej przez marynarkę wojenną III Rzeszy – statku „Król Jerzy”, przemianowanego na niemiecki niszczyciel „ZG 3”.

Szajnowicz pod nazwiskiem Papadopouloza[48] rozpoczyna pracę na lotnisku Kalamaki pod Atenami. Głównym zajęciem agenta jest umieszczanie w samolotowych zbiornikach i przewodach olejowych pewnej mieszaniny, zawierającej kauczuk. Kiedy smary przekraczają wysoką temperaturę, specyfik zaczyna się rozpuszczać i odbiera oliwie własności smarne. Silniki zacierają się i samolot nagle ginie – z niewiadomej przyczyny[49].

Jako robotnik dostaje się do Zakładów „Malziniotti”. Były to włoskie zakłady przemysłowe produkujące silniki lotnicze, które wysyłano na Kretę i tam wmontowywano do samolotów. Jerzy przez dosypywanie do oliwy tzw. fasoli (proszku chemicznego) spowodował zniszczenie przeszło 400 samolotów, które na skutek zatarcia silników zaraz po starcie wpadały do morza. Wkrótce rozszerzył dywersję

i sabotaż na obszar całej Grecji. Ostatnią spektakularną akcją (w każdym razie ostatnią, o której możemy dowiedzieć się z przekazów) było wysadzenie składu materiałów wybuchowych w Markopoulo.

Pewnego dnia 1941 roku Jerzy Iwanow-Szajnowicz spotyka na ateńskiej ulicy przyjaciela z dzieciństwa, Tinosą Pandosa (Kostantina Pandosa). Ten już wcześniej niezmiernie był zainteresowany nagłym zniknięciem Jerzego – o przyczyny próbował dowiedzieć się u źródła. Odwiedził rodzinę Iwanowa – tę sytuację przypomni sobie po latach brat pływaka, Aleksander.

[...] zjawił się w Salonikach dawno nie widziany Tinos Pandos. Elegancko ubrany, zaopatrzony w dużą ilość gotówki i uśmiechnięty [...] obszedł wszystkie pokoje, wołając, jak mu miło zajrzeć w stare kąty, zaglądał do książek brata, znalazł wspólną z nim fotografię na Akropolu, wreszcie mnie się uczepił, sądząc widocznie, że od najmłodszego łatwiej uzyska potrzebne mu informacje[50].

Jerzy złamał zasady konspiracji, podał bowiem dawnemu przyjacielowi swój adres.

Tknięty jednak złym przeczuciem znika z mieszkania pół godziny przed wtargnięciem Gestapo. Udaje się do domu Pandosa dla potwierdzenia, czy to faktycznie on zdradził. Tam jednak pułapka też została zastawiona – schwytany przez Gestapo, trafia do więzienia Averof, skąd udaje mu się uciec. To rozsierdza Niemców; następnego dnia całe Ateny przyglądają się życiu miasta oczami Szajnowicza. Jego podobizna jest wszędzie. Superagent trafia na wszystkie słupy ogłoszeniowe i elewacje domów Aten – oto Gestapo wyznaczyło za jego głowę 500 000 drachm. 12 grudnia 1941 roku można było przeczytać:

Georgios Iwanof (lub Nikolaos Ksenoglou) urodzony w Warszawie 14 XII 1911 jest ścigany za popełnione zbrodnie. Ukrywa się w Atenach lub okolicy. [...] Rysopis: wzrost 170–72. Szczupły. Twarz pociągła z wystającymi kośćmi policzkowymi. Oczy niebieskoszare. Nos prosty. Włosy ciemnoblond, zaczesane do tyłu, lekko sfalowane[51].

Anglicy wysłali wywiadowcę o pseudonimie „Fox”, którego zadaniem było sprawdzenie, czy Szajnowicz jest nadal zaufanym agentem. Szybka ucieczka z niemieckiego więzienia musiała

wzbudzić wątpliwości. Szajnowicz, by się ukryć, zapuścił wąsiki, zmienił kolor włosów na ciemniejszy, garbił się i dodatkowo zniekształcał sylwetkę za pomocą wkładki poduszkowej imitującej brzuszek[52].

Ppłk Mercik pseudonim „Jakub Alek” otrzymał wstrząsającą wiadomość o poszukiwaniu „Athosa” przez Niemców. Iwanow zwrócił się do niego o pomoc przy ewakuacji z Grecji. Wywiad brytyjski zgodził się na przerzut agenta – miał w jego miejsce oddelegować kogoś nowego.

Operacji tej Brytyjczycy nie zdołali jednak przeprowadzić. Osamotniony Iwanow, ukrywający się wówczas pod nazwiskiem Andreas Condrouopoulos, usiłował kilkakrotnie zbiec do Turcji[53].

Nie udało się.

Do listu gończego dołączone jest zdjęcie, które Jerzy podarował Pandosowi. To był jedyny egzemplarz fotografii, więc nie ma wątpliwości, kto ją dostarczył Niemcom.

Jerzy, podobnie jak jego pomocnicy, zaczął używać włoskich i niemieckich mundurów wojskowych wypożyczanych z pralni, dla



łatwiejszego poruszania się po mieście[54]. W maju dostał rozkaz opuszczenia Grecji, plan transportu na kutrze przemytniczym płynącym do Afryki jednak nie powiódł się. W sierpniu miał być wysłany po niego okręt podwodny. Nie dotarł.

Jesienią 1942 roku ostatnia kryjówka Jerzego została otoczona przez policję włoską. Tym razem zdrajcą był niejaki Pandelis Lambrenopoulus[55]. Wraz z aresztowaniem Jerzego Niemcy zatrzymali całą siatkę wywiadowczą, z dr. Janatosem i jego rodziną na czele. W sprawie aresztowanego Iwanowa-Szajnowicza interweniował sam metropolita ateński, Damaskinos[56]. Niestety, niewiele to pomogło.

Na ścianie celi numer 1[57], w której był przetrzymywany, wyrył napis: „Niech żyje Polska. Jeszcze Polska nie zginęła. Jerzy Iwanow”. „Nie słowem, a czynem” miał z kolei wyryte na swoim sygnecie[58].

## OSTATNIA MISJA

Przyszli po niego 4 stycznia 1943 roku. Nikt nie poznał jego ostatniej woli i słów

skierowanych do matki – oba listy przeszmurowane przez Jerzego zostały zniszczone. W innej celi tego samego więzienia siedział towarzysz Jerzego, dr Janatos. Widział, jak Niemcy prowadzili Iwanowa na śmierć. Ostatecznie Kostas Janatos zdołał uciec przed śmiercią – tak skutecznie symulował chorobę psychiczną, był tak długo leczony, aż doczekał nadejścia wojsk alianckich.

Prowadzony na szafot Jerzy podejmuje ostatnią walkę. Próbuje uwolnić się z kordonu śmierci – zaczyna uciekać, wcześniej wyswobodziwszy ręce z kajdanek. Niemiec składa się do strzału, Jerzy pada. Gestapowcy przyciągają zemdląłego Szajnowicza, przywiązują do desek. Interweniuje ksiądz, który przed chwilą go spowiadał – okryją się hańbą, jeśli rozstrzelają ранnego! Nic z tego – wyrok musi być wykonany. Kiedy pluton szykuje się do oddania strzału, Jerzy w ostatnim akcie odwagi i niezłomności wykrzykuje: „Niech żyje Polska...”

Grób Iwanowa-Szajnowicza na III cmentarzu w Atenach stał się miejscem licznych pielgrzymek, zwłaszcza ludzi młodych, dla których ta niezwykła historia jest nadal natchnieniem. Sam Jerzy cieszy się w Grecji niesłabnącą popularnością. Polska doceniła go,

odznaczając pośmiertnie Orderem Virtuti Militari.

Przymanowscy na stronach historii Jerzego Iwanowa-Szajnowicza przywołują relacje świadków jego czynów i ostatnich dni przed śmiercią. Uratowany od zagłady dr Kostas Janatos z siatki wywiadowczej Jerzego potwierdzał:

Joannis Botis, założyciel i dowódca organizacji konspiracyjnej OAG, otrzymał od Iwanowa, z którym współpracował, zarówno polecenie, jak i instrukcję, co do sposobu dokonania akcji dywersyjnej, polegającej na niszczeniu samolotów niemieckich. Zadanie to zostało wykonane w skali masowej[59].

Bohaterską postawę swojego klienta opisuje obrońca z urzędu, którego Szajnowiczowi przydzielono w ten jedyny dzień rozprawy zakończonej potrójnym wyrokiem śmierci:

Byłem wstrząśnięty słysząc, jak ten człowiek, wytworny i sympatyczny, udziela w sposób naturalny i swobodny odpowiedzi twierdzących, z których każda stanowi dostateczną podstawę dla wyroku śmierci. [...] Nie powiedział niczego, co mogłoby obciążyć jego towarzyszy[60].

Mecenas Panajotis Colibas nie potwierdza, aby Jerzy na koniec coś rzekł (inaczej tę sytuację opisuje, dokonując dość swobodnej interpretacji, Landowski[61]), odpowiedzieć miał pogardliwym milczeniem[62].

Ciekawym dokumentem są na pewno drukowane po latach w greckiej prasie wspomnienia uratowanego Konstantego Janatosa, do których dotarli Przymanowscy. Z kolei gazeta „Asirmatos” od 20 marca 1945 roku drukowała cykl artykułów na temat Jerzego. Przetłumaczone na język polski, byłyby wspaniałym uzupełnieniem historii heroicznej walki, jaką podjął polski sportowiec i brytyjski agent na ziemi greckiej.

Ostatnie minuty z życia Iwanowa-Szajnowicza przypomniał podczas konferencji prasowej w styczniu 1976 roku Georgios Stamatopulos, były sierżant policji, który dyżurował na terenach dawnej strzelnicy sportowej w Atenach, gdzie Niemcy urządzili miejsce egzekucji.

Iwanow miał całą twarz pokrytą wielkimi kroplami potu, lecz nie przestraszona, raczej dziką i złą. Zemdlał z bólu. Ktoś przyniósł koc ze strzelnicy i na nim go Niemcy podnieśli. Przywiązany do słupa odzyskał przytomność i słuchał uważnie, gdy

czytano wyrok. Nie chciał, by mu zawiązywano oczy [...]. Krzyknął coś tuż przed salwą i były w tym okrzyku słowa wolność i ojczyzna[63].

W dniu rozstrzelania Jerzy Iwanow-Szajnowicz miał 32 lata. Stał się symbolem walki z przemocą i o niepodległość. Walczył za wolność Polski, Grecji i Wielkiej Brytanii. Miał niezłomną wiarę w zwycięstwo aliantów. 25 maja 1976 roku grecki prezydent przyznał mu Złoty Order Najwyższego Bohaterstwa. Od rządu brytyjskiego matka Iwanowa otrzymała 1000 funtów.

W Grecji rozgrywane są corocznie zawody żeglarzy i wioślarzy, upamiętniające postać Jerzego Iwanowa-Szajnowicza; noszą nazwę „Ivanofia”. W Salonikach postawiono greckiemu i polskiemu bohaterowi pomnik. W Polsce powstał film oparty na losach Iwanowa pod tytułem *Agent nr 1*, w postać Jerzego wcielił się Karol Strasburger.

W czerwcu 1946 roku sądzony był jeden ze zdrajców Szajnowicza – bliski przyjaciel z lat szkolnych, Tinos Pandos. Po przejściu na stronę wroga odbył on kurs dla dywersantów w Abwehrze i działał jako agent niemiecki na Środkowym Wschodzie. Skazano go na śmierć, uniknął jej jednak – został osadzony w ciężkim

więzieniu na wyspie Eigina. Ojciec Iwanowa umarł 10 lat po egzekucji syna. Nic nie wiedział o jego tragicznym losie i śmierci.

\* \* \*

W publikacji *Kontrwywiad II RP (1914) 1918–1945 (1948)* autor jednego z rozdziałów przywołuje słowa szefa Ekspozytury „T” majora Edmunda Piechowiaka[64] – tego samego, który według informacji podanych przez Pepłońskiego miał osobiście szkolić naszego agenta z zakresu ogólnej wiedzy dotyczącej niemieckich sił wojskowych – oficera placówek wywiadu w Rumunii oraz na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Piechowiak podważa w całości dokonania Jerzego Iwanowa-Szajnowicza, stwierdzając w mocnych, dosadnych słowach:

Nie trzeba być wcale fachowcem, oficerem wywiadu, aby te jego niesamowite „wyczyny” zdyskwalifikować i zaliczyć do bajek [...]. Śmiać się chce, jak wysadzał budynki, topił okręty i statki, niszczył magazyny itd. Trzy razy był aresztowany i za każdym razem zwiął [...]. Himmler i Mussolini ze strachu zaniechali przyjazdu i tym podobne bujdy.

[...] Ale skandal jest kto mu nadał i za co Order VM[65].

Jest to głos sprzeciwu wobec szalenie popularnej w PRL książki opisującej (rzeczywiście w sposób niezwykle barwny) wyczyny „Agenta nr 1” (taki jest zresztą jej tytuł), autorstwa Stanisława Strumph-Wojtkiewicza. Faktycznie, pierwsze – także i tu przywoływane – publikacje na temat „Athosa” jawią się jako nieco zbyt kolorowe, piękne i heroiczne, stąd warto byłoby je zestawić z publikacjami naukowymi. Wciąż jednak czekamy – także w przypadku Iwanowa-Szajnowicza – na odtajnienie wszystkich informacji, zawartych głównie w aktach wywiadu brytyjskiego.

W tym miejscu warto jednak przywołać dwutomową publikację Tadeusza Dubickiego i Andrzeja Suchcitzza *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, w której nazwisko Iwanowa wspomniane zostało w kontekście oficera Ekspozytury „Ateny” Oddziału II, której głównym zadaniem było przygotowanie sieci wywiadowczej na wypadek ataku włosko-niemieckiego wymierzonego w Grecję.

Każdemu nowo werbowanemu agentowi lub informatorowi nadawano numer i pseudonim. Największym sukcesem w tym zakresie było pozyskanie Jerzego Iwanowa-Szajnowicza[66].

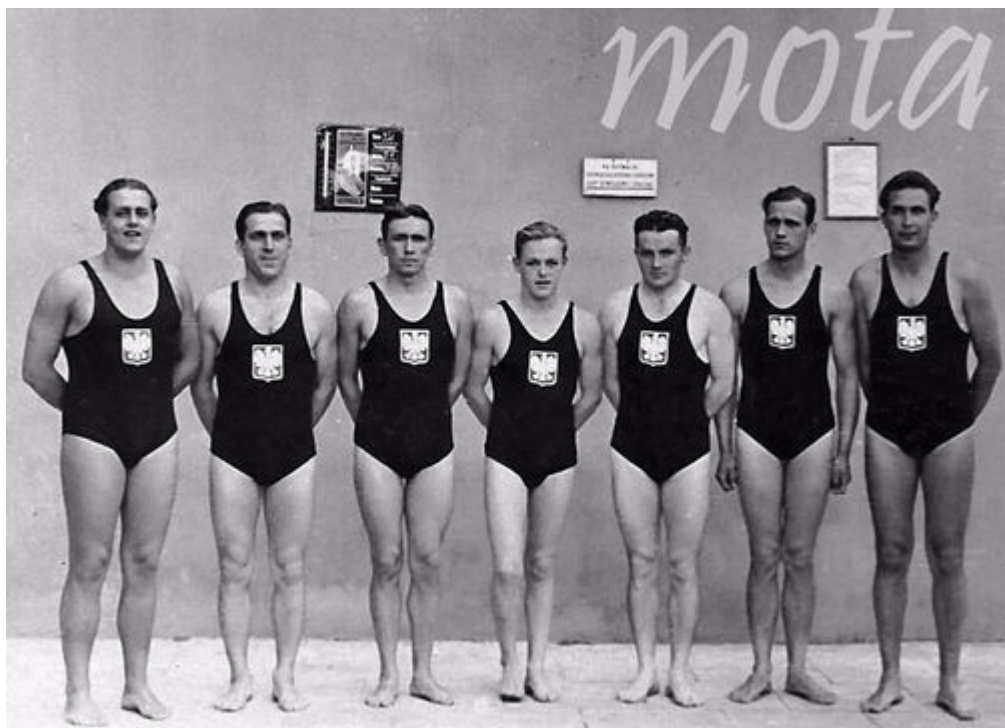
Historyk Andrzej Pepłoński w swoim dziele opisującym wnikliwie organizację, strukturę i zadania polskiego wywiadu przytacza obszerne fragmenty odnoszące się do działalności Iwanowa-Szajnowicza:

Sabotaż zainspirowany przez „Athosa”, na polecenie Brytyjczyków, spowodował liczne katastrofy samolotów niemieckich, uczestniczących później w walkach w Afryce. Brawurowe akcje dywersyjne wykonywane osobiście przez „Athosa”, a zwłaszcza zniszczenie przy pomocy min niemieckiego okrętu podwodnego „U-133” oraz niszczyciela „Hermes”, zwiększyły aktywność niemieckiego kontrwywiadu [...] [67].

Liczne nieścisłości, rozbieżne niekiedy wersje, powątpiewania nawet najbliższych – zdawałoby się – współpracowników polsko-brytyjskiego agenta to najlepsze świadectwo tego, jak wciąż niezbadany jest ten temat, jak duże pole do



popisu daje historykom zajmującym się szeroką tematyką wywiadu. Sprawę na pewno oświetliłoby odtajnienie informacji przez brytyjskie służby, co raczej w najbliższych latach nie będzie możliwe. W 2000 roku powstała Polsko-Brytyjska Komisja Historyczna, która zajmowała się współpracą polskiego i brytyjskiego wywiadu. Na liczne zapytania przedstawicieli polskiego rządu co do losów archiwum Oddziału II Sztabu NW (przekazanego SIS) Brytyjczycy odpowiedzieli, że materiały przekazane przez szefostwo Oddziału II zostały zniszczone. Historycy nie ustają jednak w poszukiwaniach, po cichu licząc, że część oficerów polskiego wywiadu w prywatnych archiwach przechowała tajne dokumenty. Być może kiedyś jeszcze wypłyną...



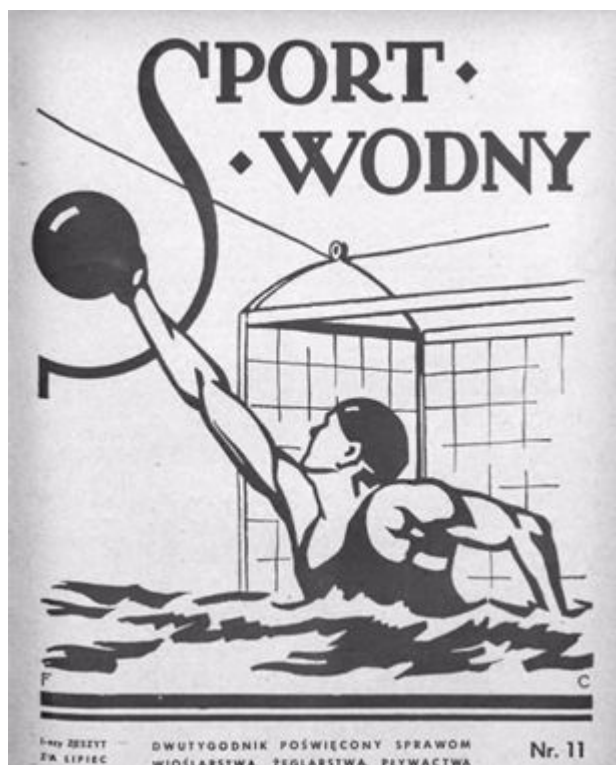
*56. Jerzy Szajnowicz-Iwanow w grupie piłkarzy wodnych (trzeci z lewej), lata trzydzieste*



*57. Grupowa fotografia polskich piłkarzy wodnych; stoją od lewej: Kazimierz Bocheński, Jastrzębski, Jerzy Szajnowicz-Iwanow (z tyłu), Wienez, Zubowicz, Lajos Rayki (w szlafroku), Rosner, Józef Makowski, Konarek; siedzą: Bochenek, Oskar Halor, Juhasz; klęczą: Jan Jędrysik, Turenko, grudzień 1937 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*58. Trener pływacki Howard Stepp (z prawej) przybywa do Polski; po zejściu z pokładu M/S „Batory” wita go delegat Polskiego Związku Pływackiego Lenert, Gdynia, 1939 rok  
fot. A. Górniak/Narodowe Archiwum Cyfrowe*



59. Okładka czasopisma „Sport Wodny”, lipiec 1938 roku

# Rozdział VIII

## WYMAZANY Z PAMIĘCI

### Ernest Wilimowski

Rude włosy, sterczące uszy, szelmowski uśmiezek, często do szалу doprowadzający przeciwnika. Zawadiaka, hulaka, który i słowami „skocz mi na pukiel” potrafił się przywitać z rywalem, a i nierzadko siarczyście po niemiecku zakląć.

Mowa o Erneście Wilimowskim (ur. w 1916 roku), zwanym „Ezim”, wielkiej nadziei polskiej piłki nożnej pod koniec lat trzydziestych, który swoją sportową bezczelnością i pewnością siebie potrafił doprowadzać przeciwnika do pasji. Jego losami – podobnie jak losami wszystkich sportowców dwudziestolecia – zawładnęła wojna. A Polska po 1945 roku postanowiła usunąć go w najciemniejszy kąt historii sportu.

Przygodę z piłką zaczął w śląsko-niemieckiej drużynie 1.FC Katowice[1] i następnie jako siedemnastolatek został sprzedany do Ruchu Hajduki Wielkie za 1000 złotych. Już w pierwszym sezonie z Ruchem zdobył mistrzostwo Polski (w 1934 roku) i przywdział koronę króla strzelców z 33 golami na koncie! Grał na lewym skrzydle, był prawdziwym objawieniem świata futbolu, dzięki nieprzeciętnym zdolnościom i talentowi trafił natychmiast do reprezentacji Polski. Stanowił znakomity tandem z klubowym partnerem Gerardem Wodarzem[2], także grającym na lewym skrzydle. W samym tylko 1934 roku w barwach polskich Wilimowski rozegrał pięć meczów. Tak objawienie piłkarskie wspominał jego klubowy kolega, Teodor Peterek[3]:

Było to 25 grudnia 1933 roku, graliśmy towarzyski mecz z 1. FC Katowice. W zespole katowickim, na lewym skrzydle zaimponował nam rudowłosy 16-latek. Strzelił nam dwie bramki i był motorem wszystkich akcji napadu 1. FC, tak że z trudem zremisowaliśmy 4:4. Po meczu zwróciłem kierownikowi [...] Ruchu uwagę na rudzielca. [...] Dla mnie był on fenomenem piłkarskim i do Ruchu przyszedł już jako rasowy piłkarz[4].

A przecież to był jeszcze dzieciak.

## MŁOKOS RZĄDZI

Piłka nożna szkoli młodzieńca do walki w życiu i rozwija w nim te zalety, które są mu później w życiu potrzebne dla utrzymania swej egzystencji, a więc energję, odwagę, zimną krew, orientację, sztukę stosowania forteli, ale szlachetnych, a także rycerskość i szacunek[5].

Na miesiąc przed zakończeniem rozgrywek o mistrzostwo Polski w 1934 roku wiadomo było, że to Ruch – po raz drugi w swej historii – przywdzieje szaty mistrzowskie. To początek złotej ery śląskiego klubu i najlepszych lat Wilimowskiego. W maju dzięki jego golom Ruch rozgromił Podgórze aż 13:0 (Ernest zaliczył pięć celnych strzałów). Taki wynik nie mógł przejść bez echa w prasie, która donosiła:

Ślązacy wygrali swój trzeci w tym sezonie mecz w niezwykle wysokim stosunku, dzięki zupełnie prostej taktyce, której zawsze hołdują. Kierownik napadu, Peterek posyła pięknymi wolejami piłki

skrzydłowym, ci zaś podbiegają szybko pod bramkę, centrując, a wynik nie daje na siebie czekać[6].

Co ciekawe, jak podkreślał korespondent, najlepszymi graczami Podgórze (którego kierownikiem napadu był niejaki Szary, co miało być odzwierciedleniem jego charakteru, jak złośliwie ujęła to prasa) byli... obrońcy.

Grę zaczyna Ruch podchodząc prędko pod bramkę gości. [...] w 4 min. Peterek trafia z woleja w wewnętrzną stronę słupka. [...] w 27-ej minucie Ruch bije wolny, piłka przechodzi do Wilimowskiego, który pięknie wystawia Peterka i jest 3:0. w 31 min. Wilimowski po udanym driblingu strzela z trzech metrów czwartego gola. [...] Sytuacja Podgórze nie zmienia się w niczem. Gra jest na ogół otwarta, akcje zmienne. W 8-ej minucie Wilimowski obszedłszy pięciu graczy lokuje nieuchronnie piłkę w siatce. W 13 minucie przebija się Wilimowski, zostaje jednak przez jednego z obrońców sfaulowany na polu karnym i wyniesiony z boiska. Pewnym egzekutorem karnego jest Peterek. [...] Po 11 minutowej nieobecności Wilimowski powraca na boisko przyjęty żywymi oklaskami. W 23-ej min. Dzierża nie



chcąc dopuścić startującego już Wilimowskiego do strzału, strzela bramkę samobójczą. W minutę później Wilimowski przedarłszy się przez krakowian, broniących czem można swą świątynię, ustala wynik dwucyfrowy. [...] Wreszcie na 10 minut przed końcem Wilimowski dochodzi do tuzina, zaś na 6 minut przed końcem gry, Włodarz strzela z 40 metrów (!) górną bombą teatralną trzynastkę[7].

Finał godny mistrza Polski – jak zanotował „Przegląd Sportowy”. Ruch przypieczętował zawody wygraną z Warszawianką 7:1.

Zobaczyliśmy nareszcie piłkę nożną w wydaniu, któreby publiczność częściej chciała oglądać na boiskach polskich. [...] były przeboje indywidualne, mistrzowskie driblingi, gra głową, doskonałe wystawienia prostopadłe, zwrotność, szybkość, kondycja fizyczna i... celny strzał[8].

Tymczasem w trakcie rozgrywek na polskim podwórku reprezentacja spotyka się z Rumunią. „Przegląd Sportowy” tak skwitował występ niedysponowanego w tym dniu Wilimowskiego w ostatecznie remisowym (3:3) pojedynku:

Najmłodszy pupilek naszego piłkarstwa [miał wówczas lat 18 – przyp. aut.], bohater wszystkich recenzji sportowych – Wilimowski, tym razem nie spotkał się z pochlebną oceną. Z wielu stron nie brano jednak w rachubę jego stanu zdrowotnego, który raczej nakazywał pauzować niż grać. Ponieważ młody ślązak reprezentuje dla zubożałego piłkarstwa polskiego zbyt wielką wartość, należy wyrazić życzenie, by w najkrótszym czasie znalazł się on pod obserwacją lekarzy i rozpoczął normalną kurację[9].

Wilimowski zadebiutował zresztą w barwach narodowych meczem z Danią (przegranym co prawda 2:4), mając 17 lat[10]. Mecz odbył się 21 maja 1934 roku i był to także polski debiut na duńskiej ziemi (i w ogóle pierwszy mecz z Duńczykami). Co prawda Polacy ulegli świetnie grającym przeciwnikom, ale jak odnotowano – była to tylko kwestia szczęścia. A raczej jego braku. Jak na debiutanta, Wilimowski dał się zauważyć w pełnej krasie. Zachwytom nie było końca:

Sędzia Ruud oświadczył, że jest oczarowany grą Polaków, pełną finezji technicznych najwyższego stopnia. [...] Statystyka faulów 15:4 na niekorzyść

gospodarzy mówi też o ostrej grze. Prezes Oestrup wyraził się podobnie o Polakach, dodając, że niechęć do strzału zadecydowała o przegranej. My dodamy jeszcze, że brak im było szczęścia. Jakże można to inaczej nazwać jeśli 7 strzałów trafiło w słupki i poprzeczkę, strzałów, których żaden bramkarz świata by nie obronił. [...] Parą prawdziwych bohaterów był jednak Wilimowski i Wodarz. Na nich przypada 90% wszystkich udanych akcji, ataków i strzałów... w poprzeczkę lub obok bramki. Szli naprzód, bez wytchnienia, ciągnąc cały atak, a indywidualnie wygrywali wszystkie pojedynki. [...] Przeważając i imponując stylem gry, schodzimy z boiska pokonani. Nie zasłużyliśmy na to absolutnie, ale piłka jest okrągła...[11]

Marian Strzelecki[12], szef „Przeglądu Sportowego”, nie omieszkał zresztą na łamach swojego magazynu zaprowadzić czytelnika za kulisy podróży polskich piłkarzy, informując na przykład, że Wilimowskiemu starzy wyjadacze zafundowali ostre „lanie” jako debiutantowi w kadrze narodowej. „Tradycja wypraw takich znalazła od razu swój wyraz w „laniu”, jakie weterani sprawili nowicjuszom w osobach Wilimowskiego i Korniejewskiego”[13].

A zawodnikom dopisywały i humory, i nade wszystko apetyty:

Wagon restauracyjny staje się niebawem terenem „koncertu” apetytu, jaki dają nasi chłopcy, ze Ślązakami i Martyną na czele. Jedzenie jest obfite i dobre[14].

Rzną zajadle w skata; inni znów zbijają bąki i niemiłosiernie się nudzą na promie niosącym graczy do Kopenhagi; jedzą zbyt lekki – jak skwitowali – obiad. Prezes PZPN Kałuża[15] zabawia się w fotoreportera. Po przybyciu do stolicy Danii młodzi fani sportu otaczają Polaków z prośbami o autografy. W takiej atmosferze Ernest Wilimowski rozpoczyna karierę w reprezentacji.

## PRZEDOLIMPIJSKIE NADZIEJE

Wartość Wilimowskiego dla reprezentacji Polski była dla wszystkich oczywista. Wybitny znawca i teoretyk piłki nożnej Narcyz Süssermann[16] w artykule *Piłkarze szlifują swoją formę* docenił zwłaszcza śląski futbol i podkreślał jego znaczenie.

Widać sport piłkarski wrósł mocnymi korzeniami w ziemię śląską, kiedy mecz bądź co bądź pozbawiony pierwiastków atrakcyjności i przeznaczony raczej dla fachowców, niż szerokiej masy przyciągnął aż tylu ciekawych. Odegrała tu rolę niewątpliwie popularność graczy śląskich, a w szczególności Ruchu. [...] Ślązacy to na ogół ludzie nie skomplikowani – jak widzą, tak cenią. Dumni są więc ze swego Ruchu i mają pretensje, że w innych dzielnicach nie znajduje się takiego uznania[17].

Na ten przedolimpijski sprawdzian formy skompletowano z zawodników dwie drużyny, obie składające się z graczy ligi. Mecz rozegrano w Katowicach. W barwach biało-niebieskich, jakie na ten mecz przybrała jedna z drużyn, wystąpił między innymi Ernest Wilimowski. Nie chodziło o wynik, a o sprawdzian i przegląd sił reprezentacyjnych.

Z łączników wybijali się ponad przeciętność Matyas II[18] i Wilimowski, gracze dość różnych zresztą typów. Matyas nieco powolniejszy, jednak doskonale plasuje piłki i w pomysłach jest bardziej różnorodny. Wilimowski nieprawdopodobnie szybki, wykorzystuje w stu procentach zdawałoby się

stracone sytuacje. Udział graczy tych w reprezentacji nie podlega dyskusji[19].

Forma Wilimowskiego była wciąż niepodważalna, mimo słabszych występów jego kolegów z zespołu. I tak po przegranym w Łodzi przez Ruch spotkaniu z ŁKS-em trener zwycięskiego zespołu Lajos Czeizler[20] wypowiedział się na łamach „Przeglądu Sportowego”:

Wilimowski jest graczem dużego formatu i mógłby grać w każdej czołowej drużynie włoskiej, ma bowiem zalety doskonałego łącznika. Może za dużo wózkuje, ale że robi to doskonale można mu to wybaczyć. Ruch operuje systemem trójkowym w ataku, który wymaga jednak trzech znakomitych graczy ala Wilimowski, dlatego nie zawsze się tam wszystko udaje[21].

Piłka w tym czasie – jak zresztą po dziś dzień – była oglądana i dopingowana przez tłumy, kochana, wielbiona, a piłkarskim obowiązkiem były wszechstronność i dążenie do doskonałości. Szkoleniowcy podkreślali konieczność stałego rozwoju, ćwiczeń, a także uprawiania sportu

w innych dyscyplinach. Wilimowski doskonale wpisywał się w ten model – choć na jego postaci były i pewne cienie, na przykład jego wypadki alkoholowe, o czym za chwilę. Uprawiał hokej, świetnie jeździł na nartach, grywał także w szachy. Ćwiczył ciało i umysł – i czasem cierpliwość działaczy PZPN. Związek wiedział już, że piłkarza nie można pozostawić na okres zimowy bez ruchu, bez opieki – a więc masaże, gimnastyka (pod koniec lat trzydziestych starano się wdrażać takie nowoczesne metody treningowe). Zwracano uwagę, że piłkarze nie umieją biegać, „w treningu powinno się uwzględnić dużo ćwiczeń biegowych dla wyrobienia szybkiego startu do piłki” – pisał na łamach „Raz, Dwa, Trzy” dr Wacław Sidorowicz[22]. Gracz piłki nożnej powinien dbać o tężyznę i rozwijać górną partię ciała, uprawiać więc rzuty dyskiem czy piłką lekarską, a nawet trening bokserski, lecz nade wszystko – choć jeden dzień treningowy w całości pozostawiać na lekką atletykę[23].

W maju 1935 roku Wilimowski doznaje uciążliwej kontuzji. Oto w meczu mniejszej rangi Hajduki Wielkie zmierzyły się z reprezentacją Bielska-Białej. Spotkanie miało przebieg wyjątkowo brutalny. Już w 19. minucie

Wilimowski stał się ofiarą szarży bielskich zawodników. Pierwsze oględziny nogi dały wyrok niepomysłny – złamanie! Zdążył jeszcze strzelić bramkę, ale żniwo brutalnych zagrań zebrał nie tylko najlepszy hajducki napastnik – aż trzech graczy śląskich odwieziono do szpitala. U Wilimowskiego stwierdzono konieczność operacji. Został odsunięty od gry na kilka meczów[24].

Kierowani troską o stan najlepszego piłkarza Polski po głośnym już na całą Polskę meczu „propagandowym”, udajemy się do Wielkich Hajduk, gdzie w szpitalu hutniczym umieszczono Ernesta Wilimowskiego. Budynek szpitalny to kolos starej już daty, to też niczem nie przypomina nowoczesnych klinik i szpitali. Na pierwszym piętrze leży nasz „Ezi”. W izdebce jest dużo powietrza i słońca, pacjent zaś dla urozmaicenia gra ze współlokatorem w karty. [...] Humor ma nasz interlokutor wcale dobry i powiada, że ból w nodze już minął. Pokrótkę opisuje nam historję wypadku, z czego m.in. wynika, że w jakiejś 19-ej minucie po zmianie Ślązak „kiwnął” dwu czy nawet trzech zawodników, dostał się jednak potem w „magiel” i w tym samym momencie kopnął go ktoś w lewe kolano[25].



Operował dr Frenkel, lekarz niemiecki, przypadkowo bawiący w Katowicach. Na widok kontuzji ulubieńca publiczności zawyrokował wstępnie, że już po nim. Po dogłębniejszym jednak badaniu oznajmił, że postawi chłopaka na nogi w miesiąc. Do operacji przykurczoną dotąd kończynę piłkarza trzeba było boleśnie wyprostować. Wilimowski zapewnia, że wróci w ciągu dwóch tygodni do gry i nie będzie już tak głupio szarżował w mało liczących się meczach. Po początkowej rozpaczycy – że złamanie i tragedia – okazało się, że „Ezi” doznał jedynie urazu stawu kolanowego. Tymczasem zarząd Ruchu wniósł o ukaranie winnych zająć, przede wszystkim zaś arbitra nieszczęsnego spotkania, który dopuścił do tak brutalnej gry.

A na horyzoncie widniał już mecz reprezentacji Polski z Austrią. Nokaut zawodników bielskich wyeliminował z tej gry Ernesta. Mecz Polska przegrała 5:2. Chwilę później cały kraj pogrążył się w żałobie po śmierci marszałka Piłsudskiego – wszystkie zawody zostały zawieszane na kilka dni.

Kolejne mecze Ruchu – bez Wilimowskiego – napawały optymizmem wprost proporcjonalnym do spadającej formy hajduckiego zespołu. Udało się jednak utrzymać prowadzenie w lidze i Ruch

sięgnął po swój trzeci tytuł. Stan Wilimowskiego uległ pogorszeniu (wylew krwi w kolanie)[26] i piłkarz został ponownie przytransportowany do szpitala.

„Jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, że najlepszy piłkarz polski Ernest Wilimowski znalazł się ponownie w szpitalu!”[27] – pisał w kolejnych doniesieniach „Przegląd Sportowy” i przywołał rozmowę z poszkodowanym:

W szpitalu w Hajdukach powiedziano, że o ile nie wyniknie jakaś komplikacja w pierwszych trzech dniach mego pobytu w lecznicy, wtenczas będzie wszystko all right!

Niestety, stało się inaczej. Mało kto troczył się o mnie, pozwolono mi chodzić, a noga bolała z dnia na dzień bardziej. To też poskarżyłem się ojcu, który zdecydował zabrać mnie do domu i zasięgnąć opinii specjalisty. Opinia ta nie mogła najlepiej wypaść, skoro po tygodniowym pobycie w domu przetransportowano mnie tu[28].

W szpitalu hutniczym S.A. Giesche w Szopienicach, gdzie leżał Wilimowski, zainteresowanie dziennikarzy i sympatyków piłkarza było tak wielkie, że trzeba było wzmocnić strażę. Ernest z kolei przeżywał, że nie

mógł pomóc swoim kolegom, którzy dalej walczyli o mistrzostwo Polski. A ci nie radzili sobie najlepiej – w meczu z Cracovią stracili punkt, bezbramkowo remisując z krakowskim zespołem, co kosztowało śląską drużynę fotel lidera. Brak najlepszego piłkarza Polski dał się im we znaki. Na miejsce pierwsze w ligowej tabeli wysforował się ŁKS.

Warto zauważyć, że skargi na tak brutalne zachowania, jak w meczu w Bielsku-Białej, trafiały do rozpatrzenia przed sąd. I tak na przykład gracz Garbarni, Józef Smoczek[29], za złamanie nogi graczowi Warszawianki został ukarany przez warszawski sąd na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Przewodniczący uzasadniał swoją decyzję koniecznością i bezwzględnego tępienia tego typu brutalności na boisku![30]

Ruch zalicza totalną wpadkę w meczu z Legią – wysoka przegrana 0:6 jest już tak poważnym problemem, że muszą alarmować władze klubu. Jak to się jednak stało, że Ruch, który do niedawna bił innych, ile wlaźło, teraz zmuszony był sam zakosztować tak ogromnej porażki? Przede wszystkim w składzie Ślązaków były wielkie luki. Oprócz Wilimowskiego w grze zabrakło Peterka, Dziwisza i Wodarza, a w

obronie wystąpili „weterani” Wadas i Katzy[31]. Nie pozostało to bez wpływu na bitność drużyny.

Brak podstawowych graczy jednak nie wyjaśnia aż tak sromotnej przegranej. Ruchowi nic nie szło, a Legia płynęła na fali szczęścia. W kolejnym spotkaniu się nieco zrehabilitowali, pokonując warszawiaków 1:0. Nie zmienia to faktu, że przed 12. kolejką Ruch spadł na trzecie miejsce w tabeli! Nieoczekiwanym liderem była Garbarnia.

Wilimowski wrócił do gry w meczu z Wartą, ale cóż z tego, kiedy Ruch po raz kolejny przegrał (1:3), a Wilimowskiemu odnowiła się kontuzja! W trakcie gry został zniesiony z boiska przez klubowego kolegę Giemse[32]. Ernest znów musiał się oszczędzać. Jednak w kolejnym spotkaniu już pokazuje klasę i Ruch wygrywa ze Śląskiem 4:2.

Do Ruchu po dniach smutku znów uśmiecha się słońce. Znów przedzierają się zza chmur jaśniejsze promyki. Takim szczęśliwym promykiem był nieoczekiwany powrót Wilimowskiego. Obecność [nieczytelne] gracza umacnia ślązaków nie tylko materialnie, ale i duchowo[33].

Ruch złapał taki wiatr w ligowe żagle, że po ostrym pikowaniu wzniósł się na wyżyny swoich możliwości (czy raczej na wyżyny możliwości Wilimowskiego) i po raz trzeci został mistrzem Polski! I choć nie była to już taka dominacja jak w poprzednim roku, gdy hajduczanie zdobyli aż 90 bramek, tracąc zaledwie 29, była to ciężka i żmudna praca, doprawiona na koniec odrobiną szczęścia. Po ostatnim ligowym meczu z Cracovią, która zanotowała znaczny spadek, śląski zespół musiał czekać na wyniki z Poznania. Warta zmierzyła się z bezpośrednim konkurentem do tytułu mistrza Polski – Pogonią, z którą wygrała aż 5:2 i to ten wynik przesądził o tytule mistrzowskim w roku 1935. Na dokładkę, po meczu z drużyną krakowską doszło do zamieszek, w trakcie których sfaulowano Giemcę i Urbana[34]. Publiczność chciała po zawodach rzucić się na sędziego (ten nie przyznał karnego Ślązakom). Zawodnicy wkrótce jednak cieszą się z ostatecznej wiktorii. Cała drużyna zebrała się w restauracji Goldsteina, gdzie „przy piwku” bawiono się do rana[35].

We wrześniu 1935 roku Ruch Hajduki Wielkie obchodził piętnastolecie swego istnienia[36]. Uroczystości trwały cały tydzień, specjalnym gościem miał być Schalke 04, mistrz Niemiec,

zamiennie przyjechał jednak inny klub – VfB Stuttgart, który został pokonany przez gospodarzy 2:0. Wbrew nie najlepszemu bilansowi, Ruch po raz kolejny został mistrzem, mimo długotrwałej absencji Wilimowskiego spowodowanej fatalną kontuzją. Jeszcze w tym samym miesiącu dokonano zaprzysiężenia olimpijskiego czterech piłkarzy śląskich – Wodarza, Giemsy, Dziwisza i Wilimowskiego.

Mimo to rok 1935 był dla Ernesta wyjątkowo nieszczęśliwy – oprócz kontuzji został zdyskwalifikowany na trzy miesiące. Po pierwsze, pojawiły się spekulacje na temat przyjmowania m.in. przez Wilimowskiego wynagrodzeń za występy, po drugie, powtarzające się pijaństwo i huczne imprezy nie mogły być już dłużej tolerowane.

Zachowanie się Wilimowskiego, którego sprowadzono specjalnie do Warszawy, celem poddania badaniu lekarskiemu, wywołało ostrą reakcję.

Zarząd PZPN wychodząc ze słusznego założenia, że nie wolno tolerować kaprysów rozpuszczonych primadonn, postanowił na ostatnim zebraniu zdyskwalifikować gracza Ruchu na trzy miesiące, pozatem zabronił wstawiać go nawet do drużyny,

o ile uprzednio nie podda się badaniom lekarskim i nie uzyska atestu, zezwalającego na grę[37].

## PODWÓJNY GAZ BEZ OLIMPIADY

Od jakiegoś już czasu coraz głośniej było o pomeczowych pijańskich eskapadach zawodników Ruchu, o ich wzajemnych animozjach, o przyjmowaniu pieniędzy przez graczy i organizowaniu dodatkowych meczów tylko w celach materialnych. Jednak ani alkohol, ani wewnętrzne konflikty i niechęci (Giemsza chciał odejść, Peterek nie znosił Wilimowskiego, Ernest niewiele sobie z tego robił) nie stanęły na drodze do kolejnego tytułu. Ruch od 1933 roku jest niepokonany i tylko dodaje kolejne trofea do swej kolekcji. Choć nie obyło się bez wpadek – jak choćby w meczu z Cracovią, przegranym przez śląską drużynę aż 9:0 – Ruch nie pozostawiał wątpliwości, który klub jest najlepszy w Polsce.

Tak ogromna porażka nie mogła pozostać bez echa. W „Przeglądzie Sportowym” z 2 lipca 1936 roku zamieszczono list śląskiego dziennikarza, Stanisława Skrzypczaka, który podawał przyczyny przegranej w sparingu z Cracovią. Fani Ruchu witali powracających piłkarzy

okrzykami: „skandal, hańba, grać w piłkę, a nie siedzieć w knajpach”[38]. Redaktor Skrzypczak opisał mianowicie, jak ledwo trzymający się na nogach Ernest Wilimowski i Eryk Kurek[39], wysiadłszy na dworcu w Katowicach, swoje kroki skierowali od razu do restauracji „Silesia”, gdzie bawili przy suto zastawionym wódką i zakąskami stole. Po jakimś czasie Kurek dosiadł się do przysłuchującego się wszystkiemu przy sąsiednim stoliku redaktora Skrzypczaka i, zawoławszy Wilimowskiego, zaczął opowiadać:

Cracovia [...] zagrała jeden ze swych najlepszych meczów. Nie musieliśmy jednak przegrać, gdyby wszyscy nie byli pijani. Po meczu z Wisłą kierownictwo wypłaciło każdemu graczowi po 50 zł. Wszyscy poszliśmy więc na pijatykę i dopiero nad ranem około godz. 5 wróciliśmy [...] do domu[40].

Kurek z rozbijającą szczerością opisywał mocno zakrapianą imprezę w przeddzień meczu z Cracovią. Wtórował mu Wilimowski, który dodał, że podczas gry „widział zawsze cztery piłki”[41].

Po publikacji listu, który przedrukowały bez komentarza śląskie dzienniki, wszczęto śledztwo. Przesłuchiowano zarówno „podejrzanych” –



Wilimowskiego i Kurka – jak i „oskarżyciela publicznego” – redaktora Skrzypczaka. Doszło nawet do bezpośredniej konfrontacji stron.

Można zauważyć, że Wilimowski występuje z tupetem, natomiast Kurek był silnie zdenerwowany i przygnębiony. On też zastosował inną taktykę niż Wilimowski, który wszystkiemu wręcz przeczył[42].

Według Wilimowskiego on sam wcale nie był pijany, pod wpływem alkoholu był za to autor listu. Cóż, kiedy inni świadkowie potwierdzali tę alkoholową dyspozycję Wilimowskiego i Kurka, zarówno przed meczem w Krakowie, jak i po jego „triumfalnym” zakończeniu. Większym problemem dla PZPN była jednak informacja o rzekomym wypłaceniu gratyfikacji finansowej piłkarzom Ruchu. To spowodowało bezpośrednie zawieszenie zawodników – smród podejrzeń o zawodowstwo nie mógł się ciągnąć za drużyną przygotowującą się do występu olimpijskiego!

Sprawa dla Wilimowskiego skończyła się sześciotygodniową dyskwalifikacją[43]. A pech chciał, że zwierano właśnie szyki na występ naszych piłkarzy na igrzyskach w Berlinie. Olimpiada Wilimowskiemu odjechała, Józef

Kałuża przedstawił ostateczną listę 18 zawodników zakwalifikowanych do berlińskiego występu: Albański, Madejski, Szczepaniak, Gałęcki, Martyna, Kotlarczyk II, Wasiewicz, Peterek, Dytko, Cebulak, Góra, Piec I, Matyas, God, Wodarz, Szerfke, Musielak i Kisieliński[44]. Nie było wśród nich Wilimowskiego i Kurka (ten został zdyskwalifikowany na dwa lata!).

W tym miejscu dodajmy, że PZPN po przejrzeniu ksiąg finansowych Ruchu nie dopatrzył się wypłat za mecze. Zostawała więc afera z alkoholem w tle. Czy jednak decyzja o wykluczeniu najlepszego zawodnika z rozgrywek olimpijskich miała sens?

Piłkarze nie chcieli przyjąć do wiadomości nieobecności „Eziego”. Jeden z nich, Józef Kotlarczyk, wiele lat później wspominał:

Wśród 25 piłkarzy na końcowy egzaminacyjny obóz przed Olimpiadą, znajdował się również Wilimowski. Lewy łącznik chorzowskiego Ruchu był wówczas najlepszym polskim napastnikiem, na każdym meczu zdobywał po kilka bramek, choć nie posiadał piorunującego strzału. Umiał zawsze znaleźć się z piłką w odpowiednim sąsiedztwie bramki, na metrze kwadratowym boiska wykołować trzech obrońców, zwodem ciała zmylić bramkarza

i ku zdumieniu tysięcy kibiców, wjechać z piłką do bramki... Nikt z nas nie wyobrażał sobie, by bez Wilimowskiego jechać do Berlina. Tymczasem na kilka dni przed wyjazdem na Olimpiadę, kierownictwo PZPN dowiedziało się, iż po przysiędze olimpijskiej Wilimowski pił wódkę na Śląsku, a więc tym samym złamał przysięgę. Nie zastanawiano się długo. Wieczorem, przy kolacji, kazano spakować mu walizkę, dano na bilet i jedź bracie do Chorzowa. Nie zapomnę nigdy Wilimowskiego, myśmy wybiegli na gimnastykę poranną, a on, filar polskiego napadu, płacząc opuszczał boczne boisko Legii z walizeczką w rękę i wyjeżdżał z Warszawy. Przed Berlinem Wilimowski trenował niesłychanie sumienne, był w „dużym gazie”, koniecznie chciał bronić barw Polski, choć w jego żyłach płynęło sporo niemieckiej krwi. Może właśnie dlatego chciał pokazać swoim ziomkom co potrafi...[45]

Inauguracyjnym występem naszych piłkarzy był mecz Polska–Węgry. Spotkanie to zapowiadało wiele emocji, jak zawsze obawiano się „Hungarji” (tak nazywano madziarski zespół), choć w roku olimpijskim jej zawodnicy nie byli tak mocni, jak w latach poprzednich. Był

5 sierpnia, godzina 17.30. Inauguracja wypadła znakomicie – Polacy pokonali Węgrów 3:0.

„Bohaterem dzisiejszego spotkania był ze strony polskiej bezwzględnie Martyna. To czego dokazywał krępy, niski obrońca Legji, zasługuje na najwyższa pochwałę”[46] – pisał po meczu „Przegląd Sportowy”. Mecz ten rozegrano przy ulewnym deszczu. Polacy awansowali do ćwierćfinału, by spotkać tam Anglików, z którymi zwyciężyli 5:4!

Dodajmy, że Brytyjczycy swój olimpijski skład sklecili z drużyn Anglii, Walii, Szkocji i Irlandii, tworząc jedną reprezentację Anglii. W starcie olimpijskim udział wzięło 16 drużyn. Drużyna niemiecka grała pozbawiona swojej największej szansy, nadziei i duszy – niejakiego Fritza Szepana[47], który z reprezentacji olimpijskiej, podobnie jak Wilimowski, wyleciał. Za zawodowstwo.

Pierwsze doniesienia o zwycięstwach – szczególnie nad Anglią (którą to polska reprezentacja wyeliminowała) – rozbudzały marzenia o srebrze, a nawet (!) złocie olimpijskim. Gerard Wodarz z miejsca został ulubieńcem i wysforował się na lidera kadry – w meczu z Anglią zanotował trzy trafienia. Na fali entuzjazmu czekano na dalsze dokonania,

pojawiły się nawet plotki, że drużynę ma wzmocnić sam Wilimowski, który miał dojechać na finał!

Niestety, mecz z Austrią Polska przegrała i nawet zrzucanie winy na sędziego („sędziował Anglik dr Barton, który zachował się niewyraźnie”[48]) nie pomogło w tłumaczeniach. W starciu z Austriakami nie wystąpił świetny w całym turnieju Szerfke. Pozostała więc walka o trzecie miejsce z Norwegią. 13 sierpnia 1936 roku, bo w taki dzień wypadło spotkanie z silnymi Skandynawami, przy udziale dziewięćdziesięciotysięcznej publiczności (!) – przegraliśmy 3:2. Jednak ten mecz musiał się podobać, zawodnicy zacięcie walczyli, a publiczność „każdą naszą udaną akcją żywo oklaskiwała, uważając widocznie, że gracze z białym orłem zasługują na doping, uznanie i... realny efekt”[49]. Czwarte miejsce było w tej sytuacji rewelacją. Do dziś każdy kibic zadaje sobie pytanie: a gdyby na berlińską olimpiadę pojechał Wilimowski?

## ZŁOTE LATA RUCHU

Rok 1936 Ruch Hajduki Wielkie zaczynał z trzema tytułami mistrza Polski i z najlepszym zawodnikiem w swoich szeregach. Klub prowadził w ligowej tabeli i ostatecznie sięgnął po kolejny tytuł mistrza Polski. Niewątpliwie swoją cegiełkę do rezultatu śląskiej drużyny dorzucił Wilimowski. Po spotkaniu z warszawską Legią w maju 1936 roku sukces w całości przypisano młodemu zawodnikowi:

Całą zasługę zwycięstwa przypisać należy atakowi, a zwłaszcza Wilimowskiemu i Peterkowi. Wilimowski jest jednym z naszych największych talentów piłkarskich. Gra jego porywa tłumy, jest w niej bowiem coś z artyzmu. Coś niecodziennego. Zwody ciałem doprowadził do doskonałości. Jeden błyskawiczny ruch i taki stary lis, jak Martyna, leci beznadziejnie w jedną stronę, a Wilimowski z piłką odjeżdża wolno w przeciwną. Wilimowski przyjmuje piłkę, jak gdyby ją ręką łapał. Nic dziwnego, że Kubera grając przeciw niemu, stracił głowę. Gra Wilimowskiego jest jednak niebezpieczna dla niego samego. Prowadząc piłkę przy nodze naraża się na kopnięcia, zwłaszcza gdy nie jest w pełni formy fizycznej i minąwszy przeciwnika niezbyt szybko od niego ucieka. [...] jest na boisku ewenementem i ściąga na siebie całą uwagę widzów[50].

Wilimowski potrafił wyciągnąć drużynę z kłopotów i Ruch wracał z dalekiej podróży – jak często dziś mawiają komentatorzy – po cudownym odbiciu się od dna. Tak też było, kiedy śląski zespół, będąc zdecydowanym liderem tabeli, zaliczył kompromitującą wpadkę z najniżej ułożonym ŁKS-em. Oto mistrz Polski spotkał się w meczu z drużyną najsłabszą.

Na niecodzienny przebieg spotkania złożyło się wiele okoliczności. Źródłem wysoko cyfrowego zwycięstwa gospodarzy nie była wyjątkowo dyspozycja strzałowa [jak pisał „Raz, Dwa, Trzy”] lecz słabo grający obaj bramkarze Andrzejewski i Tatuś [odpowiednio ŁKS i Ruch – przyp. aut.][51].

Jedyny punkt uzyskał w pierwszej połowie „Ezi”, dzięki dryblingowi, sprytowi – jak zapisał dziennikarz – „przejechał obu obrońców, plasując lekko piłkę w siatce Łodzian”. Druga połowa dla Hajduk Wielkich wyglądała fatalnie – przegrywali z beniaminkiem 2:1. Jednak właśnie po to ma się w drużynie piłkarza formatu Wilimowskiego, żeby beznadziejne zdawałoby się położenie przekuć w sukces.

Nie upłynęło nawet parę minut, a już Wilimowski wyrównuje na 2:2, a w parę minut później Peterek podwyższa wynik na 3:2, by za chwilę strzelić czwartą bramkę dla Ruchu[52].

Kolejne bramki to tylko kwestia czasu – ich liczba zatrzymała się ostatecznie na sześciu (wynik 6:2). „Najlepszą częścią Ślązaków była lewa strona ataku Wodarz, Wilimowski, Peterek, którzy umieli dostosować się do dzikich piłek i strzelać”[53]. Ruch poszczycić się mógł także najlepszym dorobkiem w występach międzynarodowych – siedmioma zwycięstwami na dziewięć spotkań w 1936 roku, w tym zwycięstwami nad drużynami niemieckimi (Bayernem i Stuttgartem)[54]. W Lipsku Ruch nieźle poczynił sobie z niemiecką Fortuną, wygrywając na wyjeździe 3:1. Podczas rewanżu niemiecki zespół znów uległ Ruchowi, głównie za sprawą Wilimowskiego, który „zabłysnął pełnią swego talentu piłkarskiego, [...] stworzył wraz z Peterkiem i Wodarzem niezwykle groźną trójkę, która kierowała przebiegiem całego niemal meczu”[55].

Gra toczyła się przez cały czas pod znakiem przewagi Ruchu, który na suchym terenie byłby



mecz wygrał niewątpliwie wysoko. [...] Po dwóch kolejno strzelonych przez Wilimowskiego bramkach, stan gry podwyższa Wodarz na 3:0, wykorzystując błąd bramkarza Pompego[56].

Stanu tego śląskiemu zespołowi nie udało się utrzymać i w rezultacie wygrali różnicą jednej bramki – wynikiem 3:2.

Wkrótce też Ruch przystępuje do ciężkiej batalii z poznańską Wartą i dzięki zasłużonemu zwycięstwu prowadzi w ligowej tabeli.

Zespół Ślązaków pozostawił po sobie w grodzie Przemysława wrażenie jak najlepsze, nie mając w swej jedenastce żadnego wybitnie słabego punktu. Na pierwszy plan wybijali się oczywiście napastnicy Wilimowski i Peterek, których kombinacje wywołały zachwyty u widzów. Szczególnie podobały się zwodzenia Wilimowskiego, który jakkolwiek słabszy w polu był bezkonkurencyjny pod bramką, wykorzystując świetnie wszystkie pozycje, czego dowodem zdobycie przez niego trzech bramek, mimo że był uporczywie pilnowany przez parę obrońców gospodarzy[57].

Już w 12. minucie Wilimowski ładuje piłkę do siatki, co wywołuje wybuch entuzjazmu. Ten jednak nie trwa długo, Warta wyrównuje. W 27. minucie Wilimowski przedziera się przez poznańską zaporę, tym razem jego strzał jest chybiony. Chwilę później na prowadzenie wychodzi Warta.

Ślężacy ruszają całą parą do ataku. W 11 min. silny strzał Wilimowskiego odbija się od słupka, a nadlatujący Wodarz kieruje piłkę do bramki. I tym razem szybko wzięli rewanż Warciarze. W 2 minuty po bramce Ruchu, po rzucie z rogu, Tatuś odbija piłkę, którą wyłapuje Krzyszkiewicz i silnym strzałem uzyskuje prowadzenie dla Warty, która prowadzi 3:2.

W szeregi Warty wkrada się zmęczenie. Kilkuminutowy kryzys wykorzystują Ślężacy. Wilimowski po idealnej akcji strzela w 20-ej minucie trzecią bramkę. Zaledwie zdolali się ustawić gracze na swych pozycjach, a tu już sunie jak lawina, nowy atak Ruchu. Niespodziewana centra prawoskrzydłowego i momentalny, krótki przyziemny strzał Wilimowskiego przynosi 4-tą bramkę dla Ruchu[58].

Ligowe rozgrywki, chwilowo przerwane występem olimpijskim, nie zakłóciły spokoju Ruchu. Już we wrześniu korespondenci donosili o niezwyciężonej drużynie.

Niedoścignioną była ładna gra ataku w Ruchu, w którym Wodarz, Wilimowski i Peterek specjalnie wybijali się ponad wszystkich. Z wypracowań tych trzech graczy padło gros bramek dla Ruchu, które utwierdziły zwycięstwo Ruchu już do przerwy[59].

A więc wygrana po raz czwarty! Tym samym Ruch zrównał się z czterokrotnym mistrzem Polski – Pogonią – i dołączył do elitarnego grona poczwórnych zdobywców tego tytułu.

Błysk Wilimowskiego i jego wypady pod bramkę, współpraca z Wodarzem i Peterkiem, wspaniałe „robinsonady” Tatusia – przypieczętowały sukces Ruchu, który triumfy zaczął święcić w 1933 roku, a w latach 1934–1936 wygrywał mistrzostwa. Po przegranej w 1937 roku wrócił na tron już rok później, z dużymi szansami na tytuł w mistrzostwach w 1939 roku, których z powodu wybuchu wojny nie dokończono.

# KWALIFIKACJA MISTRZOWSKA

Międzynarodowa Federacja Piłkarska organizację mistrzostw świata w 1938 roku postanowiła przydzielić Francji. Były to trzecie mistrzostwa świata w piłce nożnej i pierwszy w nich występ biało-czerwonych.

Ten sport, prawdziwie królewski, ma w sobie tę potężną siłę emocji, siłę wprost fascynującą i najwięcej oddziaływającą na nieuprzedzonego widza, że przykuwa do siebie wprost na całe życie[60].

Rok 1937 to przygotowania do mistrzostw świata i liczne spotkania na gruncie międzynarodowym. W maju Polska wylosowała Jugosławię jako przeciwnika grupowego. Zwycięzca grupy automatycznie awansował do finałowej szesnastki. W czerwcu Polska reprezentacja z Wilimowskim w składzie rozgromiła Szwecję 3:1. Mecz rozegrano na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie (stadionie Legii), gościem honorowym był marszałek Rydz-Śmigły, na cześć którego wiwatowano. Przed spotkaniem odegrano

hymny państwowe, przy czym Polacy swój chóralnie odśpiewali. Odnotowano, że gremialne śpiewanie hymnów datuje się od spotkania z Niemcami, kiedy to zachodni sąsiedzi wyśpiewali swój, a Polacy postanowili nie być gorsi. Mecz ten, mimo pięknego wyniku, dla samego Wilimowskiego nie był zbyt udany.

Wilimowski nie miał jeszcze tak słabego meczu w Warszawie. Zatracił gdzieś technikę, zapomniał wózkować, a na dobitkę podawał niecelnie. Gdyby nie strzelił pięknej bramki, nie byłby zasłużył na wzmiankę[61].

Do eliminacyjnego meczu z Jugosławią polska reprezentacja rozegrała jeszcze spotkania z: Rumunią (w złym stylu przegrany), Danią (wygrany 3:1) i Bułgarią (ledwie zremisowany). Na mecz z Danią, rozegrany na stadionie warszawskiej Legii, dobudowano specjalne trybuny. Zapisał się on w historii jako wyjątkowo dżentelmeński, stąd też tak Wilimowski, jak i Matyas, mogli dać popisowy koncert gry, unikając kontuzji.

Wilimowski zaczął szaleć. Pierwszy jego bieg zakończył się strzałem, obronionym przez

bramkarza na korner. [...] w 10-tej minucie Wilimowski atakując obrońcę duńskiego Hausena odbiera mu piłkę, przedostaje się za obronę i ku radości publiczności plasuje piłkę obok wybiegającego bramkarza. [...] w 12-tej minucie Wilimowski podaje piłkę Królowi na głowę. Strzał ten Sorensen wypuszcza z rąk w sposób kompromitujący. Piec I dochodzi do łatwego sukcesu strzelenia Duńczykom trzeciej bramki[62].

Polska wygrywa z silną drużyną duńską 3:1. Ojcem zwycięstwa jednogłośnie okrzyknięto Wilimowskiego. „Wózki wychodziły mu nadzwyczajnie, mylił przeciwników ciałem [...], w grze jego niczego nie można zganić. Był to kunszt najwyższej klasy. Polska nie miała jeszcze tak dobrego lewego łącznika”[63]. Mecz ten ważny był z powodów propagandowych i dobrego nastawienia przed czekającym nas ważnym spotkaniem z Jugosławią, decydującym o dalszych losach w mistrzostwach świata.

Byliśmy świadkami niejednego już sukcesu naszych piłkarzy, ale mimo to dzień 10 października pozostanie w pamięci wszystkich zwolenników sportu w całej Polsce jako dzień wielkiego triumfu [...] gatunkowo zwycięstwa niedzielne nie mają sobie

równych. Zwycięstwo nad Jugosławią, odniesione w meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata posiada specjalną wymowę i znaczenie[64].

Co ciekawe, Polska pierwotnie była w grupie z Irlandią i Norwegią; zdobywcy dwóch pierwszych miejsc wchodzili do dalszej tury mistrzostw. Tymczasem dwa spotkania z Jugosławią miały przesądzić o tym, która z drużyn będzie miała prawo występu w tym najbardziej prestiżowym turnieju. W dotychczasowym dorobku spotkań polsko-jugosłowiańskich był remis: odnotowano cztery zwycięstwa po obu stronach, na osiem spotkań.

Już o 10-tej rano stadion Wojska Polskiego zapełniała publiczność. Mecz oglądało 30.000 widzów. [...] Zwyciężyliśmy zasłużenie. Przez chwilę nie byliśmy zagrożeni, przez chwilę nie baliśmy się o wynik spotkania. [...] Drużyna nasza spisała się doskonale. Inicjatywa ataku wychodziła od pary zawodników Ruchu – Wodarza i Wilimowskiego. Reprezentowali oni najwyższą klasę techniki piłkarskiej i zgrania łącznika ze skrzydłem[65].

Jugosławia została rozbita 4:0. Strzelec najładniejszej, czwartej bramki – Wilimowski – ogłoszony został po raz kolejny ojcem całego sukcesu. Następne spotkanie z Jugosławią, choć przegrane (0:1), nie zmieniło sytuacji polskiej drużyny, która zakwalifikowała się do francuskich mistrzostw.

Zanim jednak je rozegrano, Wilimowski uwikłał się w kolejną aferę, nazwaną od miejsca zdarzenia „aferą paryską”.

U schyłku jesieni polscy piłkarze w ramach turnieju paryskiego wybrali się na mecz z tzw. Ligą Francji Północnej. Wiosenne spotkanie skończyło się wynikiem pomyślnym dla Polski (5:1), zatem w stolicy Francji oczekiwano ogromnych emocji. W dniu meczu boisko przedstawiało nędzny widok – podmokłe, śliskie, błotniste, obawiano się o dyspozycję polskich piłkarzy na tak trudnym terenie. Na trybunach zgromadziła się dwudziestotysięczna publiczność francuska. Wilimowski był w centrum uwagi, głównie jednak francuskich zawodników i prasy.

Pierwsze minuty nie wносиły wiele do gry, a Wilimowski nie mógł wypracować żadnej akcji, tak pilnie strzegli go obrońcy. W końcu zrywa się z ich smyczy, by w 28. minucie celnie podać do Wostala[66], który bezbłędnie umieszcza piłkę



w siatce. Jednak w 30. minucie wyrównują Francuzi. Mecz kończy się remisem. Jako że regulamin faworyzował gości, Polacy kwalifikują się do dalszego etapu rozgrywek wraz z FC Bologną (ta również zremisowała z francuską drużyną). Z Bolonią Polacy wygrali aż 5:1 i stali się prawdziwą sensacją turnieju. „Paris Soir”[67] jeden ze swych artykułów zatytułował nawet *Niech żyje Polska, niech żyje Północ*[68].

Dzienniki francuskie z zachwytem powtarzały, że polska drużyna okazała się rewelacją, konfrontowały ją z ową drużyną Francji Północnej (w skład której na ten turniej powołano piłkarzy z różnych państw). Do tego wygrana była z Włochami, mistrzami świata, którzy byli faworytem zawodów.

Po sukcesie polską reprezentację odwiedzili przedstawiciele związków piłkarskich we Francji wraz z grupką dziennikarzy. Po turnieju prezes Francuskiego Związku Piłkarskiego, Jooris, zaproponował rozegranie kolejnego meczu z Polakami, oferując niemałe pieniądze. Polscy delegaci odmówili.

Mimo nieugiętej postawy polskiej delegacji, wyjazd zakończył się skandalem, aferą, przygodą – jak informowano w nagłówkach. A jednym

z bohaterów tej „przygody” stał się Ernest Wilimowski.

Wilimowski i Góra spodobali się w Paryżu jednemu menagerowi francuskiemu na meczu i gdy wieczorem drużyna nasza poszła na Montparnasse oglądać „Paryż nocą”, pod hotelem zatrzymało się tajemnicze auto z zgaszonymi światłami, w którego wnętrzu znajdowało się dwóch „łowców niewolników”. Wilimowski i Góra zmylili czujność kierownictwa i pojechali do siedziby klubu piłkarskiego „Racingu”, gdzie prowadzili „towarzyską” rozmowę z jego prezesem p. Levy[69].

Była to próba przekupienia polskich piłkarzy. Paryski klub planował upolować jeszcze Wodarza i Piontka. Wożeni od knajpy do knajpy, coraz bardziej nieprzytomni na skutek spożycia alkoholu (choć przedstawiciele polscy zaprzeczali, iżby zawodnicy wrócili do hotelu pijani czy zamroczeni, raczej w stanie „wesołym”), w ostatniej chwili uciekli, kiedy przedstawiono im do podpisania kontrakt z paryskim Racingiem[70]. Po powrocie do kraju musieli złożyć swoistą samokrytykę.

Zarząd Polskiego Związku Piłki Nożnej zajął się energicznie sprawą rzekomego podpisania przez kilku czołowych naszych piłkarzy kontraktów, zobowiązujących ich do występowania w barwach francuskiego zawodowego klubu „Racing” z Paryża. W wyniku przeprowadzonego śledztwa prezes PZPN płk Głabisz wygłosił przez radio oświadczenie, które w najistotniejszych punktach brzmiało następująco:

- Wilimowski i Góra odłączyli się od drużyny w poniedziałek wieczór, a wrócili w stanie podchmielonym we wtorek o 7-ej rano. Byli w „Racing Clubie”, później – już sami, bez przedstawicieli tego klubu, w różnych nocnych lokalach. Pertraktacje co do przejścia na zawodowstwo Wilimowski prowadził z „Racing Clubem” jeszcze przed wyjazdem do Francji. Od kogo wyszła inicjatywa, stwierdzić się nie dało. Ani Wodarz, ani Piontek żadnego udziału w tych pertraktacjach ani w nocnej eskapadzie swych kolegów nie brali. Ani Góra, ani Wilimowski żadnych deklaracji nie podpisywali i zadatków nie brali. [...]

Kierownictwo drużyny żadnej winy nie ponosi. PZPN nie może wyciągać żadnych konsekwencji w stosunku do piłkarzy za to, że chcieli zdobyć lepsze warunki bytu, wyraża jednak żal, że znaleźli się w reprezentacji piłkarskiej ludzie, którzy dla

lepszyc zarobków potrafiliby zrezygnować z zaszczytu reprezentowania barw polskich. Wilimowski i Góra zostali przez zarząd PZPN ukarani naganą za nieodpowiednie zachowanie się. Dodać należy, że Wilimowski z własnej inicjatywy zjawił się w PZPN, oświadczając ze łzami w oczach, że głęboko żałuje swego niewłaściwego postępowania i solennie obiecuje poprawę. Sprawa została w ten sposób – przynajmniej jeśli chodzi o czynniki oficjalne – ostatecznie zamknięta, co, oczywiście, nie oznacza, by nie była jeszcze przez czas dłuższy tematem wielu rozmów i rozważań. Warto na marginesie podkreślić, że „Polskie Radio” – wykazując się w tym wypadku wybitnym wyczuciem aktualności – zainstalowało mikrofony na sali posiedzeń PZPN, tak, że uchwały jego mogły być przez płk. Głabisza podane do wiadomości publicznej bezpośrednio po ich powzięciu[71].

Łzom i zaprzeczeniom nie było końca, przedstawiano sensacje, zestawiano ze sobą różne wersje i okoliczności tego przekupstwa. A Wilimowski i Góra po powrocie do kraju urządzili kolejną alkoholowo-awanturniczą eskapadę i, jak podawał sprawozdawca „Raz, Dwa, Trzy”, dopuścili się „niebываłych wprost

awantur” w katowickiej restauracji „Astoria”, na tyle poważnych, że „musiano ich wprost wyrzucić z lokalu”[72].

Ruch tymczasem zanotował gorszy sezon – nie obronił piątego z rzędu tytułu mistrzowskiego i rok 1937 zakończył na trzecim miejscu.

## NIEZAPOMNIANE MECZE

1938 rok stał pod znakiem mistrzostw świata. Awans Polski został przypieczętowany wysokim zwycięstwem nad Jugosławią. Jeszcze w marcu kadra stanęła do boju z Irlandią, którą rozgromiła 6:0. To napawało optymizmem przed mundialem.

Chwilę wcześniej piłkarze śląscy spotkali się z angielskim Wolverhampton i co prawda zremisowali, ale był to jeden z tych „zwycięskich” remisów. Mecz zakończył się imponującym 4:4, z czego trzy trafienia zapisano na konto Wilimowskiego.

Bohaterem dzisiejszego spotkania był Wilimowski. W pierwszej połowie zdobył nie tylko trzy bramki, ale zdobył się na grę, którą nie tylko dorównał, ale nawet przewyższał renomowanych graczy

angielskich. [...] przechodził przez szeregi angielskie kiedy i jak chciał, był niebywale ambitny, zapuszczał się w tył, a nawet na prawe skrzydło i wspaniale wyzyskał wszystkie okazje[73].

Trochę później, 22 maja, polska reprezentacja rozegrała ważny mecz z Irlandią, która parę dni wcześniej zremisowała z Czechosłowacją. Wynik 6:0 musiał zadowolić największych malkontentów, nadzieja na sukces w mistrzostwach wlewała się coraz głębiej w kibicowskie serca. „Przegląd Sportowy” donosił, że był to „Dzień polskich bombardierów”. Do obfitego wieńca sukcesów naszych piłkarzy doszedł nowy, wspaniały listek.

Echo sześciu strzelonych bramek [...] dotrze do miejsca campingu naszego brazylijskiego partnera, który uświadomi sobie może, że przeprawa w Strasburgu może być znacznie trudniejsza[74].

Podkreślano, że autorami zwycięstwa są wszyscy piłkarze, bo też i bramki zdobywali różni kadrowicze, z czego skromnie – jedną – Wilimowski, na początku drugiej połowy.

Wilimowskiemu początkowo jakoś nie bardzo się udawało. Mamy podejrzenie, że Irlandczycy, mimo napięcia politycznego, pokumali się z Anglikami i od nich to otrzymali ostrzeżenie, by pilnować hajduckiego spryciarza. Wilimowski [...] w drugiej połowie hasał już w najlepsze[75].

Apetyty na Brazylię zaostrzone. Ci najszybsi piłkarze Ameryki Południowej – jak podkreślano, analizując przeciwnika – mieli w swych szeregach legendarnego Leonidasa[76]. Korespondenci obserwujący trening Brazylii zanotowali:

W króciutkich majteczkach, niektórzy w myckach na głowie, pod względem fizycznym zaprezentowali się świetnie. Z budowy można by ich porównać do Włochów, długie muskuły, uda jakby wytoczone z mahoniu i z hebanu, wystające klatki piersiowe, kwadratowe ramiona. [...] Każdy z nich jest żonglerem, którego piłka słucha się jak wytresowany pies swego pana[77].

Brazylijczycy do Strasburga przybyli na trzy tygodnie wcześniej, aklimatyzując się, trenując, podczas gdy kadrę polską wyekspediowano

w ostatniej chwili – drużyna stawiła się w hotelu 3 czerwca, dwa dni przed spotkaniem. Na mistrzostwa wytypowano 22 zawodników. Tym razem na wielką imprezę szczęśliwie pojechał Wilimowski. W podróż udało się jednak tylko 15 graczy, pozostałych siedmiu czekało w Polsce na ewentualne zawezwanie.

Mecz ten dla każdego fana piłki nożnej jest legendą. Dzień 5 czerwca 1938 roku, gdy Polacy spotkali się z Brazylią, zapisał się w annałach mistrzostw świata jako jedno z bardziej ekscytujących i przepięknych widowisk sportowych. W tym meczu najjaśniej błyszczała gwiazda Wilimowskiego, który wsadził do bramki Canarinhos aż cztery piłki. Już wtedy korespondenci zapisali, że mecz ten „przejdzie do historii jako jedno z najbardziej emocjonujących widowisk”[78]. Nie mylili się. Na trybunach Stade de la Meinau zasiadło około 15 tysięcy widzów[79]. Wśród nich i polska publiczność, złożona głównie z emigrantów. Niestety rozproszona po trybunach, nie niosła zawodników chóralnym wsparciem po zwycięstwo.

Trzeba przyznać, że przebieg meczu ułożył się jakby kierowała nim za kulisami ręka najsprawniejszego



reżysera, obeznanego z psychiką tłumu, dyrygującego kontrastowymi efektami. [...] Start Brazylijczyków był tak mocny, że beznadziejny wydawał się wszelki wysiłek. Pierwsza ich bramka padła w 18 minucie i, przynajmniej, była ona dojrzałym owocem zdecydowanej supremacji[80].

Na szczęście Polacy nie załamują się. Po ataku na nogi Wilimowskiego wykonawcą rzutu karnego – z którego to biało-czerwoni strzelili swoją pierwszą bramkę na mundialu – zostaje Fryderyk Szerfke. Po tej akcji jednak opadają nieco z sił i w efekcie dają sobie wpakować do bramki dwa kolejne gole! Brazylijczycy prowadzą już 3:1!

Szczególnie trzecia była bolesna. Padła niemal w momencie gwizdu zwiastującego zakończenie połowy. O ile wolno było wierzyć w wyrównanie przy 1:2, to 1:3 zdawało się przekreślać wszelkie nadzieje[81].

Te jednak nie zostały zaprzepaszczone. Jakby z bożą pomocą Polakom przychodzi rześisty deszcz – Brazylijczycy utyskiwali na taką pogodę. Zrywa się nasz atak, mecz zmienia swoje oblicze.

Już pierwsze odsłony drugiego aktu zwiastowały jakąś zmianę. Nagle szeregi polskie zaczęły się lepiej zazębiać, zaczęto wygrywać pojedynki [...]. W 8 min. Wilimowski stał się wreszcie znów sobą; przyjąwszy piłkę od Scherfkego, który wywędrował na skrzydło, minął spokojnie obrońcę i splasował ją do siatki[82].

Polacy potrzebują jednego gola, by wyrównać. Za sprawą niezawodnego w takich sytuacjach „Eziego” tak się dzieje – sześć minut po swoim pierwszym голу Ernest pakuje piłkę do bramki Brazylii. „Trybuny drążą z emocji i oklasków” – zauważa korespondent „Przeglądu Sportowego”. Brazylijczycy znów nabierają rozpędu i wigoru.

Peracio[83] ryzykuje daleką bombę, licząc na śliskość i ciężką piłkę. Rachuby są trafne: uderza ona o poprzeczkę, odbija się i po karku Madejskiego [polski bramkarz – przyp. aut.] zsuwa się do bramki[84].

To musiało być widowiskowe. Jaki zapewne rozległ się huragan oklasków, wiwatów, jak zadrzał stadion! Do końca meczu jeszcze 20 minut. Marnujemy kilka szans, sam Wilimowski trafia w słupek. Czas ucieka. Zawodnicy

nerwowo obserwują zegar, ten jakby na złość szybciej przesuwa wskazówki. Polacy spieszą się, widownia kipi z emocji.

Piontek przypomniał sobie nareszcie, jak to idzie się na przebój, choćby trzeba było wypruć z siebie kiszki. Goni za piłką i mija dwóch przeciwników, jeszcze starczy siły na strzał... odbitka... Scherfke lekko muska piłkę... tłok pod bramką, znów piłka wraca w pole... pod nogi Wilimowskiego i... tu dosięga ją los. Jest znów 4:4! Do końca gry zostały tylko sekundy, jakieś ich ułamki...[85]

To była 89. minuta meczu! Wilimowski zafundował obu drużynom – i zachwyconej publiczności – jeszcze 30 minut pojedynku. Po krótkiej przerwie zawodnicy stają do dogrywki. Wirtuozi piłki, kuglarze, jak określano Brazylijczyków, z diabłami wcielonymi, bojownikami – to znów o Polakach. Wynik ustanowił Leonidas – wrzuca Polakom dwie bramki. Odpowiedział mu Wilimowski na minutę przed końcem dogrywki. Na więcej nie starczyło już czasu.

„Był to triumf dwóch napastników wielkiej klasy” – przywoływał relację z francuskiego dziennika „L'Auto” „Przegląd Sportowy” –

„Brazylijczyka Leonidasa, który usprawiedliwił nazwę „czarnego diamentu” i Polaka Wilimowskiego, którego występu na meczu z Bolonią nie zapomniał Paryż...[86]”.

Ten sensacyjny wynik – 6:5 – mimo porażki, będzie jednym z najpiękniejszych wyników w historii polskiej piłki nożnej. Nie dość, że tak wspaniale zagraliśmy z potęgą piłkarską (dziś Brazylia dzierży niepodzielnie pięć tytułów mistrza świata), która na tym turnieju zajęła miejsce trzecie, to jeszcze Wilimowski władował południowoamerykańskim piłkarzom aż cztery gole! Ten wynik i gra Ernesta przeciw Brazylii po dziś dzień wywołuje ogromne emocje.

Nie mniejsze niż ostatni mecz rozegrany przez Ernesta Wilimowskiego w barwach biało-czerwonych z wicemistrzami świata francuskiego turnieju. Ostatni mecz wolnej Polski. Ostatni mecz przed czasem apokalipsy.

## OSTATNIA NIEDZIELA

[...] zwycięstwo sportowe żyje właściwie żywotem motyla. Dziś jest – a jutro nikt o tem nie pamięta. Tylko wypadki nadzwyczajnej wagi mają tendencję do dłuższego bytowania w pamięci ludzkiej, a i tak

wypadki te znajdują najczęściej jedynie odzwierciedlenie w sprawozdaniach czy rocznikach jubileuszowych. Szeroki ogół przypomina sobie tylko mglisto te wypadki na boisku, które przez jeden dzień wprawiają całe społeczeństwo w podniosły entuzjazm lub skrajne oburzenie[87].

Mecz ten to kolejny majstersztyk Wilimowskiego, który gościom wpakował aż cztery bramki. Mecz ten to znowu dowód na niezłomną przyjaźń narodów węgierskiego i polskiego. W przededniu wojny Węgrzy przyjechali na Stadion Wojska Polskiego. Byli jedną z najlepiej grających drużyn świata, to od nich Polacy uczyli się techniki gry w piłkę nożną. To z Węgrami Polska rozegrała swój pierwszy mecz międzypaństwowy w 1921 roku, to z nimi przyszło Polakom zmierzyć się w ostatnim meczu przed wojną.

Był 27 sierpnia 1939 roku.

Prezes PZPN, płk Glabisz[88], wypowiedział prorocze, acz złowieszcze słowa: „kto wie, czy w historii sportu polskiego nie będzie się obecnego meczu z Węgrami [...] nazywać ostatnim meczem przed... wojną”[89]. Słowa te zapisane zostały na kartach magazynu

sportowego „Raz, Dwa, Trzy”, który ukazał się w niedzielę 3 września 1939 roku!

Z nie do końca zapełnionych trybun – co było widokiem rzadkim – mecz oglądała grupka rezerwistów w maskach przeciwgazowych. Odśpiewano „Mazurka Dąbrowskiego”, z większym niż zazwyczaj skupieniem i powagą. Najsympatyczniejsi z naszych sąsiadów – jak podawała cytowana gazeta – powitani zostali gromkimi oklaskami, jakimi jeszcze żadna drużyna na polskim gruncie witana nie była. Kapitan związkowy Węgier w imieniu całej drużyny zapewnił, że chcieli przybyć, by pokazać, że są całym sercem z Polakami.

Tak na łamach „Przeglądu Sportowego” wspominał ten mecz Narcyz Süssermann, przewidując jego historyczne znaczenie i przetrwanie tego wydarzenia w pamięci kibiców:

Ulicą Łazienkowską sunie auto za autem! Płynie nieprzerwana fala ludzi, by zdążyć na początek piłkarskiego meczu Polska–Węgry! [...] Kiedyś po latach mecz z Węgrami będzie się wspominać jako wyjątkowe wydarzenie. Historykom może posłużyć jako „dokument epoki”. Dla nas jest on wspaniałym

świadectwem, co zdziałać może w sporcie (czy tylko w sporcie?!) ambicja, siła woli i ofiarność[90].

Węgrzy szybko objęli prowadzenie i dwubramkową przewagę nad drużyną polską; wydawało się, że sprawa jest skończona. Jednak bramka Wilimowskiego „podziałała jak eliksir”. W sumie zdobył ich trzy.

Najlepszym graczem okazał się znów Wilimowski, piłkarz doprawdy z „bożej łaski”. Miał on swój wielki dzień. Zdobył trzy bramki w typowy dla siebie sposób, wygrywał liczne pojedynki, podawał dokładnie, pracował przez cały czas, będąc głównym motorem akcji napadu. [...] Po zakończeniu zawodów rozentuzjasmowana publiczność wdziera się poprzez kordony porządkowych na stadion i zalewa boisko, wynosząc graczy polskich i węgierskich [sic] na ramionach[91].

Nie dane nam było długo cieszyć się tym wynikiem, choć korespondenci zgodnie podkreślali doniosłość chwili oraz wagę zwycięstwa:

Mecz niedzielny stanowi niewątpliwie jeden z największych triumfów polskiego piłkarstwa. [...] Zwycięstwo nad sławną jedenastką węgierską, zwłaszcza w dzisiejszej doniosłej dobie wojennej, posiada znaczenie olbrzymie [...], wzbudziło dalsze uczucia własnej godności i poczucie własnej siły[92].

I to był ostatni akord biało-czerwonych na boiskach piłkarskich. Wojna uczyniła spustoszenie w szeregach zawodników. Spośród piłkarzy grających dla Ruchu większość została wcielona do Wehrmachtu[93]. Ruch Chorzów (taką nazwę Hajduki Wielkie przyjęły 1 kwietnia 1939 roku) decyzją niemieckiego okupanta został przemianowany na Bismarckhütter Sport Vereinigung (BSV)[94]. Grała tam część przedwojennych hajduczan.

Ernest Wilimowski w chwili wybuchu wojny miał lat 24. Ten urodzony w 1916 roku w Katowicach piłkarz był synem Ślązaka, niemieckiego oficera. Ojciec zginął na froncie I wojny światowej, matka Paulina Florentyna powtórnie wyszła z mężem za Romana Wilimowskiego, od którego chłopiec przejął nazwisko w wieku 13 lat. Wcześniej nazywał się Pradella, po matce. Ta czuła się Niemką, więc polskość uczył się od ojczyma. To on



zasugerował mu spolszczenie imienia na Ernest (pierwotnie Ernst)[95].

Wilimowski w swoim trzecim meczu ligowym, grając w barwach Ruchu Hajduki Wielkie, zdobył pięć bramek, a jego zespół zwyciężył wówczas 13:1. Nie był to jego największy wyczyn. W jednym z ostatnich spotkań w niebieskich barwach Ruchu, 21 maja 1939 roku, zdobył... 10 goli! Jego drużyna wygrała 12:1 z Union-Touring Łódź. Nie oklaskiwano jakoś nadmiernie tego wyczynu (czy kiedykolwiek zostanie w polskiej lidze powtórzony?). Szeptano o proniemieckich sympatiach Wilimowskiego (którym on zaprzeczał), a „Przegląd Sportowy” zdobył się nawet na krytykę jego gry (!):

Gwiazdą spotkania był Wilimowski [...]. Mimo to gra Wilimowskiego nie była bez zarzutu. Było w niej za dużo cyrkowych sztuczek i za mało pomocy sąsiadom, na czym stracił dobrze grający Wodarz[96].

Rząd RP na uchodźstwie wydał zezwolenie na podpisywanie przez Ślązaków niemieckich list narodowościowych. Podobne podejście reprezentował trener polskiej reprezentacji Józef

Kałuża[97]. Aby uniknąć wojennej zsyłki w niemieckim mundurze, Ernest grał w policyjnym klubie z Chemnitz. Przyjmuje niemieckie obywatelstwo i chowa się za piłką nożną. W 1941 roku w obozie koncentracyjnym w Auschwitz zostaje osadzona jego matka. Dzięki grze Wilimowskiego w Roten Jäger w meczach pokazowych (propagandowych) przed niemieckimi oficerami udało się ją wyciągnąć z obozu[98].

[...] z piłką nożną to prawie jak z wojną. Wszystko się o niej wie, zna się najdokładniej wszystkie jej arkana i szczegóły. Dwóch rzeczy jedynie nie można przewidzieć, a mianowicie, jak długo będzie trwała i jaki będzie jej końcowy wynik[99].

I tak nazwisko Wilimowski w PRL stało się synonimem zdrajcy. Można zadawać sobie pytanie, czy mógł on postąpić inaczej w obliczu wojny. Czy jego przejście do obozu wroga, a potem granie w barwach narodowych Niemiec, to faktycznie tylko wola życia młodego chłopaka, którego największą miłością była piłka nożna?

W tużpowojennym „Przeglądzie Sportowym” znaleźć można bezemocjonalną wzmiankę o wybitnym piłkarzu:

Jak się dowiadujemy od miarodajnych czynników w Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, Wilimowski już od dłuższego czasu jest aresztowany i nie ma o tym mowy, aby mógł grać w jakiegokolwiek drużynie polskiej[100].

Ernest Wilimowski mieszkał już wówczas w Niemczech, żadne aresztowanie ze strony polskiej nie mogło go osiągnąć. Miał niemieckie obywatelstwo.

Miał przyjechać do Polski na obchody 75-lecia Ruchu Chorzów. Niestety, nie udało się. Nigdy zresztą już Polski nie odwiedził. Główną tego przyczyną miało być wrogie nastawienie władzy ludowej do „Eziego”, którego osiągnięcia starano się wymazać z powszechnej pamięci. Zrobić wszystko, by ludzie o nim nie mówili, nie wspominali go. Ale on pamiętał. I kibicował polskiej drużynie.

Kazimierz Górski tak wspomina swoje jedyne spotkanie z piłkarzem, którego uwielbiał, na którego mecze chodził, podziwiał go i fascynował się nim. Z Ernestem Wilimowskim, już mocno dojrzałym mężczyzną, spotkał się raz jedyne w 1974 roku. Piłkarz podszedł do wybitnego polskiego trenera i zagadnął go z niemieckim

akcentem, kładącym się cieniem na jego polszczyźnie.

Przebywając w Republice Federalnej Niemiec, jeszcze przed Mistrzostwami Świata w 1974 roku, gdy odbierałem któregoś dnia klucze do pokoju, recepcjonista zwrócił mi uwagę, że obok w barze czeka na mnie jakiś człowiek. [...] zajrzałem do niewielkiego wnętrza pogrążonego w półmroku i wówczas wyszedł mi naprzeciwko starszy wiekiem mężczyzna. Nie poznałem go w pierwszej chwili, dopiero kiedy się przedstawił nie miałem wątpliwości.

– Wilimowski jestem, nie wiem tylko, czy pan ze mną pomówi, nie odpędzi. [...]

– Ja nie mam w zwyczaju nikogo odpędzać, czym mogę panu służyć?

– Wie pan kim jestem?

– Tak, widywałem pana przed wojną na meczach – zastanawiałem się, czy mu powiedzieć, jak wysoko ceniłem sobie jego grę, ale powstrzymałem się, czekając na to, co mi sam ma do powiedzenia.

– Bo tak źle o mnie mówili i pisali u was, to nie tak było, ja nic złego nie zrobiłem [...]. Nie wierzą mi, a pan były piłkarz oraz wielki trener... Zrozumie mnie. [...]

– Panie Wilimowski, jeśli pan nic złego nie zrobił, jak pan mówi, dlaczego pan nie wrócił do kraju, może nie od razu, na fali emocji, ale potem, i spróbował się wytłumaczyć, oczyścić z zarzutów?

– Bałem się[101].

Ten wzruszający epizod, przywołany przez Górskiego, wspaniałego trenera polskiej drużyny zwanej „Orłami Górskiego”, jest niejako symbolem złożoności tej historii. Oto z jednej strony niegdyś uwielbiany, w 1974 roku zapomniany (i wyklęty) piłkarz, niegdyś polski, potem już tylko niemiecki, nazywany jednoznacznie „zdrajcą”. Z drugiej – ukochany trener służący ojczyźnie w trudnych czasach PRL, lwowiak, z tego już nieistniejącego polskiego Lwowa. I rozmowa dwóch sportowców, którzy próbują wzbić się ponad politykę, ideologię, bo wygrywa tylko sport. Górski miał zresztą po latach żałować oschłego w swoim mniemaniu potraktowania wielkiego piłkarza.

Pytanie o postawę Wilimowskiego będzie wracać. Podobnie rzecz się miała w czasach o nieco łatwiejszych, a dotyczyła oceny decyzji polskiego piłkarza, który wybrał grę dla Niemiec. Łukasz Podolski, który w tym roku zakończył reprezentacyjną karierę, także zmagął się,

podobnie jak jego wielki poprzednik, z zarzutem zdrady, choć oczywiście kaliber był nieporównanie mniejszy. Czy w ogóle można zestawiać te dwie skrajnie różne sytuacje, Podolskiego i Wilimowskiego, który w obliczu dramatu wojny, śmierci milionów ludzkich istnień i końca pewnej epoki wybrał życie i sport? Zostawmy go może osądowi kibiców najbardziej popularnej dyscypliny świata.

Piłka nożna ma największe stadiony, najliczniejsze rzesze kibiców, najgęstsze szeregi uprawiających ten sport. Odbywają się mecze „dzikich drużyn”; zacięte walki małych brzdąców w parkach, ogrodach, na skwerach, podwórkach, nawet – ulicach. [...] Wciąż kołuje ogromna karuzela piłkarska. Piłka toczy się po dziesiątkach, setkach, tysiącach boisk we wszystkich krajach świata[102].



*60. Ernest Wilimowski jako piłkarz klubu sportowego Ruch Hajduki Wielkie, 1936 rok*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*61. Wilimowski strzela bramkę w trakcie meczu Ruch Hajduki Wielkie–Dąb Katowice w Hajdukach Wielkich, październik 1936 roku*

fot. Cz. Datka/Narodowe Archiwum Cyfrowe





*62. Wilimowski (pierwszy z prawej) w czasie meczu piłki nożnej Śląsk Świętochłowice–Ruch Hajduki Wielkie w Świętochłowicach, 3 maja 1935 roku*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*63. Pierwotny skład olimpijskiej drużyny piłkarskiej na igrzyska olimpijskie w Berlinie; jak wiemy, Wilimowski nie znalazł się w ostatecznym składzie; stoją od lewej: Teodor Peterek, Ryszard Piec, Józef Kotlarczyk, bramkarz Spirydion Albański, Jan Wasiewicz, Ernest Wilimowski, Antoni Gałecki, Walerian Kisieliński; siedzą od lewej: Fryderyk Scherfke, Władysław Szczepaniak, Ewald Dytko, 1936 rok*

fot. Cz. Datka/Narodowe Archiwum Cyfrowe



*64. „Ezi” jako reprezentant Śląska w czasie meczu hokejowego Śląsk–Kraków w Katowicach, grudzień 1937 roku*

fot. Cz. Datka/Narodowe Archiwum Cyfrowe



*65. Wilimowski w roli sędziego meczu dziennikarze kontra działacze sportowi w czasie Wielkiej Rewii Asów Sportu zorganizowanej przez Związek Dziennikarzy Sportowych na rzecz Funduszu Obrony Narodowej, czerwiec 1939 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*66. Piłkarze narodowej reprezentacji Niemiec: (od lewej) Fritz Walter, August Klingler, Albert Sing, Ernest Willimowski i Karl Decker na meczu między Niemcami a Rumunią w Bytomiu, 16 sierpnia 1942 roku  
fot. Schirner Sportfoto/Picture Alliance/PAP*

# Rozdział IX

## RZUT OD SERCA

### Maria Kwaśniewska

Sześciokrotna mistrzyni Polski w rzucie oszczepem[1], której wynik 44,03 metra przetrwał jako rekord Polski do 1952 roku, triumfatorka pięcioboju, skoku w dal, pchnięciu kulą[2]. Trenowała piłkę ręczną, a w 1947 roku w koszykówce zdobyła mistrzostwo Polski. Miss Olimpiady berlińskiej, na której wywalczyła brąz. A świat zapamiętał ją z pewnego zdjęcia, zrobionego na tychże igrzyskach w 1936 roku.

Kwaśniewska należała do olimpijczyków, których na tych Igrzyskach uwieńczono laurem. Trzy zwycięskie oszczepniczki – dwie Niemki i Polkę – zaproszono do łoża Hitlera. Podobno kanclerz rozmawiał z Paniami bardzo uprzejmie, poświęcając najwięcej uwagi

pannie Marysi, która bynajmniej nie była onieśmielona widokiem sławnego „Führera”. Jej konkurentki gratulowały jej napozór serdecznie, ale raczej – Kwaśniewsko; zwłaszcza, że wszyscy podziwiają urodę Polki. Nawet speakerzy radjowi podkreślali, że „Polin Kwaszniewska” jest ładna i zgrabna[3].

W Berlinie rzutem na odległość 41,80 metra zapewnia sobie trzecie miejsce. Po medalowej dekoracji Hitler każe sobie zrobić ze zwyciężczyniami pamiątkowe zdjęcie; rozmawia z nimi w loży honorowej. Tam dyktator III Rzeszy, zwracając się do Kwaśniewskiej „Marysiu”, mówi: „gratuluje małej Polce”. Na co ona mu odszczekuje: „Pan także nie jest za wysoki”. Tej wypowiedzi na łamach niemieckiej prasy próżno szukać. Po chwilowej konsternacji, jaka miała zapaść w tym momencie, prasa przekazała, że z ust Hitlera padły gratulacje dla małej Polski. Odpowiedź Kwaśniewskiej pominięto.

Co innego istotne jest w tej historii. To zdjęcie z późniejszym oprawcą Polski i Europy, wykonane w 1936 roku, stanie się ważną kartą przetargową, asem w rękawie Marii Kwaśniewskiej, która dzięki tej fotografii

ratowała ludzi z obozu przejściowego w Pruszkowie. Wcześniej jednak, podobnie jak Janusz Kusociński, Ignacy Tłoczyński czy siostry Jędrzejowskie, pracowała w konspiracyjnej knajpie „Pod Kogutem”.

Sprawa polegała na utrzymaniu polskości w ten sposób, że portrety nasze wisiały na ścianach, w galowych mundurach olimpijskich. Pod tym portretem była mała fotografia – fotografia z Hitlerem, z Göringiem i z Goebbelsem... [...] W 36 roku na olimpiadzie w Berlinie, jako młoda wówczas bardzo dziewczyna byłam zaproszona [...] do łóżki Hitlera. [...] Nie wiem, czy popularność wśród Niemców wzrosła na skutek mojego skromnego medalu olimpijskiego, czy raczej na skutek bytności w łóżki Hitlera[4]

– mówiła Maria Kwaśniewska w audycji Polskiego Radia w 1966 roku.

## ROZKWIT KARIERY

Kwaśniewska rozpoczęła starty od skoku w dal, cechowała ją duża wszechstronność i dopiero słabe

wyniki Polek w oszczepie (zawsze była dobrą organizatorką) zmusiły ją do zainteresowania się tą konkurencją. [...] i tu doszła szybko do wyników: [...] do medali mistrzowskich za skok w dal, trójbój, pięciobój, dodaje nowy medal – rzut oszczepem[5].

Maria Kwaśniewska urodziła się w Łodzi w 1913 roku jako córka Jana i Wiktorii z Kozłowskich. Miłością do sportu zaraził ją późniejszy dziennikarz sportowy, Ludwik Szumlewski[6]. Już w wieku 17 lat wygrała swoje pierwsze zawody, wywalczając tytuł mistrzyni Polski w skoku w dal. Był rok 1930, zachęcona tym sukcesem i wspaniałym triumfem kobiecej lekkoatletyki – złotym medalem Haliny Konopackiej z Amsterdamu – postawiła na sport. Dziewięciokrotnie biła rekordy Polski w różnych dyscyplinach, czternastokrotnie przywdziewała koronę mistrzyni Polski! Do tego trzy tytuły mistrzowskie z ŁKS-em, które wywalczyła w hazenie (piłka ręczna grana przez drużynę składającą się z siedmiu zawodniczek) – to wszystko było preludium do zdobycia najcenniejszego krążka w karierze, medalu olimpijskiego.

Na olimpiadę w Los Angeles nie pojechała, wyeliminowana przez długotrwałą chorobę.



Wraca na lekkoatletyczne areny w 1934 roku. W mistrzostwach Polski ustanawia rekord w rzucie oszczepem odległością 39,61 metra. Granicę 40 metrów udaje jej się pokonać 19 sierpnia 1934 roku podczas spotkania z Japonią, które odbyło się na stadionie w Poznaniu. Uzyskuje wówczas 40,5 metra.

Zaprawą przedberlińską był udany występ Kwaśniewskiej na IV Światowych Igrzyskach Kobiet w Londynie w 1934 roku.

Po dobrze przebytej podróży przybyła dzisiaj rano reprezentacja Polski, złożona z sześciu lekkoatletek [...]. Drużyna [...] wygląda całkiem świeżo i prezentuje się nadzwyczaj efektownie w ślicznych, białych sukienkach z czerwonymi guzikami i białych beretach. Polki ulokowane zostały w Great Central Hotel[7].

Czyli – jak w swoim niepowtarzalnym stylu odnotowuje „Przegląd Sportowy” – w istnej wieży Babel. Nastrój w polskiej drużynie był wyborny, a nadzieje wprost „różowe”. Dziennikarze, mimo obecności największej gwiazdy polskiej ekipy – Walasiewiczówny, dostrzegają potencjał młodziutkiej Kwaśniewskiej:

W pięcioboju Kwaśniewska ma wyniki bardzo dobre i zapowiada się na jedną z groźniejszych konkurentek i w tej specjalności[8].

Wszystkie panie zostały pięknie obfotografowane, zaproszone na herbatkę do polskiej ambasady w Londynie. I czekały na swoje konkurencje. Ducha dodawała im Konopacka – już Matuszewska – która pod publiczność na treningu rzuciła sobie od niechcienia dyskiem na ponad 40 metrów. Kobięca olimpiada nie cieszyła się jakoś wzięciem miejscowej publiczności – panie-sportsmenki zaszczyliło ledwie około 1200 osób na widowni. Na rozpoczęcie igrzysk wypuszczono jednego gołębia. Nie popsuło to jednak ani ducha walki sportowej, ani wyników naszych pań – Polska zajęła drugie, tuż za Niemcami, miejsce w klasyfikacji medalowej. Największym sukcesem Kwaśniewskiej było zdobycie czwartego miejsca w rzucie oszczepem. Miała wówczas 21 lat. Oceniono, że był to występ zgodny z oczekiwaniami, który przyczynił się do uzyskania potrzebnych Polsce punktów dających drugie miejsce na podium.

Zaraz po zawodach londyńskich wszystkie panie udały się na zawody lekkoatletyczne

w Brukseli. Tam Kwaśniewskiej poszło zdecydowanie lepiej – mimo że nie mogła jeszcze przekroczyć magicznej bariery 40 metrów, ulokowała się na drugiej pozycji, rzucając oszczepem 39,51 metra. Przetarła szlaki na imprezie międzynarodowej, mocno zaznaczając swoją obecność. Prawdziwe chwile sportowych uniesień i kibicowskiego uwielbienia czekają ją jednak w Berlinie. Tuż przed olimpiadą Kwaśniewska ustanawia rekord Polski, rzucając na odległość 44,03 metra, siedem dni przed startem w igrzyskach![9]

## BERLIN ZDOBYTY

Zawody wypadły w deszczowy i chłodny dzień. Wiatr dmący w twarz nie pozwalał na wykonywanie długich rzutów, a do tego to przenikliwe zimno. Kwaśniewska przyjechała na olimpiadę z wynikiem ponad 44 metrów, ale pogoda zdecydowanie mogła popsuć jej szyki.

Niespodziewanie zrezygnowano też z eliminacji do finału. Zabrakło dwóch zawodniczek, które do Berlina nie dotarły – do konkursu stanęło ich 16, stąd też po kilkugodzinnym opóźnieniu przystąpiono od

razu do konkursu głównego. Kwaśniewska w pierwszym dniu zawodów rzucała spośród zgłoszonych zawodniczek jako... pierwsza.

„Wiatr szarpie w strzępy płomień znicza olimpijskiego. Serce młodej oszczepniczki wali ambicją”[10] – zaczynał swoją relację Ludwik Szumlewski (ten sam, który wprowadzał Kwaśniewską w świat sportu); znaleźć ją można w księdze pamiątkowej wydanej na pięćdziesięciolecie Łódzkiego Klubu Sportowego.

Trzeba rzucać daleko. Na czole, niczym rosa, gromadzą się krople potu. To nie zmęczenie. Trema. W płuca wlewają się hausty świeżego powietrza. Już jest lepiej. Wraca siła.

Rzuci czy nie?... Zwątpienie pierzchło. Polka jest na rozbiegu. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że każdy jej ruch jest śledzony przez 80 tysięcy ludzi. [...]

Błyskawica rozbiegu, błyskawiczny skręt i z garści, siłą całego tułowia, wyleciała jak gołąb z klatki trzymana dzida. Oszczep był dla niej w tej chwili całym jej szczęściem, rozkoszą, całym życiem... – A gdy grot wbił się w zieloną murawę, z trybuny doszedł niesiony skrzydłami wiatru okrzyk rodaków: Brawo Maryśka![11]

Ciekawie zareagowała prasa. O ile liczone na sukcesy takich zawodników, jak Lokajski,

Noji[12] czy Jadwiga Wajs[13] – brązowa dyskobolka poprzedniej olimpiady – o tyle na młodziutką łodziankę stawiali tylko najwierniejsi fani. Toteż „Raz, Dwa, Trzy” zaczął swoją relację z pierwszego dnia zawodów w nader dramatycznym tonie, do którego walnie przyczyniła się porażka szykowanego na następcę Kusocińskiego Józefa Nojego.

Wszyscy jak tu jesteśmy – a jest nas spora gromadka – widzimy już teraz w sekundę po oszałamiających chwilach na stadjonie, wizję koszmarną: sterty zadrukowanego papieru, drapacze chmur tytułów żalobliwych i ponurych, psalmy i zawodzenia, czarne łzy, kapiące ciurkiem ze szpalt i wsiąkające głęboko w urodzajną glebę polskiego słomianego zapachu[14].

Bardzo przygnębiająca relacja, przez którą z trudem przebił się absolutny przeciw sukces polskiej oszczepniczki. Prasę zdecydowanie bardziej interesowały dokonania mężczyzn – Kwaśniewska, przykładowo, musiała oddać prym w szpaltach dziennikarskich Józefowi Nojemu, którego nazwiska próżno szukać było w pierwszej szóstce biegaczy na 10 kilometrów (zrehabilitował się w biegu na 5000 metrów,

zajmując piąte miejsce). W podsumowaniu olimpijskim „Przegląd Sportowy” dał nawet olbrzymi tytuł obwieszczający, że „Nie medale – [ale] wyniki Kucharskiego i Noji [są] największą zdobyczą Polski”[15]. Dalsze jęki zawodu wywołali Pławczyk i Hoffmann[16] (skok wzwyż), nie spełnił oczekiwań Kucharski[17] (choć jego czwarte miejsce w biegu na 800 metrów z czasem doceniono). Na szczęście dostrzeżono piękną Marię, która swym oszczepem sięgnęła po olimpijski brąz.

Wreszcie Kwaśniewska. Trzeba było od niej właściwie zacząć. Należało koniecznie. Panna Marysia nie będzie jednak na pewno mieć żadnych pretensyj o to. Pierwszy nasz punkt olimpijski – nie licząc poprzednio już zdobytych przez naszych artystów – jest jedynym na razie promykiem słońca, który przedarł się poprzez ciemną nawałnicę zawiedzionych nadziei[18].

Potem dekoracja, laury, gratulacje, nieszczęsna łoża Hitlera i słynne zdjęcie. Tuż po zawodach uradowana Kwaśniewska relacjonowała sprawozdawcy „Przeglądu Sportowego”:

Więcej zrobiłam, niż przypuszczałam, cieszę się strasznie z tego brązowego medalu. Przed zawodami bałam się tak strasznie, że nie mogłam utrzymać oszczepu w ręku. Żeby nie silny wiatr przeciwny, wyniki byłyby lepsze o 3 metry[19].

Po pierwszej rundzie Kwaśniewska prowadziła nawet – wynik 41,80 dawał jej tę chwilową przewagę. Ale już w drugiej kolejce Niemka Fleischer[20] huknęła na odległość 44,69 metra (ostatecznie wygrała z rekordem 45,18). „Raz, Dwa, Trzy” odnotował wreszcie, że Hitler żegnał się z Kwaśniewską „bodajże z większą serdecznością, niż z Niemkami”[21], widać było, że Marysia zrobiła na nim ogromne wrażenie. Sama Kwaśniewska wyjawiała:

Byłam bardzo zdenerwowana, dlatego nie stać mnie było na powtórzenie rezultatu, jaki miałam w kraju przed tygodniem na zawodach w Czeladzi (44,19) [22].

Wynik ten przy tym rozłożeniu kart dawałby jej srebrny medal. Dwa pierwsze miejsca przypadły w udziale Niemkom: Tilly Fleischer i Luise Krüger[23].

W każdym razie nie zawiodłam – konstatowała Kwaśniewska – i to mnie cieszy. Niemki są ode mnie w tej chwili lepsze, mają większą rutynę, bo częściej startują. Niemniej jednak medal olimpijski, choć brązowy przecież sprawił mi dziś naprawdę piękny dzień, którego nigdy nie zapomnę[24].

Ogromnie to były prorocze słowa. Czy jednak dzień ten był niezapomniany ze względu na jej sukces?

Wysoka lokata Kwaśniewskiej wcale nie była taka pewna; wręcz przeciwnie – w prasie przewidywano dobry występ, ale miejsce zdecydowanie poza strefą medalową. Dodawano, że w końcu olimpiada rządzi się swoimi prawami, zawodnikom towarzyszą nerwy, a tych polskie panie – jak wieszczono – jeszcze nie opanowały. „Światowid” napisał wprost: „Kwaśniewska zapewne będzie musiała kontentować się dalszym miejscem w oszczepie”[25].

Tymczasem na olimpiadzie w nowej roli sprawdzał się nasz mistrz olimpijski z Los Angeles, który wyeliminowany kontuzją startować nie mógł. Janusz Kusociński jako obserwator i korespondent „Przeglądu



Sportowego” odwiedził „Dom Fryzjerski”, czyli hotel, w którym mieszkały lekkoatletki.

Z mieszkania są one bardzo zadowolone. Pokoje dwuosobowe, skromne, ale czyste i wygodne. Pewien kłopot sprawia brak w sypialniach bieżącej wody. Nasze zawodniczki nie są przyzwyczajone do wspólnych umywalni [...]. Nasze panie wypadły na pierwszym treningu doskonale, jedynie Kwaśniewska bierze się co chwila za głowę, słysząc o nadzwyczajnych rezultatach swoich rywalek[26].

Nieco inny obraz przywołuje Stefania Gołaszewska, naczelniczka żeńskiej drużyny gimnastycznej, a także opiekunka wszystkich polskich zawodniczek wysłanych do Berlina:

Po kolacji udałyśmy się na spoczynek do swoich pokojów. Tu czekały na nas podarunki w postaci wody kolońskiej, pachnącego mydła, pasty „Odol” do czyszczenia zębów i płukania ust i szklanki reklamowej „Odolu” wraz z kilkoma słowami pozdrowienia, skreślonymi na bileciku. Upominki te były dla nas miłą niespodzianką[27].

W swoich wspomnieniach dodaje, że organizacja była wspaniała. Niemcy czynili wiele wysiłku, by zawodniczkom umilić czas, atmosfera była przyjazna i uprzejma. Niemki uczyły się polskich pozdrowień, razem z zawodniczkami polskimi „pomogły wybujać Marysię”. Polki zaprzyjaźniły się z niektórymi niemieckimi zawodniczkami do tego stopnia, iż te – odprowadzając je na dworzec – płakały. Co zaś się tyczy samego występu Kwaśniewskiej, Gołaszewska na łamach „Przewodnika Gimnastycznego Sokół” wspomina:

Dnia 2 sierpnia od samego rana byłyśmy podminowane. Był to pierwszy dzień zawodów lekkoatletycznych: Kwaśniewska startowała w rzucie oszczepem. Prosiła, abyśmy jej gazowali z trybun.

Zaraz po obiedzie poszłyśmy na Stadjon. Nie mogłyśmy doczekać się chwili rozpoczęcia rzutu oszczepem. Gdy Kwaśniewska wzięła oszczep do ręki, krzyczałyśmy wszystkie, na całe gardło:

„Ma-ry-sia”, „Ma-ry-sia”. Kwaśniewska pierwszym, najlepszym rzutem zdobyła swój brązowy medal. Następne rzuty wypadły słabo. Kwaśniewska była tego dnia niedysponowana. [...] Ceremonia olimpijska odznaczenia Kwaśniewskiej medalem przepełniła serca nasze radością i dumą.

Ze stadionu wróciłyśmy do Friesenhauzu, aby przygotować przyjęcie Kwaśniewskiej, która tymczasem przedstawiona była kanclerzowi Hitlerowi. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zastałyśmy bramę Friesenhauzu ubraną zielenią i flagami; olimpijską, hitlerowską i polską[28].

Nie dała sobie wydrzeć miejsca trzeciego, choć konkurentki deptały jej po piętach. Zaszczytne pozycja i sukces – bo tak odebrano jej lokatę – zapewniły Kwaśniewskiej miejsce w szeregu najwybitniejszych sportswomenek dwudziestolecia. Choć, umówmy się, rzut oszczepem, mimo że jest to dyscyplina wywodząca się ze starożytnych igrzysk, wybitnie popularny nie był i wciąż nie jest. Dla fanów sportu, a lekkoatletyki w szczególności, to dyscyplina z chlubną tradycją, w którym piękno ciała sportowca widać w całej okazałości. Podczas berlińskiej olimpiady zostało to dokładnie udokumentowane przez ulubioną reżyserkę Hitlera – Leni Riefenstahl[29]. Stworzyła ona pierwszy pełnometrażowy dokument traktujący o igrzyskach olimpijskich, pod tytułem *Olimpiada*. (Gwoli wyjaśnienia pierwszą udokumentowaną olimpiadę przedstawia film nakręcony podczas

V Olimpiady w Sztokholmie)[30]. Film Riefenstahl miał być nie tylko apoteozą piękna sportu, ale właściwie przede wszystkim propagandą faszyzmu. Mimo oczywistych kontrowersji, nie można odmówić mu świetnej reżyserii i nowatorskiego przedstawieniu sportu i sportowców. Wśród nich – Marii Kwaśniewskiej.

W tym miejscu wspomnieć warto oszczepnika, w którym upatrywano niemalże pewnika do medalu. Był nim Eugeniusz Lokajski, który przed olimpiadą berlińską osiągnął trzeci wynik na świecie (73,27 metra). Doceniano jego ośmioletnią ciężką pracę, szlifowanie stylu i polepszanie wyników, stąd też przedolimpijskie nadzieje były jak najbardziej uzasadnione. Jednak zawodnik dotknięty kontuzją (w trakcie próbnego rzutu naderwał mięsień), przeszyty bólem, oklejony plastrami, nie był w stanie osiągnąć rezultatu lepszego niż – ostatecznie – siódme miejsce:

Lokajski stanął na starcie prawie bezsilny, nie miał punkcika na ciele, któreby go nie bolało; wszystkie ścięgna prawego boku i ramienia były w stanie kompletnej ruiny[31].

Niestety, był to jedyny olimpijski występ „Gienka”, drobnego zawodnika Warszawianki, studenta CIWF, którego warunki fizyczne nie predysponowały do rzucania właśnie oszczepem. W 1935 roku został wicemistrzem świata na Akademickich Mistrzostwach Świata w Budapeszcie. Po olimpijskim występie poddał się rehabilitacji mięśnia barkowego, do tego doszła... trepanacja czaszki! Nigdy już nie osiągnął pełni formy, nakładające się na siebie kontuzje wykluczyły to. A w 1939 roku – wojna. Uzbrojony w karabin i aparat fotograficzny (fotografia była drugą jego pasją) broni Warszawy, utrwalając jej wojenny los na wzruszających do dziś zdjęciach. 1 sierpnia 1944 roku zostaje zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej, pseudonim „Brok”. Ginie w ruinach kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej 129. Każdy z nas zna jego zdjęcia walczącej Warszawy z okresu powstania warszawskiego. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” Kwaśniewska wspominała także Lokajskiego – kolegę po fachu.

Wraz z kolegami, tak myślę, dobrze spełniliśmy obowiązek wobec ojczyzny. Byliśmy patriotami. Ten patriotyzm był w nas. Dwudziestolecie międzywojenne może było zbyt krótkie, żeby poczuć

się zupełnie wyzwolonym. Ciągłe wisiał nad nami ten bicz, ale kiedy przyszło zagrożenie, nie było jednego zawodnika, który by nie stanął do walki. Kusociński, Lokajski i agent numer jeden, czyli Szajnowicz, Zabierzowski i Głuszek – to wszystko byli młodzi ludzie, młodzi sportowcy. A przecież są to bohaterowie[32].

Maria Kwaśniewska wróciła do sportu w 1939 roku, wcześniej z powodów osobistych przerwała karierę. Ominęły ją mistrzostwa Polski w 1937 i 1938 roku. Była już wówczas zawodniczką AZS w Warszawie, do której przeniosła się z Łodzi. W roku, w którym wybuchła wojna, była u szczytu kariery, przewidywano dla niej medal na kolejnej olimpiadzie. Wzięła udział w innej, wojennej...

## ZNIENAWIDZONA FOTOGRAFIA

W przededniu wybuchu wojny przebywała we Włoszech, gdzie szlifowała formę na igrzyska w Tokio. Powzięła decyzję o powrocie do ojczyzny. 2 września była już w kraju. Została zmobilizowana – przed okupacją skończyła kurs sanitariuszki, pomagała między innymi

w przenoszeniu rannych z okopów nad Wisłą. Pierwsze dni okupacji spędziła w gospodzie „Pod Kogutem”, która zakończyła swą działalność wraz z aresztowaniem Janusza Kusocińskiego. To aresztowanie przeżyła bardzo mocno. „Rano 28 przyszła [...] siostra Kusocińskiego zawiadamiając, że Kusociński został zabrany przez gestapo”[33] – mówiła w audycji Polskiego Radia.

Po powstaniu warszawskim pomagała wyciągać ludzi z obozu w Pruszkowie – Dulag 121. Był to obóz przejściowy, w którym segregowano kobiety i mężczyzn: albo do Auschwitz, albo do obozów pracy. Przez ośrodek ten przeszło około 650 tysięcy ludzi. To właśnie owo słynne zdjęcie z Hitlerem z pamiętnej olimpiady letniej stało się jej kartą przetargową, otwierającą bramy pruszkowskiego piekła, z którego wyciągała ludzi. Fotografie trzymała w kenkarcie, na bramie pokazywała niemieckim żołnierzom. Mieszkała w Podkowie Leśnej i ta jej willa stała się schronieniem Polaków i Żydów, którym pomagała. Zatrzymała się u niej między innymi Wanda Jasińska[34], wdowa po Władysławie Komarze, ojcu późniejszego mistrza olimpijskiego w pchnięciu kulą z Monachium – Władysława Komara. W tym zbiorowisku

ludzkich nieszczęść mieszkali także Ewa Szelburg-Zarembina[35] i Stanisław Dygat[36].

Jedyną drogą, by wyprowadzać Polaków z tego obozu, w którym ludność spędzona z całej Warszawy kwalifikowana była do pracy w Niemczech, była niemiecka komisja lekarska. Dokonywała segregacji więźniów pod kątem ich zdolności do pracy. W tejże komisji znalazły się polskie pielęgniarki i tłumaczki, co znacznie ułatwiało załatwianie „lewych” zaświadczeń lekarskich. Te nierzadko ładnie ubrane i umalowane młode kobiety, zaopatrzone w galony wódki i kosze owoców, emablując niemieckich lekarzy i w ten sposób korzystając z ich dobrego nastroju, zdobywały bezcenne przepustki na wolność. Posługę jako siostra pełniła też Maria Kwaśniewska – wówczas Koźmińska.

Cały personel polski współdziałał w nielegalnym wyciąganiu wysiedlonych z obozu. Kluczem tej akcji była komisja lekarska. [...] urzędowała w hali nr 2. [...] Jeden jej koniec tworzyły olbrzymie wrota, przez które wchodzili wysiedleni, w drugim końcu, pod ślepą ścianą stał stół, za którym urzędowała komisja. Hala była podzielona na trzy części: w środkowej gromadzono wysiedlonych, którzy mieli stanąć



przed komisją, po prawej grupowano ludzi zwolnionych, po lewej – przeznaczonych na wywiezienie do Niemiec i na transporty do Generalnej Guberni. [...] W brudnej hali stale kłębił się tłum wysiedlonych. [...] W hali nr 2 stale panował potworny zamęt, co ułatwiało polskiemu personelowi nielegalną działalność[37].

Rolą tłumaczek i pielęgniarek przed komisją lekarską, która kwalifikowała każdego wysiedlonego, było takie uargumentowanie i ubranie w słowa schorzeń danego człowieka, aby niemiecki lekarz chętniej wypisał zwolnienie. Przylepiano więc obozowiczom najrozmaitsze choroby – kiła, choroby narządów rodnych, tyfus itp. – tylko po to, by dany argument trafił do Niemców.

Gdy lekarz Niemiec uznał wysiedlonego za chorego, tłumaczka wypisywała zwolnienie, zawierające szczegóły personalne, rozpoznanie i magiczne słowo „zwolniony”. [...] zwolnienie to nabierało jednak mocy prawnej dopiero po podpisaniu i ostemplowaniu zwolnienia przez gestapo[38].

Z czasem zwolnienia indywidualne stały się prawie niemożliwe do uzyskania, więc polski personel skupiał się na osobach szczególnie ważnych. To właśnie wówczas udało się wyciągnąć Ewę Szelburg-Zarembinę czy Dygata. Innym sposobem, oprócz oczarowywania i odpowiedniego „tłumaczenia” schorzeń i dolegliwości, było wypisywanie zwolnień ludziom, którzy przed komisją w ogóle nie stawiali, na przykład ze względu na zbyt semicki wygląd. To dawało czasem jedyną możliwość, by Niemcy ustosunkowali się pozytywnie do prośby o zwolnienie.

Lekarze niemieccy przerywali pracę w porze obiadowej (komisja urzędowała od 8 do 18–19) [...]. Wychodząc lekarze zamykali wszystkie listy w szufladach stołu i klucz zabierali. Gdy tylko lekarze opuścili halę, stół otaczała zwarta masa siostr, przekupiony wartownik (wódka i słodycze dawały wyniki) [który] dorobionym kluczem otwierał szuflady i zasiadałyśmy do roboty. W ciągu półtorej godziny wpisywałyśmy na listy setki osób na „lewo”[39].

Czasami też wpisywano na żeńskie listy mężczyzn. Niemcy orientowali się w końcówkach

polских nazwisk, odróżniali formę żeńską od męskiej. Należało zatem na tak podrobionym zwolnieniu wpisać to nazwisko niewyraźnie. „Szereg sióstr wyspecjalizowało się w tej robocie, a niezawodna była Maria Kwaśniewska-Koźmińska”[40]. Następnie przy bramie trzeba było znowu „Kowalską” zmienić w „Kowalskiego”, gdyż *de facto* wyprowadzano mężczyznę...

Tak wypisani z Pruszkowa chorzy kierowani byli do szpitali, część z nich trafiała do domu Marii w Podkowie Leśnej. Obóz w Pruszkowie istniał od sierpnia do października 1944 roku. Dobra sieć połączeń kolejowych sprawiła, że Niemcy uznali to miejsce za idealne ze względu na szybkość przewożenia ludności Warszawy. Bywały dni, gdy w obozie przebywało jednocześnie około 40 tysięcy osób, brakowało miejsca w halach, ludzie koczowali pod gołym niebem.

Pani Krystyna Marciniak tak wspomina swój pobyt pruszkowskim obozie:

Miałam trzynaście lat, kiedy trafiłam po powstaniu do Pruszkowa. Ojciec, przedwojenny piłkarz Łódzkiego Klubu Sportowego, Stanisław Piotrowski (wcześniej grał we lwowskiej Pogoni) już wówczas

nie żył (zginął tuż przed powstaniem), trafiłam do obozu wraz z mamą i dwiema siostrami. W trakcie powstania byliśmy w Warszawie, pomagałam jako sanitariuszka, karmiłam powstańców, uczestniczyłam w ich pogrzebach. Mama, kiedy całą Warszawę zsyłali do Pruszkowa, wzięła z domu tylko 5 kilo cukru i małe buteleczki sherry. To miało nas uchronić przed chorobami, przed zarazą, tym się żywiłyśmy.

Były tam też moje dwie ciotki. Warunki w Pruszkowie urągały ludzkiej godności. Spaliśmy na słomie, którą Niemcy rozrzucili na podłodze wielkiej hali. Pamiętam, jak któregoś dnia przynieśli poparzonego powstańca. Leżał koło mnie, prosił, by mu przynieść broń. Chciał się zastrzelić. Myślę, że potem go po prostu rozstrzelali.

Wśród polskich pielęgniarek, które w obozie służyły, mama rozpoznała Marię Kwaśniewską. Ona знаła mojego ojca sprzed wojny, bardzo chciała nam pomóc. Było to jednak niezwykle trudne – matka z trójką dzieci – to było ogromne wyzwanie, aby nas stamtąd wyprowadzić. Pani Maria była taka kochana, tak nam chciała pomóc, ciągle nas odwiedzała. Myślała, żeby położyć nas między zmarłymi – tak czasem udawało jej się wywieźć obozowiczów, ratując im życie. Udało jej się

wyprowadzić moje dwie ciotki, które trafiły następnie do Częstochowy. Niestety nam się nie udało i z mamą trafiłyśmy do obozu pracy w Schneidemühl[41] (tak Niemcy przemianowali Piłę), gdzie Polacy świadczyli pracę. To i tak było duże szczęście, mogłyśmy przecież trafić do obozu koncentracyjnego. Pracowałam na kuchni, między innymi czyściłam kotły. Matka z siostrami pracowały ciężko fizycznie.

Po wojnie Pani Maria pomogła mi w przyznaniu odszkodowania za pracę w obozie. Podobnie jak ojciec, zajęłam się sportem, którym do dziś się interesuję. Grałam w tenisa (także z samą Jadwigą Jędrzejowską – to była bardzo sympatyczna, wesoła kobieta), pływałam, grałam w kosza. A Panią Marię zawsze ciepło i z sympatią wspominam. Według mnie, to była bohaterka[42].

Czasem na zdjęcie nie udawało się nic załatwić. Jak na przykład odzyskać ciała pomordowanych członków rodziny:

Miałam brata w Lublinie. Były tam pierwsze, wcześniej niż w Warszawie, uliczne łapanki. Jego złapano i zabrano go na słynny zamek [...] i tam go rozstrzelano. [...] Natychmiast pojechałam do

Lublina, trafiłam do obersturmführera. [...] po wielu godzinach oczekiwania, pokazałam fotografię z olimpiady [...]. Nawet nie pozwolono mi jego ciała zabrać[43].

Co do dalszych losów zdjęcia z Hitlerem...  
Maria tak to właśnie wspomina:

Po wojnie żadnej pamiątki z okresu olimpiady berlińskiej nie zachowałam, a wszystkie fotografie podarłam, spaliłam, bo ta Idea olimpijska w roku 1940 przegrała[44].

Maria Kwaśniewska miała trzech mężów i – jak wspominała – były to trzy różne małżeństwa. „Jedno było studenckie, jedno wojenne, a to trzecie było najprawdziwsze w sensie prawdziwego uczucia”[45]. Trzecim mężem Marii Kwaśniewskiej był znany koszykarz, późniejszy trener narodowej kadry koszykarzy – Władysław „Wołodia” Maleszewski[46]. Jego ojciec Wiktor Maleszewski[47] był prezydentem przedwojennego Wilna. Został zamordowany przez NKWD w 1941 roku.

Pruszków powrócił jeszcze w historii Kwaśniewskiej. Jej córka Elżbieta przyszła na świat w pociągu, którym ciężarna Maria

podróżowała właśnie z Warszawy do Łodzi. Poród nastąpił w niedalekiej odległości od obozu przejściowego, z którego Kwaśniewska pomagała wyrywać ludzi z ramion śmierci.

Jeszcze w 1946 roku Kwaśniewska rzuciła oszczepem po mistrzostwo Polski, a w mistrzostwach Europy w tym roku wywalczyła szóste miejsce w oszczepie i siódme w pchnięciu kulą. Związała się na stałe ze sportem jako działaczka, między innymi w Polskim Komitecie Olimpijskim i w kobiecych komisjach Europejskiego Stowarzyszenia Lekkiej Atletyki, w tym charakterze wyjeżdżała na ważniejsze imprezy lekkoatletyczne. W 1978 roku za zasługi dla ruchu olimpijskiego została nagrodzona Brązowym Orderem Medalu Olimpijskiego. Kilkanaście lat później otrzymała Złoty Order Medalu Olimpijskiego. W 1983 roku wyróżniono ją nagrodą im. Janusza Kusocińskiego za niezwykle osiągnięcia w sporcie i wysokie morale, jakimi kierowała się w życiu. Została odznaczona Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski w 2005 roku. Walczyła o ustawę, na mocy której olimpijczycy otrzymywaliby dożywotnią emeryturę.

Jej listów gratulacyjnych, wyróżnień, tytułów honorowego obywatela miasta nie sposób zliczyć

– wiele z tych honorów, dyplomów, pięknych pamiątek świadczących o uwielbieniu i docenieniu lekkoatletki znajduje się dziś w Muzeum Sportu i Turystyki. Maria tworzyła łódzki oddział tego muzeum, któremu zresztą przekazała swój najcenniejszy, olimpijski medal. W październiku 2004 roku w Spale otworzono Park Pokoleń Mistrzów Sportu im. Marii Kwaśniewskiej.

Patrzę na tablicę po pierwszych dwóch kolejkach rzutów, nie chciało mi się wierzyć, że ja tam jestem [...]. Nikt na mnie nie stawiał, medalowe miejsce było dla mnie zgoła utopią. [...] Jadąc na olimpiadę, liczyłam, że mogę być w szerokim finale[48].

Tak mówiła w audycji wspomnieniowej Polskiego Radia pod tytułem *Księga olimpijskich wspomnień*. Dotarło do niej, co osiągnęła, dopiero po powrocie do wioski olimpijskiej.

W późniejszym czasie doszłam do wniosku, że [...] współzawodnictwo jest rzeczą niezwykle wartościową[49].



Na koniec berlińskich zmagania, w trakcie ceremonii zamknięcia igrzysk, ogłoszono słowa pożegnania: „Spotkamy się za cztery lata”... Kolejne pokolenie sportowców uczestniczyło w olimpiadzie dopiero po 12 latach. Wielu polskich olimpijczyków nie było już wśród żywych. Wielu – zakończyło sportową karierę. Maria Kwaśniewska przeżyła 94 lata. Zmarła w 2007 roku. W bardzo kameralnej ceremonii pogrzebowej uczestniczyli tylko najbliżsi i rodzina. Ostatnią posługę i cześć oddano jej na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Pochowano ją w grobie męża – Władysława Maleszewskiego.



*67. Maria Kwaśniewska na meczu lekkoatletycznym kobiet Niemcy–Polska w Dreźnie, sierpień 1935 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*68. Maria Kwaśniewska, fotografia z 1935 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*69. Polskie lekkoatletki po przyjeździe do Poznania na mecz lekkoatletyczny kobiet Polska–Japonia, widoczne m.in. Stanisława Walasiewiczówna, Maria Kwaśniewska, Maryla Freiwald, Jadwiga Wajsówna, sierpień 1934 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*70. Wajsówna (druga z lewej) i Kwaśniewska (okryta kocem) na lekkoatletycznych mistrzostwach Polski w konkurencji kobiet w Krakowie, lipiec 1935 roku  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe*



*71. Walasiewiczówna i Kwaśniewska w trakcie meczu lekkoatletycznego Górny Śląsk–Śląsk Opolski w Katowicach, wrzesień 1935 roku*  
fot. Cz. Datka/Narodowe Archiwum Cyfrowe



*72. Kwaśniewska w skoku w dal w pięcioboju  
kobiecy na IV Światowych Igrzyskach Kobiet  
w Londynie, sierpień 1934 roku*  
fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*73. Kwaśniewska jako brązowa medalistka i dwie zawodniczki niemieckie (srebrna medalistka Luise Krüger i złota medalistka Ottilie Tilly Fleischer) z Adolfem Hitlerem na igrzyskach olimpijskich w Berlinie, 2 sierpnia 1936 roku  
fot. AFP PHOTO/East News*







*74, 75. Kwaśniewska w trakcie rzutu oszczepem,  
1939 rok*

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe



*76. Kwaśniewska w trakcie kwalifikacji do  
mistrzostw Europy w lekkoatletyce w Oslo na  
stadionie Wojskowego Klubu Sportowego Legia,  
6 lipca 1946 roku*

fot. Jerzy Baranowski/CAF/PAP

# BIBLIOGRAFIA

## **Czasopisma**

„Chicago Tribune”, 6 grudnia 1980.

„Dobry wieczór! Kurjer Czerwony” nr 253, 21 grudnia 1937.

„Dziennik Łódzki” nr 183, 18–20 września 1981.

„Gazeta Lwowska” nr 24, 31 stycznia 1939.

„Gazeta Wyborcza”, Magazyn Świąteczny, 4 stycznia 2013.

„Głos Zakopiański” nr 44, 20 listopada 1925.

„Goniec Częstochowski” nr 210, 10 października 1936.

„Kurjer Warszawski”, 3 sierpnia 1928.

„Lawn Tennis Polski. Ilustrowane Czasopismo Sportowe”:

– nr 1, 15 czerwca 1930.

– nr 3–4, 15 lipca 1930.

„Nowiny Codzienne”:

– nr 4, 30 czerwca 1932.

– nr 120, 1936.

- nr 159, 28 września 1932.
- „Polska Walcząca” nr 30, 28 lipca 1945.
- „Polska Zachodnia” nr 294, 25 października 1937.
- „Przegląd Sportowy”:
  - nr 19, 24 września 1921.
  - nr 25, 5 listopada 1921.
  - nr 32 24 grudnia 1921.
  - nr 34, 28 sierpnia 1926.
  - nr 45, 13 listopada 1926.
  - nr 51, 25 grudnia 1926.
  - nr 31, 29 lipca 1928.
  - nr 40, 8 września 1928.
  - nr 57, 11 września 1929.
  - nr 44, 3 czerwca 1931.
  - nr 11, 6 lutego 1932.
  - nr 12, 10 lutego 1932.
  - nr 15, 20 lutego 1932.
  - nr 19, 5 marca 1932.
  - nr 40, 18 maja 1932.
  - nr 59, 23 lipca 1932.
  - nr 60, 27 lipca 1932.
  - nr 61, 30 lipca 1932.
  - nr 62, 3 sierpnia 1932.
  - nr 63, 6 sierpnia 1932.
  - nr 65, 13 sierpnia 1932.
  - nr 67, 20 sierpnia 1932.
  - nr 7, 25 stycznia 1933.

- nr 41, 23 maja 1934.
- nr 64, 11 sierpnia 1934.
- nr 84, 20 października 1934.
- nr 95, 28 listopada 1934.
- nr 38, 27 kwietnia 1935.
- nr 40, 2 maja 1935.
- nr 41, 4 maja 1935.
- nr 42, 6 maja 1935.
- nr 43, 9 maja 1935.
- nr 52, 30 maja 1935.
- nr 53, 1 czerwca 1935.
- nr 61, 20 czerwca 1935.
- nr 83, 10 sierpnia 1935.
- nr 15, 15 lutego 1936.
- nr 16, 17 lutego 1936.
- nr 36, 5 maja 1936.
- nr 55, 2 lipca 1936.
- nr 56, 6 lipca 1936.
- nr 62, 27 lipca 1936.
- nr 65, 3 sierpnia 1936.
- nr 66, 6 sierpnia 1936.
- nr 67, 8 sierpnia 1936.
- nr 69, 12 sierpnia 1936.
- nr 70, 14 sierpnia 1936.
- nr 72, 20 sierpnia 1936.
- nr 79, 14 września 1936.
- nr 53, 5 lipca 1937.

- nr 55, 12 lipca 1937.
- nr 57, 19 lipca 1937.
- nr 82, 14 października 1937.
- nr 18, 3 marca 1938.
- nr 19, 7 marca 1938.
- nr 40, 19 maja 1938.
- nr 41, 23 maja 1938.
- nr 45, 6 czerwca 1938.
- nr 46, 9 czerwca 1938.
- nr 53, 4 lipca 1938.
- nr 56, 14 lipca 1938.
- nr 41, 22 maja 1939.
- nr 46, 4 czerwca 1939.
- nr 1, 12 lipca 1945.
- nr 6, 13 sierpnia 1945.
- nr 3, 7 stycznia 1961.

„Przewodnik Gimnastyczny Sokół” nr 9–10,  
wrzesień–październik 1936.

„Raz, Dwa, Trzy”:

- nr 2, 13 stycznia 1936.
- nr 19, 12 maja 1936.
- nr 22, 3 czerwca 1936.
- nr 23, 9 czerwca 1936.
- nr 28, 14 lipca 1936.
- nr 31, 4 sierpnia 1936.
- nr 39, 29 września 1936.
- nr 42, 20 października 1936.

- nr 5, 21 grudnia 1937.
- nr 12, 23 marca 1937.
- nr 26, 29 czerwca 1937.
- nr 28, 5 lipca 1937.
- nr 37, 14 września 1937.
- nr 41, 12 października 1937.
- nr 44, 3 listopada 1937.
- nr 45, 9 listopada 1937.
- nr 36, 3 września 1939.

„Rzeczpospolita” nr 112, 15 maja 2000.

„Sport Polski” nr 12, 17 listopada 1937.

„Sport. Tygodnik Ilustrowany”:

- nr 1, 17 marca 1922.
- nr 17, 7 lipca 1922.
- nr 23, 18 sierpnia 1922.
- nr 75, 20 listopada 1923.
- nr 23, 5 czerwca 1924.

„Sport Wodny”:

- nr 7, maj 1938.
- nr 11, lipiec 1938.
- nr 13, sierpień 1938.
- nr 16, wrzesień 1938.
- nr 3, marzec 1939.

„Sport Zimowy”:

- nr 1, grudzień 1931.
- nr 3, luty 1932.

„Stadjon”:

- nr 4, 23 maja 1923.
- nr 23, 5 czerwca 1924.
- nr 24, 12 czerwca 1924.
- nr 45, 6 listopada 1924.
- nr 32, 12 października 1926.
- nr 35, 2 września 1926.
- nr 29, 17 lipca 1928.
- nr 32, 7 sierpnia 1928.
- nr 33, 14 sierpnia 1928.
- nr 7, 14 lutego 1929.
- nr 36, 4 września 1930.
- nr 39, 25 września 1930.
- nr 44, 30 października 1930.

„Start”:

- nr 17, wrzesień 1928.
- nr 2, styczeń 1929.
- nr 12, czerwiec 1929.
- nr 16, sierpień 1929.
- nr 17, wrzesień 1929.
- nr 10/11 maj/czerwiec 1932.
- nr 15/16, sierpień 1932.
- nr 14, październik 1935.

„Śląski Kurjer Poranny” nr 285, 17 listopada 1935.

„Światowid”:

- nr 31, 1 sierpnia 1936.
- nr 32, 8 sierpnia 1936.



„The Cleveland Plain Dealer”, 2 listopada 1983.

„The Lima News”, 16 sierpnia 1956.

*Nadzieje i rozczarowania – polscy sportowcy na XI Nowożytnych Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku – analiza przypadków*, „Koło Historii” nr 18, Lublin 2016.

*Sport i Wychowanie Fizyczne*. Dodatek do miesięcznika „Polacy za Granicą” nr 5, maj 1932.

*W obleżonym Budapeszcie. Czyli jak uniknąłem rozstrzelania. Wspomnienia Stanisława Marusarza*, „Przekrój” nr 1512, 31 marca 1974.

## **Strony www**

<https://www.findagrave.com/cgi-bin/fg.cgi?page=pv&GRid=4424&PIpi=80312> [dostęp: marzec 2017].

Tullis Matt, *Who was Stella Walsh? The story of the intersex olympian*, 27 czerwca 2012; <http://www.sbnation.com/longform/2013/6/27/4466724/stella-walsh-profile-intersex-olympian> [dostęp: marzec 2017].

<http://www.rp.pl/artykul/939025-Moj-dziadek-z-Goralenvolk.html> [dostęp: marzec 2017]

<http://www.zapisyterroru.pl> [dostęp: styczeń 2017].

Tannenbaum Rob, *The life and murder of Stella Walsh, Intersex Olympic Champion* Longreads, sierpień 2016, <https://longreads.com/2016/08/18/the-life-and-murder-of-stella-walsh-intersex-olympic-champion> [dostęp: kwiecień 2017].

*Spod Wawelu na Olimpijski stadion. Wspomnienia Józefa Kotlarczyka*, opracowanie: [historiawisly.pl](http://historiawisly.pl) [dostęp: kwiecień 2017].

## **Inne**

Instytut Pamięci Narodowej. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie. Prokurator Marek Rabeiga.

*Komisja lekarska obozu przejściowego w Pruszkowie w czasie powstania warszawskiego*, „Archiwum Historii Medycyny” 1968, t. XXXI.

Kulik Zbigniew, *Olimpijczyk Stanisław Maruszak w Karpaczu*, w: „Studia i materiały”, tom VII, 1994.

„Narciarstwo Polskie. Roczniki Polskiego Towarzystwa Narciarskiego”, t. 2, Kraków 1927.

Odpowiedź Komendy Stołecznej Policji na zapytanie o losy śledztwa ws. wzmiankowanej kradzieży; archiwum autora.

Pracownia Naukowa CAW Wojskowego Biura, Teczka Wacława Kuchara, AP 12890.

*Rocznik oficerski rezerw*, Ministerstwo Spraw Wojskowych, Warszawa 1934.

Szczepański Jakub, *Nie bała się lawin i Niemców*, „Nasza Historia” nr 1, styczeń 2017.

Uścińska Agnieszka, *Tenis w Peerelu*, „Karta” nr 53, 2007.

Uzasadnienie Postanowienia o umorzeniu śledztwa z grudnia 2016 roku, Instytut Pamięci Narodowej.

Wajs-Marcinkiewiczowa Jadwiga, *Stella*, ręcznie zapisane wspomnienia, ze zbiorów Muzeum Sportu i Turystyki, arch. nr 2371.

## **Archiwa**

### **dot. Janusza Kusocińskiego**

Charakterystyka ogólna Organizacji Wojskowej „Wilki”, IPN 002 231/276.

„Od palanta do olimpiady” ze zbiorów Muzeum Sportu i Turystyki.

Oświadczenie Józefa Stanisława Ryłskiego dotyczące wstąpienia J. Kusocińskiego do Organizacji Wojskowej „Wilki” w 1939 roku

i aresztowania przez gestapo 28 marca 1940,  
Warszawa 13 grudnia 1976, czytelnia  
Muzeum Sportu i Turystyki.

Pismo do kierownictwa produkcji filmu „Ostatnie  
okrążenie” od nauczyciela wychowania  
fizycznego p. Zagalskiego, Siedlce, 19 listopada  
1976, MSiT.

Wniosek o uznanie Janusza Kusocińskiego za  
zmarłego i stwierdzenie zgonu, 22 listopada  
1945, czytelnia MSiT.

### **dot. Haliny Konopackiej**

Wystąpienie Haliny Konopackiej w Klubie  
Olimpijczyka, MSiT nr 467B/4.

### **Opracowania i inne książki**

Ałaszewski Edward, Tomaszewski Bohdan, *Sławy  
sportu w karykaturze i wspomnieniu*,  
Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa  
1973.

Bartelski Lesław M., *Janusz Kusociński*,  
Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa  
1979.

Blauth Krzysztof, *Laur i karabin*, Wydawnictwo  
Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa  
1989.

- Bryl Jacek, *Wacław Kuchar*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1982.
- Coughlin Dan, *Crazy With the Papers to Prove it; Stories About the Most Unusual, Eccentric and Outlandish People I've Known in 45 Years as a Sports Journalist*, Gray & Company, Cleveland 2010.
- Dubicki Tadeusz, Suchcitz Andrzej, *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, t. 1–2, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2009–2011.
- Filar Alfons, *Opowieści tatrzańskich kurierów*, Wydawnictwo Książka i Wiedza, Warszawa 1970.
- Filar Alfons, *Śladami tatrzańskich kurierów*, Wydawnictwo Książka i Wiedza, Warszawa 1995.
- Filar Alfons, Leyko Michał, *Laury na śniegu. Opowieść o Bronisławie Czechu i Helenie Marusarzównie*, wyd. III, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1982.
- Gawkowski Robert, Braciszewski Jakub, Laskowski Krzysztof, *Historia polskiej piłki nożnej*, Wydawnictwo SBM, Warszawa 2016.
- Górski Kazimierz, *Pół wieku z piłką*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1985.

Hałys Józef, *Polska piłka nożna*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1977.

*Historia piłkarstwa warszawskiego. Futbol w stolicy 1921–1986*, Wydanie jubileuszowe, WOZPN, Warszawa 1987.

*Iskier przewodnik sportowy*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1976.

Jędrzejowska Jadwiga, *Urodziłam się na korcie*, oprac. Kazimierz Gryżewski, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1955.

Jung Rafał, *Wymiar polityczny i aspekty organizacyjne udziału polskich piłkarzy na Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie (1936)*, „Kultura Fizyczna”, t. 16, nr 1, 2017.

Kliszewicz Leonidas A.B., *Placówki wojskowej łączności kraju z centralą w Londynie podczas II wojny światowej*, t. 1, Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa–Londyn 1998.

Kliszewicz Leonidas A.B., *Placówki wojskowej łączności kraju z centralą w Londynie podczas II wojny światowej*, t. 3, Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa–Londyn 1999.

Kliszewicz Leonidas A.B., *Placówki wojskowej łączności kraju z centralą w Londynie podczas II wojny światowej*, t. 6, Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa–Londyn 2002.

- Konopacka Halina, *Wznosiłam świat miłością*, Wydawnictwo Heliodor, Warszawa 1994.
- Kontrwywiad II RP (1914) 1918–1945 (1948)*, t. 1, pod red. Zbigniewa Nawrockiego, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Centralny Ośrodek Szkolenia, Warszawa 2015.
- Koper Sławomir, *Królowe salonów II RP*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2015.
- Kosiński Mariusz, *Charakterystyka i ocena działalności Jerzego Iwanowa-Szajnowicza*, Warszawa 1989, IPN BU 00231/3045.
- Kukulski Janusz, *Światowa piłka nożna*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1979.
- Kusociński Janusz, *Od palanta do olimpiady i w kilka lat później*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1957.
- Landowski Henryk, *Jeden przeciwko Niemcom*, War Relief Service, Nathional Catholic Welfare Conference, Italy 1946.
- Lipoński Wojciech, *Sport. Literatura. Sztuka*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1974.
- Łukomski Grzegorz, *Polityczna przestrzeń polskości w XX w.*, Wydawnictwo Naukowe SILVA RERUM, Poznań–Londyn 2013.

- Marusarz Stanisław, *Na skoczniach Polski i świata*, oprac. Zbigniew K. Rogowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955.
- Marusarz Stanisław, *Na skoczniach Polski i świata*, oprac. Zbigniew K. Rogowski, wyd. II, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1974.
- Marusarz Stanisław, *Skok, który uratował mi życie*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1974.
- Muszałówna Kazimiera, *Zimowi Olimpijczycy 1936*, Warszawa 1936.
- Osterloff Wiesław Konrad, *Historia sportu*, Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1976.
- Pepłoński Andrzej, *Wywiad Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1939–1945*, Agencja Wydawnicza Jerzy Mostowski, Warszawa 1995.
- Pepłoński Andrzej, *Współdziałanie Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza z Secret Intelligence Service w okresie II wojny światowej*, „Słupskie Studia Historyczne” nr 10, 2003.
- Poczet polskich olimpijczyków 1924–1984*, pod red. Krystyny Dajbor, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1984.



Polmar Norman, Allen Thomas B., *Księga szpiegów*, przeł. Krzysztof Obłucki i in., Wydawnictwo Magnum, Warszawa 1997.

*Polsko-brytyjska współpraca wywiadowcza podczas II wojny światowej*, praca zbiorowa, t. 1, Ustalenia Polsko-Brytyjskiej Komisji Historycznej, pod red. Tadeusza Dubickiego, Darii Nałęcz, Tessy Stirling; Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 2005.

*Pół wieku królowej*, pod red. Adama Bilika i in, oprac. graf. Jerzy Jaworowski, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1969.

Przymanowscy Maria i Janusz, *Leonarda i jej synowie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Puchalska Joanna, *Polki, które zadziwiły świat*, Muza, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 2016.

Strumph-Wojtkiewicz Stanisław, *Agent nr 1*.

Szatkowski Wojciech, *Od Marusarza do Małysza. Polscy skoczkowie 1924–2002*, Wydawnictwo Fall, Zakopane 2002.

Szczepłek Stefan, *Polska! Biało-czerwoni!*, Polityka Spółdzielnia Pracy, Warszawa 2012.

Tomaszewski Bohdan, *Romantyczne mecze*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa

1968.

Tuszyński Bogdan, *Za cenę życia. Sport Polski walczącej 1939–45*, Wydawnictwo Emka, Warszawa 2006.

Tuszyński Bogdan, *Księga sportowców polskich – ofiar II wojny światowej 1939–1945*, Wydawnictwo ARS Print, Warszawa 1999.

Tuszyński Bogdan, *Kusy*, Polskie Wydawnictwo Sportowe „Sprint”, Warszawa 2000.

Tuszyński Bogdan, *Ostatnie okrażenie „Kusego”*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1990.

Tuszyński Bogdan, Kurzyński Henryk, Tuszyńska Agata, *Polscy olimpijczycy XX wieku (1924–2002). A-M*, „Europa”, Wrocław 2004.

Walters Guy, *Igrzyska w Berlinie. Jak Hitler ukradł olimpijski sen*, przeł. Norbert Radomski, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2008

Wryk Ryszard, *Olimpijczycy Drugiej Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2015.

### **Filmy**

*Dziadek*, film dokumentalny o Stanisławie Marusarzu, reż. Janusz Leszczyk-Zielonacki, 1979.

*Stella Walsh. A Documentary*, reż. Rob Lucas, 2015.

## **Audycje radiowe**

Polskie Radio 1, audycja „Rok olimpijski”, 12 maja 1966, prowadzenie: Jerzy Janicki i Andrzej Kudelski.

Polskie Radio 1, Księga olimpijskich wspomnień. Cz. 4, 26 czerwca 1972; prowadzenie: Jan Lis i Bogdan Tuszyński.

<http://www.polskieradio.pl/13/3707/Audio/642068,Ksiega-olimpijskich-wspomnien-cz4>  
[dostęp: kwiecień 2017].

# SPIS ILUSTRACJI

- [1] Wacław Kuchar jako piłkarz klubu Pogoń Lwów, lata trzydzieste, fot. Cz. Datka/NAC
- [2] Reprezentacja Polski w piłce nożnej na Letnich Igrzyskach Olimpijskich, Paryż, 1924 rok, fot. NAC
- [3] Mecz piłki nożnej Polska–Szwecja w Katowicach, 1 lipca 1928 roku, fot. NAC
- [4] Kuchar w reprezentacji hokejowej Lwowa w Krakowie, styczeń 1932 roku, fot. NAC
- [5] Kuchar jako sędzia w czasie losowania boiska przed meczem piłki nożnej Wisła Kraków–Cracovia, Kraków, 1 maja 1938 roku, fot. NAC
- [6] Pożegnanie Kuchara „Profesora” przez seniorów Polonii Warszawa i LKS Pogoń Lwów, lata siedemdziesiąte, fot. E. Warmiński/East News
- [7] Halina Konopacka w swoim mieszkaniu w Warszawie z pucharem za najlepszy wynik sportowy w 1928 roku, fot. NAC
- [8] Halina Konopacka, fotografia z 1936 roku, fot. NAC

- [9, 10, 11, 12] Konopacka w czasie ćwiczeń i zawodów w latach 1926–1930, fot. NAC
- [13] Konopacka przed mikrofonem Polskiego Radia, sierpień 1930 roku, fot. NAC
- [14] Sztafeta AZS 4 × 200 metrów, która ustanowiła nowy rekord Polski 1.52.2, lipiec 1931 roku, fot. L. Jarumski/NAC
- [15] Konopacka z mężem Ignacym Matuszewskim, Warszawa 16 listopada 1930 roku, fot. NAC
- [16] Konopacka na okładce magazynu sportowego „Start”, fot. Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa
- [17] Konopacka na bankiecie z markizem Melchiorem de Polignac w czasie obrad MKOl w Oslo, 1935 rok, fot. Ullstein Bild/Getty Images
- [18] Konopacka z wizytą w kraju, 1958 rok, fot. CAF/PAP
- [19] Janusz Kusociński z nagrodą główną 10. biegu okrężnego o puchar „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” w Krakowie, maj 1931 roku, fot. NAC
- [20] Kusociński na Międzynarodowych Zawodach Lekkoatletycznych w Antwerpii, 1931 rok, fot. NAC
- [21] Letnie Igrzyska Olimpijskie w Los Angeles, bieg na 10 000 metrów, 1932 rok, fot. NAC
- [22] Kusociński i Fin Volmari Iso-Hollo w biegu na 2 mile angielskie, zawody lekkoatletyczne zorganizowane przez klub Warszawianka na stadionie Legii, 15 października 1932 roku, fot. J. Binek/NAC

- [23] Kusociński i Volmari Iso-Hollo w Warszawie, 15 października 1932 roku, fot. NAC
- [24] Kusociński i Jadwiga Wajsówna w czasie Letnich Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles, 1932 rok, fot. NAC
- [25] Lekkoatleci Zygmunt Heljasz i Janusz Kusociński w Londynie, 1934 rok, fot. NAC
- [26] Kusociński w czasie biegu sztafetowego, 1937 rok, fot. L. Jarumski/NAC
- [27] Kusociński ze swoim psem, luty 1938 roku, fot. NAC
- [28] Stanisława Walasiewiczówna, fotografia z 1933 roku, fot. NAC
- [29] Walasiewiczówna w trakcie przygotowań do Letnich Igrzysk Olimpijskich w Berlinie, lipiec 1936 roku, fot. NAC
- [30, 31, 32, 33] Walasiewiczówna w czasie ćwiczeń i zawodów w latach 1930–1936, fot. NAC
- [34] Walasiewiczówna z nagrodami, które zdobyła podczas pobytu w USA, fotografia z 1933 roku, fot. NAC
- [35] Walasiewiczówna z Wielką Honorową Nagrodą Sportową w Państwowym Urzędzie Wychowania Fizycznego w Warszawie, 17 marca 1933 roku, fot. NAC
- [36] Walasiewiczówna w czasie wręczania Wielkiej Honorowej Nagrody Sportowej w Warszawie, 21 czerwca 1934 roku, fot. NAC
- [37] Walasiewiczówna jako zawodniczka Legii w czasie II Mistrzostw Polski w Lekkoatletyce w Krakowie,

- wrzesień 1946 roku, fot. Jerzy Baranowski/PAP
- [38] Irena Szewińska, Stanisława Walasiewiczówna i Maria Kwaśniewska, Spała, 1977 rok, fot. J. Szewiński/Reporter/East News
- [39] Stanisław Marusarz, fotografia z lat trzydziestych, fot. NAC
- [40] Stanisław Marusarz, Piotr Kolesar i Izydor Gąsienica-Łuszczek smarują narty przed skokami na Międzynarodowych Narciarskich Mistrzostwach Polski w Zakopanem, 1932 rok, fot. NAC
- [41] Marusarz w rekordowym skoku na odległość 74 m z Wielkiej Skoczni na Krokwi w Zakopanem, luty 1934 roku, fot. NAC
- [42] Stanisław Marusarz i Bronisław Czech na Międzynarodowych Zawodach Narciarskich w Garmisch-Partenkirchen, 1935 rok, fot. NAC
- [43] Przed konkursem w trakcie Międzynarodowych Zawodów Narciarskich o Mistrzostwo Polski na Wielkiej Skoczni, Zakopane, luty 1935 roku, fot. NAC
- [44] Marusarz jako zwycięzca XXIII Mistrzostw Narciarskich Polski na skoczni Orlinek w Karpaczu, 22 lutego 1948 roku, fot. CAF/PAP
- [45] Stanisław Marusarz i Wojciech Fortuna oglądają medal olimpijski zdobyty przez Fortunę w konkursie skoków na XI Zimowych Igrzyskach Olimpijskich

w Sapporo, luty 1972 roku, fot. Wacław Kłag/REPORTER/East News

- [46] Jadwiga Jędrzejowska, fotografia z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe
- [47] Jędrzejowska z pucharem Międzynarodowego Turnieju Tenisa Ziemnego na kortach Dulwich w Londynie, marzec 1933 roku, fot. NAC
- [48] Jędrzejowska w trakcie gry turniejowej Wielkiego Szlema na kortach Wimbledonu, czerwiec 1932 roku, fot. NAC
- [49] Jędrzejowska i król Szwecji Gustav V, 1936 rok, fot. NAC
- [50] Jędrzejowska na stacji Waterloo w drodze do USA na Międzynarodowy Turniej Tenisa Ziemnego, lipiec 1937 roku, fot. NAC
- [51] Jędrzejowska w towarzystwie amerykańskich tenisistów Parker i Robertso na pokładzie statku, lipiec 1937 roku, fot. NAC
- [52] Amerykańscy aktorzy Fred MacMurray, Jack Denny i Carole Lombard składają autografy na gipsie Jędrzejowskiej, kontuzjowanej podczas turnieju tenisowego, październik 1937 roku, fot. NAC
- [53] Jędrzejowska z amerykańskimi tenisistkami Sarah Palfrey Fabyan, Alice Marble i Francuzką Simone Mathieu na Międzynarodowych Mistrzostwach Tenisa



- w Deblu na kortach Chestnut Hill, 27 sierpnia 1938 roku, fot. AFP/EAST NEWS
- [54] Jędrzejowska w zaciętej grze Wielkiego Szlema na kortach Wimbledonu, czerwiec 1939 roku, fot. NAC
- [55] Jędrzejowska na korcie, 1950 rok, fot. CAF/PAP
- [56] Jerzy Szajnowicz-Iwanow w grupie piłkarzy wodnych, lata trzydzieste
- [57] Grupowa fotografia polskich piłkarzy wodnych, grudzień 1937 roku, fot. NAC
- [58] Trener pływacki Howard Stepp przybywa do Polski; po zejściu z pokładu M/S „Batory” wita go delegat Polskiego Związku Pływackiego Lenert, Gdynia, 1939 rok, fot. A. Górniak/NAC
- [59] Okładka czasopisma „Sport Wodny”, lipiec 1938 roku
- [60] Ernest Wilimowski jako piłkarz klubu sportowego Ruch Hajduki Wielkie, 1936 rok, fot. NAC
- [61] Wilimowski strzela bramkę w trakcie meczu Ruch Hajduki Wielkie–Dąb Katowice w Hajdukach Wielkich, październik 1936 roku, fot. Cz. Datka/NAC
- [62] Wilimowski w czasie meczu piłki nożnej Śląsk Świętochłowice–Ruch Hajduki Wielkie w Świętochłowicach, 3 maja 1935 roku, fot. NAC
- [63] Pierwotny skład olimpijskiej drużyny piłkarskiej na igrzyska olimpijskie w Berlinie, 1936 rok, fot. Cz. Datka/NAC

- [64] „Ezi” jako reprezentant Śląska w czasie meczu hokejowego Śląsk–Kraków w Katowicach, grudzień 1937 roku, fot. Cz. Datka/NAC
- [65] Wilimowski w roli sędziego meczu dziennikarze kontra działacze sportowi w czasie Wielkiej Rewii Asów Sportu, czerwiec 1939 roku, fot. NAC
- [66] Piłkarze narodowej reprezentacji Niemiec na meczu między Niemcami a Rumunią w Bytomiu, 16 sierpnia 1942 roku, fot. Schirner Sportfoto/Picture Alliance/PAP
- [67] Maria Kwaśniewska na meczu lekkoatletycznym kobiet Niemcy–Polska w Dreźnie, sierpień 1935 roku, fot. NAC
- [68] Maria Kwaśniewska, fotografia z 1935 roku, fot. NAC
- [69] Polskie lekkoatletki po przyjeździe do Poznania na mecz lekkoatletyczny kobiet Polska–Japonia, sierpień 1934 roku, fot. NAC
- [70] Wajsówna i Kwaśniewska na lekkoatletycznych mistrzostwach Polski w konkurencji kobiet w Krakowie, lipiec 1935 roku, fot. NAC
- [71] Walasiewiczówna i Kwaśniewska w trakcie meczu lekkoatletycznego Górny Śląsk–Śląsk Opolski w Katowicach, wrzesień 1935 roku, fot. Cz. Datka/NAC
- [72] Kwaśniewska w skoku w dal w pięcioboju kobiecym na IV Światowych Igrzyskach Kobiet w Londynie, sierpień 1934 roku, fot. NAC

- [73] Kwaśniewska jako brązowa medalistka i dwie zawodniczki niemieckie z Adolfem Hitlerem na igrzyskach olimpijskich w Berlinie, 2 sierpnia 1936 roku, fot. AFP PHOTO/East News
- [74, 75] Kwaśniewska w trakcie rzutu oszczepem, 1939 rok, fot. NAC
- [76] Kwaśniewska w trakcie kwalifikacji do mistrzostw Europy w lekkoatletyce w Oslo na stadionie Wojskowego Klubu Sportowego Legia, 6 lipca 1946 roku, fot. Jerzy Baranowski/CAF/PAP

# PRZYPISY

## Rozdział I. OJCIEC SPORTU – Waław Kuchar

- [1] J. Bryl, *Waław Kuchar*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1982, s. 42.
- [2] *Sport i Wychowanie Fizyczne*. Dodatek do miesięcznika „Polacy za Granicą” nr 5, maj 1932. Pisownia wszystkich cytatów w tekście oryginalna.
- [3] Ludwik Kuchar (1865–1917) – polski przedsiębiorca, działacz sportowy, filantrop. Sponsor i członek zarządu Pogoni Lwów, pośmiertnie – wraz z żoną – odznaczony tytułem honorowego członka Pogoni Lwów. Ojciec wybitnych sportowców i działaczy sportowych. Tadeusz Kuchar (1891–1966) – polski inżynier, lekkoatleta, piłkarz, pływak, łyżwiarz, narciarz, działacz sportowy, prezes PZLA i PZPN, współtwórca Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Władysław Kuchar (1895–1983) – polski

inżynier, sportowiec, działacz sportowy. Z powodzeniem uprawiał łyżwiarstwo figurowe i tenis (w 1925 roku reprezentant Polski w Pucharze Davisa). Pozostali synowie Ludwika to Mieczysław (bramkarz Pogoni) oraz Zygmunt i Karol (grał w ataku Pogoni).

- [4] We wszystkich dokumentach znajdujących się w Pracowni Naukowej CAW Wojskowego Biura Historycznego podawana jest data 16 czerwca 1897 roku, patrz Teczka AP 12890.
- [5] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 21.
- [6] Eugeniusz Piasecki (1872–1947) – pierwszy prezes Pogoni Lwów, lekarz i teoretyk wychowania fizycznego. Stał na czele utworzonego we Lwowie Polskiego Związku Sportowego, powołanego do życia w 1909 roku.
- [7] Henryk Jordan (1842–1907) – profesor wychowania fizycznego, pomysłodawca parków zabaw dla dzieci i młodzieży (ogródków jordanowskich), które służyć miały popularyzacji sportu i aktywności fizycznej, w tym rozgrywek futbolowych.
- [8] *Sport i Wychowanie Fizyczne*, nr 5, maj 1932.
- [9] Adam Nechay (Nechay von Felseis) (1899–1974) – dziennikarz, publicysta; na stałe współpracował z „Gazetą Poranną”. Pracował w redakcji „Wieku Nowego”, korespondent „Dziennika Poznańskiego”. Pisywał artykuły polityczne, a także felietony z życia codziennego o zacięciu satyrycznym, zajmował się też

sportem, zwłaszcza piłką nożną – współpracował dorywczo z czasopismem „Sport” we Lwowie.

[10] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 1, 17 marca 1922.

[11] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 20; z kolei dr Gawkowski w *Historii polskiej piłki nożnej* pisze, że początków Pogoni należy upatrywać w 1904 roku – był to Klub Gimnastyczno-Sportowy, patrz R. Gawkowski, J. Braciszewski, K. Laskowski, *Historia polskiej piłki nożnej*, Wydawnictwo SBM, Warszawa 2016, s. 30.

[12] Lwowski Klub Piłki Nożnej „Sława” powstał w 1903 roku, następnie przemianowany na Lwowski Klub Sportowy „Czarni”. Był to najstarszy klub piłkarski w Polsce.

[13] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 36.

[14] Tamże, s. 43.

[15] Karol Rómmel (1888–1967) – podpułkownik kawalerii Wojska Polskiego, jeździec, trzykrotny olimpijczyk.

[16] Teczka Wacława Kuchara AP 12890, CAW Wojskowe Biuro Historyczne.

[17] Ocena w Pracowni Naukowej CAW Wojskowego Biura Historycznego. Teczka AP 12890.

[18] Tamże.

[19] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 1, 17 marca 1922.

[20] Tamże.

[21] Protoplastą PZPN był założony w Galicji w 1911 roku, jako autonomiczna część Austriackiego Związku

Futbolowego, Związek Polski Piłki Nożnej (ZPPN).  
*Historia polskiej piłki*, s. 35.

[22] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 89.

[23] „Przegląd Sportowy” nr 19, 24 września 1921.

[24] Józef Daniel Garbień (1896–1954) – polski piłkarz, lekarz, doktor nauk medycznych, kapitan rezerwy służby zdrowia Wojska Polskiego. W Pogoni zwany „tankiem”.

[25] Emerich (Imre) Pozsonyi (1880–1932) – węgierski piłkarz i trener. Zawodnik klubów MVE i MTK Budapeszt (kapitan). Występował na pozycji środkowego napastnika. Trenował budapeszteński MTK. Od 1921 roku był szkoleniowcem Cracovii, z którą zdobył w tym samym roku pierwszy w historii polskich rozgrywek ligowych tytuł mistrza Polski. Trener reprezentacji Polski, wyselekcjonował drużynę polską na mecz z Węgrami w 1921 roku.

[26] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 113; František Koželuh (1885–1946) – jako zawodnik DFC Praga przybył do Krakowa w 1911 roku. W tym samym roku podjął pracę na stanowisku szkoleniowca Cracovii, w której zatrudniony był jako trener aż trzy razy. W 1928 roku prowadził zespół warszawskiej Polonii, a rok później – przez kilka miesięcy – krakowskiej Wisły. Najwięcej sukcesów przyniósł mu jednak tenis – był trenerem między innymi prezydenta Busha seniora.

- [27] „Przegląd Sportowy” nr 19, 24 września 1921.
- [28] „Przegląd Sportowy” nr 25, 5 listopada 1921.
- [29] Józef Kałuża (1896–1944) – wybitny piłkarz Cracovii, reprezentacji Polski, potem dziennikarz i korespondent (między innymi tygodnika „Raz, Dwa, Trzy”), następnie kapitan związkowy PZPN (selekcjoner).
- [30] „Przegląd Sportowy” nr 25, 5 listopada 1921.
- [31] Tadeusz Synowiec (1889–1960) – polski piłkarz, grający jako pomocnik oraz napastnik, zawodnik Cracovii, trener piłkarski, dziennikarz sportowy.
- [32] Mieczysław Józef Batsch (1900–1977) – polski piłkarz, olimpijczyk, inżynier mechanik, absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej, w latach 1916–1929 grał we lwowskiej Pogoni.
- [33] „Przegląd Sportowy” nr 32, 24 grudnia 1921.
- [34] Tamże.
- [35] Tamże.
- [36] Tamże.
- [37] „Sport-Tagblatt” – wiedeński dziennik wydawany w latach 1921–1938.
- [38] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 2, 31 marca 1922.
- [39] Gabriel Sibley „Sid” Kimpton, znany też jako George Kimpton (1887–1968) – angielski piłkarz związany z Southampton, trener między innymi warszawskiej Polonii (1921–1922) i Cracovii (1923); Imre Schlosser



(1889–1959) – węgierski piłkarz i trener między innymi w Wiśle Kraków (1924–1925).

[40] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 126.

[41] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 17, 7 lipca 1922.

[42] Rudolf Wacek (1883–1956) – nauczyciel, działacz sportowy i dziennikarz sportowy, pisarz i publicysta.

[43] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 17, 7 lipca 1922.

[44] Tamże.

[45] Tamże.

[46] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 23, 18 sierpnia 1922.

[47] Tamże.

[48] W 1924 roku nie rozgrywano turnieju o mistrzostwo Polski, ponieważ był to rok olimpijski.

[49] J. Bryl, *Wacław Kuchar*, s. 178.

[50] Stefan Adamczak (1892–1939) – polski lekkoatleta, tyczkarz i wieloboista. Olimpijczyk i wielokrotny mistrz Polski. W 1939 roku zaginął bez wieści.

[51] „Stadjon” nr 4, 23 maja 1923.

[52] *Iskier przewodnik sportowy*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1976, s. 254. Charles Hoff (1902–1985) – norweski lekkoatleta, trener, dziennikarz i działacz sportowy.

[53] „Stadjon” nr 4, 23 maja 1923.

[54] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 75, 20 listopada 1923.

[55] „L’Auto” – największy francuski dziennik sportowy, wydawany od 1900 roku (od 1903 roku jako „L’Auto”);

od 1946 roku ukazuje się pod nazwą „L'Équipe”.

- [56] „Stadjon” nr 24, 12 czerwca 1924.
- [57] „Stadjon” nr 23, 5 czerwca 1924.
- [58] „Sport. Tygodnik Ilustrowany” nr 23, 5 czerwca 1924.
- [59] Antoni Cejzik (1900–1939) – wielokrotny medalista mistrzostw Polski w wieloboju.
- [60] „Stadjon” nr 45, 6 listopada 1924.
- [61] Olimpiada Zimowa w Chamonix, zwana Tygodniem Sportów Zimowych, rozpoczęła się 25 stycznia 1924 roku.
- [62] Leon Jucewicz (1902–1984) – lekkoatleta, wicemistrz Polski w biegu na 1500 metrów (1922), wicemistrz Polski w łyżwiarskim biegu na 1500 metrów. W latach 1922 i 1924 był wicemistrzem Polski w łyżwiarskim wieloboju. Podczas pierwszego Festiwalu Sportów Zimowych reprezentował Polskę w łyżwiarskim wieloboju i zajął ostatecznie ósme miejsce. Olimpijczyk z 1924 roku z Chamonix.
- [63] Sukces ten powtórzył dopiero Konrad Niedźwiecki w 2013 (!) roku. Sam Kuchar w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego” mówił: „Barwy Polski reprezentowałem na mistrzostwach Europy w St. Mortiz, zajmując na 16 startujących 6. miejsce”.
- [64] „Przegląd Sportowy” nr 51, 25 grudnia 1926.
- [65] Tamże.

- [66] Wszystkie cytaty za: „Przegląd Sportowy” nr 51, 25 grudnia 1926.
- [67] Lucjan Kulej (1896–1971) – hokeista (obrońca), wioślarz, prawnik, olimpijczyk z Sankt Moritz w 1928 roku. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, powstań śląskich i plebiscytu; w trakcie okupacji prokurator podziemnego Sądu Okręgowego w Warszawie.
- [68] Patrz przypis [6], rozdział V.
- [69] „Gazeta Lwowska” nr 24, 31 stycznia 1939.
- [70] *Rocznik oficerski rezerw*, Ministerstwo Spraw Wojskowych, Warszawa 1934, s. 617 (podana jest zła data urodzenia, zamiast września widnieje czerwiec).
- [71] Dynamo Lwów – piłkarski klub sportowy powstały w 1940 roku. Istnieje do dziś.
- [72] J. Hałys, *Polska piłka nożna*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1977, s. 536.
- [73] Tamże, s. 535.

## Rozdział II. DAMA ZE ZŁOTA – Halina Konopacka

- [1] „Sport Polski” nr 12, 17 listopada 1937.
- [2] H. Konopacka, *Wznosiłam świat miłością*, Wydawnictwo Heliodor, Warszawa 1994, s. 10.
- [3] H. Konopacka, *Kobieta*, w: *Wznosiłam*, s. 11.

- [4] „Stadjon” nr 35, 2 września 1926.
- [5] „Stadjon” nr 36, 9 września 1926.
- [6] Tamże.
- [7] „Przegląd Sportowy” nr 34, 28 sierpnia 1926.
- [8] „Kurjer Warszawski” nr 213, 3 sierpnia 1928.
- [9] „Przegląd Sportowy” nr 34, 28 sierpnia 1926.
- [10] „Kurjer Warszawski” nr 213, 3 sierpnia 1928.
- [11] „Przegląd Sportowy” nr 31, 29 lipca 1928.
- [12] Tamże.
- [13] Tamże.
- [14] Tamże.
- [15] Tamże.
- [16] Lillian Copeland (1904–1964) – amerykańska lekkoatletka, dyskobolka, wicemistrzyni (1928) i mistrzyni olimpijska (1932) w rzucie dyskiem.
- [17] „Stadjon” nr 29, 17 lipca 1928.
- [18] „Stadjon” nr 32, 7 sierpnia 1928.
- [19] „Stadjon” nr 33, 14 sierpnia 1928.
- [20] Panie – zgodnie ze starożytną zasadą olimpijską – miały zakaz wstępu i aktywnego brania udziału w Igrzyskach Olimpijskich. Szlaki uczestniczkom przecierały reprezentantki takich dyscyplin, jak golf (występ pań – w 1900 roku), łucznictwo (1904), tenis ziemny (1900 – ten jednak wycofano jako dyscyplinę olimpijską w 1924; powrócił na olimpiadę w 1988), łyżwiarstwo figurowe (1908) i pływanie (1912).

Lekkoatletyka kobieca po raz pierwszy na olimpiadzie uwzględniona została właśnie w Amsterdamie w 1928 roku.

- [21] „Kurjer Warszawski” nr 213, 3 sierpnia 1928, wydanie wieczorne.
- [22] Wystąpienie Haliny Konopackiej w Klubie Olimpijczyka, MSiT nr 467B/4.
- [23] „Kurjer Warszawski” nr 213, 3 sierpnia 1928, wydanie wieczorne.
- [24] W trakcie rozmowy autorki z dr. Robertem Gawkowskim, marzec 2017.
- [25] *Iskier przewodnik sportowy*, s. 299.
- [26] Jadwiga Wajs (1912–1990) – polska lekkoatletka, oszczepniczka, brązowa medalistka z olimpiady w Los Angeles (1932) i srebrna w Berlinie (1936). Uprawiała wiele dyscyplin.
- [27] „Start” nr 12, wrzesień 1935.
- [28] Tamże.
- [29] „Stadjon” nr 33, 14 sierpnia 1928.
- [30] „Sport Polski” nr 12, 17 października 1937.
- [31] „Stadjon” nr 32, 12 sierpnia 1926.
- [32] „Przegląd Sportowy” nr 45, 13 listopada 1926.
- [33] W stopniu chorążego służył w 10 kompanii 298 pułku piechoty; awansował do stopnia podporucznika, G. Łukomski, *Polityczna przestrzeń polskości w XX w.*, Poznań–Londyn 2013, s. 95.

- [34] W.A. Zbyszewski, *Gawędy o ludziach i czasach przedwojennych*, Warszawa 2000, s. 264.
- [35] Niektórzy historycy podają w wątpliwość jej uczestnictwo w tej misji; W. Rojek, *Odyseja skarbu Rzeczypospolitej. Losy Złota Banku Polskiego 1939–1950*, Kraków 2000, s. 34.
- [36] Henryk Janusz Floyar-Rajchman (1893–1951) – major Wojska Polskiego, wiceminister przemysłu i handlu, poseł na sejm. Wraz z Matuszewskim organizował przewóz złota, a także Fundusz Obrony Narodowej. Pochowany na Powązkach w 2016 roku z Matuszewskim.
- [37] *Powrót*, w: H. Konopacka, *Wznosiłam*, s. 24.
- [38] Wystąpienie Haliny Konopackiej w Klubie Olimpijczyka, MSiT nr 467B/4.

## Rozdział III. Z KRWIĄ W BUTACH – Janusz Kusociński

- [1] „Przegląd Sportowy” nr 61, 30 lipca 1932.
- [2] Oczywiście pierwszą złotą medalistką z Polski była Halina Konopacka; Kusociński wywalczył złoto jako pierwszy mężczyzna.
- [3] Kazimierz Gryżewski (1898–1979) – polski dziennikarz sportowy, najdłużej współpracował z „Przeglądem

Sportowym”, także innymi tytułami; znawca tenisa i boksu; współautor wspomnień Jędrzejowskiej i Kusocińskiego oraz *Pamiętników Feliksa Sztamma*.

- [4] J. Kusociński, *Od palanta do olimpiady i w kilka lat później*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1957. Gryżewski w komentarzu do tego wydania informuje, że niepublikowane części pamiętnika Kusocińskiego zostały dostarczone w 1948 roku przez siostrę mistrza olimpijskiego – Gościcką; Gryżewski zebrał te wspomnienia, uzupełnił fragmenty, których w przekazanych materiałach brakowało, i poprowadził historię sportowca do końca, aż do jego śmierci.
- [5] Tamże, s. 14.
- [6] Tamże, s. 15.
- [7] Tamże, s. 17.
- [8] „Nowiny Codzienne” nr 159, 28 września 1932.
- [9] Tamże.
- [10] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 41.
- [11] Tamże, s. 41.
- [12] Tamże, s. 42.
- [13] Zula Pogorzelska (właśc. Zofia Pogorzelska; 1896 lub 1898–1936) – przedwojenna polska śpiewaczka, aktorka filmowa, teatralna i tancerka kabaretowa.
- [14] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 16.
- [15] Tamże, s. 29.
- [16] Tamże, s. 30.

- [17] Tamże, s. 22.
- [18] *Historia piłkarstwa warszawskiego. Futbol w stolicy 1921–1986*, Wydanie jubileuszowe, WOZPN, Warszawa 1987, s. 182.
- [19] Tamże, s. 23.
- [20] Tamże, s. 24.
- [21] Aleksander Klumberg (1899–1958) – estoński lekkoatleta (oszczep, wielobój), olimpijczyk, trener polskiej kadry lekkoatletycznej.
- [22] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 51.
- [23] Stanisław Petkiewicz (łot. Staņislavs Petkēvičs; 1908–1960) – łotewski i polski lekkoatleta, biegacz długodystansowy, trener. Największy konkurent „Kusego” w Polsce. Zmarł tragicznie w Argentynie.
- [24] Alfred Freyer (1901–1927) – polski lekkoatleta długodystansowiec, ośmiokrotny zdobywca mistrzostwa Polski (5000 metrów, 10 000 metrów, maraton, przełaje); zmarł tragicznie w pożarze, ratując dzieła sztuki z biblioteki pałacu w Dzikowie.
- [25] „Przegląd Sportowy” nr 40, 8 września 1928.
- [26] Tamże.
- [27] „Przegląd Sportowy” nr 45, 6 października 1928.
- [28] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 93.
- [29] Tamże, s. 92.
- [30] Paavo Nurmi (1897–1973) – fiński lekkoatleta, długodystansowiec, multimedalista, multiolimpijczyk



- (dziewięciokrotny mistrz olimpijski), rekordzista świata.
- [31] Patrz rozdział II.
- [32] „Przegląd Sportowy” nr 57, 11 września 1929.
- [33] Bogdan Tuszyński (1932–2017) – polski dziennikarz sportowy, sprawozdawca Polskiego Radia, historyk prasy i sportu. Wybitny znawca Janusza Kusocińskiego, autor wielu książek o tym wybitnym sportowcu.
- [34] Wojciech Trojanowski (1904–1988) – polski lekkoatleta, olimpijczyk z Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie, dziennikarz i sprawozdawca sportowy. Edward Trojanowski (1912–1984) – polski lekkoatleta sprinter, później dziennikarz sportowy, związany między innymi z „Przeglądem Sportowym”.
- [35] B. Tuszyński, *Ostatnie okrążenie „Kusego”*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1990, s. 61.
- [36] „Stadjon” nr 44, 30 października 1930. Jules Ladoumègue (1906–1973) – francuski lekkoatleta, medalista olimpijski i rekordzista świata.
- [37] „Stadjon” nr 39, 25 września 1930.
- [38] Patrz przypis [26], rozdział II.
- [39] Henryk Budziński (1904–1983) – brązowy medalista olimpijski z Los Angeles. Wraz z Janem Krenzem Mikołajczakiem (1907–2002) w wioślarstwie (dwójka ze sternikiem). Razem zdobyli także złoto na mistrzostwach Europy w 1930 roku. Janusz Ślązak (1907–1985), także wioślarz, olimpijczyk z 1932 i 1936

roku, w 1932 roku zdobył srebro w dwójce z Jerzym Braunem (1911–1968), wioślarzem, olimpijczykiem. Zdobyli także brąz w czwórce wraz z Edwardem Kobylińskim (1908–1992), Stanisławem Urbanem (1908–1940, zamordowanym w Katyniu) i Jerzym W. Skolimowskim (1907–1985), sternikiem obu medalowych ekip z Los Angeles (i olimpijczykiem z Amsterdamu i Berlina).

[40] Władysław Dobrowolski, Tadeusz Friedrich, Leszek Lubicz-Nycz, Adam Papée, Władysław Segda, Marian Suski – szermierka, szabla drużynowo, na igrzyskach w Los Angeles zdobyli brąz.

[41] Zygmunt Heljasz (1908–1963) – rekordzista w pchnięciu kulą, rzucał także dyskiem i młotem; olimpijczyk z Los Angeles, skreślony z listy olimpijczyków 1936 roku. W latach okupacji (1939–1945) był więźniem obozów koncentracyjnych w Gross-Rosen i Sachsenhausen; po wojnie trener. Przyjaciel Kusocińskiego.

[42] Felicja Schabińska (1909–1996) – sprinterka i płotkarka, na olimpiadzie w Los Angeles reprezentantka Polski.

[43] „Nowiny Codzienne” nr 4, 30 czerwca 1932.

[44] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 240.

[45] „Przegląd Sportowy” nr 59, 23 lipca 1932.

- [46] Stanisław Brochwicz von Brauchitsch (1910–1941) – dziennikarz sportowy, agent Abwehry, zlikwidowany przez ZWZ w marcu 1941 roku.
- [47] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 243.
- [48] Tamże, s. 246.
- [49] Tamże.
- [50] „Przegląd Sportowy” nr 62, 3 sierpnia 1932.
- [51] „Przegląd Sportowy” nr 61, 30 lipca 1932.
- [52] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 257.
- [53] Volmari Iso-Hollo (1907–1969) – fiński lekkoatleta, długodystansowiec, olimpijczyk w 1932 roku pokonany przez Kusocińskiego w biegu na 10 000 metrów (złoto na 3000 metrów w Los Angeles oraz w Berlinie w 1936).
- [54] „Przegląd Sportowy” nr 61, 30 lipca 1932.
- [55] „Przegląd Sportowy” nr 62, 3 sierpnia 1932.
- [56] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 263.
- [57] „Przegląd Sportowy” nr 62, 3 sierpnia 1932. Lauri Johannes Virtanen (1904–1982) – fiński lekkoatleta, biegacz długodystansowy, dwukrotny brązowy medalista olimpijski z Los Angeles z 1932; Max Syring (1908–1983) – niemiecki lekkoatleta, długodystansowiec, medalista mistrzostw Europy w 1938 z Paryża, olimpijczyk.
- [58] „Przegląd Sportowy” nr 63, 6 sierpnia 1932.
- [59] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 272.
- [60] „Przegląd Sportowy” nr 63, 6 sierpnia 1932.

- [61] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 273.
- [62] Tamże, s. 278.
- [63] „Przegląd Sportowy” nr 67, 20 sierpnia 1932.
- [64] Adolf Dymśa (1900–1975) – polski aktor kabaretowy i filmowy. W trakcie wojny występował w teatrach mimo zakazu ZASP, po wojnie ukarany przez sąd koleżeński. Przyjaciel Kusocińskiego.
- [65] „The Chicago Daily News” – dziennik chicagowski, wydawany w latach 1876–1978.
- [66] *Pół wieku królowej*, pod red. A. Bilika i in., oprac. graf. J. Jaworowski, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1969, s. 41.
- [67] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 326.
- [68] Ilmari Salminen (1902–1986) – fiński długodystansowiec, mistrz olimpijski z Berlina (1936), dwukrotny mistrz Europy na 10 kilometrów.
- [69] Roger Rochard (1913–1993) – francuski lekkoatleta, mistrz Europy z Turynu (1934) na 10 kilometrów.
- [70] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 352.
- [71] Lauri Lehtinen (1908–1973) – fiński długodystansowiec, mistrz olimpijski (1932 na 5000 metrów) i wicemistrz olimpijski z Berlina (na tym samym dystansie).
- [72] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 369.
- [73] Dziś Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie; powołana w 1929 roku jako

Centralny Instytut Wychowania Fizycznego.

- [74] Eugeniusz Lokajski (1908–1944) – polski lekkoatleta, olimpijczyk, w czasie wojny porucznik AK i uczestnik powstania warszawskiego.
- [75] Aleksander Szenajch (1904–1987) – polski lekkoatleta i piłkarz, olimpijczyk, dziennikarz sportowy. Wielokrotny mistrz Polski w biegach; zawodnik (głównie) Warszawianki.
- [76] *Pół wieku*, s. 48.
- [77] Józef Noji (1909–1943) – lekkoatleta, średnio i długodystansowiec, dwunastokrotny mistrz Polski w biegach na różnych dystansach; zastrzelony w obozie koncentracyjnym w Auschwitz.
- [78] „Przegląd Sportowy” nr 41, 4 maja 1935.
- [79] Tamże.
- [80] Tamże.
- [81] Loda Halama (1911–1996) – polska tancerka, aktorka, choreografka, primabalerina Teatru Wielkiego w Warszawie; Tola Mankiewiczówna (1900–1985) – polska aktorka, piosenkarka oraz śpiewaczka operowa i operetkowa, jedna z najpopularniejszych aktorek i piosenkarek dwudziestolecia międzywojennego; Maria Malicka (1900–1992) – polska aktorka teatralna i filmowa, w czasie wojny występowała w kolaboracyjnym Teatrze Komedia, ukarana przez sąd koleżeński; Eugeniusz Bodo, właśc. Bohdan Eugène

Junod (1899–1943) – polski aktor filmowy, rewiowy i teatralny, syn Polki i Szwajcara, reżyser, scenarzysta, tancerz, piosenkarz i producent filmowy, zmarł z wycieńczenia i głodu w radzickim łagrze w Kotłasie; Stefan Hnydziński (1901–1939) – aktor filmowy i teatralny, zmarł w pierwszych dniach okupacji, po zbombardowaniu Teatru Narodowego.

[82] Jeremiaś T. Mahoney (1878–1970) – amerykański sędzia i przewodniczący Związku Lekkoatletycznego, aktywnie sprzeciwiał się udziałowi sportowców w olimpiadzie w Berlinie; Theodor Lewald (1860–1947) – przewodniczący MKOl; prezes Komitetu Olimpijskiego, przygotowującego igrzyska w Berlinie.

[83] G. Walters, *Igrzyska w Berlinie. Jak Hitler ukradł olimpijski sen*, przeł. N. Radomski, Wydawnictwo Rebis, Poznań 2008, s. 70.

[84] Patrz rozdział II.

[85] *Nadzieje i rozczarowania – polscy sportowcy na XI Nowożytnych Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku – analiza przypadków*, „Koło Historii” nr 18, Lublin 2016, s. 167.

[86] Jesse Owens (1913–1980) – amerykański lekkoatleta, czterokrotny mistrz olimpijski z Berlina (1936) (100 metrów i 200 metrów, skok w dal, 4 × 100 metrów). Wielokrotny rekordzista świata.

[87] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 406.

- [88] *Pół wieku*, s. 45.
- [89] Ignacy Tłoczyński (1911–2000) – tenisista, pięciokrotny mistrz Polski w grze pojedynczej, ćwierćfinalista wielkoszlemowych mistrzostw Francji, reprezentant w Pucharze Davisa. Uczestnik powstania warszawskiego.
- [90] B. Tuszyński, *Ostatnie okrążenie*, s. 297.
- [91] Józef Ryłski Bruckner – porucznik, pilot, nawigator, pseudonim „Wilk”, także „Biernacki”. Stał na czele Organizacji Wojskowej „Wilki”.
- [92] Oświadczenie Józefa Stanisława Ryłskiego dotyczące wstąpienia J. Kusocińskiego do Organizacji Wojskowej „Wilki” w 1939 roku i aresztowania przez Gestapo 28 marca 1940, Warszawa 13 grudnia 1976, czytelnia Muzeum Sportu i Turystyki.
- [93] OW „Wilki” w skład ZWZ–AK nie weszła, IPN 002 231/276, *Charakterystyka ogólna Organizacji Wojskowej „Wilki”*.
- [94] Z uzasadnienia Postanowienia o umorzeniu śledztwa z grudnia 2016 roku, Instytut Pamięci Narodowej. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie. Prokurator Marek Rabiega, s. 6; „Akcja A-B” – Nadzwyczajna Akcja Pacyfikacyjna, ludobójstwo (niem. *Außerordentliche Befriedungsaktion* – AB), którą okupanci niemieccy

przeprowadzili na terytorium Generalnego Gubernatorstwa między majem a lipcem 1940.

[95] Jak wyżej, s. 7.

[96] Datę tę podaje między innymi Tuszyński, B. Tuszyński, *Kusy*, Polskie Wydawnictwo Sportowe „Sprint”, Warszawa 2000, s. 65; znajdziemy ją także w Oświadczeniu Józefa Stanisława Ryłskiego dotyczącym wstąpienia J. Kusocińskiego do OW „Wilki” z 13 grudnia 1976. Wielu autorów jako datę aresztowania „Kusego” podaje 26 marca, tymczasem 29 marca do lokalu przy Sosnowej 3 wchodzi Gestapo. Przebywają tam „Wilk” oraz Roman Kluzowski pseudonim „Halny”. Udało im się zbiec. Por. Romanowski został aresztowany 28 marca.

[97] Szymon Wiktorowicz pseudonim „Szymon” (zm. 1943) – agent Gestapo, członek OW, współpracował z Niemcami już w okresie międzywojnia. Wówczas był oficerem policji. Zastrzelony przez AK w 1943 roku.

[98] B. Tuszyński, *Ostatnie okrążenie*, s. 313.

[99] Tamże, s. 317.

[100] Tamże, s. 318.

[101] *Pół wieku*, s. 50.

[102] Zeznania świadka Mariana Żółkowskiego, [www.zapisyterroru.pl](http://www.zapisyterroru.pl).

[103] B. Tuszyński, *Ostatnie okrążenie*, s. 319.

[104] Tamże, s. 322.



- [105] Pismo do kierownictwa produkcji filmu *Ostatnie okrążenie* od nauczyciela wychowania fizycznego p. Zagalskiego, Siedlce, 19 listopada 1976, MSiT.
- [106] B. Tuszyński, *Ostatnie okrążenie*, s. 324.
- [107] Wniosek o uznanie Janusza Kusocińskiego za zmarłego i stwierdzenie zgonu, 22 listopada 1945, MSiT.
- [108] Z uzasadnienia Postanowienia o umorzeniu śledztwa, s. 10.
- [109] Tamże, s. 16.
- [110] Tamże, s. 84.
- [111] „Dziennik Łódzki” nr 183, 18–20 września 1981.
- [112] Odpowiedź Komendy Stołecznej Policji na zapytanie o losy śledztwa ws. wzmiankowanej kradzieży; archiwum autora.
- [113] L.M. Bartelski, *Janusz Kusociński*, Państwowe Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1979, s. 70.
- [114] „Przegląd Sportowy” nr 3, 7 stycznia 1961.
- [115] „Sportowiec” nr 4, 25 stycznia 1961.
- [116] „Od palanta do olimpiady” ze zbiorów Muzeum Sportu i Turystyki.

## Rozdział IV. PODWÓJNA STASIA – Stanisława Walasiewiczówna

- [1] „Przegląd Sportowy” nr 62, 3 sierpnia 1932; wynik 11,7 nie został wówczas odnotowany jako rekord, Walasiewicz jako najlepszy w 1932 roku zachowała wynik 11,9, uzyskany na olimpiadzie. W 1936 roku poprawiła rekord na 11,7.
- [2] „Przegląd Sportowy” nr 60, 27 lipca 1932.
- [3] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [4] Kazimiera Muszałówna (1902–1980) – jedna z pierwszych polskich dziennikarek sportowych, działaczka sportowa, redaktor naczelna czasopisma „Start” (wydawanego od 1929 do 1936 roku).
- [5] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [6] Tamże.
- [7] Tamże.
- [8] Tamże.
- [9] Mary Pickford (1892–1979) – aktorka amerykańska, gwiazda epoki kina niemego.
- [10] Harry Lloyd (1893–1971) – amerykański aktor komediowy, jeden z założycieli Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej.
- [11] Thomas Edwin Mix (1880–1940) – amerykański gwiazdor z epoki filmu niemego i początków dźwiękowego, znany głównie z licznych ról w westernach. Grywał bez kaskaderów.
- [12] Johnny Weissmuller (1904–1984) – amerykański aktor i sportowiec niemieckiego pochodzenia. Olimpijczyk,

zdobywca pięciu złotych medali w pływaniu i jednego brązowego medalu w piłce wodnej. Odtwórca tytułowej roli Tarzana.

[13] Wszystkie opisy gwiazd cytowane za: „Start” nr 15/16, sierpień 1932.

[14] Patrz przypis [26], rozdział II.

[15] J. Wajs-Marcinkiewiczowa, *Stella*, ręcznie zapisane wspomnienia, ze zbiorów Muzeum Sportu i Turystyki, arch. nr 2371, s. 1–2.

[16] Tamże, s. 3–4.

[17] „Start” nr 14, październik 1935.

[18] „Przegląd Sportowy” nr 62, 3 sierpnia 1932.

[19] Mary Frizell (1913–1972) – kanadyjska sprinterka, olimpijka z Los Angeles, gdzie w sztafecie 4 × 100 metrów zdobyła srebro.

[20] Sumiko Watanabe (1916–2010) – japońska lekkoatletka, olimpijka z Los Angeles.

[21] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.

[22] Hilda Strike (1910–1989) – kanadyjska sprinterka, na olimpiadzie w Los Angeles zdobyła dwa srebra: indywidualnie (na 100 metrów) i w sztafecie.

[23] Wilhelmina von Bremen (1909–1976) – sprinterka amerykańska, złota (w sztafecie) i brązowa (w biegu na 100 metrów) medalistka w Los Angeles.

[24] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.

[25] Tamże.

- [26] Patrz przypis [42], rozdział III.
- [27] „Przegląd Sportowy” nr 65, 13 sierpnia 1932.
- [28] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [29] Helene Mayer (1910 –1952) – niemiecka florecistka pochodzenia żydowskiego, złota medalistka z Los Angeles, srebrna z Berlina.
- [30] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [31] Wszystkie spostrzeżenia cytowane za: „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [32] W Los Angeles kadre kobiecą reprezentowały Wajsówna, Walasiewiczówna i Schabińska.
- [33] „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [34] Babe Didrikson (Mildred Ella „Babe” Didrikson Zaharias, 1911–1956) – amerykańska lekkoatletka, multimedalistka olimpijska, wszechstronna sportsmenka (jeździła na łyżwach, grała też w bejsbol i w golfa, odnosząc sukcesy).
- [35] Ruth Osburn (1912–1994) – srebrna medalistka w rzucie dyskiem z Los Angeles, amerykańska lekkoatletka.
- [36] Wszystkie cytaty za: „Start” nr 15/16, sierpień 1932.
- [37] Zdeňka Koubkva (1913–1986) – czeska lekkoatletka, która w 1936 roku zmieniła płeć.
- [38] J. Kusociński, *Od palanta*, s. 314.
- [39] „Nowiny Codzienne” nr 120, 25 kwietnia 1936.
- [40] J. Wajs-Marcinkiewiczowa, *Stella*, s. 4.

- [41] Tamże.
- [42] George Ward Price (1886–1961) – brytyjski dziennikarz związany z „The Daily Mail”. Po raz pierwszy spotkał Hitlera i najważniejszych polityków III Rzeszy podczas oficjalnej kolacji wydanej przez Hitlera w Berlinie w 1934 roku. Wspierał Führera w jego polityce.
- [43] G. Walters, *Igrzyska*, s. 213.
- [44] Violet Webb (1915–1999) – angielska lekkoatletka, sprinterka, olimpijka (1932, 1936), brązowa medalistka z Los Angeles w sztafecie.
- [45] G. Walters, *Igrzyska*, s. 215.
- [46] „Przegląd Sportowy” nr 69, 3 sierpnia 1936.
- [47] „Światowid” nr 32, 8 sierpnia 1936.
- [48] Helen Stephens (1918–1994) – amerykańska lekkoatletka specjalizująca się w biegach sprinterskich, dwukrotna złota medalistka igrzysk olimpijskich w 1936 w Berlinie (w biegu na 100 metrów oraz w sztafecie 4 × 100 metrów).
- [49] „Światowid” nr 31, 1 sierpnia 1936.
- [50] Marie Dollinger (1910–1994) – niemiecka lekkoatletka, sprinterka i średniodystansowiczka, uczestniczka trzech olimpiad (1928, 1932 i 1936).
- [51] Käthe Krauss (1906–1970) – niemiecka sprinterka, w Berlinie zdobyła brązowy medal.
- [52] „Przegląd Sportowy” nr 66, 6 sierpnia 1936.

- [53] Ostatecznie nie był uznany za rekord, ze względu na sprzyjający wiatr tylny.
- [54] G. Walters, *Igrzyska*, s. 241.
- [55] Berchtesgaden w latach 1934–1945 mieściła rezydencję Adolfa Hitlera – Berghof. Było to miejsce spotkań dyktatora III Rzeszy między innymi z Nevillem Chamberlainem, Józefem Beckiem (Hitler złożył ministrowi polskiemu propozycję włączenia Gdańska do Niemiec oraz przyłączenia się po stronie Rzeszy do wojny z ZSRR); 12 lutego 1938 roku uzgodniono w tej miejscowości przyłączenie Austrii do III Rzeszy (*Anschluss*).
- [56] G. Walters, *Igrzyska*, s. 244.
- [57] Dora Ratjen później Heinrich (także Hermann i Horst) Ratjen (1918–2008) – niemiecka lekkoatletka, z czasem okazało się, że była mężczyzną; Heinrich został zdyskwalifikowany.
- [58] G. Walters, *Igrzyska*, s. 306.
- [59] Tamże, s. 348–349.
- [60] Do autora, który przywołał tę historię na łamach swojej książki, wysłałam zapytanie, czy pamięta, z kim rozmawiał na ten temat i czy według niego jest to informacja prawdziwa. Niestety, nie doczekałam się odpowiedzi.
- [61] „Goniec Częstochowski” nr 210, 10 września 1936.
- [62] Tamże.

- [63] „Przegląd Sportowy” nr 79, 14 września 1936.
- [64] J. Wajs-Marcinkiewiczowa, *Stella*, s. 8.
- [65] Tamże, s. 9.
- [66] „The Lima News”, 16 sierpnia 1956 – dzięki uprzejmości Roba Lucasa; w polskiej literaturze i prasie najczęściej podaje się rok 1947 jako datę zamążpójścia Walasiewicz.
- [67] Ostatni chromosom, spośród 23 chromosomowych par, odczytywany jest właśnie jako para chromosomów determinująca płeć; zazwyczaj końcówka XX oznacza kobietę, podczas gdy XY – mężczyznę. Przyczyną posiadania obu układów rozrodczych – jak w przypadku Stanisławy – był mozaicyzm (posiadanie części komórek męskich i żeńskich), co skutkuje tym, że najczęściej narządy płciowe są niedorozwinięte, a w nielicznych przypadkach tworzą się oba rodzaje.
- [68] Lewis Montagna (1887–1950), znany jako „Bull Montana” – amerykański zapaśnik włoskiego pochodzenia; także aktor.
- [69] Casimir Bielen (1925–1992) – aktywista, prezes polonii amerykańskiej w Cleveland, udzielał się w ruchu obywatelskim i edukacyjnym; zaangażowany w walkę o dobre imię Stelli Walsh po jej tragicznej śmierci.
- [70] „Chicago Tribune”, 6 grudnia 1980.
- [71] Samuel Gerber (1898–1987) – amerykański koroner w latach 1937–1986, znany z głośnych spraw

kryminalnych.

[72] Matt Tullis, *Who was Stella Walsh? The story of the intersex olympian*, 27 czerwca 2012, <http://www.sbnation.com/longform/2013/6/27/4466724/stella-walsh-profile-intersex-olympian> [dostęp: marzec 2017].

[73] Tamże.

[74] „The Cleveland Plain Dealer”, 2 listopada 1983, dzięki uprzejmości Roba Lucasa.

[75] Dan Coughlin (ur. 1938) – amerykański dziennikarz, wieloletni współpracownik WJW Fox 8 w Cleveland, dziennikarz „The Plain Dealer” (dziennik wydawany w Cleveland).

[76] D. Coughlin, *Crazy With the Papers to Prove it; Stories About the Most Unusal, Eccentric and Outlandish People I've Known in 45 Years as a Sports Journalist*, Cleveland 2010, s. 30.

[77] *Stella Walsh. A Documentary*, reż. Rob Lucas, 2015.

[78] Stało się tak ostatecznie w 1991 roku, kiedy TAC (amerykańska federacja lekkoatletyczna) postanowiła ostatecznie zamknąć spór o wyniki Walasiewiczówny, pozostawiając jej wszystkie rekordy i medale. TAC uznała Stellę za kobietę, rywalizującą w lekkoatletycznych zawodach jako sportsmenka i tworzącą kobietą lekkoatletykę światową. R. Tannenbaum, *The life and murder of Stella Walsh*,



*Intersex Olympic Champion* Longreads, sierpień 2016, <https://longreads.com/2016/08/18/the-life-and-murder-of-stella-walsh-intersex-olympic-champion> [dostęp: kwiecień 2017].

[79] <https://www.findagrave.com/cgi-bin/fg.cgi?page=pv&GRid=4424&PIpi=80312> [dostęp: marzec 2017].

## Rozdział V. WYSKAKAŁ SOBIE ŻYCIE – Stanisław Marusarz

- [1] „Sport Zimowy” nr 1, grudzień 1931.
- [2] K. Blauth, *Laur i karabin*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1989, s. 93.
- [3] S. Marusarz, *Na skoczniach Polski i świata*, oprac. Z.K. Rogowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1955, s. 14.
- [4] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 15.
- [5] Tamże, s. 18.
- [6] Bronisław Czech (1908–1944, zginął w obozie koncentracyjnym w Auschwitz) – najwszechstronniejszy polski narciarz okresu międzywojennego, trzykrotny olimpijczyk, taternik, ratownik górski, instruktor narciarski, pilot i instruktor szybowcowy.
- [7] A. Filar, M. Leyko, *Laury na śniegu. Opowieść o Bronisławie Czechu i Helenie Marusarzównie*, wyd. III,

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej,  
Warszawa 1982, s. 48.

- [8] Birger Ruud (1911–1998) – norweski skoczek narciarski i narciarz alpejski, dwukrotny mistrz olimpijski w skokach z 1932 i 1936 oraz wicemistrz z 1948, pięciokrotny mistrz świata; jeden z najbardziej utytułowanych skoczków narciarskich. W 1936 roku zaprezentował nowy styl skakania, tzw. jaskółkę. Brat Zygmunta.
- [9] K. Muszałówna, *Zimowi Olimpijczycy 1936*, Warszawa 1936, s. 47, 48.
- [10] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 18.
- [11] „Przegląd Sportowy” nr 7, 25 stycznia 1933.
- [12] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 19.
- [13] „Narciarstwo Polskie. Roczniki Polskiego Towarzystwa Narciarskiego”, t. 2, Kraków 1927, s. 32.
- [14] „Sport Zimowy” nr 1, grudzień 1931.
- [15] Stanisław nie był oczywiście jedynakiem – miał brata Jana, z którym początkowo konkurował w skokach oraz cztery siostry: Helenę (wybitną narciarkę oraz kurierkę WZW-AK w czasie okupacji), Zofię, Bronkę i Marię.
- [16] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 26.
- [17] Tamże, s. 28.
- [18] „Stadjon” nr 7, 14 lutego 1929.
- [19] Zygmunt Ruud (1907–1994) – norweski skoczek narciarski, kombinator norweski oraz narciarz alpejski,

srebrny medalista olimpijski w skokach i dwukrotny medalista mistrzostw świata w narciarstwie klasycznym. Najstarszy z braci Ruud.

[20] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 31.

[21] W latach: 1932–1937, 1939, 1946, 1948, 1949, 1951, 1952.

[22] Stanisław Skupień (1907–1983) – polski narciarz, olimpijczyk, wieloletni kierownik schroniska PTTK, członek Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego; Zdzisław Motyka (1907–1969) – narciarz, lekkoatleta, olimpijczyk z Sankt Moritz 1928 i Lake Placid 1932; Andrzej Marusarz (1913–1968) – polski narciarz specjalizujący się w skokach i w kombinacji norweskiej, reprezentant Polski i klubu SN PTT Zakopane, dwukrotny olimpijczyk, trener narciarski, marynarz.

[23] „Sport Zimowy” nr 3, luty 1932.

[24] Podczas treningu rozbiły się dwa boby niemieckie, austriacki i szwajcarski; „Przegląd Sportowy” nr 11, 6 lutego 1932.

[25] „Przegląd Sportowy” nr 12, 10 lutego 1932.

[26] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 48.

[27] „Sport Zimowy” nr 3, luty 1932; sam Marusarz mówi jednak o oddaniu skoków na odległości 60 i 62 metrów, S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 48.

[28] Tamże.

- [29] „Przegląd Sportowy” nr 19, 5 marca 1932.
- [30] „Przegląd Sportowy” nr 15, 20 lutego 1932.
- [31] Tamże.
- [32] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 77.
- [33] Tamże, s. 81.
- [34] „Przegląd Sportowy” nr 15, 15 lutego 1936.
- [35] „Przegląd Sportowy” nr 16, 17 lutego 1936.
- [36] Tamże.
- [37] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 87.
- [38] Patrz przypis [4], rozdział IV.
- [39] K. Muszałówna, *Zimowi Olimpijczycy*, s. 48–49.
- [40] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 91.
- [41] Tamże, s. 93.
- [42] Tamże. *Der Sieger* (niem.) – zwycięzca.
- [43] Tamże, s. 94.
- [44] Asbjørn Ruud (1919–1989) – norweski skoczek narciarski, złoty medalista mistrzostw świata z 1938 roku w narciarstwie klasycznym. Najmłodszy z braci Ruud.
- [45] „Przegląd Sportowy” nr 18, 3 marca 1938.
- [46] Tamże.
- [47] „Przegląd Sportowy” nr 19, 7 marca 1938.
- [48] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 99.
- [49] Tamże, s. 100.
- [50] Josef Sepp Bradl (1918–1982) – austriacki skoczek narciarski, mistrz świata, jako pierwszy w historii

- skoczył ponad 100 metrów, pierwszy triumfator Turnieju Czterech Skoczni. Mistrz świata z Zakopanego.
- [51] Nikolai Ramm Østgaard (1885–1958) – norweski wojskowy w randze pułkownika, prezydent FIS (Międzynarodowej Federacji Narciarskiej) w latach 1934–1951.
- [52] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 103.
- [53] Baza „Romek” – pierwsza wojskowa baza łączności między krajem a rządem polskim i dowództwem naczelnym w Paryżu (potem w Londynie). Powstała jesienią 1939 roku, nadano jej numer 1 i kryptonim „Romek”. L.A.B. Kliszewicz, *Placówki wojskowej łączności kraju z centralą w Londynie podczas II wojny światowej*, t. 1, Oficyna Wydawnicza „Adiutor”, Warszawa–Londyn 1998.
- [54] Helena Marusarzówna (1918–1941) – mistrzyni sportów narciarskich, siedmiokrotna mistrzyni Polski w konkurencjach alpejskich, kurier tatrzański, żołnierz ZWZ-AK; rozstrzelana; odznaczona Krzyżem Virtuti Militari.
- [55] „SS Warszawa” – polski statek pasażerski. Od stycznia 1941 roku służył jako brytyjski transportowiec wojenny; używany do ewakuacji polskich żołnierzy i uchodźców, przedzierających się do Francji. Następnie transportował między innymi żywność dla wojska, ale także jeńców, rannych i żołnierzy. Brał udział

w ewakuacji żołnierzy alianckich i ludności z Grecji i Krety, a w czerwcu 1941 roku jeszcze raz polskich uchodźców z Mersin. Został storpedowany przez niemiecki okręt podwodny U-559 w drodze do Tobruku 26 grudnia 1941 roku.

- [56] W. Szatkowski, *Od Marusarza do Małysza. Polscy skoczkowie 1924–2002*, Wydawnictwo Fall, Zakopane 2002, s. 73.
- [57] Józef Daniel Krzeptowski (1921–2002) – polski narciarz, kombinator norweski, biegacz i skoczek narciarski, olimpijczyk z Sankt Moritz i Cortiny d’Ampezzo. Kurier na trasie Zakopane–Budapeszt. Uczestnik kampanii francuskiej, jeńiec stalagu, robotnik przymusowy, żołnierz Legii Cudzoziemskiej.
- [58] Stanisław Gąsienica-Byrcyn (1887–1967) – przewodnik tatrzański, jeden z pionierów narciarstwa i ratownictwa tatrzańskiego; uratował Lenina, kiedy ten w 1914 roku utknął pod Zawratem w szczelinie śnieżnej i o własnych siłach nie mógł się wydostać.
- [59] Jego wnuk Wojciech Szatkowski zmierzył się z historią dziadka w publikacji *Mój dziadek z Goralenvolk*; obecnie zajmuje się historią polskiego narciarstwa, pracuje w Muzeum Zakopiańskim.  
<http://www.rp.pl/artykul/939025-Moj-dziadek-z-Goralenvolk.html> [dostęp: marzec 2017].

- [60] Andrzej Krzeptowski I (1903–1945) – polski biegacz i skoczek narciarski, narciarz alpejski, dwukrotny olimpijczyk, dziewięciokrotny mistrz Polski w narciarstwie, brat stryjeczny drugiego narciarza o tym samym imieniu i nazwisku; miał aktywnie włączyć się w kolaborację z Niemcami; okoliczności jego śmierci nie są jednak do końca znane.
- [61] R. Wryk, *Olimpijczycy Drugiej Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2015.
- [62] Tisowcy – zbrojne ramię księdza Jozefa Tiso, faszystowskiego prezydenta Słowacji.
- [63] S. Marusarz, *Skok, który uratował mi życie*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1974, s. 7.
- [64] Irena Marusarz (1917–1994) – córka dyrektora banku we Lwowie Władysława Jeziorskiego, legionisty, autora i zbieracza pieśni żołnierskich. Z wykształcenia architekt. Wychowanka słynnego lwowskiego gimnazjum Sacre Coeur.
- [65] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 104.
- [66] Marusarza aresztowano 26 marca 1940 roku.
- [67] S. Marusarz, *Skok, który*, s. 9.
- [68] A. Filar, *Opowieści tatrzańskich kurierów*, Wydawnictwo Książka i Wiedza, Warszawa 1970, s. 54.
- [69] S. Marusarz, *Skok, który*, s. 10.
- [70] J. Szczepański, *Nie bała się lawin i Niemców*, „Nasza Historia” nr 1, styczeń 2017.

[71] A. Filar, *Opowieści*, s. 63.

[72] Tamże, s. 65.

[73] S. Marusarz, *Skok, który*, s. 15.

[74] Aleksander Bugajski, pseudonim „Halny” (1912–1944) – oficer Wojska Polskiego, ZWZ i AK. Po wkroczeniu Niemców do Krakowa zaangażował się w działalność konspiracyjną. Został aresztowany, 2 lipca 1940 roku udało mu się zbiec. Ukrywał się w Krakowie przy ulicy Krowoderskiej u Ireny Ułan, następnie w Zakliczynie nad Dunajcem. Po powrocie do Krakowa dowodził jednym z oddziałów dywersyjnych ZWZ. W grudniu 1940 roku uczestniczył w likwidacji niemieckiego konfidenta. Następnie pełnił obowiązki szefa Związku Odwetu Okręgu Krakowskiego ZWZ. Został aresztowany ponownie w kwietniu 1941 roku. Podczas próby ucieczki został postrzelony. Schwytanego osadzono w więzieniu Montelupich. W więzieniu w latach 1941–1942 wykonywał pracę pielęgniarza, pomagając dr. Kazimierzowi Garbieniowi. Wykorzystywał ambulatorium więzienne do przekazywania informacji o prowadzonych śledztwach. W 1943 roku zesłany został do KL Auschwitz, następnie przeniesiony do KL Ravensbrück i do KL Klützow. Po udanej ucieczce powrócił do Krakowa, skąd przerzucony został do Warszawy. Zginął w powstaniu warszawskim na



Mokotowie w 1944 roku, <http://www.krakowianie1939-56.mkh.pl> [dostęp: styczeń 2017].

- [75] Sepp Weiler (1921–1997) – niemiecki skoczek narciarski, który występował w latach 1937–1957 najpierw w reprezentacji III Rzeszy, a następnie RFN.
- [76] *W oblężonym Budapeszcie, czyli jak uniknąłem rozstrzelania. Wspomnienia Stanisława Marusarza*, „Przekrój” nr 1512, 31 marca 1974.
- [77] Z. Kulik, *Olimpijczyk Stanisław Marusarz w Karpaczu*, „Studia i materiały”, t. 7, 1994.
- [78] Okres pobytu Marusarza w Karpaczu opisał Zbigniew Kulik (dyrektor Muzeum w Karpaczu) w artykule cytowanym powyżej.
- [79] W całej karierze zdobył 17 tytułów mistrza Polski: dziewięć w skokach, cztery – w kombinacji norweskiej, jeden – w kombinacji alpejskiej, trzy – w biegu zjazdowym.
- [80] Jan Waclaw Felczak (1916–1993) – profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, kurier Polski Podziemnej, znawca tematyki środkowoeuropejskiej, szczególnie węgierskiej.
- [81] A. Filar, *Śladami tatrzańskich kurierów*, Wydawnictwo Książka i Wiedza, Warszawa 1995, s. 92.
- [82] S. Marusarz, *Na skoczniach Polski i świata*, wyd. II, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1974, s. 213.

[83] J.L. Zielonacki, *Dziadek*, film dokumentalny o Stanisławie Marusarzu.

[84] S. Marusarz, *Na skoczniach*, s. 156.

## Rozdział VI. „DŹADŹA” NA KORCIE ŻYCIA – Jadwiga Jędrzejowska

[1] „Lawn Tennis Polski. Ilustrowane Czasopismo Sportowe” nr 1, 15 czerwca 1930.

[2] „Start” nr 2, styczeń 1929.

[3] Wanda Dubieńska (1895–1968) – pierwsza polska olimpijka we florecie (Paryż 1924), choć był to występ bez sukcesów; mistrzyni Polski w szermierce, tenisie i biegach narciarskich. Córka premiera Juliana Ignacego Nowaka (1865–1946), lekarza medycyny i weterynarza, senatora.

[4] „Start” nr 2, styczeń 1929.

[5] Tamże.

[6] „Start” nr 16, sierpień 1929.

[7] Turniej wimbledoński – jeden z najstarszych, najbardziej prestiżowych turniejów tenisowych wielkoszlemowych, rozgrywany od 1877 roku w Anglii, na nawierzchni trawiastej.

[8] Puchar Davisa został ufundowany przez Amerykanina Dwighta F. Davisa w 1900 roku w celu rozgrywania

spotkań między Amerykanami a Anglikami; w miarę rosnącej popularności zawodów dołączali do nich przedstawiciele innych krajów; nazwa oficjalna nadana została w 1945 roku.

- [9] „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny”, 4 stycznia 2013; B. Tomaszewski, *Czy ja mogę coś powiedzieć*. Według Tomaszewskiego ojciec Jadwigi był kortowym.
- [10] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się na korcie*, oprac. K. Gryżewski, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1955, s. 8.
- [11] Patrz przypis [3], rozdział III.
- [12] Gustaw V (1858–1950) – król Szwecji w latach 1907–1950 z dynastii Bernadotte. Syn króla Szwecji i Norwegii Oskara II i Zofii Nassau. Do późnej starości grywał w tenisa pod pseudonimem „Mister G”.
- [13] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 32.
- [14] Tamże, s. 10.
- [15] Tamże, s. 20.
- [16] Tamże, s. 141.
- [17] Tamże, s. 21.
- [18] Stanisława Groblewska (1895–1974) pseudonimy „Joanna”, „Monika”, „Olgierd” – polska tenisistka, mistrzyni Polski w deblu w latach 1927 i 1928, porucznik AK, pracownik naukowy Instytutu Zootechniki.
- [19] „Start” nr 10, sierpień 1927.
- [20] „Przegląd Sportowy” nr 19, 24 kwietnia 1921.

- [21] Jean René Lacoste, zwany „Le Crocodile” (1904–1996) – francuski tenisista, wielokrotny zwycięzca turniejów wielkoszlemowych, zdobywca Pucharu Davisa, brązowy medalista igrzysk olimpijskich w Paryżu (1924) w grze podwójnej.
- [22] „Start”, nr 17, wrzesień 1928.
- [23] Tamże.
- [24] W oryginale podano błędnie nazwisko Stanisława Czetwertyńskiego, tenisowego mistrza Polski.
- [25] Tamże.
- [26] R. Wryk, *Olimpijczycy*, s. 204.
- [27] Tamże.
- [28] Tamże.
- [29] „Start” nr 17, wrzesień 1929.
- [30] „Stadjon” nr 36, 4 września 1930.
- [31] „Lawn Tennis Polski” nr 3–4, 15 lipca 1930.
- [32] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 43.
- [33] Turniej Rolanda Garossa (French Open) – międzynarodowe mistrzostwa Francji; jeden z czterech turniejów zaliczanych do Wielkiego Szlema, rozgrywany na kortach im. Rolanda Garrosa, noszący oficjalną nazwę French Open; odbywa się od 1891 roku.
- [34] „Przegląd Sportowy” nr 44, 3 czerwca 1931.
- [35] Jean Borotra (1898–1994) – czterokrotny zwycięzca w turniejach wielkoszlemowych; Jacques Brugnon (1895–1978) – główne sukcesy odnosił w grze mieszanej

(dwukrotny zwycięzca); Henri Cochet (1901–1987) – siedmiokrotny triumfator wielkoszlemowy; René Lacoste zwany „Le Crocodile” (patrz [tutaj]). Ci francuscy tenisiści, nazywani „czterema muszkieterami”, w latach dwudziestych i trzydziestych byli istnymi dominatorami tenisowymi. Wygrali 20 tytułów wielkoszlemowych i 23 wielkoszlemowych dubli. William Tatem Tilden II (1893–1953) – amerykański tenisista, zwycięzca 10 turniejów wielkoszlemowych, siedmiokrotny zdobywca Pucharu Davisa, jeden z najwybitniejszych zawodników w historii tenisa.

[36] Elizabeth Ryan (1892–1979) – wybitna tenisistka amerykańska, w 1932 roku triumfatorka turnieju Rolanda Garrosa, wielokrotna zwyciężczyni Wimbledonu w grze pojedynczej i podwójnej, w 1927 roku trzecia rakieta świata.

[37] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 47.

[38] Tamże, s. 48.

[39] „Lawn Tennis Polski” nr 3–4, lipiec 1930.

[40] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 51.

[41] Kathleen McKane Godfree (1896–1992) – tenisistka brytyjska, zwyciężczyni Wimbledonu w grze pojedynczej i mieszanej, mistrzyni olimpijska w grze podwójnej (Antwerpia 1920), podwójna brązowa i srebrna olimpijka z lat 1920 i 1924.

- [42] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 52.
- [43] Helen Jacobs (1908–1997) – amerykańska tenisistka, zwyciężczyni Wimbledonu, wielokrotna zwyciężczyni turniejów wielkoszlemowych w singlu.
- [44] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 63.
- [45] „Przegląd Sportowy” nr 40, 18 maja 1932.
- [46] „Start” nr 10/11, maj/czerwiec 1932.
- [47] „Berliner Zeitung am Mittag” – pierwszy niemiecki tabloid ukazujący się w latach 1904–1943.
- [48] „Przegląd Sportowy” nr 40, 18 maja 1932. Marie-Louise Horn (1912–1991) – niemiecka tenisistka.
- [49] Hilde Krahwinkel (1908–1981) – niemiecka tenisistka, trzykrotna zwyciężczyni międzynarodowych mistrzostw Francji, siedmiokrotna triumfatorka międzynarodowych mistrzostw Niemiec.
- [50] „Start” nr 10/11, maj/czerwiec 1932.
- [51] Dorothy Round (1908–1982) – brytyjska tenisistka, dwukrotna zwyciężczyni Wimbledonu (1934 i 1937).
- [52] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 109.
- [53] Tamże, s. 110.
- [54] „Przegląd Sportowy” nr 53, 5 lipca 1937.
- [55] Alice Marble (1913–1990) – amerykańska tenisistka, zwyciężczyni Wimbledonu (1939) i mistrzostw USA w grze pojedynczej, podwójnej i mieszanej.
- [56] „Przegląd Sportowy” nr 53, 5 lipca 1937.
- [57] „Raz, Dwa, Trzy” nr 28, 13 lipca 1937.

- [58] US Open – jeden z czterech turniejów Wielkiego Szlema; rozgrywany od 1881 roku na kortach twardych. Oficjalnie zwany Otwartymi Mistrzostwami Stanów Zjednoczonych; od 1915 roku odbywał się w dzielnicy Nowego Jorku (Forest Hills). W 1978 roku przeniesiono go do nowojorskiego parku Flushing Meadows-Corona, gdzie rozgrywany jest do dzisiaj.
- [59] Turniej w Seabright – turniej międzynarodowy organizowany przez jeden z najstarszych klubów tenisowych, Seabright Lawn Tennis and Cricket Club, założony w 1877 roku.
- [60] Sarah Palfrey-Fabyan (1912–1996) – amerykańska tenisistka, osiemnastokrotna zwyciężczyni turniejów wielkoszlemowych (w grze pojedynczej, podwójnej i mieszanej).
- [61] Anita Lizana de Ellis (1915–1994) – tenisistka chilijska, zwyciężczyni mistrzostw USA w grze pojedynczej.
- [62] Arthur Wallis-Myers (1878–1939) – angielski dziennikarz sportowy, znawca tenisa, jeden z najważniejszych sportowych dziennikarzy XX wieku; twórca nieoficjalnego rankingu światowego tenisa.
- [63] „Przegląd Sportowy” nr 57, 19 lipca 1937.
- [64] „Przegląd Sportowy” nr 82, 14 października 1937.
- [65] „Przegląd Sportowy” nr 55, 2 lipca 1936.
- [66] Simone Mathieu (1908–1980) – tenisistka francuska, zwyciężczyni trzynastu turniejów wielkoszlemowych

w grze pojedynczej, podwójnej i mieszanej, w tym dwukrotnie mistrzostw Francji w singlu.

[67] Helena Łuniewska (1907–1988) – polska tenisistka, wicemistrzyni Polski z 1937 i 1939 roku, zawodniczka warszawskiej Legii.

[68] Patrz przypis [89], rozdział III.

[69] Patrz przypis [96], rozdział III.

[70] B. Tuszyński, *Za cenę życia. Sport Polski walczącej 1939–45*, Wydawnictwo Emka, Warszawa 2006, s. 33.

[71] Tamże.

[72] B. Tomaszewski, *Czy ja mogę coś powiedzieć*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny”, 4 stycznia 2013.

[73] Bohdan Tomaszewski (1921–2015) – dziennikarz, komentator sportowy, tenisista (przedwojenny wicemistrz Polski), autor książek, legenda i symbol polskiego dziennikarstwa sportowego.

[74] J. Jędrzejowska, *Urodziłam się*, s. 60.

[75] „Przegląd Sportowy” nr 1, 12 lipca 1945.

[76] Tamże.

[77] Tamże.

[78] A. Uścińska, *Tenis w Peerelu*, „Karta” nr 53, 2007.

[79] Nagroda przyznawana przez Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przyniesienia Wojskowego do 1938 roku (wznowiona w 2009 roku przez PKOl).



# Rozdział VII. OSTATNIE SŁOWO

## AGENTA – Jerzy Iwanow-Szajnowicz

- [1] H. Landowski, *Jeden przeciwko Niemcom*, War Relief Service, National Catholic Welfare Conference, Italy 1946, s. 11; tymczasem jako data rozprawy sądowej podawany jest 2 grudnia 1942 roku.
- [2] H. Landowski, *Jeden*, s. 12.
- [3] Tamże.
- [4] Tamże.
- [5] Secret Intelligence Service (SIS) – inaczej MI6, Brytyjska Tajna Służba Wywiadowcza, odpowiedzialna za wywiad zagraniczny. Jej początki sięgają 1909 roku. W 1939 roku na jej czele stał adm. Hugh Sinclair, po jego śmierci – przez ponad dekadę – gen. Stewart Menzies. W czasie II wojny światowej MI6 składało się z dwóch pionów – sztabu dowódczego i placówek zagranicznych. N. Polmar, B.T. Allen, *Księga szpiegów*, przeł. K. Obłucki i in., Wydawnictwo Magnum, Warszawa 1997, s. 375; „Polska Walcząca” nr 30, 28 lipca 1945, „Samotny bohater”.
- [6] A. Pepłoński, *Wywiad Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1939–1945*, Agencja Wydawnicza Jerzy Mostowski, Warszawa 1995.

- [7] M. Kosiński, *Charakterystyka i ocena działalności Jerzego Iwanowa-Szajnowicza*, Warszawa 1989; IPN BU 00231/3045, s. 24.
- [8] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda i jej synowie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980, s. 103.
- [9] Tamże, s. 14.
- [10] Tamże, s. 15.
- [11] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda*, s. 32.
- [12] Uniwersytet w Louvain – najstarszy uniwersytet w Belgii.
- [13] „Polska Walcząca” nr 30, 28 lipca 1945.
- [14] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda*, s. 56.
- [15] „Polska Walcząca” nr 30, 28 lipca 1945.
- [16] Howard Wellington Stepp (1904–1989) – amerykański trener pływacki związany z uniwersytetem w Yale, Princeton, dyrektor polskiej olimpijskiej drużyny pływackiej.
- [17] Roman Kazimierz Bocheński (1910–1940) – najlepszy polski pływak w okresie międzywojennym (później przerzucił się na piłkę wodną), rekordzista Polski w stylu dowolnym; należał do ASZ Warszawa; pod koniec sierpnia 1939 roku uczestniczył w zawodach w Monte Carlo, tam zastała go informacja o wybuchu wojny, postanowił powrócić do Polski; prawdopodobnie zginął rozstrzelany przez Sowieców w Kozielsku bądź Ostaszkuwie.

- [18] „Przegląd Sportowy” nr 55, 12 lipca 1937.
- [19] Björn Borg (1919–2009) – szwedzki pływak specjalizujący się w stylu dowolnym i grzbietowym, dwukrotny mistrz Europy (1938); olimpijczyk z 1936 roku (miał wówczas 16 lat).
- [20] „Sport Wodny” nr 7, maj 1938.
- [21] „Przegląd Sportowy” nr 53, 4 lipca 1938.
- [22] „Przegląd Sportowy” nr 56, 14 lipca 1938.
- [23] „Stadjon” nr 32, 12 sierpnia 1926.
- [24] „Raz, Dwa, Trzy” nr 5, 21 grudnia 1937.
- [25] „Sport Wodny” nr 11, lipiec 1938.
- [26] „Sport Wodny” nr 13, sierpień 1938.
- [27] „Sport Wodny” nr 3, marzec 1939.
- [28] *Sprawozdanie z działalności władz Polskiego Związku Pływackiego z 1938 roku*, Warszawa 1939, s. 8.
- [29] Chodzi o Bocheńskiego i Joachima Karliczka (1914–1993), wieloletnich rekordzistów i mistrzów Polski w pływaniu, którzy nie brali udziału w ME.
- [30] „Sport Wodny” nr 16, wrzesień 1938.
- [31] „Sport Wodny” nr 3, marzec 1939.
- [32] „Dobry wieczór! Kurjer Czerwony” nr 253, 21 grudnia 1937.
- [33] „Przegląd Sportowy” nr 46, 4 czerwca 1939.
- [34] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda*, s. 78.
- [35] Tadeusz Szefer pseudonim „Kościelny” (1896–1960) – oficer Wojska Polskiego, oficer wywiadu

w Ekspozyturze „Ateny” Oddziału II Sztabu NW, następnie wysłany do Salonik; działał pod przykrywką uchodźcy cywilnego. Po wyjeździe do Jerozolimy działał w Ekspozyturze „T” Oddziału II Sztabu NW w Kairze (nazwisko paszportowe: Tadeusz Rayski); T. Dubicki, A. Suchcitz, *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, t. 1, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2009, s. 295.

[36] Tamże.

[37] A. Pepłoński, *Wywiad*, s. 145. Więcej o Piechowiaku patrz przypis nr [64].

[38] Patrz przypis nr [55].

[39] A. Pepłoński, *Wywiad*, s. 147.

[40] Tamże.

[41] Leon Mitkiewicz-Żółtek (1896–1972) – pułkownik dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego, szef II Oddziału Sztabu NW, po wojnie w USA. Odznaczony Krzyżem Walecznych (dwukrotnie) i Złotym Krzyżem Zasługi.

[42] Frederick Georg Beaumont-Nesbitt (1893–1971) – oficer armii brytyjskiej, w latach 1939–1940 szef Wywiadu Wojskowego: departamentu brytyjskiego War Office.

[43] A. Pepłoński, *Współdziałanie Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza z Secret Intelligence Service w okresie II wojny światowej*, „Słupskie Studia Historyczne” nr 10, 2003, s. 152.

[44] Tamże, s. 145.

- [45] „Polska Walcząca” nr 30, 28 lipca 1945.
- [46] M. Kosiński, *Charakterystyka*, s. 5.
- [47] H. Landowski, *Jeden*, s. 28.
- [48] Landowski jednak pod nazwiskiem Papadopoulos identyfikuje przyjaciela Szajnowicza, który pomagał mu w załatwieniu pracy w bazie łodzi podwodnych; H. Landowski, *Jeden*, s. 41.
- [49] „Polska Walcząca” nr 30, 28 lipca 1945.
- [50] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda*, s. 89.
- [51] Tamże, s. 88.
- [52] M. Kosiński, *Charakterystyka*, s. 12, 15, IPN BU 00231/3045.
- [53] A. Pepłoński, *Wywiad*, s. 148.
- [54] M. Kosiński, *Charakterystyka*, s. 12, IPN BU 00231/3045.
- [55] H. Landowski, *Jeden*, s. 60; patrz także A. Pepłoński, *Wywiad*, s. 148.
- [56] Damaskin, imię świeckie Dimitrios Papandreu (1890–1949) – grecki biskup prawosławny, w latach 1941–1949 zwierzchnik Greckiego Kościoła Prawosławnego; regent Grecji w latach 1944–1946 i premier tego kraju w 1945.
- [57] Został osadzony w więzieniu Averof.
- [58] H. Landowski, *Jeden*, s. 21.
- [59] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda*, s. 106.
- [60] Tamże, s. 108.
- [61] H. Landowski, *Jeden*, s. 11.
- [62] M. i J. Przymanowscy, *Leonarda*, s. 108.

[63] Tamże, s. 110.

[64] Edmund Piechowiak (1896–1980) – oficer Wojska Polskiego, 19 sierpnia 1940 roku zameldował się w punkcie zbornym w Hajfie; do 22 stycznia 1941 roku pozostawał w dyspozycji szefa Oddziału II Sztabu NW na Środkowym Wschodzie, od stycznia 1941 roku przebywał w Jerozolimie; zastępca szefa Ekspozytury „T”, w styczniu 1943 roku objął kierownictwo Ekspedycji „Bałkany” jako konsul pod nazwiskiem Edward Panasewicz. T. Dubicki, A. Suchcitz, *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, t. 1, s. 225.

[65] *Kontrwywiad II RP (1914) 1918–1945 (1948)*, t. 1, pod red. Z. Nawrockiego, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Centralny Ośrodek Szkolenia, Warszawa 2015, s. 464.

[66] T. Dubicki, A. Suchcitz, *Oficerowie wywiadu WP i PSZ w latach 1939–1945*, t. 2, Warszawa 2011, s. 315.

[67] A. Pepłoński, *Wywiad*, s. 148.

## Rozdział VIII. WYMAZANY Z PAMIĘCI – Ernest Wilimowski

[1] 1.FC Katowice – klub sportowy skupiający głównie Ślązaków, założony w 1905 roku; w 1927 roku zanotował największy sukces, długo prowadził

w ligowych rozgrywkach. W 1939 roku zdelegalizowany za nacjonalistyczną niemiecką działalność przeciw Polsce.

- [2] Gerard Wodarz (1913–1982) – napastnik Ruchu Hajduki Wielkie i reprezentacji Polski, w której rozegrał ponad 30 spotkań (w niektórych cytatach występuje jako Włodarz – za „Przeglądem Sportowym”, co należy traktować jako błąd). Został wcielony do Wehrmachtu, trafił do niewoli.
- [3] Teodor Peterek (1910–1969) – środkowy napastnik, zawodnik Śląska Świętochłowice, od 1928 roku – Ruchu Hajduki Wielkie; dwukrotny zdobywca tytułu króla strzelców polskiej ligi. Reprezentant Polski, olimpijczyk z 1936 roku. W czasie okupacji grał w Bismarckhütter Sport Verein; w 1942 roku wcielony do Wehrmachtu, zdezerterował w 1944 roku, dostał się do dywizji gen. Maczka; od 1948 roku ponownie gracz Ruchu.
- [4] P. Teodor, *Z butami piłkarskimi na boiskach Europy*, oprac. A. Loch, odbitka z „Życia Chorzowa” i „Gońca Górnośląskiego”, 1957, s. 5.
- [5] „Raz, Dwa, Trzy” nr 12, 23 marca 1937.
- [6] „Przegląd Sportowy” nr 36, 5 maja 1936.
- [7] Tamże.
- [8] „Przegląd Sportowy” nr 95, 28 listopada 1934.
- [9] „Przegląd Sportowy” nr 84, 20 października 1934.

- [10] Ernest Wilimowski urodził się 23 czerwca 1916 roku, mecz odbywał się w maju 1934 roku.
- [11] „Przegląd Sportowy” nr 41, 23 maja 1934.
- [12] Marian Strzelecki (1895–1945) – działacz sportowy, dziennikarz, naczelny „Przeglądu Sportowego”, związany także z „Kurjerem Warszawskim”, „Stadjonem”; piłkarz ŁKS i Polonii, sędzia piłkarski, członek zarządu PKOl.
- [13] „Przegląd Sportowy” nr 41, 23 maja 1934.
- [14] Tamże.
- [15] Patrz przypis [29].
- [16] Narcyz Süssermann (1897–1972) – dziennikarz sportowy, jeden z twórców powstałego w 1929 roku we Lwowie pierwszego w kraju Związku Dziennikarzy Sportowych. Od 1926 roku jako korespondent lwowski związany z „Przeglądem Sportowym”, w 1935 roku na stałe dołączył do zespołu. Po wojnie przyjął nazwisko Tadeusz Maliszewski i wraz z Kazimierzem Gryżewskim reaktywował „Przegląd Sportowy”, zostając jego naczelnym.
- [17] „Przegląd Sportowy” nr 38, 27 kwietnia 1935.
- [18] Matyas II (1910–1975) – od 1926 roku napastnik lwowskiej Pogoni; zadebiutował w reprezentacji w 1932 roku. Trener reprezentacji oraz klubów Stal Mielec czy Polonia Bytom. Król strzelców w lidze w 1935 roku (22 gole).



- [19] „Przegląd Sportowy” nr 40, 2 maja 1935.
- [20] Lajos Czeizler (1893–1969) – węgierski szkoleniowiec Łódzkiego Klubu Sportowego (w latach 1923–1926, następnie 1935–1936), trenował także włoskie drużyny (AC Milan, Fiorentina), kadrę Włoch i portugalską Beneficę Lizbona.
- [21] „Przegląd Sportowy” nr 40, 2 maja 1935.
- [22] Waław Sidorowicz (1905–1982) – lekarz medycyny sportowej.
- [23] „Raz, Dwa, Trzy” nr 42, 20 października 1936.
- [24] „Przegląd Sportowy” nr 42, 6 maja 1935.
- [25] „Przegląd Sportowy” nr 43, 9 maja 1935.
- [26] „Przegląd Sportowy” nr 52, 30 maja 1935.
- [27] „Przegląd Sportowy” nr 53, 1 czerwca 1935.
- [28] Tamże.
- [29] Józef Smoczek (1908–1984) – piłkarz grający w Garbarni Kraków oraz Warszawiance; w 1930 roku zadebiutował w kadrze.
- [30] „Przegląd Sportowy” nr 61, 20 czerwca 1935.
- [31] Karol Dziwisz (1911–1982) – piłkarz, pomocnik, reprezentant Polski, zawodnik Ruchu Hajduki Wielkie; podobnie jak Hubert Wadas i Stefan Katzy (1907–1949) – kapitan Ruchu w latach 1931–1933.
- [32] Edmund Giemsa (1912–1994) – piłkarz Ruchu Hajduki Wielkie i reprezentacji Polski, z którą wystąpił w 1938 roku w mistrzostwach świata.

- [33] „Przegląd Sportowy” nr 83, 10 sierpnia 1935.
- [34] Ewald Urban (1913–1959) – piłkarz, prawoskrzydłowy napastnik, reprezentant Ruchu Hajduki Wielkie, po wojnie grał i mieszkał w Niemczech.
- [35] „Śląski Kurjer Poranny” nr 285, 17 listopada 1935.
- [36] Klub co prawda powstał 20 kwietnia 1920 roku, ale uroczystości zostały przesunięte z kwietnia na wrzesień ze względu na okoliczność połączenia święta z otwarciem nowego stadionu, tego samego stadionu, na którym obecnie rozgrywa mecze Ruch Chorzów, <http://www.historiaruchu.pl> [dostęp: styczeń 2017].
- [37] „Przegląd Sportowy” nr 106, 3 października 1935.
- [38] „Przegląd Sportowy” nr 55, 2 lipca 1936.
- [39] Eryk Kurek (1912–1961) – rezerwowy bramkarz Ruchu; odsunięty od gry w 1933 roku, kiedy w Berlinie został aresztowany za przywłaszczenie cudzej własności; oskarżenie okazało się fałszywe, Kurek jednak został dożywotnio zdyskwalifikowany przez PZPN. Odwieszenie nastąpiło w 1936 roku. Po aferze alkoholowej nie wrócił już do gry w Ruchu.
- [40] „Przegląd Sportowy” nr 55, 2 lipca 1936.
- [41] Tamże.
- [42] „Przegląd Sportowy” nr 56, 6 lipca 1936.
- [43] „Raz, Dwa, Trzy” nr 28, 14 lipca 1936.
- [44] Spirydion Jan Albański (1907–1992) – polski piłkarz grający na pozycji bramkarza w reprezentacji i w

Pogoni Lwów; Edward Madejski (1914–1996) – polski bramkarz związany z Wisłą Kraków; Władysław Szczepaniak (1910–1979) – grał w warszawskiej Polonii i reprezentacji na pozycji obrońcy; Antoni Gałęcki (1906–1958) – polski piłkarz (ŁKS), obrońca; Henryk Martyna (1907–1984) pseudonim „Antałek” (ze względu na misiowatą sylwetkę) – kapitan reprezentacji, obrońca, występował w warszawskiej Legii, wcześniej w Krakowie (Orzeł i Korona Kraków); Józef Kotlarczyk (1907–1959) – napastnik Wisły Kraków i reprezentacji, brat piłkarza Jana; Jan Wasiewicz (1911–1976) – piłkarz lwowskich klubów (ost. Pogoń), środkowy pomocnik, grał w kadrze; Ewald Jan Dyttko (potem Edward Jan Dytko; 1914–1993) – polski piłkarz, zawodnik między innymi Dębu Katowice i 1. FC Katowice; Franciszek Ludwik Cebulak (1906–1960) – polski piłkarz, pomocnik, najdłużej związany z warszawską Legią; Wilhelm Antoni Góra (1916–1975) – polski piłkarz, pomocnik, sporadycznie napastnik, grał w Pogoni Katowice i Cracovii; Jerzy Piec (1915–1954) – piłkarz, pomocnik, grał w Naprzód Lipiny i AKS Chorzów, brat Ryszarda; Michał Franciszek Mieczysław Matyas (1910–1975) – polski piłkarz, napastnik, grał w pogoni i Lechii Lwów; Hubert August God/Gad (dwojaki zapis nazwiska – God jest prawdopodobnie nieprawidłowy, dziś występuje jako Gad; 1914–1939) – polski piłkarz związany ze

Śląskiem Świętochłowice, zmarł tragicznie przed wojną (utonął), podczas olimpiady strzelec pierwszego gola dla polskiej drużyny; Fryderyk Szerfke (1909–1983) – napastnik i pomocnik Warty Poznań, w czasie wojny grał w niemieckiej drużynie FC Posen, wcielony do Wehrmachtu, zachowywał jednak dystans, wręcz okazywał niechęć hitlerowcom, po wojnie osiadł w Niemczech; Walenty Musielak (1913–1977) – polski piłkarz, napastnik, grał w HCP Poznań, potem w niemieckich klubach, w kadrze zawodnik rezerwowy. Walerian Kisieliński (1907–1988) – polski piłkarz, napastnik, związany między innymi z Cracovią, Wisłą, ale też z warszawską Polonią, król strzelców Ligi (1931).

[45] *Spod Wawelu na Olimpijski stadion. Wspomnienia Józefa Kotlarczyka*, s. 8, opracowanie: [historiawisly.pl](http://historiawisly.pl) [dostęp: kwiecień 2017].

[46] „Przegląd Sportowy” nr 66, 6 sierpnia 1936.

[47] Fritz Szepan (1907–1974) – niemiecki piłkarz polskiego pochodzenia, grał w Schalke 04, brał udział w MŚ w 1934 i 1938 roku.

[48] „Przegląd Sportowy” nr 69, 12 sierpnia 1936.

[49] „Przegląd Sportowy” nr 70, 14 sierpnia 1936.

[50] „Raz, Dwa, Trzy” nr 19, 12 maja 1936.

[51] Tamże; Stanisław Jan Andrzejewski (1916–1997) – polski piłkarz, bramkarz, zawodnik ŁKS; Eryk Tatuś

(1914–1985) – polski piłkarz, bramkarz Ruchu Hajduki Wielkie; obaj wystąpili w reprezentacji Polski raz.

[52] „Raz, Dwa, Trzy” nr 19, 12 maja 1936.

[53] Tamże.

[54] „Raz, Dwa, Trzy” nr 2, 13 stycznia 1936.

[55] „Raz, Dwa, Trzy” nr 22, 3 czerwca 1936.

[56] Tamże.

[57] Tamże.

[58] „Raz, Dwa, Trzy” nr 23, 9 czerwca 1936.

[59] „Raz, Dwa, Trzy” nr 39, 29 września 1936.

[60] „Raz, Dwa, Trzy” nr 12, 23 marca 1937.

[61] „Raz, Dwa, Trzy” nr 26, 29 czerwca 1937.

[62] „Raz, Dwa, Trzy” nr 37, 14 września 1937.

[63] Tamże.

[64] „Raz, Dwa, Trzy” nr 41, 12 października 1937.

[65] Tamże.

[66] Jerzy Adolf Wostal (1914–1991) – polski piłkarz pochodzenia niemieckiego, reprezentant Polski.

[67] „Paris Soir” – francuski dziennik wydawany w Paryżu w latach 1923–1944.

[68] „Raz, Dwa, Trzy” nr 44, 3 listopada 1937.

[69] „Raz, Dwa, Trzy” nr 45, 9 listopada 1937.

[70] Racing Club de France – francuski klub piłkarski z siedzibą w Paryżu, założony w 1896 roku, grający obecnie w amatorskiej pierwszej lidze; najlepsze lata zespołu to lata trzydzieste i czterdzieste XX wieku.

- [71] „Sport Polski” nr 12, 17 listopada 1937. Więcej o Glabiszu patrz przypis [88].
- [72] „Raz, Dwa, Trzy” nr 45, 9 listopada 1937.
- [73] „Przegląd Sportowy” nr 40, 19 maja 1938.
- [74] Tamże.
- [75] „Przegląd Sportowy” nr 41, 23 maja 1938.
- [76] Leonidas (Leônidas da Silva, znany jako Leônidas 1913–2004) – brazylijski piłkarz, grający na pozycji napastnika, reprezentant kraju, jeden z najbardziej znanych piłkarzy świata, zwany „Czarnym Diamentem”.
- [77] „Przegląd Sportowy” nr 41, 23 maja 1938.
- [78] „Przegląd Sportowy” nr 45, 6 czerwca 1938.
- [79] S. Szczepłek, *Polska! Biało-czerwoni!*, Warszawa 2012, s. 81; „Przegląd Sportowy” w numerze 45 podaje, że widzów było 25 tysięcy.
- [80] „Przegląd Sportowy” nr 45, 6 czerwca 1938.
- [81] Tamże.
- [82] Tamże.
- [83] José Perácio Berjun (1917–1977) – brazylijski piłkarz, napastnik.
- [84] „Przegląd Sportowy” nr 45, 6 czerwca 1938.
- [85] Tamże.
- [86] „Przegląd Sportowy” nr 46, 9 czerwca 1938.
- [87] „Raz, Dwa, Trzy” nr 28, 5 lipca 1937.
- [88] Kazimierz Glabisz (1893–1981) – generał brygady Polskich Sił Zbrojnych (w 1939 roku był w stopniu

pułkownika, awans otrzymał w czerwcu 1945 roku), działacz sportowy, prezes PZPN (1937–1939) i przewodniczący PKOl (1929–1945).

[89] „Raz, Dwa, Trzy” nr 36, 3 września 1939.

[90] „Przegląd Sportowy” nr 69, 25 sierpnia 1939.

[91] „Raz, Dwa, Trzy” nr 36, 3 września 1939.

[92] Tamże.

[93] Gerard Wodarcz uczestniczył w kampanii wrześniowej, w latach 1942–1944 był w Wehrmachcie, skąd uciekł, dostał się w szeregi Wojska Polskiego w 1944 roku. Podobnie Teodor Peterek, który w 1942 roku został powołany do Wehrmachtu, podczas pobytu we Francji poddał się wojskom alianckim, a następnie trafił do Wojska Polskiego. Edmund Giemsa powołany do Wehrmachtu zdezerterował i przez francuski ruch oporu przedostał się do 2. Korpusu Wojska Polskiego we Włoszech. Ewald Urban także został powołany do Wehrmachtu. Emil Dziwisz (1921–1942) w 1942 roku jako żołnierz Wehrmachtu zginął pod Donieckiem. Henryk Mikunda (1917–1988) powołany do Wehrmachtu, pod Monte Cassino przeszedł na polską stronę.

[94] Bismarckhütter Sport Vereinigung (BSV) – klub piłkarski reaktywowany przez władze niemieckie po likwidacji Ruchu Chorzów 2 września 1939 roku dekretem o likwidacji polskich organizacji na Górnym

Śląsku jako Bismarckhütter Ballspiel Club. 12 listopada 1939 roku zmieniono nazwę na Bismarckhütter Sport Vereinigung 1899 e.V. Pod takim mianem klub rozegrał swój pierwszy „wojenny” mecz 19 listopada 1939 roku z Turn- und Sportverein Lipine (1:2).

- [95] R. Jung *Wymiar polityczny i aspekty organizacyjne udziału polskich piłkarzy na Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie (1936)*, „Kultura Fizyczna”, t. 16, nr 1, 2017, s. 35.
- [96] „Przegląd Sportowy” nr 41, 22 maja 1939.
- [97] *W koszulkach i spodenkach z hitlerowskich sztandarów – opowieść o śląskiej piłce w 1945 r.*, P. Czado, B.T. Wieliński, <http://www.sport.pl> [dostęp: kwiecień 2017].
- [98] S. Szczepłek, *Polska!*, s. 90.
- [99] „Raz, Dwa, Trzy” nr 36, 3 września 1939.
- [100] „Przegląd Sportowy” nr 6, 13 sierpnia 1945.
- [101] K. Górski, *Pół wieku z piłką*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1985, s. 35–36.
- [102] B. Tomaszewski, *Romantyczne mecze*, Warszawa 1968, s. 35.

## Rozdział IX. RZUT OD SERCA – Maria Kwaśniewska

- [1] W latach: 1931, 1934–1936, 1939 i 1946.



- [2] Mistrzyni Polski w skoku w dal (1930), w pięcioboju (1934–1936), trójboju (1931, 1934–1936), wicemistrzyni w skoku w dal z miejsca (1935), w pchnięciu kulą z miejsca (1934 i 1936) i pięcioboju (1937). R. Wryk, *Olimpijczycy*, s. 363.
- [3] „Światowid” nr 32, 8 sierpnia 1936.
- [4] Polskie Radio 1, audycja „Rok olimpijski”, autorstwa J. Janickiego i A. Kudelskiego, 12 maja 1966.
- [5] *Pół wieku*, s. 35.
- [6] Ludwik Szumlewski (1901–1981) – sportowiec, dziennikarz sportowy, radiowy.
- [7] „Przegląd Sportowy” nr 64, 11 sierpnia 1934.
- [8] Tamże.
- [9] „Przegląd Sportowy” nr 62, 27 lipca 1936.
- [10] S. Sieniarski, *Brawo Maryśka!*, w: *Poczet polskich olimpijczyków 1924–1984*, z. 2, Warszawa 1984, s. 25.
- [11] Tamże.
- [12] Patrz przypisy [74] i [77], rozdział III.
- [13] Patrz przypis [26], rozdział II.
- [14] Raz, Dwa, Trzy” nr 31, 4 sierpnia 1936.
- [15] „Przegląd Sportowy” nr 72, 20 sierpnia 1936.
- [16] Jerzy Pławczyk (1911–1989?) – skoczek, miotacz, wieloboista, olimpijczyk (1932 i 1936), w trakcie II wojny światowej w armii francuskiej, jego powojenne losy nie są znane; Karol Hoffmann (1913–1971) – lekkoatleta, głównie w skoku wzwyż, olimpijczyk

z Berlina (1936), propagator gimnastyki porannej w Polskim Radiu.

- [17] Kazimierz Kucharski (1909–1995) – lekkoatleta, średniodystansowiec, olimpijczyk, na 800 metrów w Berlinie był czwarty.
- [18] „Raz, Dwa, Trzy” nr 31, 4 sierpnia 1936.
- [19] „Przegląd Sportowy” nr 65, 3 sierpnia 1936.
- [20] Tilly Fleischer (1911–2005) – niemiecka lekkoatletka, brązowa medalistka z Los Angeles (1932) w rzucie oszczepem, złota z olimpiady w Berlinie.
- [21] „Raz, Dwa, Trzy” nr 31, 4 sierpnia 1936.
- [22] Tamże.
- [23] Luise Krüger (1915–2001) – niemiecka lekkoatletka, specjalistka od rzutu oszczepem; srebro w Berlinie (1936).
- [24] „Raz, Dwa, Trzy” nr 31, 4 sierpnia 1936.
- [25] „Światowid” nr 31, 1 sierpnia 1936.
- [26] „Przegląd Sportowy” nr 65, 3 sierpnia 1936.
- [27] „Przewodnik Gimnastyczny Sokół” nr 9–10, wrzesień–październik 1936.
- [28] Tamże.
- [29] Berta Helene Amalie „Leni” Riefenstahl (1902–2003) – niemiecka reżyserka filmowa znana z nowatorskiej estetyki. Jej osoba i twórczość budziły często kontrowersje z powodu propagandowych filmów okresu hitlerowskiego.

- [30] W. Lipoński, *Sport. Literatura. Sztuka*, Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1974, s. 209.
- [31] „Przegląd Sportowy” nr 67, 8 sierpnia 1936.
- [32] „Rzeczpospolita” nr 112, 15 maja 2000.
- [33] Polskie Radio 1, audycja „Rok olimpijski”.
- [34] Wanda Jasieńska (Komar-Żylińska; 1910–1988) – lekkoatletka, zawodniczka AZS Poznań i KS Warta; piąta zawodniczka Światowych Igrzysk Kobietych w Pradze w 1930 roku (kula – 1,21), srebrna medalistka kobiecej olimpiady we Florencji w 1931 roku (kula – 1,64), trzykrotna mistrzyni Polski (1931–1933) i czterokrotna rekordzistka Polski w pchnięciu kulą.
- [35] Ewa Szelburg-Zarembina (1899–1986) – polska powieściopisarka, poetka, dramaturg, eseistka, najbardziej znana z twórczości dla dzieci i młodzieży.
- [36] Stanisław Ludwik Dygat (1914–1978) – polski autor powieści i opowiadań, felietonista, dramaturg oraz scenarzysta filmowy.
- [37] *Komisja lekarska obozu przejściowego w Pruszkowie w czasie powstania warszawskiego*, „Archiwum Historii Medycyny” 1968, t. XXXI, s. 275–276.
- [38] Tamże, s. 278.
- [39] Tamże, s. 279.
- [40] Tamże, s. 280.
- [41] Od 1942 roku istniał tam obóz Durchgangslager Schneidemühl. Był pewnego rodzaju „giełdą”, która

oferowała siłę roboczą przedsiębiorcom, właścicielom majątków ziemskich oraz rolnikom niemieckim z terenu rejencji pilskiej, choć nie tylko. Obóz podlegał urzędowi pracy (Arbeitsamt) i zajmował obszar kilku hektarów przy al. Powstańców Wielkopolskich (Krojenkestrasse). Teren podzielono na narodowe rewiry i otoczono drutem kolczastym. Pilnowany był przez wartowników rozmieszczonych na wieżach. Znajdowało się tam około 100 baraków. Jednorazowo przebywać tam mogło około 10 tysięcy więźniów. [http://www.dawna.pila.pl/czytelnia/obozy\\_w\\_schneidem\\_uhl.php](http://www.dawna.pila.pl/czytelnia/obozy_w_schneidem_uhl.php) [dostęp: kwiecień 2017].

[42] Zapis rozmowy autorki z panią Krystyną Marciniak z domu Piotrowską.

[43] Tamże.

[44] Tamże.

[45] „Rzeczpospolita” nr 112, 15 maja 2000.

[46] Władysław Maleszewski (1921–1983) – polski koszykarz, trener koszykarskiej reprezentacji Polski, jako zawodnik dwukrotnie wywalczył tytuł mistrza Polski, jako trener pięć razy (z warszawską Polonią i czterokrotnie z Legią).

[47] Wiktor Maleszewski (1883–1941) – lekarz, prezydent Wilna w latach 1932–1938, poseł na sejm (1935 i 1938), podpułkownik Wojska Polskiego.

[48] Polskie Radio Pr. 1, *Księga olimpijskich wspomnień*, cz. 4, audycja z 26 czerwca 1972, prowadzenie: J. Lis i B. Tuszyński.

<http://www.polskieradio.pl/13/3707/Audio/642068,Ksiega-olimpijskich-wspomnien-cz4> [dostęp: kwiecień 2017].

[49] Tamże.